



Barbara Dawson Smith



Pamiętniki księżnej

Prolog

Wybrzeże tureckie, luty 1816

Ucieczka dla ratowania życia nie była dla niego niczym nowym.

Grant Chandler miał w tym już spore doświadczenie.

Biegł co sił krętymi korytarzami pałacu sułtana, doskonale zdając sobie sprawę, że tuż za nim pędzi sfera strażników. Ich wściekłe okrzyki odbijały się echem od białych stiukowych ścian i sklepionych przejść, oświetlonych słabym migotliwym blaskiem lampek oliwnych. Była północ i komnaty, przez które przebiegał, w większości spowijała ciemność.

Według obliczeń znajdował się w połowie drogi do wolności. Wystarczy, że dotrze na tyły pałacu, zanim dopadną go wymachujący mieczami strażnicy. Nie zamierzał dać się złapać. Zwłaszcza teraz, gdy jego misja, przeprowadzona z wręcz wojskową precyzją, dobiegała końca.

Żeby nauczyć się płynnie mówić po turecku, spędził prawie rok w Konstantynopolu. Następnie, przed dwoma tygodniami, przybył z karawaną do Smyrny. Odziany w szarawary i haftowaną kamizelę, nie wyróżniał się wśród miejscowych. Twarz przyciemniał sokiem z orzecha włoskiego i, podobnie jak strażnicy za nim, miał ciemne wąsy i turban na głowie. Jednak w

przeciwieństwie do nich nie posiadał do obrony ani szabli, ani naboju w pistolecie. Zużył wszystkie wcześniej.

Był podekscytowany zarówno samym pościgiem, jak i ciężarem sakiewki ukrytej za pazuchą.

Wreszcie mu się powiodło. Wreszcie udało mu się ukraść „Oko diabła”.

„Oko diabła” to legendarny rubin o rzadkiej głębi i przejrzystości. Przed około dwoma tysiącami lat Kleopatra podarowała go Markowi Antoniuszowi. Zapodział się gdzieś po upadku Rzymu, żeby tysiąc lat później wpaść w łapska sułtana Hadzi, bogatego tureckiego despoty.

Grant nie cierpiał wyrzutów sumienia z powodu wykradzenia drogiego klejnotu. Jego zdaniem nie było nic złego w okradaniu tych, którzy wzbogacili się na krzywdzie innych. A sułtan dorobił się majątku na handlu opium.

Dostrzegł pod jedną ze ścian niewyraźny zarys miedzianej urny. Pochwyciwszy ją oburącz, rzucił za siebie w stronę nadbiegających strażników. Dwóch z nich, jęcząc i wyklinając, padło na ziemię. W powietrzu Załopotwały poły białych szat, rozległ się szczeł spadających mieczy. Trzeci strażnik uskoczył w bok.

Korzystając z zamieszania, Grant skręcił w kolejny mroczny korytarz. Przez minione dwa tygodnie pilnie studiował plany pałacu - plany, w których posiadanie wszedł dzięki sówitej łapówce. Zadziwiające, jak pieniądze potrafią otwierać zamknięte drzwi.

Gardłowy okrzyk oznaczał, że znowu go dostrzeżono. Spojrzał przez ramię w ciemność. Ścigało go tylko dwóch strażników. Trzeci prawdopodobnie pobiegnął po posiłki.

Pomimo groźnej sytuacji, wbiegając do kolejnej olbrzymiej i opustoszałej komnaty, w której pod przeciwległą ścianą stał tron skąpany w promieniach księżyca, Grant się uśmiechał, choć ani na chwilę nie zapominał o czujności.

Nie chciał, żeby powtórzyło się to, co kilka minut temu wydarzyło się w komnacie sultana. Zaskoczył go w niej sam sultan - ten rzeźący łotr.

Najwyraźniej tej nocy zrezygnował z uciech z nałożnicami w haremie. Ale Grant był przygotowany na ryzyko. W rzeczywistości uwielbiał niebezpieczne sytuacje i potrzebował ich w życiu prawie jak powietrza.

Jak daleko sięgał pamięcią, nigdy nie unikał ryzyka: konno jeździł na złamanie karku, gdzie się dało wszczywał kłótnie i wdawał się w bijatyki, na czyjeś wyzwanie skakał z klifu. Rodzina nie rozumiała, skąd u niego to zamiłowanie do brawury.

On też nie umiał tego wyjaśnić. Wiedział tylko, że bez ekscytacji życie nie jest nic warte.

I właśnie dlatego zatrzymał się w progu przedsionka, czekając, aż dwaj strażnicy go dościgną. Potem szybko zatrzasnął za sobą drzwi i podstawił krzesło pod klamkę. Rozległo się głośne walenie i stłumione okrzyki.

Ale Grant biegł już kolejną serią małych pokoi i korytarzy, aż dotarł do rzeźbionych drzwi prowadzących do ogrodu. Wybiegł w noc. Od fontanny dochodził cichy melodyjny szum wody, w powietrzu unosiła się woń jaśminu. Księżyc oblewał srebrnymi promieniami kamienne ławki i klomby bujnie porośnięte kwiatami. Ten spokojny widok wywoływał wrażenie bezpieczeństwa.

Grant jednak wiedział swoje.

Skradał się przez ogród z przygotowanym do zadania ciosu sztyletem, trzymając się blisko drzew rosnących pod kamiennym murem. Ta ostrożność się opłaciła.

Z mrocznego wnętrza pałacu wybiegło kilku wartowników. Ich przywódca wydał szczekliwym głosem rozkazy po turecku i mężczyźni rozeszli się po ogrodzie, rozpoczynając systematyczne przeszukiwanie.

Grant rozejrzał się uważnie po okolicy. Drogę do bramy miał odciętą. Rozsądnie byłoby zacząć się w jakimś mrocznym kącie i zaczekać, aż wartownicy odejdą. On jednak postanowił pobiec ku ścianie muru na tyłach.

Ktoś krzyknął na alarm.

Ale on wspinał się już po sękatych gałęziach drzewka oliwnego. Kiedy przeskakiwał na drugą stronę wysokiego, kamiennego muru, rozległ się wystrzał.

Poczuł szarpnięcie w ramieniu i prawie stracił równowagę. Mimo to udało mu się jakoś opaść na zwirową alejkę na obie stopy, choć zachwiał się, zanim się wyprostował.

Rzucił się biegiem do czekającego na niego w cieniu konia. Jednym cięciem noża przeciął sznur przywiązany do gałęzi i wskoczył na siodło. Wcisnął pięty w boki zwierzęcia i ognisty arab zerwał się do galopu.

Dopiero wtedy Grant poczuł ból. Ramię paliło go tak, jakby ktoś przypalał je rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem. Z rany płynęła ciepła krew, wsiąkając w koszulę.

Został postrzelony.

Zacisnąwszy zęby, prowadził konia wąskimi, krętymi uliczkami do portu. Tam czekał na niego *buggalow*, miejscowa łódź, która miała dowieźć go do nabrzeży Konstantynopola, skąd zamierzał kupieckim statkiem popłynąć do Włoch. Kiedy sprzeda „Oko Diabła”, przyszłość będzie miał zabezpieczoną.

Ta myśl złagodziła nieco ból, promieniujący od postrzelonego ramienia. Nie liczyło się już, że ojciec wyrzucił go z domu w wieku szesnastu lat, ani że brat, teraz hrabia Litton, także się go wyrzekł. Grant nie zamierzał wracać skruszony do rodzinnych pieleszy i błagać o ponowne przyjęcie do grona bliskich.

Chciał za to wolności, którą mogły dać mu jedynie pieniądze. Chciał pospłacać długi, czuć się równy swoim kolegom, uprzywilejowanym dżentelmenom.

Chciał zdobyć kobietę, której pożądał.

Poczuł nagły ucisk w żołądku. Przypomniawszy sobie, że raz już padł ofiarą ładnej buzi i że postanowił, iż więcej to się nie powtórzy.

Nie, on miał inny plan. Kiedy zdobędzie pieniądze, dokładnie wie, dokąd się uda.

Wróci do Londynu. Do Sophie. A ona tym razem go nie odtrąci. Tym razem zdobędzie jej serce na zawsze.

A potem udowodni, że Sophie jest morderczynią.

Rozdział I

3 października 1710

Moje życie jest skończone. Kiedy papa wezwał mnie dzisiaj do siebie, miałam nadzieję - modliłam się - że chodzi o zgodę na zaloty mego najdroższego Williama. Ale to, co usłyszałam, o mało mnie nie zabiło. Papa oświadczył, że znalazł mi wysmienitą partię. Jestem zaręczona z księciem Mulfordem. Sprzedano mnie temu, kto dał więcej!

Inna kobieta ucieszyłaby się zapewne na wieść, że zostanie księżną. Ale ja byłam przerażona. Jak mogę wyjść za Mulforda, skoro kocham innego? Niestety, ani łzy, ani błagania nie zmiękczyły serca papy. Umowa została zawarta, dokumenty podpisane.

Och, Williamie! Nasze marzenia są zaprzepaszczone. Zaprzepaszczone!

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Londyn, kwiecień 1816

Sophie Huntington Ramsey, ósma księżna Mulford, kroczyła długimi, wyziębionymi korytarzami Mulford House, kipiąc wściekłością. Jej kroki odbijały się głośnie echem od marmurowej posadzki. Palce zaciskała nerwowo na szalu, opływającym miękko jej ramiona. Księżna rzadko pozwalała sobie na utratę opanowania. Ale na Boga, nie dopuści przecież, żeby ktoś niszczył przyszłość jej syna!

Wracała właśnie z pokoju dziecięcego. Jej gardło nadal zaciskało wzruszenie na wspomnienie przepełnionych strachem orzechowych oczu Luciena, jego małych rączek ściskających jej dłonie, drżenia w głosie chłopca, gdy pytał, kiedy zostanie odesłany. Pomimo że broda mu się trzęsła, Lucien nie chciał pokazywać po sobie strachu, uważał bowiem, że po śmierci Roberta to on jest teraz panem w Mulford House. Tylko że dziewięcioletka nie odsyła się z domu. Zwłaszcza gdy nadal oplakuje odejście ojca.

Ta przeklęta Helena! Tym razem posunęła się za daleko. Stanowczo za daleko.

Sophie dotarła do końca korytarza i otworzyła drzwi ukryte w złoto-białej boazerii. Zeszła wąską klatką schodową do sutereny. Od strony pomieszczeń przykuchennych doszedł ją przytłumiony brzęk naczyń. W powietrzu unosił się zapach krochmalu z pralni zmieszany z wonią pieczonego w kuchni chleba.

Na tym niższym poziomie, z dala od eleganckich pokoi na wyższych piętrach, służba oddawała się rozlicznym pracom, nieodzownym dla sprawnego funkcjonowania książęcego domostwa. To nie miejsce dla księżnej, upierał się Robert, i na osobę zarządzającą domem wyznaczył swoją starszą siostrę, Helenę. Sophie przystała na to, częściowo, bo miała inne zajęcia, a po części, bo tak wiele zawdzięczała mężowi.

Mroczny korytarz, oświetlony naftowymi lampkami, rozciągał się przed nią w dwie strony. Na jednym z końców stała para plotkujących o czymś praczek. Kiedy dostrzegły księżną, najpierw przez moment przyglądały się jej ze

zdumieniem, potem szybko wbiegły z powrotem do zaparowanej pralni. W tej samej chwili z innych drzwi wyłonił się Phelps.

Szczupły i wysoki niczym uliczna latarnia, kamerdyner ruszył ku Sophie statecznym krokiem. Jego białe rękawiczki i czarny frak były jak zawsze nieskazitelnie czyste. Sophie nigdy nie widziała go choćby z potarganymi włosami. Phelps był kawalerem i służył u księcia Mulforda od niemal pół wieku. Ciężar swojej pozycji znosił z wyniosłą godnością - godnością, która ogromnie kontrastowała z obecnym wzburzeniem księżnej.

Phelps uklonił się przed nią. Z jego chłodnych szarych oczu wycierał niesmak wywołany wzburzeniem pani.

- Wasza książęca mość, czy mogę czymś służyć?

- Szukam lady Heleny. Widziałeś ją?

- Omawia właśnie z panią Jenks menu na cały tydzień. Mam jej przekazać, żeby dołączyła do pani w bibliotece?

- Nie, dziękuję. Sama z nią porozmawiam.

- Z całym szacunkiem - ciągnął uparty kamerdyner - wygodniej będzie paniom na górze...

- Już powiedziałam, że sama odnajdę lady Helenę.

Po tej chłodnej odprawie Sophie ruszyła dalej korytarzem, mijając pokój stewardów i spiżarnię. Cóż za bezczelny człowiek! Zaczerpnęła głęboko powietrza. Nie może przejmować się drobnostkami. Już w wieku osiemnastu lat nauczyła się, że dawanie upustu emocjom prowadzi do nieszczęść.

Ze względu na dobro syna powinna zachować spokój także przy rozmowie ze szwagierką. Lucien potrzebuje wsparcia matki. Sophie pomagała mu w nauce, zabierała na długie spacery po parku i delikatnie zachęcała, by otrząsnął się ze smutku po śmierci ojca.

Ale jeśli Helena przeprowadzi swój zamiar, wszystko ulegnie zmianie.

Nic się nie zmieni, przysięgła sobie w duchu Sophie. Tym razem przeciwstawi się manipulacjom szwagierki.

Weszła przez otwarte drzwi do położonego na końcu korytarza małego, przytulnego saloniku, wyłożonego ciemną tapetą w pionowe pasy. Na szeszlunku leżały haftowane poduchy, a w pobliżu rozpalonego kominka wylegiwał się rudy pręgowany kot.

Helena siedziała przy biurku i coś pisała, a obok stała pani Jenks, gospodyni - pulchna kobieta w średnim wieku - która, kiedy dostrzegła przybyłą, szybko się jej ukloniła.

- Wasza łaskawość. Cóż za niespodziewany zaszczyt!

Lady Helena uniosła wzrok, po czym odłożyła pióro do kałamarza. Była piękną, trzydziestokilkuletnią kobietą. W ciemnej sukni z krepy i filigranowym czepeczku osadzonym na blond włosach sprawiała wrażenie bardzo eleganckiej. Z profilu wydawała się wręcz uosobieniem perfekcji - dopóki nie pokazała całej twarzy.

Na jej lewym policzku widniało szpecące znamię koloru czerwonego wina, schodzące aż na szyję osłoniętą koronkowym kołnierzykiem. Sophie do tego stopnia przyzwyczała się do owego widoku, że rzadko kiedy zwracała uwagę na szkarłatną plamę. Jednak Helena chyba nigdy o niej nie zapominała i dlatego zawsze wkładała suknie z wysoko zabudowanym kołnierzem, a ponadto delikatnie pokrywała znamię pudrem. Pomimo jego istnienia na przestrzeni lat znalazło się jednak kilku dżentelmenów, którzy, skuszeni perspektywą ożenku z siostrą księcia, oświadczyli się Helenie. Niemniej ona zawsze odsyłała zalotników z kwitkiem. Woląła staropanieństwo niż aranżowane małżeństwo.

- Och, Sophie - rzuciła, nie podnosząc się z krzesła. - Przyszłaś przejrzeć jadłospis na następny tydzień?

- Nie, przyszłam w innej sprawie i pragnę natychmiast o niej z tobą porozmawiać.

- Jak sobie życzysz. Zaraz kończę.

Sophie zacisnęła zęby. Helena, która była prawie dziesięć lat od niej starsza, miała zwyczaj traktować ją jak dziecko.

- Teraz - oświadczyła, siląc się na uprzejmy ton. - Pani Jenks, zechce nas pani zostawić na chwilę?

Gospodyni pośpiesznie opuściła pokój.

Helena pytająco przechyliła głowę na jeden bok. W jej niebieskich oczach czaiło się skupienie, pióro trzymała nad kartką, gotowe do pisania.

- O co chodzi, moja droga? Może znalazłaś w końcu ten zaginiony pamiętnik?

Sophie od kilku lat pracowała pilnie nad odtworzeniem rodzinnej historii Mulfordów. Pewnego razu, kiedy szperała w bibelotach zebranych na poddaszu, natknęła się tam na pamiętnik pisany przez trzecią księżną Mulford, lady Annabelle. Pannę, którą wbrew jej woli wydano za mąż. Niestety pamiętnik kończył się w krytycznym momencie i Sophie, trawiona ciekawością, szukała wszędzie następnej jego części.

- Chodzi o Luciena. Powtórzył mi, co mu powiedziałaś. Że na jesieni ma wyjechać do internatu.

Helena z całym spokojem poczyniła jakąś notatkę w jadłospisie.

- Chłopiec musi się przygotować na nieuniknione.

Sophie zbliżyła się do biurka. Korciło ją, żeby wyrwać pióro z ręki szwagierki, ale idąc za jej przykładem, udawała nieporuszoną.

- To wcale nie jest nieuniknione - oświadczyła. - Nie zgadzam się na odesłanie Luciena z domu. Jest na to za młody.

- Księżęta Mulford zawsze wysyłano do prywatnej szkoły z internatem w wieku dziewięciu lat. Tam mają okazję przygotować się na rygory przebywania w Eton. Chyba nie chcesz łamać rodzinnej tradycji?

- Możemy poczekać, aż uznam, że taki ruch jest odpowiedni. Helena odłożyła pióro do kałamarza i niespodziewanie popatrzyła na szwagierkę ze współczuciem.

- Moja droga, zrozum proszę, że mam na względzie tylko jego dobro. Lucien jest przybity po śmierci Roberta - wszyscy jesteśmy. Dobrze mu zrobi, jeśli opuści dom, który nieustannie przypomina mu o tragedii.

- Będzie cierpiał, jeśli odłączymy go od osób, które kocha. Helena wstała i ujęła delikatnie dłonie bratowej.

- Bardzo cię proszę, wysłuchaj mnie. Lucien ostatnio ogromnie się do ciebie przywiązał. Nie powinniśmy pozwalać, żeby to się pogłębiało, inaczej nie da sobie rady z przyszłymi obowiązkami księcia. Ponieważ zabrakło ojca, ktoś inny powinien zająć się jego wychowaniem.

Trudno było wyobrazić sobie coś, co mogłoby bardziej ugodzić Sophie. Czyżby była nadopiekuńcza? A co ze strachem malującym się na twarzy jej synka? Cofnąwszy rękę, powiedziała stanowczo:

- Decyzje co do przyszłości Luciena podejmę sama. Zostanie w Mulford House przynajmniej do przyszłego roku. Czy jasno się wyraziłam?

Druga kobieta mocno zacisnęła usta.

- Nie będę się z tobą spierała w tej kwestii. Jesteś przecież matką. Niemniej, mam obowiązek wspomnieć, że Elliot popiera moje zdanie.

Sophie zeszywniała. A więc Helena zadbała o wsparcie kuzyna Roberta, tymczasowego prawnego opiekuna Luciena.

- Elliot jest tak zajęty swoimi rzymskimi ruinami, że nie ma czasu przemyśleć kwestii wykształcenia Luciena. Zgodził się z tobą, żebyś więcej nie zawracała mu głowy.

- Wolę myśleć, że zależy mu na przyszłości Luciena. Było jasne, że sprzeczenie się ze szwagierką mija się z celem.

- W takim razie, porozmawiam z nim - odparła chłodno Sophie. - A teraz wybacz.

Zagniewana, opuściła szybko salonik i wróciła na górę. Elliot! Ten człowiek pojawia się w życiu Luciena i znika z niego jak zmienny wiatr. Zasypuje chłopca kosztownymi prezentami, a potem nie ma go przez całe

tygodnie. Większość czasu spędza w Surrey, przy wykopaliskach jakiejś starożytnej budowli. Sophie wiedziała, że będzie musiała poczekać z rozmową, aż Elliot znowu pojawi się w mieście.

Niestety, cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną.

Weszła do biblioteki drzwiami otoczonymi pozłocaną framugą. Przez wysokie okna do pomieszczenia wpadało słabe światło pochmurnego dnia. Oblewało ono leniwie sięgające sufitu półki z książkami zbieranymi przez księży Mulford od stuleci. Zatechła woń ich obwolot mieszała się w powietrzu z gryzącym zapachem ognia z kominka.

Pomimo spokojnej atmosfery w bibliotece Sophie nie umiała się wyciszyć. Dręczyły ją niepokój, zniecierpliwienie i gniew. Elliot woli wykopywać z ziemi stare skorupy, niż dotrzymywać towarzystwa chłopcu, któremu zmarł ojciec. Trudno znaleźć bardziej obojętnego opiekuna - no może oprócz drugiego.

Granta Chandlera.

Puls jej przyspieszył, gniew stał się jeszcze silniejszy. W porównaniu z tym nędznikiem, Chandlerem, Elliot to najtroskliwszy opiekun pod słońcem. Och, dlaczego Robert jej nie ostrzegł, że patronat nad Lucieniem pozostawi w rękach tego podejrzanego łotra? Mężczyzny, który kiedyś skradł Sophie serce.

Doskonale pamiętała swoje przerażenie i uczucie zawodu, gdy odczytano jej testament męża. Nie marnując czasu, od razu napisała do Granta, zwalniając go z wszelkich powinności wobec jej syna. List posłała do jego ulubionej ciotki, z prośbą, żeby ta przekazała go bratankowi, kiedy tylko nadarzy się okazja. Grant jednak nie odpowiedział, czego zresztą Sophie się spodziewała.

Mężczyźni! Kobiety rzadko mogą na nich polegać, a przecież to oni rządzą tym światem. Dlaczego opiekunami Luciena zostali dwaj nieodpowiedzialni nędznicy, a nie jego własna matka? To ona powinna zarządzać losem chłopca. Tylko ona i nikt więcej!

W Sophie coś pękło i wylał się z niej cały gniew. Złapała za kryształowy kielich stojący na stoliku i rzuciła nim w zwieńczenie kominka.

Szklane naczynie roztrzaskało się z hukiem o marmurową oprawę. Okruchy posypały się na złoto-niebieski dywan.

Sophie stała w miejscu jak skamieniała. Ostatnim razem, kiedy straciła nad sobą panowanie, była jeszcze panną. Sądziła, że ta dzika część w niej dawno już umarła. Westchnęła ciężko. Szczerze mówiąc, po wybuchu poczuła się znacznie lepiej.

Ale trwało to tylko chwilę.

Ktoś bowiem podniósł się z rozłożystego fotela stojącego przed kominkiem. Jakiś mężczyzna, który, kiedy się do niej odwrócił, popatrzył na nią ciemnymi oczyma roziskrzonymi rozbawieniem. Mężczyzna, którego wysoka postać i przystojna twarz były jej świetnie znajome.

Jego widok zdumiał Sophie niepomiarownie. Miała wrażenie, że wyczarowała przybysza wcześniejszymi myślami.

- Grant? - wyszeptała przez zaschnięte usta.

- Sophie - mruknął mężczyzna, kiwając wesoło głową. Popatrzył wymownie na potłuczony kieliszek. - Zdaje się, że nic się nie zmieniło. Nadal jesteś tak samo temperamentna jak niegdyś.

Rozdział II

10 października 1701

Mam dosyć płaczu. Choć serce mi pęka, muszę być posłuszną córką. I dlatego spotkałam się dzisiaj w wielkim salonie z przyszłym mężem. Od tej chwili będę go wiernie opisywała.

Nazwisko i tytuły: Francis George Phineas Ramsey, trzeci książę Mulford, hrabia Pickering, wicehrabia Whittington (Mam się do niego zwracać Mulford).

Wiek: czterdzieści jeden lat (niemal starzec).

Wygląd: upudrowana peruka, orli nos, zimne, brązowe oczy (lustrował mnie nimi bardzo niegrzecznie).

Cechy charakteru: dumny (w końcu to książę), próżny (plotkuje się, że jest właścicielem ponad pięćdziesięciu par trzewików ze złotymi klamrami), zdystansowany (powiedział do mnie nie więcej niż tuzin słów).

Och, nie śmiem nawet wspominać ciepłych, niebieskich oczu Mojego Ukochanego Williama...

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Sophie, czując silne bicie serca, pomyślała, że zaraz zemdleje.

Pochwyciła się więc krzesła i dopiero wtedy, zaciskając mocno dłoń na twardym oparciu, uwierzyła, że nie śni, że Grant nie jest wytworem jej wyobraźni.

Powróciło wspomnienie ich ostatniej kłótni, a wraz z nim ból wywołany ostrymi słowami, którymi się wtedy obrzucali.

To jakiś nonsens. Przecież Grant nic dla niej nie znaczy. Wyrzuciła go z serca w tym samym czasie, gdy wyrzuciła go ze swojego życia. Nie była już tamtą porywczą dziewczyną, po uszy zakochaną w tym łotrze.

Przyglądała mu się teraz z wymuszoną obojętnością. Nadal był przystojny, ale coś się w nim zmieniło. Rysy twarzy miał ostrzejsze, zaś opalona skóra nasuwała przypuszczenie, że dużo przebywał na słońcu. Nie przypominał już dandysa, pomimo eleganckiego, ciemnoniebieskiego surduta i modnie skrojonych skórzanych bryczesów. Znała go jako człowieka, który nie powstrzyma się przed niczym, kiedy pragnie coś zdobyć. Człowieka, który ma za nic zasady cywilizowanego świata.

Gdzie się podziewał przez ostatnie dziesięć lat? Nie obchodziło jej to i nie zamierzała pytać.

Grant też się jej przyglądał. Lustrował ją wzrokiem niespiesznie, od głowy otoczonej rudokasztanowymi lokami, przez skromną czarną suknię żałobną, aż po stopy. Sophie ogarnął dziwny niepokój i poczuła przyspieszenie pulsu. Szybko jednak uznała, że to tylko efekt wspomnień z przeszłości, nic ponadto. Ciepłe uczucia do Granta już dawno temu się w niej wypaliły.

Mimo to była niepokieszona, że widział wybuch jej gniewu.

- To ty się nie zmieniłeś - zauważyła, przywołując spokój. - Z takim samym tupetem jak zwykle zjawiasz się w czyimś domu bez zaproszenia.

- Nie wszedłbym, gdyby odźwierny mnie nie wpuścił.

- W takim razie mogłeś poczekać w wielkim salonie, zamiast szwendać się po domu.

Odpowiedział jej uwodzicielskim półuśmiechem, tym samym, o którym z takim trudem starała się zapomnieć.

- Służący poszedł cię szukać i nie wrócił. Chciałem znaleźć jakąś kartkę, żeby zostawić ci wiadomość, i znalazłem to.

Sophie dopiero w tej chwili zauważyła, że Grant trzyma w ręce cienki, obłożony skórą notes.

- Pamiętnik Annabelle!

- Leżał na biurku - wyjaśnił gość, kiwając głową w stronę filigranowego sekretarzyka, który Sophie umieściła w bibliotece już po śmierci męża.

- Nie na biurku, tylko w szufladzie - zachnęła się, dając krok do przodu. Kiedy odbierała pamiętnik, dotknęła lekko palcami dłoni Granta. Walcząc z niechęcią, przycisnęła pamiętnik do piersi. - Nie masz prawa szperać w moich rzeczach. Ani czytać prywatnych zapisków. A gdyby to był mój pamiętnik?

- Masz inny charakter pisma. Zresztą, nie chciało mi się tego czytać. To jakieś cklive bzdury.

- Ckliwe? Annabelle była rzeczywistą osobą, z prawdziwymi i szczerymi uczuciami. Jak wiele młodych dziewcząt na własnej skórze przekonała się, co to znaczy mieć do czynienia z łajdakiem.

- Och, zatem szkoda, że nie przeczytałaś tego pamiętnika, zanim mnie poznałaś.

Sophie zacisnęła usta, powstrzymując się przed ripostą. Grant się z nią drażni. Ale ona nie musi wdawać się w kłótnie o wydarzenia z dalekiej przeszłości.

Nie rozumiała tylko, dlaczego próbowała wytłumaczyć, co zawierają pamiętniki. Historia Annabelle była jej bliska w sposób, którego Grant nigdy nie zrozumie.

- Ten pamiętnik to cenna cząstka historii rodziny Mulfordów - powiedziała z wymuszonym spokojem. - Jest stary i należy się z nim obchodzić bardzo ostrożnie.

- Wybacz mi, wasza książęca mość. Nie miałem zamiaru go zniszczyć. Uprzejmy ton głosu gościa nie zdradzał jego myśli. Grant z przeszłości był inny, bardziej otwarty i porywczy.

- Nie ma sprawy - odparła pospiesznie, nieco skrepowana utkwionym w niej intensywnym spojrzeniem rozmówcy.

Przeszła do sekretarzyka i schowała pamiętnik do górnej szuflady. Była zła na Granta, że pogwałcił jej prywatność. Była też zła na siebie, że tak się tym przejęła. Potrzebowała chwili na ostudzenie emocji.

Ale kiedy się odwróciła, okazało się, że Grant stoi tuż za nią. Podeszedł ją cicho, jak skradające się dzikie zwierzę. Stał tak blisko, że wyraźnie czuła intensywny zapach jego wody kolońskiej. Zapach, który mimowolnie wywołał w niej poruszenie.

- Wyjaśnij mi coś - poprosił. - Kiedy rzucałaś kieliszkiem, nie wiedziałas jeszcze, że tu jestem, zatem to nie moja obecność tak cię zdenerwowała. Cóż więc to było?

- Pytanie jest impertynenckie, sir, i nie zamierzam na nie odpowiadać.

- Jakaś ty się zrobiła wytworna. Zapomniałaś, że kiedyś byliśmy sobie bliscy. Że dzieliliśmy się wszystkim?

Ochryply głos Granta przywoływał wiele wspomnień. Dawno temu, podczas jej pierwszego sezonu towarzyskiego, Sophie przyglądała się w parku wyścigowi dwukółek. Młody Chandler brał w nim udział i oczywiście wygrał. Jego szaleńcza lekkomyślność podziałała na nią jak magnes. Stawał do zawodów z tym samym zapalem, z jakim uwodził damy.

Jako jedyne dziecko swoich rodziców, Sophie była przez nich rozpieszczana, ale też trzymana pod kloszem. Wychowana na wsi, po przyjeździe do miasta z miejsca zakochała się w wolności i ekscytujących

rozrywkach oferowanych przez Londyn. Zapragnęła Granta od pierwszej chwili, gdy go ujrzała. I to on nauczył ją łamać sztywne zasady obowiązujące w arystokratycznych kręgach.

Ale to wszystko się skończyło wraz z jej małżeństwem i narodzinami syna. Od tej pory Sophie myślała tylko o tym, jak być dobrą matką dla Luciena. Grant nigdy tego nie zrozumie.

- Życie się zmienia - powiedziała. - Nie jestem już tą naiwną dziewczyną z przeszłości.

- Właśnie widzę. - Grant wbił wzrok w jej usta. - Stałaś się kobietą. I to bardzo piękną kobietą.

Atmosfera zrobiła się nagle napięta. Już dawno Sophie nie znajdowała się w centrum czyjegoś zainteresowania. Budziło to jej niepokój i rozdrażnienie. Grant nie ma wstydu, uwodząc kobietę w żałobie. Na dodatek żonę zmarłego przyjaciela.

A może po prostu traktuje ją tak, jak traktuje wszystkie kobiety?

Nadal poirytowana, sięgnęła po kosz na śmieci i przeszła z nim do kominka. Tam ukucnęła i wzięła się za zbieranie kawałków szkła.

- Jestem dzisiaj zajęta - powiedziała przez ramię. - Może więc po prostu wyjaśnij mi powód twojej wizyty.

To musi mieć związek z listem. Tym, w którym namawiała go, żeby zrezygnował z opieki nad Lucieniem. Czy zamierza wtrącać się do jego wychowania?

Na pewno nie. Grant Chandler nie znosi odpowiedzialności. Nienawidzi wszystkiego, co mogłoby ograniczyć jego wolność. Jest jak dziki koń, który nigdy nie pozwoli się ujeździć.

Grant przyklęknął obok niej i podniósłszy kawałek szkła, wrzucił go do kosza.

- Dowiedziałem się, że Robert nie żyje - powiedział, nadal zbierając okruchy. - I chciałem złożyć ci kondolencje.

- Dziękuję. To uprzejme z twojej strony. - Tak samo odpowiadała wszystkim żalobnikom na pogrzebie.

- Mówię szczerze, Sophie. Naprawdę ci współczuję.

Jego ton był zbyt przymilny, by mogła dać mu wiarę. Miała pełne prawo nie ufać Grantowi, a mimo to naszło ją pragnienie, żeby się do niego przytulić.

Głupia. Nigdy więcej nie pozwoli sobie na taką naiwność.

- Doceniam to - odparła oschle.

Ignorując rozmówcę, wpatrywała się w dywanik rozłożony przed kominkiem, szukając pozostałych resztek szkła. Lucien bawił się tu czasami swoimi żołnierzami. Nie chciała, żeby się skaleczył.

- Powiesz mi, co się stało? Jak Robert umarł? - dociekał Grant.

Sophie poczuła, że w jej sercu otwiera się bolesna rana. Odwróciła twarz do towarzysza. Ten, klęcząc na jednym kolanie, przyglądał jej się uważnie. Już miała powiedzieć, że nie chce poruszać tego tematu, ale powaga we wzroku Granta zmusiła ją do szczerości.

On i Robert byli przyjaciółmi. Przypadek sprawił, że wychowywali się razem, dorastając w sąsiadujących ze sobą majątkach w Sussex. Gdyby nie to, spokojny, lubiący dużo czytać

Robert nigdy nie zadawałby się z notorycznym uwodzicielem, takim jak Grant.

Tak czy inaczej Sophie aż do tej pory nie pozbyła się wyrzutów sumienia, że stanęła pomiędzy tymi dwoma mężczyznami. Uzmysłowała sobie z niechęcią, że Grantowi należą się od niej jakieś wyjaśnienia.

Przysiadła na piętach i utkwiała wzrok w tańczącym w kominku ogniu.

- Robert w minione lato gorzej się poczuł - zaczęła niemal szeptem. - Lekarz rozpoznał zatrucie. Próbowali wszystkiego: leków tonizujących, przeczyszczających, upuszczania krwi, ale... ale stan Roberta nadal się pogarszał. Po dwóch tygodniach zmarł. - Zamilkła, wspominając bezsenne noce spędzone przy łóżku męża, swoją bezradność i brak pomysłu, jak mogłaby ulżyć

mu w boleściach, panikę, która ją ogarnęła, kiedy przyglądała się, jak odchodzi...

- Zatrucie? - zdziwił się Grant. - Czy zachorował ktoś jeszcze?

- Nie. Robert zatrzał się ciastem ze śliwkami. Tylko on je jadł. Bardzo je lubił.

- A co na to wasz kucharz?

- Monsieur Ferrand twierdził oczywiście, że to nie jego wina. Ale i tak... i tak musieliśmy go zwolnić. Nie chciałam, żeby nadal dla nas gotował.

W bibliotece zapadła cisza. To pomieszczenie było ulubionym pokojem Roberta. Po jego śmierci Sophie często tu przychodziła, czerpiąc pociechę z przebywania w miejscu, które mąż sobie upodobał. Ale dzisiaj było inaczej. Dzisiaj przeszkadzała jej w tym obecność Granta Chandlera, tak jakby jego osoba zaburzała spokój i harmonię pokoju.

Popatrzyła na niego i przez chwilę wydawało się jej, że w jego oczach dostrzega błysk lodowatej wrogości. Kiedy jednak zamrugła, twarz Granta znów wyglądała normalnie.

Podtrzymując ją za łokieć, pomógł jej wstać.

- Jesteś zdenerwowana - oświadczył, prowadząc do sofy. Posadził ją na niej i usiadł obok. - Każę podać herbatę.

- Nie, nic mi nie jest. - Sophie nie chciała, żeby wizyta gościa się przedłużała. Siedziała sztywno wyprostowana. - Domyślam się, że otrzymałeś mój list... dotyczący Luciena.

Grant przytaknął ruchem głowy.

- Trochę potrwało, zanim do mnie dotarł. Przez jakiś czas byłem w podróży, rozumiesz?

- W podróży? Gdzie? - Zadała to pytanie powodowana uprzejmością, a nie ciekawością.

- Wyjechałem do Turcji, a ściślej do Konstantynopola.

- Dobry Boże. A co tam robiłeś?

- Zwiedzałem i uczyłem się języka. Poznawałem miejscową ludność.

Pusty wzrok mówiącego służył za przykrywkę wielu tajemnic. Pewnie pił na umór i oddawał się hazardowi. I prawdopodobnie otworzył własny harem.

A niech tam, Sophie nie interesowały już jego wybryki.

- Jestem przekonana, że masz wiele spraw na głowie - zauważyła z lodowatą uprzejmością. - Powinniśmy więc jak najszybciej przedyskutować sprawę mego syna, żebyś mógł wrócić do swoich obowiązków.

Grant wygodniej usadowił się na sofie.

- Istotnie.

- Zakładam, że zjawileś się tu z obowiązku - stwierdziła. - Jednakże, tak jak ci pisałam, zwalniam cię ze wszelkich zobowiązań wobec mojego syna. Lucien ma jeszcze jednego opiekuna, Elliota, kuzyna Roberta, więc ty nie musisz się już tą sprawą zajmować. Mam nadzieję, że przywiozłeś ze sobą umowę, którą dołączyłam do listu.

- Nie, nie przywiozłem.

Sophie wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki sprawa opieki nad synem nie zostanie rozstrzygnięta po jej myśli.

- Jeśli ta umowa gdzieś ci się zapodziała, skontaktuję się z moimi prawnikami. Przypuszczam, że nie będą mieli problemu ze spisaniem następnej.

Grant potrząsnął głową.

- Ja jej nie podpiszę, Sophie.

Natychmiast ogarnął ją niepokój.

- Powinieneś, bo w przeciwnym razie będziesz musiał brać udział w każdej decyzji dotyczącej przyszłości Luciena. To ogromne obciążenie dla kogoś, kto prowadzi taki styl życia jak... jak ty.

- Poradzę sobie. Robert wyznaczył mnie na opiekuna, więc nie pozostaje mi nic innego, jak wypełnić jego wolę. Wynająłem już nawet dom przy Berkeley Square.

Serce zabiło jej mocniej. Grant będzie mieszkał trzy ulice stąd? Czyżby zamierzał bywać w Mulford House codziennie?

- Nie mów bzdur. Nie nadajesz się na opiekuna.

- Podobnie jak Elliot Ramsey. Domyślam się, że nadal grzebie się gdzieś w ziemi w poszukiwaniu starych skorup. On też nie ma zadatków na opiekuna.

Sophie podzielała to zdanie, ale uważała, że jako opiekun stanowi dla jej syna mniejsze zagrożenie.

- Elliot jest kuzynem Luciena - przypomniawszy. - Zna go od urodzenia. Ty nie widziałeś go na oczy.

- W takim razie od razu to naprawmy. Poślij po syna.

Zbyt przejęta, żeby usiedzieć spokojnie na miejscu, poderwała się na nogi i przeszła na środek pokoju. Miała wrażenie, że sytuacja staje się coraz bardziej skomplikowana, a ona coraz bardziej się w niej gubi. Dobry Boże, jak do tego doszło, że wszystko wydaje się takie pogmatwane? Nie chciała, żeby Grant kontaktował się z Lucieniem. Dlaczego jest taki uparty?

No właśnie, dlaczego?

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

- Doprawdy, jeśli to zemsta na mnie, nie dokonuj jej kosztem niewinnego dziecka!

Lekko skurczona twarz rozmówcy świadczyła o tym, że Grant rzeczywiście żywi do niej urazę.

- Tak to postrzegasz?

- Tak. Przecież nie znosisz dzieci. Sam mi to kiedyś powiedziałeś.

- Masz lepszą pamięć ode mnie.

- Naprawdę tak powiedziałeś. W trakcie którejś z naszych kłótni. - Sophie stała blisko kominka, lecz bijące od niego ciepło nie było w stanie jej rozgrzać. Doskonale pamiętała słowa Granta i to jak po ich usłyszeniu rozpadły się jej romantyczne marzenia. To wtedy pojęła, że ich związek nie ma przyszłości.

Grant kochał wolność bardziej niż ją. - Nie pozwolę, żebyś zbliżył się do Luciena. Będziesz miał na niego zły wpływ.

Grant wstał i podszedł do niej, ustawiając się na przeciwległym krańcu kominka. Sophie desperacko wyszukiwała w myślach argumentów, którymi mogłaby go przekonać do zmiany zdania. Nienawidziła poczucia bezradności, ale prawo stało po jego stronie. Dopóki nie zrzeknie się praw do opieki nad Lucieniem, może decydować o jego losach, pomijając zdanie matki. Może domagać się widzeń z podopiecznym, a Sophie nie będzie mogła się temu sprzeciwić...

Grant niespodziewanie wyciągnął rękę i musnął czule jej policzek.

- Sophie, nie chcę cię skrzywdzić. Uwierz w to, proszę. Pragnę tylko...

Przerwał mu odgłos czyichś kroków. Sophie, zmieszana, popatrzyła na drzwi i wstrzymała oddech.

Do biblioteki wszedł Lucien. Jego drobna, zazwyczaj poważna twarzyczka, promieniowała niecodziennym ożywieniem. Na czoło opadał mu kosmyk rudokasztanowych włosów. Wyglądał słodko w ciemnobrązowym surducie i bryczesach tego samego koloru. W dłoni trzymał małą figurkę.

- Mamo, popatrz! Popatrz, co znalazłem!

Nagle chłopiec spostrzegł gościa i zatrzymał się w pół kroku. Przyglądał się nieznanemu z wyraźną nieufnością.

Sophie podbiegła do syna, instynktownie pragnąc oddzielić go sobą od Granta. Drżącymi dłońmi wygładziła zmierzwione włosy chłopca.

- Widzę, że odnalazłeś generała. Gdzie był? W kredensie?

Lucien wolno skinął głową, zarazem zerkając zza matki na gościa.

- W kredensie. Za... za puszkami, tak jak mówiłaś. - Szeptem dodał: - Kto... kto to jest?

Jej serce skurczyło się z bólu. Lucien jękał się tylko wtedy, gdy spotykał się z nową dla niego sytuacją lub osobą. Między innymi z tego powodu chciała

przytrzymać go w domu. W szkole trudności z wymową sprowadziłyby na niego bezlitosne docinki kolegów.

Poczuła, że jej dłonie robią się zimne i wilgotne. Pragnęła szybko wyprowadzić syna z biblioteki, wiedziała jednak, że nie ma to sensu. Za późno na ukrywanie Luciena.

- Mój gość to... to znajomy z przeszłości - wyjaśniła, pokonując suchość w gardle. - Nazywa się Chandler. Grancie, poznaj mego syna, Luciena, księcia Mulford.

Grant wyciągnął rękę.

- Cieszę się, że mogę pana poznać, książę.

Chłopiec przez chwilę się wahał, w końcu jednak potrząsnął wyciągniętą dłonią.

- Nie... nie jestem panem. Powinien pan zwracać się do mnie „jego książęca mość”.

- Lucien! - wykrzyknęła z naganą Sophie. - Nie wypada poprawiać starszych.

- Nic nie szkodzi - odezwał się szybko Grant, lekko się uśmiechając. - Rzeczywiście popełniłem błąd, wasza książęca mość, i przepraszam. Zmieńmy jednak temat. Interesuje mnie ten generał. Mógłbym go zobaczyć?

Lucien niechętnie rozchylił palce dłoni, uważnie obserwując gościa, jakby się obawiał, że porwie zabawkę i ucieknie.

Grant przysiadł na krześle. Oparłszy łokcie na kolanach, zaczął okręcać figurkę, oglądając ją w szarym świetle dnia.

- A tak. Poznaje go. Pochodzi z zestawu żołnierzyków twego ojca.

- Pan... pan znał papę? - zdumiał się chłopiec.

- Tak, znałem. Poznaliśmy się, kiedy był w twoim wieku. Ja też dorastałem w Sussex, jak Robert. Mój dom znajdował się trzy mile od jego domu.

- Na... naprawdę? - Lucien, z rozświetlonymi oczyma, podszedł bliżej. - To... to dlaczego go pan nie odwiedzał?

- Pan Chandler wyjechał z Anglii - wtrąciła się Sophie.

- Wrócił dopiero niedawno. Poza tym nie ma teraz chyba czasu na pogawędkę. - Po tych słowach posłała Grantowi wymowne spojrzenie.

- W gruncie rzeczy wcale się nie spieszę - oświadczył ten, udając, że nie widział jej wzroku. Oddał zabawkę Lucieniowi.

- A gdzie reszta żołnierzyków? Masz je? Pamiętam, że było ich sporo.

- O tak. Papa zachował je dla mnie. Mama i ja urządzamy sobie czasami bitwy. - Chłopiec spuścił głowę. - Oczywiście nie wtedy, kiedy mama mnie czegoś uczy. Za to panna Olivier nigdy się ze mną nie bawi. Ma za dużo zajęć.

Grant pochylił się nad chłopcem.

- Coś ci powiem - zaczął poufnym tonem. - Damy nie interesują się wojną. Co innego mężczyźni. Może kiedyś ty i ja urządzimy sobie bitwę, co ty na to? Długą i poważną?

- Ja będę księciem Wellingtonem - zawołał od razu Lucien. - Poprowadzę Anglików do zwycięstwa.

Grant się roześmiał.

- W takim razie ja będę Napoleonem. Tylko pamiętaj, że nie dam się łatwo pokonać.

Sophie zauważyła, że Lucien, ogarnięty podekscytowaniem, przestał się jąkać. Mimo to wcale nie cieszyło jej nagłe porozumienie pomiędzy gościem a synem. Czuli się jeszcze bardziej przerażona i schwytna w pułapkę. W pewnej chwili Grant zauważył to, co dla niej było oczywiste...

Widok jego i Luciena razem ranił jej serce. Byli tak bardzo do siebie podobni. Te same rysy twarzy, choć nieco łagodniejsze u chłopca. Ale na tym podobieństwa się kończą, zapewniała się Sophie w duchu. Lucien ma orzechowe oczy, a włosy rudawokasztanowe. A co do charakteru - syn i Grant są jak dzień i noc.

Ale i tak czuła ucisk w gardle na myśl, że jej tajemnica może wyjść na jaw. Tajemnica, którą znała tylko ona i Robert. Tajemnica, której przyrzekła strzec aż po grób, a której Grant nie może nigdy poznać.

Nigdy nie może się dowiedzieć, że Lucien jest jego synem.

Rozdział III

14 października 1701

Dzisiaj miałam przymiarzkę sukni ślubnej u najlepszej krawcowej w Londynie. Zajmowało się mną aż pięć asystentek. Biegały wokół z kuponami satyny, jedwabiu, adamaszku i brokatu. Mama się uparła, że, jak przystało na przyszłą księżną, powinnam mieć tradycyjną suknię. I dlatego moja będzie opływała w koronki, wstążki i falbanki. Kiedy zaprotestowałam, mama mnie skrzyczała, twierdząc, że jestem straszną niewdzięcznicą.

Mulford zażyczył sobie, żeby ślub odbył się pierwszego dnia stycznia. A ja, mimo że jest jeszcze wiele do zrobienia przed tą datą, wyglądam tylko przez okno i marzę o ucieczce do mojego Ukochanego Williama.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Pierwsza część planu przeszła pomyślnie. Mimo to Grant nie był zadowolony i czuł się spięty, kiedy później tego dnia wchodził do klubu przy St. James Street.

U wejścia do niego natknął się na łysiejącego majordomusa odzianego w zieloną liberię ze złotymi guzikami, który na początku poczęstował Granta

wyniosłym spojrzeniem, mówiącym, że odzwierny najchętniej posłałby go do stu diabłów. Jednakże w chwilę potem na jego oblicze wypłynął szeroki uśmiech.

- Och, pan Chandler! Dobrze znów pana wiedzieć. Grant odwdzieczył się uśmiechem.

- Miło słyszeć, Pennington. Czy w sali do gry w karty jest tylu gości co zawsze?

- A i owszem, sir.

Grant wszedł do holu, a potem do obszernego, wygodnie urządzonego salonu, w którym kilku dżentelmenów palących cygara siedziało przy stołach, czytając gazety. On jednak nie zwracał uwagi na eleganckie otoczenie; jego myśli nadal zaprzętała Sophie.

Z Mulford House wyszedł tak zdenerwowany, że nie mógł wracać do domu. Musiał znaleźć jakieś miejsce, w którym mógłby się otrząsnąć z szoku po spotkaniu z księżną.

Była dokładnie taka, jak ją zapamiętał... a nawet piękniejsza. Pomimo czarnej żałobnej sukni, emanowała niezmierną zmysłowością. Wiek dodał jej ciału bujności, przez co zrobiła się bardziej kobieca. Kusilo go, żeby ją pocałować, zwłaszcza w chwilach, gdy mierzyła go pełnym pogardy, lodowatym wzrokiem. Pragnął, by jej wyraziste, zielone oczy zapłonęły pożądaniem. Chciał, aby porzuciła pozory, zdjęła maskę wyniosłej księżnej. To już ustalone, że Sophie zostanie jego kochanką. A wtedy on na zawsze uwolni się od obsesji na punkcie tej kobiety.

Nie wolno mu tylko zapomnieć o jego najważniejszym celu. O tym, że ma znaleźć dowód na to, iż Robert został zamordowany. A Sophie była głównym podejrzanym...

Na korytarz z jadalni wyszedł jakiś mężczyzna. Ze starannie przyczesanymi, oprószonymi siwizną włosami, z gazetą pod ramieniem osłoniętym rękawem niebieskiego surduta, dumnie wyprostowany, stanowił

uosobienie dystygowanego arystokraty. Kiedy odwrócił głowę, żeby powiedzieć coś do osoby w pokoju, Granta, na widok rzymskiego nosa mężczyzny i wysokiego czoła, wmurowało w ziemię.

Przez krótką chwilę myślał, że to ojciec. Ale stary drań już dawno zszedł z tego padoku, zatem to nie mógł być on. Przed nim stał Randolph, jego starszy brat, obecny hrabia Litton.

Przemknęło mu przez głowę, że mógłby szybko się ukryć w którymś z pokoi. Tam do diabła, czyżby obleciał go tchórz?

Pomimo pokusy ruszył jednak przed siebie z ponurą miną. W tym samym momencie Randolph zakończył rozmowę i także zaczął kroczyć korytarzem. Zwolnił, kiedy natknął się na spojrzenie Granta. Dwaj mężczyźni przyglądali się sobie w niewyraźnym świetle lamp. Randolph miał stalowoniebieskie oczy, o tak ostrym wyrazie, że mógłby ciąć nimi diamenty. Zupełnie jak poprzedni hrabia Litton. Jednak w przeciwieństwie do swego poprzednika potrafił się zachować i dlatego właśnie, po przywołaniu uśmiechu na usta, ruszył do brata z wyciągniętą dłonią.

- To dopiero niespodzianka, Grant! Już zaczynałem się zastanawiać, czy wrócisz jeszcze kiedyś do Anglii.

Grant potrząsnął zaoferowaną mu dłonią, choć to ciepłe powitanie wydało mu się lekko podejrzanym. Jako faworyzowany starszy syn, Randolph, zawsze był zarozumiały, co stanowiło powód niejednej bójki pomiędzy braćmi w dzieciństwie. Zazwyczaj to Grant je rozpoczynał, wyprowadzony z równowagi zjadliwymi docinkami Randolpha.

- Litton, witaj. Dobrze wyglądasz.

- To małżeństwo tak mi służy - wyjaśnił serdecznie mężczyzna. - Mam nadzieję, że dostałeś mój list i wiesz, że ożeniłem się w zeszłym roku z córką Inglehamów. Jane spodziewa się naszego pierwszego dziecka. Ma się urodzić za kilka miesięcy.

- Gratulacje. Bogata córka księcia i na dodatek wspaniale nadająca się na matkę. I już niedługo, jeśli wszystko potoczy się pomyślnie, przestanę być twoim spadkobiercą. Czegóż więcej mógłbyś chcieć.

Cień zniecierpliwienie przepędził uśmiech z twarzy starszego brata.

- Uważaj, mój drogi, kiedy mówisz o mojej żonie, która zresztą bardzo pragnie cię poznać. Powiem jej, żeby wysłała ci w tym tygodniu zaproszenie na obiad...

- Nie rób sobie kłopotu. Pewnie i tak nie będę miał czasu, bo ostatnio jestem bardzo zajęty.

- Zatem odwiedź nas latem w Kendell Park - zaproponował Randolph. - Poznasz wtedy swoją bratanicę lub bratanka.

Ostatni raz Grant pojechał do Kendell Park na pogrzeb ojca. Miał wtedy dwadzieścia lat. Opuszczając dom jako szesnastolatek, przyrzekł sobie, że nigdy do niego nie wróci. Uczynił to jednak, ale tylko raz, na prośbę ciotki Phoebe.

- Wieś mi nie służy - wymigiwał się. - Wolę miasto i jego przyjemności.

- A ja myślę, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś się ożenił i ustatkował. - Chłodne, pełne dezaprobaty spojrzenie upodobniło Randolpha do poprzedniego hrabiego Litton. - Ale ty pewnie nadal najbardziej gustujesz w hazardzie.

- Rzeczywiście. I dobrze, że o tym mówisz, bo bym zapomniał, że właśnie szedłem dołączyć do gry. Zatem wybaczone, ale pożegnane się.

Grant wyminął brata i ruszył dalej korytarzem. Piersz zaciskały mu mało przyjemne uczucia, głównie gniew. Do diabła, na co mu rodzina?! Teraz przyda mu się przede wszystkim szklaneczka czegoś mocniejszego i interesująca partyjka wista.

Po wejściu do jednego z ostatnich pokoi ogarnęło go osobliwe wrażenie, że cofnął się w czasie i wrócił do przeszłości. Tej, którą dobrze znał i w której czuł się swobodnie. Na wysokich oknach dostrzegł te same szkarłatne zasłony, przy stolikach siedzieli ci sami ludzie, ten sam szary dym z papierosów unosił

się nad ich głowami. Tak, to jest jego miejsce, uznał w duchu, postanawiając, że nie będzie więcej myślał o bracie.

- Chandler! Nie wierzę! To ty?

Od jednego ze stolików poderwał się mężczyzna i podszedł szybko do przybysza. Był to korpulentny jegomość średniego wzrostu o tak wydętym brzuchu, że guziki przy jasnoniebieskiej kamizelce ledwie się jej trzymały. Grant zorientował się, że ma do czynienia ze starym znajomym, dopiero kiedy uzmysłowił sobie, że witający go mężczyzna po prostu znacznie przytył.

- Hockridge! - zawołał radośnie, potrząsając energicznie dłonią kolegi.

- A któżby inny - odparł wicehrabia Hockridge, klepiąc go po ramieniu, - Ogromnie się cieszę, że cię widzę. Gdzie się, do diabła, podziewałeś?

- We Włoszech - wyjaśnił Grant krótko. Nie kłamał. W trakcie zagranicznych podróży Rzym był jego główną siedzibą. To właśnie w cieniu starożytnego Panteonu planował swoje skoki i wybierał potencjalne ofiary, pamiętając, by nie typować ludzi uczciwych.

- Dołącz do nas - zachęcił Hockridge, pociągając go do stolika. - Przyda nam się czwarty do gry. Pamiętasz chyba Kilminstera i Updike'a?

- Tych, którzy kiedyś podłożyli ogień pod dom rozpusty Sally Chasen, żeby oglądać nagie kurtyzany biegające po ulicy? Ależ oczywiście.

Kilminster i Updike wybuchnęli śmiechem.

- To dopiero była zabawa, co? - zapiał Kilminster.

- Nawet pomimo, że nie zdołaliśmy ściągnąć na ulicę ani jednego gołego dżentelmena - dodał Updike, zanosząc się obscenicznym śmiechem.

Hrabia Kilminster był mężczyzną słusznej postury, o kanciastych, ciosanych rysach. W przeciwieństwie do niego, Jeremy Updike wyglądał tak, jakby wyszedł spod dłuta mistrza rzeźbiarstwa. Miał piękne, kręcone ciemne włosy, otaczające oblicze anioła, nieco już postarzałe, bowiem i na nim czas odcisnął swoje piętno.

- Ale co tam przeszłość. Opowiedz nam lepiej o Włoszkach, Grant - poprosił Kilminster z lubieżnym błyskiem w oku. - Słyszałem, że są bardzo namiętne.

- A ja słyszałem, że lubią orgie - dodał Updike. - Cóż to by była za uczta, zabawić się z tymi westalkami ze świątyni. - On i Hockridge pochylili się do siebie, podekscytowani jak mali chłopcy podglądający rozbierającą się kobietę.

- Musielibyście w takim razie przenieść się do starożytnego Rzymu - sprostował Grant, również się śmiejąc, ale raczej z kolegów niż z nimi. - Obawiam się, że w obecnych czasach w świątyniach spotkać można tylko zwiedzających.

Hockridge zabrał się po tych słowach do tasowania kart,

Grant zaś opowiedział kolegom historię o pewnej rozwiązłej włoskiej księżniczce i serii jej kochanków. O własnych wyczynach nie zamierzał opowiadać, tym bardziej że ostatnio kobietom poświęcał niewiele uwagi. Za to jego rozmówcy chwalili się swymi podbojami bez skrępowania.

Było jak dawniej.

A może nie?

Grantowi przypomniał się brat, wytykający mu zamiłowanie do hazardu. Szybko jednak otrząsnął się z tych myśli, bo karta mu nie szła i musiał się skupić na grze. A na dodatek, co go zdziwiło, w jej trakcie uzmysłowił sobie, że wcale nie ma ochoty na ryzykowne obstawianie. Widać hazard przestał go ekscytować, być może w wyniku wydarzeń z przeszłości, kiedy to w przeciągu zaledwie kilku lat roztrwonił cały spadek odziedziczony po babce od strony matki.

Co nie znaczy, że nie stać go było teraz na poświęcenie niewielkiej sumki. Po sprzedaży „Oka Diabła” przedstawicielowi rosyjskiego cara stał się przecież właścicielem sporych oszczędności. Zainwestował je, podobnie jak pieniądze ze zbycia innych skradzionych przedmiotów, w udziały towarzystwa floty handlowej i kilku innych przedsiębiorstw. Był teraz bogaty.

Mimo to jakoś nie umiał otrząsnąć się z niesmaku. Zbyt ciężko pracował, żeby znów się splukać.

Dlatego też po jakimś czasie pożegnał się z kolegami, którzy oczywiście głośno protestowali.

- W piątek odbędą się wyścigi powozów - poinformował go na odchodnym Hockridge. - Mam nadzieję, że do nas dołączysz.

- Zobaczymy - odparł, do niczego się nie zobowiązując. Przyjaciele nie mogli wiedzieć, że ma na głowie ważniejsze sprawy. Nic się bardziej nie liczyło od rozwiązania tajemnicy śmierci Roberta.

Wracając do domu na swoim gniadoszu, głęboko wdychał powietrze, żeby oczyścić płuca z dymu. Wieczór był chłodny i zamglony. Pachniało nadchodzącym deszczem. Doskonały czas na rozmyślanie przy płonącym kominku.

Ta wizja nim wstrząsnęła. Tam do diabła, przecież nie jest jeszcze zgrzybiałym starcem, który woli wygrzewać członki w ciepłe, zamiast hulać do rana.

Po prostu musi się zastanowić. Zaplanować, jak ma postąpić z Sophie. Ustalić, jak ją uwieść. A gdy już to osiągnie, chętnie powróci do starego stylu życia.

Dotarł do stajni i, po zejściu z konia, oddał wodze parobkowi, po czym ruszył przez ogród do domu. Żwir wysypany na alejkach chrząścił cicho pod jego stopami. Niespodziewanie poczuł dziwne mrowienie na szyi.

Odniosł osobliwe wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Szybko więc ukrył się w cieniu dębu i powiódł wolno wzrokiem dokoła. Nad ciemnymi kępami krzaków unosiła się szara mgła. Pod drzewem morwy majaczył zarys granitowej ławki. Powietrze przesiąknięte było wilgotnym, ziemistym odorem.

Obszedł ogród, sprawdzając, czy nikt nie czai się w zaroślach. Wrażenie, że jest obserwowany, stopniowo malało. Nawet jeśli jakiś złodziejasek

przyglądał się mu przez otwór w murze, pewnie odszedł, uznawszy, że miejsce nie jest odpowiednio bezpieczne.

Odwrócił się ku wynajmowanemu domowi. Była to wysoka budowla z szarego kamienia, stojąca jako ostatnia w rzędzie z jeszcze dwiema podobnymi rezydencjami. W oknie na piętrze migotała pojedyncza świeca. Było to okno jego sypialni.

Już wkrótce przyprowadzi tu Sophie.

Pomimo chłodu w wilgotnym powietrzu krew w nim zawrzała. Sophie starała się sprawiać wrażenie dystyngowanej, ale jej prawdziwej natury nic nie zdoła okiełznać. Udowodniła to, rzucając kieliszkiem. A jej sprytnie, zielone oczy ukrywały umysł morderczyny.

Trawiąc ten ponury fakt, wszedł do domu i zaniknął za sobą drzwi. Jego kroki odbijały się głuchym echem od ścian korytarza. Poza lokajem i parobkiem wynajmował jeszcze tylko dwóch służących, starszą parę. Kobieta spełniała rolę gospodyni, mężczyzna kamerdynera. O tej porze znajdowali się zapewne w suterenie, w pomieszczeniach dla służby. Grant był prawdopodobnie sam w całym domu.

Przez chwilę czuł, że w środku jest równie zimny i pusty, jak pokoje, które mijał. Otrząsnął się jednak szybko z tego melancholijnego nastroju, tłumacząc sobie, że to pewnie efekt wizyty w Mulford House, która mu przypominała o śmierci przyjaciela.

Chociaż on i Robert mieli zupełnie różne charaktery - jeden był poważny, drugi przebojowy - w dzieciństwie byli nierozłączni. Połączyły ich bliskie sąsiedztwo i skłonność do kpin i żartów. A po osiągnięciu młodości, choć ich drogi się rozeszły, a zainteresowania przeniosły na doroślejsze sprawy, nadal pozostali przyjaciółmi. Czasami odwiedzali się w swoich domach lub umawiali na obiad w klubie. Tak było przynajmniej, dopóki w ich życiu nie pojawiła się Sophie.

Sprytna, ambitna, tryskająca energią Sophie Huntington.

Weszła do towarzystwa przebojem, z miejsca zdobywając sobie z pół tuzina adoratorów, łącznie z Grantem i... Robertem. Była wspaniała z tymi jej błyszczącymi oczyma i kuszącym uśmiechem. Grantem natychmiast zawładnęło pożądanie - silne jak nigdy dotąd. Postanowił zdobyć Sophie, i otumaniony tym pragnieniem, dopuścił się czegoś, czego nigdy wcześniej nie uczynił. W pewną upojną noc odebrał Sophie dziewictwo.

Później strasznie się pokłócili, zwłaszcza po tym, jak zbrukany honor kazał mu złożyć kochance nieprzemyślaną ofertę małżeństwa. Sophie poinformowała go wtedy oziębło, że nie wyjdzie za kogoś, kto został wydziedziczony przez rodzinę i nie ma perspektyw na przyszłość. Pragnęła czegoś, czego Grant nie mógł jej dać - tytułu, majątku i utrwalonej pozycji w gronie śmietanki towarzyskiej.

Po dwóch tygodniach zaręczyła się z Robertem. Oszalały z wściekłości, Grant rzucił się na przyjaciela. Jednym ciosem rozkwaśił mu nos i zwałił z nóg na ziemię. Właśnie ów incydent oraz przemożny ból po stracie Sophie kazały mu później udać się na wygnanie.

Grant uświadomił sobie, że stoi w ciemnym foyer, zaciskając kurczowo dłoń na rzeźbionej poręczy przy schodach. Odetchnąwszy, przeszedł do gabinetu i nalał sobie sporą porcję brandy.

Opróżnił szklanekę jednym haustem. Piekący napój prześliznął mu się przez przelyk z ożywczą ostrością.

Przez Sophie Robert umierał w cierpieniach. Podczas jego wizyty wyglądała tak blado, że Grant miał ochotę ją przytulić. Ale wiedział, że Sophie jest dobrą aktorką. Tak dobrą, że każdy mógłby się nabrać na jej słodkie kłamstewka.

Czyżby znudziło się jej życie u boku spokojnego, statecznego Roberta? Planowała jego śmierć miesiącami czy otruła go pod wpływem impulsu? Siedziała przy nim, gdy umierał, triumfując? Na myśl o tym Grantowi robiło się niedobrze.

Boże, jakże on jej nienawidził!

A zarazem pożądał.

W żołądku czuł coraz silniejsze mdlące gorąco. To obrzydliwe, że pożąda żony zmarłego przyjaciela. Tym bardziej że to ona najprawdopodobniej pozbawiła go życia. A mimo to, patrząc na Sophie, myślał tylko o namiętym zbliżeniu.

Ta obsesja na jej punkcie trwa stanowczo zbyt długo. Nieważne, gdzie akurat się znajdował, nieważne, na jakie niebezpieczeństwa się narażał, ile innych kobiet poznał, nigdy nie udało mu się zapomnieć o Sophie.

Więc zaspokoi to pragnienie. A ona tym razem nie będzie mogła się go pozbyć. Rola opiekuna Luciena daje mu doskonałą wymówkę do odwiedzin w Mulford House tak często, jak tylko zechce.

Na myśl o synu Roberta poczuł lekki niepokój. Lucien stanowił niespodziewaną komplikację w jego planach.

Poważny i szczery, chłopiec z temperamentu przypominał ojca, z urody - matkę. Gdy mówił o Robercie, robił wrażenie tak nieszczęsnego i bezbronnego, że w Grancie mimowolnie wzbierała litość. Jego dzieciństwo wyglądało inaczej, ale i tak wiedział, jak to jest tęsknić za opieką ojca.

Jak Lucien zareaguje, kiedy się okaże, że jego matka jest morderczynią, kiedy trafi ona do więzienia? Grant nie chciał, by chłopiec znów cierpiał. Było oczywiste, że Lucien uwielbia matkę, a ona świata poza nim nie widzi.

To dziwne, że jest taka opiekuńcza w świetle tego, że przypuszczalnie doprowadziła do śmierci męża, tym samym pozbawiając Luciena ojca. Mimo to widać było, że Sophie bardzo troszczy się o syna. Podczas wizyty najchętniej od razu wyprowadziłaby go z biblioteki. I rzeczywiście, przy pierwszej okazji odesłała go do siebie pod pretekstem, że musi wracać do nauki.

Nie chcę, żebyś kontaktował się z moim synem. Będziesz miał na niego zły wpływ.

Te słowa rozgoryczyły Granta. Czy Sophia naprawdę uważa, że mógłby zepsuć dziecko? Tak, ona ma o nim aż tak niskie mniemanie. Był przekonany, że skonsultowała się z całą armią prawników, aby sprawdzić, czy istnieje sposób na pozbawienie go opieki nad Lucieniem.

Dlaczego Robert przekazał patronat nad swoim jedynym dzieckiem właśnie jemu - człowiekowi, który nie ma najmniejszego pojęcia, co znaczy być ojcem? Istniało tylko jedno logiczne wytłumaczenie. Robert zwrócił się do zaufanego przyjaciela z prośbą o opiekę nad synem, ponieważ podejrzewał, że żona zamierza go otruć.

Brandy nabrała nagle cierpkiego smaku, więc Grant odstawił szklanekę. Nie wolno mu nie doceniać Sophie; to inteligentna, pomysłowa kobieta. Będzie musiał użyć całego swojego wdzięku i finezji, żeby zyskać jej zaufanie, aby potem wyciągnąć od niej zwierzenia. Na razie, zamierzał, zadając dyskretne pytania, zbudować sobie wyraźniejszy obraz ostatnich dni Roberta.

Ruszył w kierunku schodów, postanawiając, że jeszcze raz, mimo że czynił to już wielokrotnie, przeczyta list od przyjaciela. Może natknie się w nim na jakąś wskazówkę, którą przegapił. Robert pisał go na łożu śmierci i...

W ciszę domu wdarł się nagle czyjś zduszony krzyk.

Wyrwany z zamyślenia, Grant zatrzymał się na środku foyer. Krzyk był kobiecy i dochodził skądś powyżej pokoi gościnnych na pierwszym piętrze. Z jednej z sypialni.

Z jego sypialni?

Gnany niepokojem, Grant rzucił się w stronę schodów.

Rozdział IV

21 października 1701

O rozkoszy! O radości! Widziałam Williama! Było to w operze.

Siedziałam w książęcej loży z Mulfordem i rodzicami. W przerwie Mulford wyszedł przywitać się ze znajomym. Właśnie wtedy w loży pojawił się lokaj i wetknął mi do ręki sekretny liścik.

Serce mi zadrżało z zachwytu, gdy się przekonałam, że list jest od mojego drogiego Williama. Nie wiedziałam, że pojawi się w operze, bo przecież nie stać go na bywanie w takich miejscach. Natychmiast się rozejrzałam i dostrzegłam jego piękną sylwetkę na najwyższym balkonie. Machał do mnie.

Przycisnęłam liścik do ust, aby mu pokazać, jaki jest mi drogi. William błagał, żebym się z nim spotkała w nadchodzącym dniu. Muszę więc wymyślić jakiś sposób, choć ryzykuję gniew rodziców...

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Słyszałam, że miałaś dzisiaj gościa - odezwała się Helena, spoglądając surowo na Sophie. Sophie i szwagierka siedziały naprzeciwko siebie w jadalni przy jednym krańcu długiego stołu. Miejsce Roberta, u szczytu stołu, było puste.

Sophie, nie chcąc popsuć posiłku wieścią o pojawieniu się Granta, usiłowała kierować rozmowę na sprawy domowe. Powinna się była jednak domyślić, że Helenie nigdy nie umyka nic, co dzieje się pod dachem Mulford House.

Upiwszy łyk wina, spokojnie popatrzyła na szwagierkę.

- Tak. Grant Chandler powrócił w końcu z zagranicznych wojaży.

Przyszedł złożyć wyrazy uszanowania i... poznać Luciena.

- Mam nadzieję, że nie traktuje poważnie roli opiekuna? - spytała Helena, szeroko otwierając oczy. - Otrzymał te dokumenty na zrzeczenie się patronatu?

- Otrzymał, ale nie zamierza ich podpisać. Uwierz mi, że podobnie jak ty nie jestem z tego powodu szczęśliwa. - W rzeczywistości Sophie była wściekła. A ponadto wystraszona, sfrustrowana i zaniepokojona.

Po wyjściu Granta resztę dnia spędziła w bibliotece. Krążyła po niej nerwowo, próbując wymyślić wyjście z sytuacji. Wyciągnęła z dokumentów kopię testamentu Roberta i, pomimo że adwokaci niejednokrotnie powtarzali, że nie znajdzie w nim żadnych luk, jeszcze raz uważnie przeczytała napisane suchym stylem prawnicze pismo.

Grant Chandler był podstawowym opiekunem Luciena. Jego decyzje miały pierwszeństwo nad decyzjami Elliota.

A także nad jej decyzjami.

- Co jeszcze mówił? - dopytywała się Helena, krojąc z gracją na plastry leżącą na jej talerzu porcję pieczeni wołowej.

- Jak długo zamierza zostać w Londynie?

- Nie określił tego. Ale wynajął dom zaledwie kilka ulic stąd, przy Berkeley Square.

Helena odłożyła sztucce z głośnym brzękiem.

- Boże drogi! To znaczy, że planuje zostać.

- Na to wygląda. Szwagierka spochmurniała.

- To oburzające - oświadczyła w końcu z goryczą. - Nie rozumiem, dlaczego brat złożył taką odpowiedzialność na barki tego hultaja. Chandler nie należy nawet do rodziny.

Sophie doskonale wiedziała dlaczego. Udając, że jest skupiona na posiłku, z niechęcią rozgrzebywała widelcem sałatkę z zielonego groszku - węzeł w żołądku odebrał jej cały apatyt. Helena nie знаła prawdy - i nigdy jej nie pozna - że Robert wiedział, iż dziecko nie jest jego, a mimo to bez oporów zaakceptował je jako własne.

- Byli kiedyś bliskimi przyjaciółmi. Sądzę, że to wszystko tłumaczy.

- To nie powód, żeby oddawać opiekę nad Lucieniem w ręce drania.

Grant Chandler był zawsze złym nasieniem, nawet w dzieciństwie.

Sophie dobrze wiedziała, że nie powinna pokazywać po sobie, jak bardzo interesuje ją osoba Granta. Jednak tym razem ciekawość zwyciężyła.

- Ty też znałaś pana Chandlera, prawda? Jesteś chyba kilka lat od niego starsza?

- Dokładnie trzy i dlatego doskonale wszystko pamiętam. - Helena otarła usta serwetką. Zdawała się lekko skrępowana wyznaniem, że ma już trzydzieści siedem lat. - Chandler zawsze wciągał Roberta w kłopoty. Wymykali się razem z niedzielnej mszy i robili psikusy sąsiadom. Pewnego razu wspięli się na dach i rzucali jajkami w gości wychodzących z przyjęcia. Innym razem zbudowali tratwę i mało brakowało, a by się potopili.

Sophie nie wątpiła, że to Grant był inicjatorem tych wyczynów; był bardziej pomysłowy od Roberta. Doskonale potrafiła sobie wyobrazić swojego męża jako spokojnego, powściągliwego chłopca, podziwiającego pełnego fantazji, śmiałego kolegę z sąsiedztwa.

- Dlaczego więc Robertowi pozwalano się z nim zadawać?

- Papa miał dobre, wybaczące serce. Uważał, że chłopcy to chłopcy. Ale ja byłam oburzona. Grant Chandler przynosił wstyd całemu sąsiedztwu. W końcu, w jego szesnaste urodziny, ojciec wyrzucił go z domu. Krążyły plotki...

Sophie z trudem się powstrzymała, by nie pochylić się nad stołem. Grant nigdy jej nie opowiadał o swojej rodzinie.

- Plotki?

Helena wahała się chwilę, po czym sięgnęła po leżący na stole srebrny dzwoneczek i potrząsnęła nim. Jego melodyjny dźwięk sprowadził do jadalni parę lokajów. Służący uprzątnęli naczynia, a następnie przynieśli dzbanek parującej herbaty, którą panie miały zwyczaj pić zamiast deseru.

Rozlewając napój, Sophie ledwo hamowała zniecierpliwienie. Podawała delikatną porcelanową filiżankę szwagierce.

- Proszę cię, Heleno, kontynuuj - odezwała się, przybierając lekki ton. - Nie wypada podsycać tak czyjeś ciekawości, a potem milczeć. Chcę wiedzieć wszystko o opiece mojego syna.

- Sądziłam, że już znasz tę historię. O ile się nie mylę, był czas, że żywiłaś szczególne zainteresowanie panem Chandlerem?

Sophie wysiłkiem woli powstrzymała dłoń przed drżeniem. Ton głosu szwagierki nie zdradzał podejrzliwości, a jedynie pogardę dla kogoś, kto wolał hultaja pokroju Granta niż księcia Mulford.

Sophie popatrzyła rozmówcy prosto w oczy.

- Tak, Chandler był kiedyś moim adoratorem, ale nigdy nie mówił, że ojciec wyrzucił go z domu.

- Cóż, w takim razie uważam, że powinnaś to usłyszeć - oświadczyła Helena, dolewając kroplę śmietanki do herbaty. Obejrzała się przez ramię, chcąc się upewnić, że służba opuściła jadalnię. - Mówiono, że w żyłach Granta nie płynie szlachetna krew jego ojca.

Sophie zacisnęła zlodowaciałe palce na ciepłym uchwycie filiżanki. Dobry Boże, Grant jest bękartem? Nie, nie bękartem, bo przecież hrabia Litton uznał go za swoje dziecko.

- Jego matka...?

- Lady Litton była notoryczną kokietką, no i podobno wdała się w romans z jednym z lokajów.

- O słodki Boże - wymknęło się Sophie bezwiednie.

- Zmarła przy porodzie - dodała Helena. Jej uniesiona brew świadczyła o tym, że uważa ten rozwój wypadków za sprawiedliwy. - Hrabia jednak, co dobrze o nim świadczy, nie wyrzekł się syna. Ale między nimi nigdy nie było ciepłych uczuć. Trudno mieć o to pretensje do hrabiego. W końcu Grant odziedziczył po matce jej bezwstydną naturę.

Sophie miała odmienne zdanie. Uważała, że dziecko nie jest winne błędów rodziców. Robert potrafił otworzyć serce przed

Lucieniem, zapominając o okolicznościach jego poczęcia. Ojciec Granta mógł uczynić podobnie. Czy Grant wyrósłby na spokojniejszego, bardziej odpowiedzialnego człowieka, gdyby w dzieciństwie otaczała go ojcowska miłość?

Postanowiła nie litować się nad nim. Te pytania nie są istotne.

- To bardzo smutna historia - zauważyła. - Jednak teraz najważniejsze jest, żebyśmy trzymały Granta z dala od Luciena.

- Zgadza się - przytaknęła ze zdecydowaniem Helena.

- Masz obowiązek chronić młodego Mulforda. Powiem Phelpsowi, żeby nie wpuszczał pana Chandlera do domu.

- O nie - sprzeciwiła się natychmiast Sophie. - Grant uzna to za wyzwanie i przysporzy nam jeszcze większych problemów. Nie zapominaj, że prawo jest po jego stronie.

- Ale przecież musimy zaradzić jakoś tej sytuacji. Nie dopuszczę, żeby ten nędznik zepsuł mi bratanka.

Sophie miała ochotę roześmiać się z tej absurdalnej uwagi

- zaraz jednak przypomniała sobie, że oskarżyła Granta o to samo.

- O to się nie martw - powiedziała. - Pan Chandler nie należy do ludzi, którzy chętnie przebywają z dziećmi. Jeśli pozwolimy mu odwiedzić Luciena

raz, czy dwa, szybko się nim znudzi. A wtedy ponownie podsunę mu dokumenty do podpisu.

- Och - mruknęła Helena i oczy jej zabłysły. - Rozumiem, co masz na myśli. Bardzo sprytnie, Sophie.

Jednak, kiedy skończyły herbatę, Sophie wcale nie czuła się szczególnie sprytna. Za to dręczył ją niepokój. To pewne, że po jakimś czasie Grant zrezygnuje z odwiedzin u Luciena. Po prostu się znudzi. Pozostaje pytanie, kiedy to nastąpi? Jak długo będzie musiała być dla niego uprzejma.

Tak długo, jak trzeba.

Pomimo że uwodzicielski błysk w oczach Granta poruszył w niej jakąś strunę, i że wspomnienie namiętnej nocy nadal tliło się w jej sercu, Sophie zdecydowanie pragnęła oddzielić się od przeszłości. Jest teraz mądrzejsza. Życie oddała Lucieniowi. Syn, załamany po stracie ojca, potrzebuje jej miłości i uwagi.

To Grant jest ojcem Luciena.

Żołądek się jej zacisnął. Odezwały się wyrzuty sumienia, że ukrywa prawdę przed Chandlerem. Szybko je jednak zwalczyła.

To Robert był w rzeczywistości ojcem Luciena. To on osuszał jego łzy i zabierał na spacer do parku. To Robert sprawdzał mu lekcje i opowiadał bajki na dobranoc.

Grantowi brakuje opanowania, którym powinien wykazywać się każdy rodzic. Sophie, nawet jako naiwna debiutantka, dostrzegła w nim tę wadę i rozumiała, że to się nigdy nie zmieni. Pomimo przyrzeczeń złożonych Lucieniowi, Granta nie interesują dziecięce zabawy. Postanowiła, że nie pozwoli zranić syna.

Ani siebie.

Grant dotarł na piętro w mgnieniu oka. Korytarz, oświetlony lampkami rozwieszonymi na ścianach w równych odstępach, był pusty. Ruszył w

kierunku, z którego doszedł go krzyk. To musiała być gospodyni, nikt inny. Czy wyrządziła sobie krzywdę?

Pani Howell wybiegła z jego sypialni. Jej biały czepek osłaniający posiwiałe włosy był przekrzywiony. Wyraźnie poruszona, przyciskając dłonie do pulchnych policzków, gdy zobaczyła Granta, rzuciła się do niego biegiem.

Spotkali się w połowie korytarza. Grant pochwycił starszą kobietę za ramię, a ta wydyszała:

- Sir! Och, sir! Dzięki Bogu... że pan wrócił!

- Niech się pani uspokoi - rozkazał. - I proszę mówić, co się stało.

Kobieta zaczerpnęła powietrza i obejrzała się z przestrachem przez ramię.

- Poszłam... poszłam do pańskiej sypialni rozpaścić ogień w kominku... Nie wiedziałam, kiedy pan wróci. I kiedy weszłam, zobaczyłam ten bałagan...

- Bałagan?

Gospodyni energicznie pokiwała głową.

- Tak, sir. Pańskie rzeczy były rozrzucone po całym pokoju. Ale to jeszcze nic. Zobaczyłam... zobaczyłam...

Złodzieja? Tam do diabła, a więc jednak ktoś ukrywał się w ogrodzie! Prawdopodobnie wspólnik.

Grant pociągnął gospodynię za sobą. Ostрым szeptem zapytał:

- Co pani zobaczyła? Niech pani mówi!

- Pana Wrena, sir. Leżał tam... cały we krwi i... - Kobieta zamilkła i rozplakała się. Dłonie przyciskała do ust.

Dobry Boże, złodzieje napadli na kamerdynera..

- Niech pani pośle po lekarza - warknął Grant. - Natychmiast.

- Tak, sir. - Pani Howell pobiegła do schodów dla służby na końcu korytarza.

Zdaniem Granta złodziej opuścił już dom, ale mimo wszystko, kiedy wchodził do sypialni, zachował czujność. W oknie płonęła pojedyncza świeca. Jej blask ujawniał totalny rozgardiasz panujący w pomieszczeniu. Powyciągane

szuflady, ich zawartość wyrzucona na podłogę. Ściągnięta pościel i narzuta, zwisające w nieładzie z szerokiego łoża z baldachimem. Stos książek wyjętych z półek, leżący przed wygasłym kominkiem. Nawet obrazy były zerwane ze ścian.

Grant objął całą scenerię jednym spojrzeniem. Potem zauważył czyjąś skuloną postać leżącą w przejściu do garderoby.

Złapał świecznik i zajrzał do drugiego pomieszczenia, żeby się upewnić, iż nikt się tam nie ukrywa. Nie pomógłby wiele Wrenowi, gdyby i on padł ofiarą ataku.

A może za późno już na pomoc?

Zdjęty nagłym strachem, zacisnął zęby. Wren był z nim od dawna, od czasów, gdy jako uparty młodzieniec na każdym kroku wystawiał swoje życie na ryzyko. W ostatnich, wypełnionych rozlicznymi przygodami latach, bardzo się ze sobą zżyli. W rzeczywistości sędziwy już służący był dla niego jak ojciec, na pewno bardziej niż szacowny hrabia Litton.

Przykucnąwszy, Grant uniósł świecznik, żeby przyjrzeć się kamerdynerowi. Wren leżał na boku. Jego drobne ciało odziane było w jeden z jego wielu niebieskich surdutów, które nosił od czasu, gdy pewna kobieta powiedziała mu, że ten kolor pasuje do jego oczu. Oczy te były teraz zamknięte, jakby Wren spał. Z rozciętego policzka spływała krew. Podobnie jak z łysiejacej potylicy. Wyglądało na to, że Wren został zaatakowany od tyłu.

Mamrocząc pod nosem przekleństwa zmieszane z błagalną modlitwą, Grant położył służącemu rękę na szyi, żeby wyczuć puls. Na początku go nie odnalazł... ale potem, na szczęście, pod palcami wyczuł słabiutkie bicie.

Spłynęła na niego ulga, choć nie przestał się martwić o stan służącego. Wren był wprawdzie twardym mężczyzną, który przeżył niejedno, ale uderzenie w głowę potrafi człowieka zabić.

Podniósł ze stosu leżącego na podłodze jedną ze swoich białych koszul. Użył jej do zatamowania krwawienia, a przy okazji przyjrzał się ranie. Była brzydka i krew wyciekała z niej naprawdę szybko.

Wren stęknął i lekko się poruszył. Jedna z jego sękatych dłoni zacisnęła się w pięść. Otworzył oczy i, mruczając coś pod nosem, zamachnął się ręką.

Grant bez trudu uniknął ciosu.

- Spokojnie, staruszkule - powiedział. - Nic ci już nie grozi. Próbuję ci tylko pomóc.

Wren zerknął z ukosa na mówiącego. Zamrugnął powiekami, jakby chciał wyostrzyć wzrok.

- Widzę pana podwójnie, sir. A uważam, że jeden Grant Chandler to i tak za wiele jak na ten świat.

Grant, pomimo przejęcia, uśmiechnął się. Jeśli kamerdyner żartuje, to może jeszcze nie umiera.

- Widzisz podwójnie, bo otrzymałeś cios w głowę. Pamiętasz, co się wydarzyło?

Wren zmarszczył czoło, po czym ostrożnie sięgnął ręką do potylicy.

- Po kolacji przyniosłem... przyniosłem pańskie pranie na górę. Usłyszałem, że ktoś jest w garderobie i pomyślałem, że wrócił pan wreszcie od tej damy. - Wren uśmiechnął się złośliwie do Granta. - Czy księżna pana wyrzuciła, tak jak ostrzegałem?

- To teraz nieważne - irytował się Grant. - Widziałeś napastników?

- Nie i nic więcej nie pamiętam.

- A więc sypialnia nie była splądrowana, kiedy przyszedłeś?

- Splądrowana? - Straszny mężczyzna poruszył się, jakby zamierzał usiąść.

Ale zaraz, jęknąwszy, znów opadł na ziemię.

- A więc to byli złodzieje, tak?

- Na litość boską, leż spokojnie. Przeniosę cię zaraz na łóżko i tam zaczekasz na przyjazd lekarza.

Wren protestował, kiedy Grant wypełniał swoją zapowiedź.

- Nie wypada, żebym leżał w pańskim łóżku. To niestosowne.

- Będziesz robił, co ci każę.

Służący ważył tyle co piórko. Byłby dobrym dżokejem. Niemniej jego kruchość niepokoiła Granta. Złożył następną koszulę i podłożył ją rannemu pod głowę.

- To nowiotkie koszule - nie przestawał utyskiwać Wren.
- Niech pan nie niszczy ubrań.
- Kupię inne. A ty się nie ruszaj, bo rana znów zacznie krwawić.

Upewniwszy się, że służący leży wygodnie, zapalił kilka świec. Potem rozpalil ogień w kominku i już po chwili po wychłodzonym pokoju rozeszło się ciepło. Dopiero wtedy rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy coś zginęło. Jeśli nawet, nie było to nic znaczącego.

Nikt lepiej niż on nie wiedział, że nie należy pozostawiać byle gdzie cennych przedmiotów. I dlatego właśnie większość niezainwestowanego majątku zdeponował w banku. W domu znajdowały się tylko pieniądze na bieżące wydatki. Tyle, ile potrzeba, żeby przeżyć tydzień. Trzymał je w szufladzie biurka stojącego na parterze w bibliotece. A co do biżuterii, to w przeciwieństwie do reszty dżentelmenów, nie nosił żadnej oprócz srebrnego kieszonkowego zegarka. Ale ten miał zawsze przy sobie.

Intruz ukrył się ogrodzie. Bez wątplenia wdarł się do sypialni w czasie, gdy służba jadła kolację. Grant słusznie podejrzewał, że ktoś czaił się na zewnątrz, i wyrzucał sobie teraz, że nie przeszukał podwórka dokładniej.

Wren ze swego miejsca z nachmurzoną miną przyglądał się bałaganowi.

- To robota podrzędnego złodziejaszka. Pozbawionego zasad. Przydałoby mu się wziąć u pana kilka lekcji.

Grant w odpowiedzi tylko chrząknął, przy okazji zbierając walające się po podłodze książki. Dlaczego ktoś powyrzucał je z półek? Przecież nie chowa się biżuterii lub pieniędzy w takich miejscach? Może złodziej zrobił to ze złości, że nie znalazł nic cennego?

Było to prawdopodobne, mimo to coś nadal nie dawało mu spokoju. Miało to związek z naturą zniszczeń, dość brutalną, tak jakby włamywacz żywił do niego osobistą urazę...

Dobiegający z korytarza odgłos rozmowy i kroków obwieszczał przybycie lekarza i gospodyni, która, gdy weszła do sypialni i zobaczyła, że Wren jest przytomny, wykrzyknęła:

- Dzięki Bogu, żyjesz pan, panie Wren!

- Żyję i nic mi nie jest - burknął służący. - I z pewnością nie potrzebuję pomocy konowała!

- A to się dobrze składa, bo nim nie jestem. Nazywam się MacPherson - przedstawił się lekarz, postawny mężczyzna w średnim wieku. Zbadał sprawnie rannego, jakby był przyzwyczajony do kontaktów z drażliwymi pacjentami, a następnie opatrzył ranę i wypisał receptę na lekarstwo na sen. Zalecił też Wrenowi nadchodzący tydzień spędzić w łóżku, na co, jak się można było spodziewać, kamerdyner zareagował protestami. Grant postraszył go więc, że jeśli nie posłucha się zaleceń, przywiąże go do łóżka.

Lekarz wyszedł, a Grant za nim. Po chwili rozmowy o stanie rannego, postanowił skorzystać z okazji i zapytać o inną sprawę.

- Proszę mi powiedzieć, czy to może pan leczył w zeszłym roku księcia Mulford? Księżę był moim bliskim przyjacielem.

- Ja miałbym się zajmować zdrowiem księcia? - Dławiąc się ze śmiechu, MacPherson potrząsnął przecząco głową. - To musiał być lekarz księcia Regenta, doktor Atherton.

Postanawiając, że wkrótce złoży wizytę panu Athertonowi, Grant wrócił do sypialni. Tam z ulgą stwierdził, że Wren przysnął. Nadal dręczony niejasnymi podejrzeniami, przeszedł następnie ze świecą do garderoby.

Jego oczom ukazał się krajobraz jak po bitwie. Wszędzie leżały ubrania wyrzucone z szaf, obok przyborów toaletowych postrąconych z toaletki. Porcelanowy dzban na wodę stał na samym jej brzegu. Nie zdziwił się, gdy

zobaczył, że także jego podróżna walizka została wyciągnięta z komody.

Rozbebeszona, spoczywała na stosie fularów i apaszek.

Przykląkł, żeby się jej przyjrzeć. Ktoś rozciął skórzane dno, odsłaniając umieszczoną pod spodem małą przegródkę, w której często przemycił skradzioną biżuterię.

Ale waliza posiadała jeszcze jedną skrytkę.

Przesunął palcami po jej wnętrzu, szukając małego haczyka ukrytego w poszyciu. Otworzył skrytkę i wyciągnął z niej złożoną kartkę papieru.

Płomień świecy padł na nierówne litery, spisane drżącą ręką schorowanego Roberta. Wiadomość była krótka, skreślona jakby w pośpiechu.

Boję się, że zostałem otruty przez kogoś mi bliskiego... Nie wiem już, komu mogę ufać poza tobą, drogi przyjacielu... Przyjeżdżaj szybko...

List dotarł do niego w Konstantynopolu. Był w tej samej przesyłce, w której znajdowały się jeszcze dwa inne listy. Jeden od prawników Roberta, powiadamiających o śmierci księcia i o tym, że Grant został wyznaczony przez zmarłego na prawnego opiekuna Luciena. Drugi od Sophie, w którym zwięźle i oficjalnym tonem prosiła, aby zrezygnował z praw do opieki nad jej synem.

Najwyraźniej Robert napisał swój list w tajemnicy, po czym wysłał go do ciotki Granta, Phoebe, jedynej osoby z rodziny, która zawsze wspierała bratanka. Ciotka przesłała mu list, jednak z powodu opóźnień w działaniu międzynarodowych kurierów, minęły miesiące, zanim wiadomość do niego dotarła. Nie mógł już pomóc przyjacielowi.

Gniew i żal na nowo złapały go za gardło. Porażający list od Roberta był pierwszym i ostatnim, jaki otrzymał od przyjaciela w ciągu minionych dziesięciu lat. Grant natychmiast uznał, że winowajczynią jest Sophie. Oczywiście brał pod uwagę także inne osoby - choćby zgorzkniałą siostrę Roberta, Helenę, i jego kuzyna, Elliota.

Jednak przede wszystkim podejrzewał Sophie, a utwierdzało go w tym to, że Robert, gdyby ufał żonie, na pewno zwierzyłby się jej ze swoich obaw.

Dzisiaj, podczas spotkania, Sophie odgrywała rolę załamanej wdowy. Udało jej się wyglądać na przygnębioną, a nawet zrozpaczoną, kiedy opisywała śmierć męża.

Grant zazgrzytał zębami. Czy to przypadek, że w kilka godzin po wizycie u księżnej, do jego domu wdarli się złodzieje? Do diabła, z pewnością nie!

A jeśli przed śmiercią Robert wyznał żonie, że napisał do przyjaciela o swoich podejrzeniach?

Gdyby tak było, nagłe pojawienie się Granta musiało wprawić Sophie w panikę. Przestraszyła się, że jej zbrodnia wyjdzie na jaw. Żadna księżna nie zamieniłaby chętnie wystawnego życia na zimną, więzienną celę.

Sophie pozostawało jedno, żeby uniknąć stryczka. Musiała odnaleźć obciążający ją list, a następnie go zniszczyć.

Rozdział V

22 października 1701

Moja ucieczka nigdy nie doszłaby do skutku bez pomocy drogiej Mary, mej lojalnej i oddanej pokojówki. Kiedy tylko mama wyszła na zakupy, Mary wyprowadziła mnie klatką schodową dla służby na wolność.

Do Hyde Parku, gdzie zaplanowaliśmy nasze rendez-vous, miałam tylko kilka kroków. Tam niecierpliwie oczekiwał mnie William. Słowa nie są w stanie opisać naszej radości. Szybko skryliśmy się pomiędzy drzewami. Nie obawiałam się zdróżnych zachowań ze strony Williama, bo on miłuje mnie i szanuje z całej duszy. Spędziliśmy ze sobą wspaniałe popołudnie i ustaliliśmy termin następnego spotkania.

A jednak me serce rozpacza, bo wiem, że nasze dni są policzone. William nie posiada tytułu, którym przekonałby do siebie Ojca, a ja mam wyjść za Mulforda.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Naprawdę uważasz, że ktoś mógł aż tam wetknąć ten pamiętnik ? -
dziwiła się Caroline. Sophie, stojąc na drabinie opartej o biblioteczną półkę, spojrzała w dół na swoją przyjaciółkę, a zarazem sąsiadkę, która, wygodnie usadowiona na krześle, popijała sherry. Caroline, księżna Belgrave, była właścicielką olśniewająco niebieskich oczu, ożywiających jej poza tym dość pospolite rysy.

Srebrne pasma w jej kasztanowych włosach nieubłaganie zdradzały, że jest aż dwie dekady starsza od Sophie. Miała dwóch dorosłych synów i jednego, studiującego jeszcze w Eton. Pomimo różnicy wieku obie panie dość szybko się zaprzyjaźniły zaraz po sprowadzeniu się Sophie do rezydencji męża, sąsiadującej z miejskim domem Caroline.

- Po prostu nie wiem, gdzie jeszcze mam go szukać - odparła Sophie, powracając do swego zajęcia. Przesuwała książki, żeby za nie zajrzeć. - A szukałam chyba wszędzie. W naszej wiejskiej posiadłości, kiedy tam byliśmy podczas świąt Bożego Narodzenia, i tutaj, w Mulford House. Nie zaglądałam tylko do biblioteki. - Biorąc pod uwagę ilość znajdujących się tu regałów, obawiała się, że poszukiwania zajmą jej większą część tygodnia.

- A gdzie znalazłaś pierwszy pamiętnik? Chyba następnego najlepiej poszukać w tym samym miejscu.

- Na poddaszu. W skrzyni ze starymi ubraniami. Ale obejrzałam już wszystko, co tam stoi. - Sophie uważała, że drugi pamiętnik na pewno istnieje, bo pierwszy kończył się nagle. Przypuszczała, że Annabelle opisała w nim

początki jej pożycia małżeńskiego z księciem Mulfordem. A ten właśnie okres szczególnie interesował Sophie.

Annabelle, podobnie jak ona, padła ofiarą manipulacji niegodziwca i Sophie aż się paliła się, żeby sprawdzić, czy między jej losami a losami trzeciej księżnej istniały też inne zbieżności. Chodziło zwłaszcza o pierwszego syna Annabelle, który nie urodził się w dziewięć miesięcy po ślubie, a nieco wcześniej. Czy poczęła go z małżonkiem... czy może raczej ze swoją prawdziwą miłością, Williamem?

A jeśli tak, to czy William dowiedział się, że został ojcem?

Sophie nie miała odwagi podzielić się tymi pytaniami z kimkolwiek. Nawet Caroline nie znała prawdy o Lucienie. Nikt jej nie znał, poza nią samą i Robertem.

- A może pamiętnik zaginął albo... albo ktoś go umyślnie zniszczył - dywagowała lady Belgrave, postukując palcami w stopkę kieliszka. - Nie pierwsza Annabelle wpadłaby na pomysł, że należy niszczyć przedmioty, które mogą posłużyć za obciążające dowody - dodała, zerkając na Sophie podejrzliwie. Ta podejrzliwość nie zniknęła ze wzroku kobiety od chwili, gdy dowiedziała się o przyjeździe Granta. Sophie odpowiedziała na spojrzenie przyjaciółki podobnie przenikliwym spojrzeniem, po czym wytarła zakurzone dłonie o biały fartuch.

- Wtedy Annabelle zniszczyłaby także pierwszy pamiętnik - zauważyła spokojnie. - W końcu ze szczegółami opisuje w nim potajemne spotkanie z Williamem.

- Hm, słusznie. Ale tak się zastanawiam. Może nie umiała się rozstać z czymś, co przypominało jej pierwszą miłość. - Po chwili milczenia Caroline dodała wymownym tonem: - A skoro już o tym mówimy, zastanawiałam się też nad tobą i tym twoim Chandlerem.

Sophie zeszywniała.

- To nie jest żaden mój Chandler. To tylko prawny opiekun Luciena, co stanowi dla mnie kłopot, którego mi wcale nie trzeba.

Caroline jednak kontynuowała beztrąsko:

- No właśnie, rozważałam już nawet, jak by tu rozwiązać tę kłopotliwą sytuację. Błagam, nie obraż się, ale...

- Ale?

- Może powinnaś nawiązać z nim romans? Zaszokowana, Sophie o mały włos a spadłaby z drabinki.

Złapała się najwyższej półki i popatrzyła ze zdumieniem na przyjaciółkę.

- Wielkie nieba, Caro, czyś ty oszalała?! Przecież to kanalia. Kiedy debiutowałam, eleganckie towarzystwo wykluczyło go ze swoich kręgów, zbulwersowane jego ekscesami.

- Tak, faktycznie słyszałam, że było z niego niezłe ziółko. Uroczy drań, który przystojną aparycją i brawurą przyciągał do siebie jak magnes mnóstwo kobiet. - Z błyskiem humoru w oczach Caroline upiła sherry. - Jeśli mnie pamięć nie myli, ignorował wszystkie, bo w oko wpadł mu nikt inny tylko ty.

Sophie nie wyjawiała nigdy przyjaciółce, jak bliskie stosunki utrzymywała niegdyś z Grantem. Niemniej, jeśli teraz będzie wypierać się tej znajomości, Carolina zacznie zapewne podejrzewać najgorsze.

- Rzeczywiście, potrafił zawrócić damom w głowach, zwłaszcza takiej młodej dziewczynie jak ja, która całe życie spędziła na wsi i po raz pierwszy zjawiała się w wielkim mieście. Ale to było dawno temu - tłumaczyła się - zanim zmądrzałam. Nie chcę, żeby tego pokroju osobnik kręcił się koło mojego syna.

- No właśnie. Zajęty romansiem Chandler nie miałby czasu i głowy przejmować się innymi sprawami. Mogłabyś mu powiedzieć, że nie chcesz, aby syn dowiedział się o was i dlatego spotykać się z nim możesz wyłącznie poza domem. I tak problem miałabyś rozwiązany.

Na myśl, że składa Grantowi tak skandaliczną propozycję, Sophie zalał rumieniec wstydu. Z drugiej strony, on z pewnością wziąłby ją w ramiona i namiętnie pocałował, a potem...

- Dopiero wtedy zaczęłyby się moje prawdziwe problemy

- oświadczyła, przesuwając ciężki atlas z taką siłą, że w powietrzu uniosła się dusząca chmura kurzu. - Zachęcanie kogoś do romansu jest oburzające i niestosowne. Dziwię się, że mnie do tego namawiasz. Zwłaszcza w obecnej sytuacji, kiedy wciąż jestem w żałobie.

Caroline wstała i podeszła do drabiny, a następnie spojrzała w górę na przyjaciółkę. Na jej twarzy malował się wyraz przejęcia.

- Moja droga, wiem, że nadal cierpisz - powiedziała ciepłym głosem - ale nie ma nic złego w tym, że człowiek próbuje zapewnić sobie odrobinę przyjemności. Już od dawna pozbawiona jesteś męskiego towarzystwa. Obie wiemy, że Robert...

- Nie kończ - przerwała jej Sophie. - Bardzo cię proszę.

- Przerazała ją perspektywa rozmowy o intymnych szczegółach jej małżeństwa, choć kiedyś już, powodowana desperacją, radziła się przyjaciółki, co robić, żeby zadowolić męża w sypialni. Ale Robert nie żył, czułaby się więc jak zdrajczynie, omawiając z kimś jego braki.

- Wybacz - rzuciła Caroline, zmieszana. - Wiem, że jestem okropnie nietaktowna, co zresztą Belgrave nieustannie mi wytyka. Twierdzi, że rady, których udzielam, są tak dosadne, że trudno ich słuchać. Ale, proszę, wysłuchaj mnie jednak, bo wydaje mi się, że mam jeszcze jeden pomysł na uporanie się z Chandlerem.

- Dobrze, jeśli tylko nie ma to nic wspólnego z tym, o czym zaczęłaś mówić...

Caroline uśmiechnęła się i potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, nie. Mój pomysł nawiązuje do reputacji Chandlera. - Po tych słowach starsza z kobiet zaczęła przechadzać się przed drabiną z twarzą

ściągniętą skupieniem. - Myślisz, że byłabyś w stanie przypomnieć sobie przykłady jego nieodpowiedzialnego zachowania?

- Oczywiście. Ale co... co właściwie chodzi ci po głowie?

- Uważam, że gdybyś znalazła dowody na to, że Chandler jest notorycznym i nieuleczalnym wichrzycielem i hulaką, mogłabyś na tej podstawie przekonać sąd do odebrania mu praw do opieki nad Lucieniem.

Zacisnąwszy dłonie na szczebelku drabiny, Sophie wstrzymała oddech.

- Naprawdę sądzisz, że to możliwe, żeby sąd podważył testament Roberta?

- Biorąc pod uwagę fakt, że Lucien jest księciem, istnieje taka szansa, choć niewielka. Ale nie zaszkodzi spróbować. Poza tym, teraz jest najlepszy moment do rozpoczęcia takiej kampanii. - Caroline usiadła przy sekretarzyku i sięgnęła po pióro oraz papier. - No, przeszukaj pamięć. Przypomnij sobie, co takiego wyprawiał pan Chandler, a ja to zanotuję.

Najgorszym występkiem Granta było to, że uwiódł młodą, niewinną pannę. O tym jednak Sophie nie zamierzała wspominać. Zresztą w głębi serca wiedziała, że całej winy nie może zrzucić tylko na niego. Ona też zawiniła. Była w nim tak szaleńczo zakochana, że zapomniała o zasadach...

Odepchnąwszy od siebie przykre wspomnienia, pomyślała o innych incydentach, już nie tak bolesnych dla niej.

- Od czego by tu zacząć? Może od tego, jak wjechał konno do sali balowej u lorda Harringtona? Założył się, że jego klaczka zatańczy kadryla lepiej niż obecne na balu debiutantki.

- Tak, pamiętam wrzawę, jaka wtedy wybuchła - powiedziała Carolina, potrząsając przy tym wesoło głową. - Niestety Chandler przegrał, bo ogłoszono, że jesteś lepszą tancerką od jego klaczy.

Sophie zaczerwieniła się na wspomnienie swojego mało dystyngowanego zachowania. Oszołomiona pierwszym w jej życiu sezonem towarzyskim, za nic miała dezaprobatę wyniosłych matron i nadętych dżentelmenów. O mały włos a

wyrzucono by ją z kręgów arystokracji, jak Granta. Odszukała w pamięci następny incydent z jego udziałem.

- Kiedyś Chandler pływał nago w jeziorze Serpentine. Działo się to na wiosnę. Noc była chłodna, ale on nie potrafił odrzucić wyzwania.

Carolina przestała pisać i popatrzyła oszołomiona na przyjaciółkę.

- Naprawdę? Byłaś przy tym?

- Ależ skąd! - zaprzeczyła szybko Sophie. - Słyszałam tylko, jak jego koledzy śmiali się z tego następnego dnia.

- Co to za koledzy?

- Wicehrabia Hockridge, lord Kilminster i Jeremy Updike.

- Mało wiarygodni świadkowie - stwierdziła z grymasem zniechęcenia Caroline. - Takie same ziółka jak Chandler. Zgniłe ziółka na dodatek.

- Rzeczywiście. - Sophie pochyliła się, żeby przebadać niższą półkę. Nigdy nie czuła się swobodnie w towarzystwie znajomych Granta. Po części dlatego, że za bardzo oddawali się hazardowi, a po części, bo traktowali ją dość lubieżnie. - Zresztą wątpię, żeby chcieli zeznawać przeciwko Chandlerowi.

- Zeznawać przeciwko mnie?

Po raz drugi tego dnia Sophie mało co a spadłaby z drabiny. Jej przerażone spojrzenie spoczęło na Grancie, który pojawił się niespodziewanie w drzwiach biblioteki. Ręce miał splecione na piersiach i opierał się ramieniem o framugę. Surdut marengo i śnieżnobiała koszula podkreślały jego męską urodę, a jasnoszare jeździeckie bryczesy długie, silnie umięśnione nogi. Przyglądał się Sophie z wymownym wyrazem twarzy.

Na ten widok oblało ją nieprzyjemne gorąco, serce zabiło mocniej, a kolana zadrżały. Obie z Caroline były zwrócone do drzwi plecami, więc nie wiedziała, jak długo Grant stał w wejściu.

Chyba nie aż tyle, żeby usłyszeć cały ich plan.

Przywoławszy na twarz wyniosłą i oziębłą minę, powiedziała:

- Witam, Chandler. Widzę, że znów przechadzasz się samowolnie po domu, chociaż nikt cię nie zapraszał.

- To ostatnie z moich wykroczeń. - Mężczyzna oderwał się od framugi i wszedł pewnie do biblioteki. Sprawiał wrażenie, jakby cały świat należał do niego.

- A przy okazji, pływałem w Serpentine zimą, a nie wiosną. Na ziemi leżał jeszcze śnieg.

A więc wszystko słyszał. Łajdak.

- To tylko dowodzi słabości twojego charakteru - odcięła się Sophie.

- Albo wytrzymałości mojego ciała.

- Miałam na myśli to, że nas podsłuchiwałeś.

Zeszła z drabiny. Było to trudne zadanie, biorąc pod uwagę długość jej sukni i fakt, że Grant nie przestawał bacznie jej się przyglądać. Musiała bardzo uważać, żeby nie potknąć się o rąbek spódnicy i nie spaść na podłogę jak kłoda. Po dotarciu na dół powstrzymała impuls każący jej poprawić włosy i ubranie. Nie zdjęła też długiego białego fartucha, osłaniającego czarną suknię z krepy.

Caroline podniosła się od biurka i stanęła obok niej. Głośnym szeptem powiedziała:

- Rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc o jego uroku.

- Uroku? - powtórzyła, także szeptem, ale dość donośnym.

- W nim nie ma nic poza urokiem.

Grant zdawał się rozbawiony tą kąśliwą uwagą. Ignorując Sophie, pochylił się do dłoni jej przyjaciółki i złożył na niej szarmancki pocałunek.

- Obawiam się, że ma pani nade mną przewagę - rzekł.

- Pani wie, jak ja się nazywam, ja natomiast nie znam niestety pani nazwiska.

Sophie zabrała się z niechęcią do prezentacji.

- Caroline, przedstawiam ci pana Granta Chandlera. Panie Chandler, księżna Belgrave.

Grant puścił rękę kobiety.

- Jestem zaszczycony, lady Belgrave. Czy pani mąż nadal wie gdzie prym w Izbie Lordów?

- Niestety nie, odkąd Wigowie stracili przywództwo. Nadal jednak wygłasza swoje przemowy, tyle że przede mną. - Caroline popatrzyła na Granta z zaciekawieniem. - Przyznam, że jestem zaskoczona, że zapamiętał pan Jamesa. Interesuje się pan polityką?

- Tylko na tyle, żebym wiedział, za kim obstawać przy wyborach.

- Jesteś pan niepoprawny, panie Chandler. - Udając oburzoną, Caroline pogroziła rozmówcy palcem. - I dlatego poważnie się zastanawiam, czy dobrze robię, zostawiając was samych.

Sophie, wystraszona, zawołała:

- Nie idź jeszcze, Caro! Bardzo cię proszę. - Posłała przyjaciółce błagalne spojrzenie, ale ta ją zignorowała.

- Obawiam się, że muszę, moja droga. Właśnie sobie przypomniałam, że miałam coś załatwić dla Philipa. - Uśmiechając się do Granta, lady Belgrave dodała: - To mój najmłodszy syn. Jest w Eton i prosił, żebym mu kupiła zestaw specjalnych gęsich piór. Można je dostać tylko w sklepie z artykułami piśmienicznymi na Regent Street.

Wymówka była zmyślona, ale manieri nie pozwoliły Sophie powiedzieć tego na głos. Zresztą Caroline i tak wyparłaby się kłamstwa. Wyglądało na to, że za wszelką cenę chce, aby gospodyni i gość zostali sami.

Caroline pragnie, żeby między nimi nawiązał się romans. Dziki, namiętny romans. W Sophie rozbudziły się zakazane tęsknoty. Poczula mrowienie na skórze i tym bardziej się przestraszyła, że zostanie sama z Grantem.

- Nie musisz mnie odprowadzać - rzuciła lekko jej przyjaciółka. - Sama wyjdę. - Po tych słowach podniosła ze stołu torebkę i opuściła bibliotekę, zamykając za sobą drzwi.

Sophie usiłowała stłumić mocne walenie serca. Nie chciała, żeby Grant odgadł jej zdrożne myśli albo dostrzegł rumieniec ekscytacji na twarzy. To tylko dodałoby mu pewności siebie.

Na szczęście na nią nie patrzył. Przeszedł do sekretarzyka i podniósł kartkę ze spisem jego wykroczeń.

- Zaledwie dwie pozycje? Czuję się urażony. Tylko tyle pamiętasz?

Sophie zbliżyła się i wyrwała mu listę z rąk.

- Przeciwnie, dopiero zaczynałyśmy ją spisywać, kiedy nam przerwałeś.

- Może ci pomogę. Pamiętam, jak zwabiłaś mnie do garderoby na przyjęciu u lorda Duncombe'a. Korytarzem przechodzili jacyś ludzie, a ty nie chciałaś, żeby zobaczyli, że poszliśmy razem na piętro.

Wspomnienie uwolniło się z zamkniętego na głucho skarbca pamięci. Grant, trzymający ją w objęciach w ciemnej garderobie. Jego dłonie wędrujące po jej plecach. Usta zsuwające się po jej szyi do biustu...

- Nie zwabiłam - sprzeciwiła się szybko - tylko ty poszedłeś za mną, kiedy chciałam odpocząć w przebieralni dla pań.

- Pewnie prawda leży gdzieś po środku. - Grant utkwiał wzrok w jej ustach, a ona natychmiast przypomniała sobie ich namiętne pocałunki z przeszłości. - Ale i tak wątpię, żebyś zamierzała umieścić ten incydent na liście. Nawet gdyby dobitnie dowodził braków w moim charakterze.

- Masz rację. Wstydziałabym się, gdyby ktoś się dowiedział o moich młodzieńczych wybrykach. - Sophie złożyła kartkę i pochyliwszy się, wsunęła ją do przegródki sekretarzyka. Przez ramię powiedziała: - Co nie znaczy, że będę musiała się szczególnie wysilać, żeby przypomnieć sobie inne wysoki z twoim udziałem.

- Och, Sophie - mruknął Grant zaskakująco pieszczotliwie. - Niegdyś uwielbiałaś moją śmiałość.

Zaszokowana, poczuła na karku ciepły oddech towarzysza i dotyk jego dłoni na kibici. Jej nieposłuszne ciało zareagowało na to bez zwłoki. Rozlało się po nim zdradzieckie gorąco.

Nie mogąc nabrać powietrza, całą sobą czuła bliskość stojącego za nią mężczyzny. Żaden inny nigdy tak na nią nie działał. Nawet mąż.

Ta nielojalna myśl była jak kubeł zimnej wody wylanej na jej głowę. Odzyskawszy równowagę, pospiesznie się odwróciła. Popęłniła błąd, bo przy tym ruchu otarła się biustem o masywny tors Granta. Z każdym oddechem wciągała w nozdrza bijący od niego intensywny zapach jego wody kolońskiej. Wróciły wspomnienia pocałunków, które kiedyś składała na nagiej piersi byłego kochanka.

Odchyliła się, opierając ręce o sekretarzyk za nią.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś mnie nie dotykał.

- Cóż ty taka przewrażliwiona? Rozwiązywałem tylko troczki fartucha.

Sięgnął do jej ramion, żeby zdjąć fartuch. To znów pobudziło jej pamięć. Czując piekący ból w sercu, przypomniała sobie tę noc, kiedy Grant ją rozbierał...

Wściekła na niego i na siebie, odepchnęła jego ręce.

- Natychmiast przestań! Jesteś bezczelny, Grant. Zaraz wezwę lokajów i każę wyrzucić cię z domu.

Mężczyzna zrobił krok w tył i popatrzył na nią uważnie. W jego ciemnych oczach pojawiła się lodowata twardość, która jednak znikła tak szybko, że Sophie zastanawiała się, czy tylko to sobie wyobraziła. Grant tymczasem przeszedł swobodnym krokiem do kominka i zasiadł w stojącym przy nim fotelu, wyciągając przed siebie nogi i krzyżując je w kostkach.

- No już dobrze. Zachowujmy się poprawnie. Może porozmawiamy. Co robiłaś wczoraj po moim wyjściu?

Pytanie ją zaskoczyło, podobnie jak widok gościa wygodnie rozpartego w ulubionym fotelu Roberta.

- Pracowałam tutaj, w bibliotece.

- Pracowałaś? - W głosie Granta pobrzmiwał sceptycyzm. - Czyżby nastały ciężkie czasy, wasza książęca mość? Sama musisz wycierać kurze?

- Nie opowiadaj bzdur. - Nie podobał jej się sposób, w jaki Grant na nią patrzył. Jakby była tylko piękną ozdobą, której jedynym celem w życiu jest pławić się w luksusie. Zapomniała, że sama doprowadziła do tego, że miał o niej takie zdanie, bo skłamała, wyjaśniając mu, dlaczego wychodzi za Roberta. Zdjęła fartuch i po złożeniu go, odłożyła na długi dębowy stół. - Jeśli już musisz wiedzieć, staram się odtworzyć dzieje rodziny Ramsey. Ku pamięci Roberta... a także dla mojego syna, żeby znał swoje korzenie.

Zdusiła znajome ukłucie wyrzutów sumienia. Mimo że Lucien nie był dzieckiem Roberta, uważała, że należy do rodziny Ramseyów i już. Zresztą sam Robert wielokrotnie to powtarzał...

- A więc nigdzie nie wychodziłaś?

Lekkie napięcie w głosie pytającego przykuło jej uwagę.

- Nie, a dlaczego o to pytasz? Grant wzruszył ramionami.

- Po prostu jestem ciekaw, jak żyjesz, księżno. Wczorajszy dzień spędziłaś sama?

- Tak, nie licząc zabawy z Lucieniem i późnej kolacji w towarzystwie Heleny. - Odnosząc wrażenie, że za pytaniami Granta kryją się jakieś jemu tylko znane tajemnicze motywy, postanowiła zmienić temat. - Mam dosyć tego przepytywania. Jeśli przyszedłś zobaczyć się z Lucieniem, to źle trafiłaś. Ma teraz lekcje. Ale, oczywiście, możesz pójść na górę i poobserwować. Jeśli nie, to...

Dzientelmen zrozumiałby aluzję. Dzientelmen również nie siedziałby w obecności stojącej kobiety. No ale Grant nigdy nie grzeszył dobrymi manierami.

Jeszcze wygodniej rozparł się w fotelu, jakby się szykował do dłuższej pogawędki.

- A zatem Helena nadal tu mieszka? I zdaje się, że nie wyszła za mąż?

- Nie, nie wyszła. - Tak jak się Sophie spodziewała, Grant nie wykazał zainteresowania Lucienem. Powinna się z tego cieszyć, a jednak ledwo hamowała gniew. Podeszła do globusa, stojącego na postumencie, i położyła rękę na jego chłodnej, gładkiej powierzchni.

- Czy chciałbyś wiedzieć coś jeszcze, zanim wyjdiesz, pozwalając mi wrócić do moich zajęć? - spytała z sarkazmem.

- Tak. - Jakby na przekór Grant wziął jej słowa za zachętę do dalszej rozmowy. Przyglądał się jej denerwująco przez zmrużone oczy. - Myślałem o twoim małżeństwie. Ciekawi mnie, czy byliście z Robertem szczęśliwi?

Jej dłoń zsunęła się z globusa, a ten mocno zawirował. Czy Grant wie...? Nie, to niemożliwe. Zatrzymała wirującą kulę.

- Ogromnie - potwierdziła przesadnie uniesionym głosem. - Ale więcej nic ci nie powiem. Nie mam ochoty na tak intymne zwierzenia.

Usta mężczyzny wygięły się w kpiącym uśmiechu.

- Zapewniam, że nie zamierzałem cię obrazić - oświadczył lekkim tonem. - Chodzi o to, że źle uczyniłem, nie godząc się z Robertem, i teraz już tylko ty możesz mi opisać ostatnie lata jego życia.

To elokwentne wyjaśnienie wzbudziło jej podejrzliwość. Nie umiała się oprzeć wrażeniu, że Grant próbuje ją obłaskawić. Jakby pragnął, żeby między nimi znów zapanowała przyjaźń.

A może rzeczywiście chodzi o Roberta?

Kolejny raz ogarnęło ją poczucie winy. Nie umiała do końca pozbyć się wyrzutów sumienia za to, że rozdzieliła przyjaciół z dzieciństwa. Pragnienie, by to naprawić, zmusiło ją do złagodzenia podejścia. Bez względu na to, czy go lubi, czy nie, Grant ma prawo pytać o Roberta. Ona zaś może ujawnić tylko część prawdy.

Dostojnie, niczym królowa, przeszła do kominka i zasiadła w fotelu stojącym naprzeciwko fotela rozmówcy. Splotła dłonie na podolku i spojrzała Grantowi prosto w oczy.

- Zacznę od początku, od chwili, gdy wyjechałeś z Londynu. Ja i Robert chcieliśmy cichego ślubu, pobraliśmy się więc szybko, za specjalnym zezwoleniem. Miesiąc miodowy spędziliśmy w posiadłości Roberta w Sussex.

- To wtedy się przekonał, że nie jesteś dziewicą?

Śmiałe pytanie cięło jak nóż. Poza tym jego wulgarność dowodziła, że Grant pragnie rozmawiać nie tylko o Robercie. Czy to podjudzanie kryje jakiś cel?

Sophie do ust cisnęła się gniewna odpowiedź, postanowiła jednak, że zachowa spokój.

- Nie, powiedziałam mu o nas jeszcze przed ślubem. Nie mogłam rozpocząć małżeństwa od kłamstwa, dlatego też byłam całkowicie szczerą z Robertem. Wiedział o wszystkim.

Nawet o tym, że jest w ciąży, a ojcem dziecka jest jego przyjaciel.

W kilka tygodni po upojonej nocy w ramionach Granta Sophie obudziła się pewnego ranka z mdłościami. Na dodatek spóźniał się jej okres. Przestraszona i zdesperowana poszła do Roberta. Był jej przyjacielem i powiernikiem, jedynym jej adoratorem, któremu bezgranicznie ufała. Robert ani jej nie zganił, ani nie odwrócił się od niej ze wstrętem. Po prostu umówił ją na wizytę u lekarza, żeby ten mógł potwierdzić jej podejrzenia.

Później wyplakiwała oczy na jego ramieniu, przerażona swoim położeniem. Bała się odrzucenie ze strony towarzystwa, które nie akceptuje ciąży u niezamężnych kobiet. Ponadto martwiła się, jak wieść o jej stanie przyjmą jej sędziwi już rodzice. Co do Granta, nie mogła do niego zwrócić się po pomoc, bo choć zaproponował jej małżeństwo, uczynił to tak niechętnie, że wspomnienie tej chwili nawet obecnie było dla niej źródłem wielkiego bólu i zawstydzienia...

Leżąc w łóżku obok Granta, zaspokojona namiętym zbliżeniem, Sophie napawała się bliskością kochanka. Czula się jak w kokonie, owinięta emanującym od ukochanego ciepłem i zmysłowym zapachem. Jej myśli

dryfowały swobodnie, powracając co rusz do wspaniałych doznań, które przed chwilą dzieliła z Grantem. Drżała na wspomnienie tego, jak ją sobą wypełniał, jak wydawało się, że są jednym ciałem, jedną duszą... po prostu jedną osobą, której nic nigdy nie podzieli.

- Grant... Grant... kocham cię. - Tkliwe wyznanie wypłynęło prosto z jej serca. Wypowiedziała je po raz drugi tej nocy. Za pierwszym razem ona i Grant byli jeszcze ubrani, ale za to pieścili się namiętnie. Wtedy Granta ogarnął szal.

Ale teraz podniósł tylko głowę i popatrzył na nią jakimś dziwnym wzrokiem. Po jego zaciśniętej szczęce rozpoznała, że jest przerażony.

- Mój Boże, Sophie. Co jak narobiłem?

Jego spojrzenie wystraszyło ją. Dotknęła jego gładko wygolonego policzka, pragnąc znów poczuć tę jedność, która jeszcze przed chwilą wypełniała jej serce.

- Odnależliśmy miłość. Jesteśmy od teraz nierozłączni.

Jakby jej nie słysząc, Grant odsunął się i usiadł, po czym przeciągnął dłońią po zmierzwionych ciemnych włosach.

- Tam do diabła! Nie stać mnie na utrzymanie żony, a przecież muszę się teraz z tobą ożenić...

Sophie uświadomiła sobie, że jak zaczarowana wpatruje się w swoje dłonie. Palce zaciskała na fałdzie sukni, gniotąc czarną krepe. Rozprostowała je z wysiłkiem i popatrzyła na rozmówcę.

Tak dziwnie się jej przyglądał, że przyszło jej do głowy, iż czyta jej w myślach, że on także przypominał sobie ich okropną kłótnię. Uznała jednak, że to absurd. Grant jest płytki, egoistycznie skoncentrowany na utrzymaniu stylu życia wiecznego kawalera. Miłość to ostatnia rzecz, o której mógłby pomyśleć.

Niemniej zaproponował jej małżeństwo. Tyle że z czasem z pewnością znienawidziłby ją za to, że zakuła go małżeńskie kajdany. Postanowiła więc przyjąć oświadczyzny Roberta. On przynajmniej naprawdę ją kochał.

Zaczerpnęła powietrza.

- Byliśmy z Robertem szczęśliwi. Okazał się oddanym, ustatkowanym mężem, dokładnie takim, jakiego pragnęłam. I tak się złożyło, że mieliśmy wiele wspólnych zainteresowań.

Z ukłuciem żalu pomyślała o długich spacerach, jakie razem odbywali. O tym, jak Robert się o nią troszczył. Żeby nie wzbudzać plotek, na okres ciąży przenieśli się do jego wiejskiej posiadłości. Ale Lucien, na całe szczęście, urodził się później. Robert cieszył się z narodzin niemal jak prawdziwy ojciec...

Grant wybuchnął niskim, gardłowym śmiechem.

- Przed mną nie musisz udawać, Sophie. Różniliście się z Robertem jak ogień i woda. Przecież podobnie do mnie uwielbiałaś dreszczyk emocji. Nadal to lubisz.

- Nie - zaprzeczyła ostro. - Zajrzałam w głąb serca i doszłam do wniosku, że nie powinnam nadal tak postępować. Pragnęłam rodziny i szczęśliwego małżeństwa, takiego jak małżeństwo moich rodziców. I dostałam to wszystko od Roberta.

- A także tytuł, majątek i pozycję w towarzystwie. Zesztywniała. Tamtego dnia, gdy Grant usiłował ją zmusić, żeby przyjęła jego oświadczenia, skłamała, mówiąc, że zależy jej właśnie na tych rzeczach, które przed chwilą wymienił.

- Pragniesz się doszukać jakichś braków w moim małżeństwie? - spytała oschle. - Jeśli tak, to jest to bardzo nieuprzejme z twojej strony i nie widzę sensu ciągnąć dalej tego tematu.

Grant uniósł brew.

- Wybacz - rzucił łagodniejszym tonem. - A więc ty i Robert stworzyliście sobie spokojne, rodzinne gniazdko. Urodziłaś mu syna, a potem całą trójką żyliście tu szczęśliwie? Dopóki Robert nie zachorował.

- Tak. I chcę zaznaczyć, że był wspaniałym ojcem. Lucien bardzo za nim tęskni. - Sophie z rozgoryczeniem stwierdziła, że do oczu cisną się jej łzy. Nie zamierzała jednak płakać przy Grancie; posądziłby ją zapewne o to, że próbuje

go wzruszyć. Ta myśl sprawiła, że dumnie się wyprostowała. Czas sprowadzić rozmowę na temat, który jej leżał na sercu. - Skoro mówimy o Lucieniu, chciałabym poruszyć sprawę jego przyszłości. A dokładnie edukacji.

Grant zmarszczył czoło.

- Ma przecież guwernantkę, czyż nie? Skinęła głową.

- Panna Olivier jest bardzo dobrą nauczycielką. Podobnie jak jego dwaj dodatkowi nauczyciele, od matematyki i łaciny.

- Więc o co chodzi? Nie lubi się uczyć?

- Przeciwnie. Jest bardzo bystrym i pilnym uczniem. - Sophie zamilkła, zastanawiając się, co powiedzieć, żeby przekonać rozmówcę do swojego zdania. Jedno było pewne, nie chciała, aby o edukacji syna decydowali Helena i Elliot. - W tej rodzinie panuje zwyczaj, że chłopców w wieku Luciena wysyła się do szkoły z internatem. Ja jednak uważam, że z powodu ostatnich przejść powinien jeszcze przez rok pozostać w domu. Oczywiście, gdybyś wyraził na to zgodę - wydusiła na koniec.

Ciemne oczy mężczyzny nie zdradzały jego myśli. Rozparty w fotelu, Grant przyglądał się Sophie chłodno, niczym król irytującemu poddanemu. Zacisnęła zęby, żeby nie powiedzieć czegoś niemilego. Wolą nie zrażać Granta do siebie. Potrzebowała jego przychylności we wszystkim, co dotyczyło Luciena. Miał przecież, jako opiekun, prawo sprzeciwić się jej życzeniom.

Zobaczyła, że się podnosi i wyciąga do niej rękę.

- Chciałbym popatrzeć na twojego syna podczas nauki. Zaprowadzisz mnie do niego?

Rozdział VI

28 października 1701

Boję się, że Mulford coś podejrzewa. I to przez moją własną nieostrożność, bo posłałam Williamowi list, w którym błagałam go o potajemne spotkanie na balu u lady Hearthstone. Czekaając na spotkanie, rozdarta między nadzieją a wyrzutami sumienia, zatańczyłam z kilkoma partnerami, w tym aż dwukrotnie z szacownym Mulfordem.

Ten, jak zawsze, mało się odzywał, i gdy tylko nadarzyła się sposobność, poszedł grać w karty z innymi dżentelmenami. Skorzystałam z tego, że rodzice byli czymś zajęci i wymknęłam się do ogrodu. I tam spotkałam mojego ukochanego. Och, te pocałunki, którymi mnie obsypał! Niestety, nasze szczęście nie trwało długo, bo kiedy tak się namiętnie obściskiwaliśmy, do ogrodu, szukając mnie, wyszedł Mulford.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Ku satysfakcji Granta Sophie wahała się tylko przez chwilę, po czym położyła mu rękę na ramieniu. Wstała z gracją niczym ciemnowłosa, bladolica nimfa. Materiał czarnej sukni opływał wdzięcznie jej krągły biust, szczupłą talię i zgrabne biodra. Grant jednak nie zamierzał dać się zwieść tej aurze skromnej

uległości. W zielonych oczach Sophie bowiem, kiedy na niego spojrzała, pobłyskiwały iskry buntu. Wiedział, że przystaje na jego propozycję tylko z jednego powodu.

Chce go wymanewrować.

Cóż, najpierw będzie musiała dać mu coś w zamian.

Ruszyła przed siebie, on zaś przykrył jej dłoń, spoczywającą na jego przedramieniu, swoją. Natychmiast poczuł przyływ pożądania. Miękki naskórek dłoni przywodził na myśl inne sekretne ciepłe i aksamitne miejsca na ciele towarzyszącej mu kobiety. Miejsca, które planował już wkrótce zgłębić.

Czy te piękne ręce rzeczywiście podały Robertowi truciznę?

Kiedy opuścili bibliotekę i wyszli na korytarz, Sophie kątem oka obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Rozmawialiśmy tylko o mnie. A co u ciebie? Co robiłeś przez ostatnie dziesięć lat?

Plądrowałem pałace. Wykradałem cenne klejnoty. Uciekałem przed uzbrojonymi strażnikami.

- Podróżowałem.

- Wiem, byłeś w Konstantynopolu, ale chyba nie tylko? Zapewne odwiedziłeś też inne krainy. Opowiedz coś o tym. Ja byłem z tobą szczerą i liczę na to samo z twojej strony.

Czy naprawdę była szczerą? Wątpił w to.

- Skoro pytasz, to powiem - zaczął, zniżając głos do poufalego szeptu. - Odwiedziłem Włochy, Niemcy, Rosję i wiele innych państw. Kiedyś, kiedy usiądziemy sobie w spokoju, opiszę ci moje przygody ze szczegółami.

- Nie to miałam na myśli. - Ich kroki roznosiły się echem po szerokim korytarzu, którego ściany wypełniały portrety dawno zmarłych przodków rodziny Ramsey. Sophie spojrzała mu w oczy. - Ojciec cię wydziedziczył. Nie miałeś grosza przy duszy. Zastanawiam się więc, jak udało ci się utrzymać za granicą.

Grant poczuł ucisk w żołądku, który jednak zignorował. Dawno temu przysiągł sobie, że nie będzie powracał myślami do swojego ojca, hrabiego Litton.

- Hazard mi w tym pomógł - skłamał. - Przed kilku laty, w Rzymie, udało mi się wygrać sporą sumkę i ona zapewniła mi środki na utrzymanie.

- Rozumiem. - Spojrzenie Sophie było chłodne, a nawet nieco wyniosłe. Grant wiedział, co myśli. Że zapewne powrócił do starych nawyków i splukał się do cna.

Choć było to nierozważne, bo powodowane prymitywną dumą, dodał:

- Część pieniędzy ulokowałem w akcjach kilku przedsiębiorstw żeglugowych i inwestycja ta okazała się bardzo opłacalna. Jestem teraz bogaty.

Oczy księżnej zrobiły się okrągłe, po czym, niespodziewanie, wybuchnęła ona śmiechem.

- Zainwestowałeś zyski z hazardu? Naprawdę nie wiem, Grant, czy mam ci gratulować, czy surowo upomnieć.

Może lepiej mnie pocałuj? - pomyślał, nie zamierzając jednak mówić tego na głos. Jeszcze na to za wcześnie. Niemniej widok rozbawienia na twarzy Sophie zachwyił go. Żadna inna kobieta nie miała takiego uśmiechu. Uśmiechu, dzięki któremu stawała się jeszcze piękniejsza. Uśmiechu, który sprawiał, że jej oczy nabierały blasku, a wzrok wyrażał wręcz dziecięcy entuzjizm, którego nie widział od chwili, gdy odebrał Sophie dziewictwo, a potem, zaskakując samego siebie, zaproponował jej małżeństwo.

A ona rzuciła mu te oświadczyzny w twarz.

Jakby nagle zawstydzona swoją nagością, Sophie podciągnęła kołdrę pod brodę. Jej oczy zrobiły się przejrzyste i zimne. Znikł z nich wyraz namiętności, który jeszcze przed chwilą tam gościł.

- Masz rację. Popelniliśmy błąd - zgodziła się ostrym tonem. - A co do oświadczyn, to nie mogę za ciebie wyjść, Grant. Sądziłam, że to oczywiste. Mój przyszły mąż musi posiadać majątek i tytuł. Z pewnością nie będzie to jakiś nieudaczny, odrzucony nawet przez własną rodzinę...

Wspomnienie tych słów nadal bolało, o wiele bardziej niż powinno. Ale Grant znów zdobędzie Sophie, a ona tym razem już go nie odrzuci. Nie będzie miała takiej możliwości. Grant zedrze z niej obronną zbroję, a następnie zniewoli namiętnością. I wtedy, pozbawioną tchu i bezbronną, sprowokuje do wyznań.

Na razie jednak jest drażliwa jak klaczka w upał. Trzeba wiele zręczności, by przełamać jej opory przed nieuniknionym zbliżeniem.

Kiedy dotarli do głównego holu, znowu pogładził jej aksamitną dłoń. W przeszłości ta subtelna pieszczota zawsze Sophie rozczulała. Teraz jednak spięła się i chciała cofnąć rękę. Nie pozwolił na to, zdecydowany, że znajdzie czułe punkty księżnej. Wszystkie.

Przechyliwszy głowę na bok, powiedział prawie szeptem:

- Wystarczy tych rozmów o mnie. Opowiedz lepiej o Lucienie.

Serce Sophie zabiło niespokojnie i nie miało to nic wspólnego z faktem, iż Grant nadal gładził ją po ręce. Strach zacisnął jej gardło. Przeraził ją wyraz zastanowienia na twarzy rozmówcy i to, że tak nagle zmienił temat. Dobry Boże, czyżby odgadł prawdę? Czy podejrzewa, że Lucien jest jego synem?

Już po sekundzie uzmysłowiła sobie, że jej obawy są absurdalne. Ciemne oczy Granta jarzyły się nie gniewem, a pożądaniem. Patrzył na jej usta, jakby chciał ją pocałować. A jej niepokorne ciało reagowało na to podejrzanym drżeniem.

Skreśliła ku wznoszącym się majestatycznie na piętro stopniom głównej klatki schodowej. Grant pozwolił jej tym razem zabrać dłoń, żeby, wspinając

się, mogła pochwycić skraj długiej sukni. Nadal czuła mrowienie na ręce po jego dotyku, starała się jednak o tym nie myśleć.

- Widziałeś już przecież Luciena - powiedziała z wahaniem. - Co jeszcze chciałbyś o nim wiedzieć?

Grant wspinał się po schodach wraz z nią.

- Czym się interesuje poza ołowianymi żołnierzami? Czy tak jak ja w dzieciństwie nie lubi się uczyć? Czy zjeżdża dla zabawy po poręczy?

Ostatnie pytanie natychmiast ją zaniepokoiło. Spojrzała w dół na marmurową posadzkę i zawirowało jej w głowie.

- Z pewnością nie!

- Szkoda. - Grant przeciągnął ręką po dębowej balustradzie. -

Przypominam sobie, że po tej akurat świetnie się zjeżdżało.

Sophie, dostrzegłszy dziwny błysk w oczach towarzysza, zatrzymała się w miejscu. A jeśli Grant, jako opiekun, będzie próbował wpływać na charakter Luciena? Na samą tę myśl zrobiło jej się słabo.

- Nie wolno ci namawiać mojego syna do takich rzeczy. To niebezpieczne - powiedziała z przejęciem. - Przyrzeknij, że tego nie zrobisz.

- Nie chcę go krzywdzić, ale przecież to chłopiec...

- Jeszcze mały i bardzo spokojny. Nie jest taki śmiały jak ty w dzieciństwie. Przyrzeknij, że nie będziesz go namawiał do zjeżdżania po poręczy.

Jej rozmówca najpierw zmarszczył czoło, potem wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

- Dziękuję. - Sophie odetchnęła, choć postanowiła, że musi pilnować, czy Grant dotrzymuje słowa. Zresztą szybko się przekona, że obowiązki opiekuna są bardzo nużące i wtedy przestanie się jej naprzykrzać. - Co do reszty pytań, to Lucien lubi spacerować po parku i puszczanie łódki po jeziorze. I uwielbia się uczyć, o czym zaraz sam się przekonasz.

Po dotarciu na trzecie piętro poprowadziła towarzysza do pokoju nauki usytuowanego w połowie korytarza. Drzwi do niego były otwarte, a ze środka dochodził śpiewny głos panny Oliver.

Świadoma, że Grant kroczy tuż za nią, Sophie zatrzymała się w progu. Lucien siedział pochylony nad stołem, plecami do wejścia. Jego guwernantka siedziała obok, wskazując na jakąś ilustrację w książce. Była to sympatyczna kobieta około czterdziestki, dość silnej budowy, mająca zwyczaj ubierać się w wysoko zabudowane, praktyczne szare suknie.

Pomieszczenie w kształcie prostokąta oblewało jasne słońce, obmywające promieniami posadzkę i ściany obwieszzone mapami i zastawione niskimi półkami, na których piętrzyły się podręczniki.

W powietrzu roznosił się przyjemny zapach kredy i strużyn od ołówków. Ta woń zazwyczaj napawała Sophie poczuciem zadowolenia... ale nie dzisiaj. Dzisiaj była przede wszystkim skupiona na obecności gościa.

Zastukała cicho we framugę, na co panna Olivier szybko się podniosła i ukloniła. Uśmiechając się, poprawiła spoczywające na jej nosie okulary w złotej oprawce.

- Wasza książęca mość. Już się zastanawialiśmy z Lucieniem, czy przyjdzie pani dzisiaj do nas.

Widząc, że nauczycielka z zaciekawieniem spogląda na Granta, Sophie postanowiła go przedstawić:

- Panno Olivier, proszę poznać opiekuna Luciena, pana Chandlera.

Grant przywitał się z guwernantką, a Lucien w tym czasie radośnie uśmiechnięty podskakiwał na krześle.

- Przyszedł pan, panie Chandler! Naprawdę pan przyszedł, tak jak pan przyrzekał!

Grant posłał chłopcu uśmiech i potargał włosy.

- Tak jak przyrzekłem.

- Wujek Elliot też przyrzeka, ale potem rzadko mnie odwiedza.

- Lucienie - odezwała się z lekką naganą Sophie - nie wypada skarżyć na wujka.

- Chłopiec ma prawo mówić prawdę - wtrącił się Grant, pochylając się nad podopiecznym. - Wujek Elliot jest głupcem, skoro składa obietnice i ich nie dotrzymuje. To zwykle świństwo.

- Głupiec - powtórzył z namaszczaniem Lucien. - Zwykle świństwo!

- Właśnie.

Przyglądając się temu pokazowi męskiego porozumienia, Sophie czuła się rozdarta pomiędzy impulsem, by się roześmiać, a obowiązkiem skarcenia syna za używanie brzydkich słów.

- W tym domu nikogo się nie wyzywa - przypomniała ostro. - Panno Olivier, proszę kontynuować lekcję, a my, jeśli pani pozwoli, przez chwilę posłuchamy.

- Oczywiście, wasza książęca mość. Właśnie kończymy lekcję historii, na której poznawaliśmy życiorys króla Henryka V.

Sophie przeszła z Grantem do pobliskiego stolika i usiadła w jednym ze stojących przy nim dziecięcych krzesełek wielkości połowy normalnego krzesła. Grant skrzywił się na widok tych miniaturowych mebelków i zamiast uczynić tak jak ona, przysiadł na stoliku tuż obok, niemal dotykając jej nóg swoimi.

Panna Olivier powróciła do prowadzenia lekcji, a Sophie, sztywna jak pał, w przeciwieństwie do swobodnie rozpartego towarzysza, usiłowała przysłuchiwać się wykładowi. Nie mogła jednak za bardzo się na nim skupić. Część jej uwagi bowiem ulatywała do szalejących w jej sercu emocji. Nie chciała, żeby Lucien przywiązał się do Granta i nie chciała, żeby Grant kwestionował jej polecenia. A już z pewnością nie chciała siedzieć tak blisko niego. Zapach jego wody kolońskiej oszalał ją; jego obecność ją przytłaczała. Były kochanek budził w niej jakiś pierwotny niepokój, co odbierało jej przyjemność obserwowania syna.

Syna Granta.

Coś zakłuło ją w serce. Nie potrafiła powstrzymać napływającej do głowy serii niepokojących pytań. Co by było, gdyby przed laty zamiast za Roberta wyszła za Granta? Czy Grant ucieszyłby się na wieść, że zostanie ojcem? A może uznalby przyszłe ojcostwo za jeszcze jedno ograniczenie jego wolności?

Poczuła, że jej dłonie robią się zimne i wilgotne. Nie, Grant nie ma rodzinnego charakteru i nie lubi brać na siebie odpowiedzialności za nic. A jej nie wolno spekulować o przeszłości, bo czyniąc tak, najzwyczajniej bezcześci pamięć Roberta.

Panna Olivier chrząknięciem oczyściła gardło.

- Lucien, może powiedziałbyś gościom, czego się dzisiaj nauczyłeś?

Chłopiec nie sprawiał wrażenia, że ma ochotę spełnić prośbę. Spuściwszy głowę, wstał powoli. Bawiąc się guzikami przy niebieskim surduciku i pocierając stopą o kostkę drugiej nogi, zerknął niepewnie najpierw na Granta, potem na matkę.

Sophie zagryzła usta, żeby pohamować słowa zachęty. Wraz z guwernantką ustaliły, że Lucien musi nauczyć się mówić swobodnie przed obcymi. Ta umiejętność przyda mu się, kiedy wyjedzie do szkoły. Mimo to uśmiechnęła się do syna.

- Doskonale wiem, że masz bardzo dobrą pamięć - zaczęła łagodnym głosem. - Powiedz nam, co zapamiętałeś z lekcji o królu Henryku V?

- Że... że uro...urodził się w 1387 roku, a... a zmarł w 1422. I że... pochowano go w Westminster Abby. - Chłopiec poparzył na pannę Olivier, która kiwnięciem głowy dała znak, żeby kontynuował. - Chciał... chciał zdobyć Francję i podbił ją pod A...A

- Azincourt - odpowiedział Grant, po czym wstał i zaczął krążyć po pokoju. - To była wielka bitwa, a Anglików było mniej niż Francuzów. Ale dzięki wyśmienitemu przywództwu Henryka V angielscy łucznicy i rycerze zmiotli przeciwnika w pył.

Lucien się ożywił.

- Rycerze? - spytał.

- W srebrnych zbrojach i z wielkimi mieczami. - Grant podniósł długą drewnianą wskazówkę i zamachnął się nią jak szablą. - To było średniowiecze, rozkwit rycerstwa. Angielscy rycerze byli najodważniejszymi i najwaleczniejszymi na świecie. Do walki stawali na wspaniałych rumakach...

- Rumakach... co to jest?

- Rumak to duży koń waleczny, hodowany dla jego siły. Widzisz, rycerska zbroja dużo ważyła. Zresztą konie też miały na sobie zbroję.

- W podręczniku nie ma o tym mowy - zauważył z powątpiewaniem Lucien.

- Ale to prawda. Zrozum, że gdyby rycerz stracił konia, nie mógłby pogalopować do wroga i przebić go lancą. - Wskazówka w ręku mówiącego zamieniła się we włócznię wycelowaną w niewidzialnego przeciwnika.

Lucien, zafascynowany, zbliżył się do opiekuna.

- To ciekawe, co pan mówi o tych rycerzach. Niech pan opowie coś więcej. Proszę.

- Zamiast opowiadać, wezmę cię do Tower i pokażę ci zbroję na wystawie. - Grant skierował pytające spojrzenie w stronę Sophie. - Tylko musimy się dowiedzieć, co sądzi o tym twoja mama.

Podeksytowany Lucien doskoczył do matki, praktycznie zwalając ją z nóg.

- Możemy, mamó? Błagam, zgódź się.

Sophie była w rozterce. Rozsądek podpowiadał jej, że syn potrzebuje stałej dziennej rutyny. Musi sobie wyrobić nawyk regularnej nauki, żeby umiał w przyszłości przystosować się do wymagań szkolnych. Z drugiej strony, rozumiała jego zainteresowanie rycerzami; ją samą zaciekała opowieść Granta. Decyzję podjęła jednak, kierując się entuzjazmem syna.

- Cóż - rzuciła - jeśli przyrzekniesz, że przyłożysz się do nauki, nie widzę powodu, żebyś nie poszedł obejrzeć wystawy w Tower.

- Będę się uczył dniami i nocami - zapewnił z zapalem chłopiec i pociągnął matkę za rękaw. - A możemy pójść już teraz?

Sophie, rozbawiona, pokręciła przecząco głową.

- Dzisiaj jest już za późno. Wybierzemy się do Tower jutro z samego rana. A pan Chandler nie musi nam towarzyszyć. Zakładam, że będzie zajęty. - *I zapewne nie będzie miał ochoty spędzić całego dnia w towarzystwie dziecka.*

Marszcząc czoło, popatrzyła wymownie na Granta. Z jedną nogą wspartą na krześle, w czarnym surducie i skórzanych obcisłych bryczesach, i w wypolerowanych, ciemnych oficerkach wyglądał jak wcielenie arystokratycznego kusiciela. Na jej wyzywające spojrzenie odpowiedział hultajskim uśmiechem, jakby ucieszony, że ma sposobność ją podreńczyć.

- Ależ skąd. Bardzo chętnie wybiorę się na tę wyprawę.

Grant nienawidził pompatyczności, a ta, niestety, wyczuwalna była na każdym kroku w samej postawie lekarza, jak i w jego gabinecie, wypełnionym przygnębiającymi przyrządami potrzebnymi do wykonywania zawodu medyka.

W szklanych witrynach leżały narzędzia tortur Świętej Inkwizycji: chirurgiczne noże i piły, skalpele, igły i szczypce do przyżegania ran. Na drugiej ścianie, niczym w aptece, stały regały, których szuflady wypełniały zioła i lecznicze eliksiry. Tkwiący w rogu szkielet, niewidzącym wzrokiem spoglądał na pomieszczenie z pustych oczodołów.

Doktor Felix Atherton zaś, dumnie nadęty, siedział w majestatycznej pozie za wielkim mahoniowym biurkiem. Był postawnym, dość otyłym mężczyzną, z głową osłoniętą staromodną peruką. I z wyraźnym zniecierpliwieniem spoglądał na złoty kieszonkowy zegarek.

- Przykro mi, panie Chandler, ale mogę panu poświęcić tylko kilka minut. Za godzinę mam się zjawić w Carlton House, a książę Regent nie lubi czekać.

Zupełnie niewzruszony, a także zbyt niespokojny, żeby usiąść, Grant przeszedł do makabrycznej wystawy ze słojami zawierającymi zabalsamowane ludzkie organy.

- Właśnie wróciłem z długiej zagranicznej podróży. Byłem przyjacielem księcia Mulford i interesują mnie okoliczności jego śmierci. Jeśli się nie mylę, to pan się nim zajmował podczas choroby?

- Tak, zgadza się. Niemniej nie mogę omawiać z panem tej kwestii. Nie mam do tego prawa. Proszę po informacje zwrócić się do rodziny zmarłego.

Grant posłał lekarzowi wyniosłe spojrzenie.

- Jako opiekun obecnego księcia, domagam się, aby odpowiedział pan na moje pytanie.

Płatki nosa Atherton rozszerzyły się z poirytowania. Najwyraźniej jednak dotarło do niego, z kim ma do czynienia, bo odrzekł:

- Zatem proszę pytać.

- Jakie były objawy? I jak brzmiała pańska diagnoza?

- Jego książęca mość dostał ataku kolki i nudności. Objawiało się to wymiotami i biegunką, a także wzrostem tętna. Ponieważ symptomy pojawiły się krótko po spożyciu kolacji, uznałem, że książę zatrzał się jedzeniem, prawdopodobnie nieświeżą tartą śliwkową, której nie jadł żaden inny domownik.

- Jakiego leczenia pan użył?

- Zaordynowałem miętę pieprzową, aby przyspieszyć wydzielanie żółci, i oczywiście kilka serii puszczenia krwi, żeby wypłukać z organizmu truciznę.

Grant poczuł skurcz w żołądku. Myśl, że Robert tyle się nacierpiał, sprawiała mu ból.

- A gdy to nie pomogło, co pan zrobił? Skonsultował się pan z innym lekarzem?

- Skonsultowałem się z kolegami z Królewskiego Kolegium Lekarskiego, jak zawsze w trudnych przypadkach. Wszyscy zgadzali się z wybranym przeze mnie leczeniem.

- Mimo że Mulfordowi się pogarszało?

- Niestety, medycyna nie jest w stanie uleczyć wszystkich chorób - oświadczył protekcjonalnie Atherton. - Los każdego pacjenta leży ostatecznie w rękach Stwórcy.

Albo w rękach mordercy. W rękach Sophie. Z obojętną miną Grant zapytał:

- Proszę powiedzieć, doktorze, czy przyszło panu może do głowy, że Mulforda ktoś otrul umyślnie?

Atherton wzdrygnął się, a na twarz wypłynął mu wyraz przerażenia.

- Sugeruje pan... morderstwo? Toż to niedorzeczne!

- Sam Mulford podsunął mi tę myśl. Pisał o tym do mnie z łoża śmierci. Lekarz przyglądał się Grantowi z niedowierzaniem.

- Słucham? Nic takiego do mnie nie dotarło. Czy podał czyjeś nazwisko?

- Nie. List był dość bezładny.

- Ach! - wykrzyknął Atherton ze zrozumieniem. - Jego książęcą mość pod koniec trawiła gorączka. Widocznie ten stan wywoływał majaki.

- Doprawdy? Symptomy zatrucia arszenikiem są bardzo podobne do objawów kolki, które pan opisał.

- Ba, ale wtedy książę zmarłby od razu, a nie po dwóch tygodniach. A zapewniam, że nie jadł więcej śliwkowej tarty - w samej rzeczy nie mógł przełknąć nawet łyżki zwykłego rosółu.

Grant miał ochotę złapać medyka za biały, sztywny kołnierzyk i mocno nim potrząsnąć, żeby zaniechał sceptycyzmu. Lekarz jego klasy powinien był wziąć pod uwagę otrucie. Po otrzymaniu listu od Roberta Grant dowiedział się tego i owego na temat trucizn. Bezzapachowy i prawie pozbawiony smaku

arszenik trudno jest wyczuć. Był używany od wieków już w starożytnym Rzymie.

- W rosole też mógł być arszenik - powiedział. - Albo w lekarstwie. Może przynajmniej z tym się pan zgodzi?

- Obraziłbym takim stwierdzeniem rodzinę księcia. Chce pan, żebym oskarżył o otrucie księżną, która siedziała przy chorym mężu dniem i nocą? A może siostrę księcia, kuzyna, albo kogoś ze służby? - Atherton zdecydowanie pokręcił głową. - Widziałem u nich tylko strach i przygnębienie.

Grant potrafił wyobrazić sobie Sophie odgrywającą rolę załamanej żony. Tego poranka, piękna i niewinna w czarnej sukni żałobnej, twierdziła, że była niesamowicie szczęśliwa z mężem. Ale on znał jej podstępą, kapryśną naturę. W tę noc, kiedy odebrał jej dziewictwo, wyznała mu przecież dozągoną miłość, a jednak już po chwili zmieniła zdanie i rzuciła mu jego oświadczenia w twarz.

Sophie to zręczna oszustka.

Zazgrzytał zębami, ledwie hamując wybuch wściekłości.

- Trudno oczekiwać, żeby morderca obnosił się z radością, przyznając się tym samym do popełnienia zbrodni.

- Wystarczy tego, panie Chandler. - Atherton z lodowatym wyrazem twarzy wstał i wycelował w Granta palcem. - Pańskie oskarżenie dotyczy szanowanej szlacheckiej rodziny. Nie zamierzam brać udziału w tych niecznych knowaniach. Jeśli zajdzie taka potrzeba, w sądzie zeznam to samo, co powiedziałem przed chwilą.

Grant, kipiąc ze złości, zmusił się do wykonania uprzejmego ukłonu.

- Proszę się nie martwić, doktorze, nie planuję wzywać pana na świadka.

Opuszczając gabinet, czuł się zawiedziony. Mógł się pożegnać z nadzieją, że lekarz rzuci nowe światło na sprawę śmierci przyjaciela.

Na szczęście do przesłuchania pozostało mu wielu innych świadków: Helena, Elliot, kucharz i reszta służby. Ponadto zamierzał nadal uwodzić Sophie. Jego zdaniem ona już go pożądała; przyspieszony oddech i tęsknota,

pojawiając się w jej oczach, ilekroć się do niej zbliżał, mówiły same za siebie. Kiedyś znów obdarzy go zaufaniem i mu ulegnie - a potem przyzna się do popełnionej zbrodni.

I wtedy za nią zapłaci.

Rozdział VII

29 października 1701 (ciąg dalszy)

Kiedy Mulford pojawił się w ogrodzie, William wypuścił mnie. Z objęć i sięgnął do pasa po szablę. Zaczęłam go błagać, żeby oszczędził Mulforda, i William posłuchał. Złożywszy na mych ustach ostatni słodki pocałunek, mój ukochany pożegnał się i zniknął w ocienionych głębiach ogrodu.

Przyznam, że krocząc na spotkanie z narzeczonym, serce ze strachu waliło mi jak oszalałe. Mulford chciał wiedzieć, dlaczego wyszłam na zewnątrz bez przyzwoitki. Nie pamiętam już, jakich kłamstw mu naopowiadałam - coś o tym, że zapragnęłam podziwiać księżyc i odpocząć nieco od balowego harmidru. Słuchał mnie z lodowatym milczeniem i sprawiał wrażenie tak bardzo dotkniętego, że zrobiło mi się wstyd mojego postępowania.

Postanowiłam więc od tej pory nie ulegać pokusom. Choć mi to łamie serce, więcej nie spotkam się z Williamem!

- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,

Następnego dnia Sophie obudziła się w wyśmienitym nastroju. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak dobrze. Swoją ekscytację przypisałaaby najchętniej wspaniałej wiosennej pogodzie za oknem oraz planowanej wyprawie z Lucieniem, jednak w głębi serca wiedziała, że jej radość po części wywołuje perspektywa spędzenia dnia z Grantem.

Kiedy przyjechał po nich żółta sportową dwukółką, był czarująco uprzejmy. Lucien usiadł między nimi na wysokim siedzeniu i, nie przestając paplać, zasypywał opiekuna niekończącymi się pytaniami o powóz, mijane miejsca i Królewski Arsenał w Tower. Grant odpowiadał chłopcu z zadziwiającą cierpliwością. Sophie, przysłuchując się rozmowie, z ukłuciem żalu uzmysłowiła sobie, że syn zbyt długo przebywał tylko z nią, Heleną i panną Olivier. Nie ulegało wątpliwości, wnioskując z jego zachowania, że stęsknił się za męskim towarzystwem. Prawdopodobnie jak i ona sama - zgodnie ze słowami Caroline.

I rzeczywiście, ilekroć spoglądała na Granta, wzbierała w niej fala szczególnego ciepła. Ciemne włosy rozwiewała mu lekka bryza, a promienie słońca tańczyły wesoło po jego wyraźnie zarysowanej twarzy. Widok ten przypominał Sophie czasy, gdy były kochanek zabierał ją na spontaniczne wycieczki poza miasto. Gnał wtedy powozem jak szalowiec, a ona, podekscytowana prędkością, śmiała się na głos. Swobodne podejście do życia Granta rozbudzało w niej zawsze ducha przygody i kusilo do przekraczania granic przyzwoitości.

Oczywiście nie chciała, żeby syn wzorował się na takim lekkoduchu jak jego opiekun. Mimo to, choć uzmysławiała sobie, że nie jest bezpieczne dopuścić, aby Grant urósł w oczach Luciena do roli bohatera, przekonywała

samą siebie, że kilka godzin spędzonych z nim nikomu nie przyniesie szkody. Postanowiła zapomnieć o obawach i cieszyć się wyprawą.

Po mroźnej i ponurej zimie, wiosenne słońce świeciło jasno, a ptaki wesolo świergotały w gałęziach drzew. Po dotarciu na miejsce, całą trójką wraz ze stangretem dołączyli do tłumu turystów, tłoczących się przed wejściem do twierdzy w kolejce po zakup biletów i małego przewodnika. Lucien rozglądał się dokoła z podekscytowaniem, choć, gdy przechodzili przez wielką kamienną bramę, przy której stali królewscy strażnicy w czerwonych uniformach, przywarł z lękiem do ręki Sophie.

Powietrze w Tower Green, gdy podążali do Królewskiego Arsenału, było przepełnione wilgocią, ale nie śmierdziało, mimo bliskości rzeki. Sophie przejrzała przewodnik, a następnie kilka informacji odczytała synowi na głos, pomijając jednak drastyczne aspekty historii fortecy. Grant nie miał podobnych skrupułów.

- Popatrz - powiedział w pewnym momencie, wskazując na ustawioną na środku trawnika granitową płytę. - To kłoc, na którym kat robił swoje.

Lucien się zatrzymał.

- To znaczy, że... że ścinał tu ludziom głowy? - zapytał prawie szeptem.

Grant przytaknął.

- Tower było więzieniem przeznaczonym głównie dla zdrajców Korony, ale także dla tych, którzy bezprawnie zawłaszczyli sobie tron. Podczas Wojny Róż straciło tu życie kilku królów. Więźniarkami były też kobiety.

- Jak się nazywały, mamó? - zwrócił się chłopiec do Sophie. - Znalazłaś coś o tym w przewodniku?

- Anna Boleyn, żona Henryka VIII - poinformowała, zerkając do broszurki. - A także lady Jane Grey. Dobry Boże, miała tylko siedemnaście lat.

Z oczami roziskrzonymi ciekawością, Lucien pociągnął matkę za rękaw.

- Mogę tam iść, mamó?

Sophie niepewnie skinęła głową, a kiedy syn wybiegł naprzód, wraz z Grantem ruszyła za nim wolnym krokiem.

- Nie wiem, czy chcę, żeby Lucien tak się ekscytował ludźmi skazanymi na śmierć - powiedziała. - To dość makabryczne, nie sądzisz?

- Chłopcy lubią straszne rzeczy. Kiedy dorośnie, zmieni zainteresowania.

- A jeśli będzie miał w nocy koszmary?

- A często budzi się nocy? - spytał Grant. Przyglądając się synowi, który okrążał kamienną płytę, Sophie pokręciła przecząco głową.

- Nie, ma mocny sen.

- W takim razie niepotrzebnie się martwisz. Po obejrzeniu zbrojowni będzie śnił raczej o rycerzach na białych rumakach niż o ściętych głowach.

To zapewnienie złagodziło jej niepokój - dopóki nie uzmysłowiła sobie, że rozmawiają z Grantem jak mąż z żoną, omawiający sprawy dziecka. Ich dziecka. Myśl ta wywołała w jej żołądku silny skurcz. Lucien naprawdę jest ich dzieckiem, choć Grant nie ma o tym pojęcia. Postanowiła, że nie dopuści do głosu wyrzutów sumienia. Przed laty, pragnąc zadbać o przyszłość syna, podjęła jedyną rozsądną decyzję. Grant nie chciał ani żony, ani rodziny; powiedział to przecież jasno i bez ogródek.

Dzisiaj jednak, odwrotnie niż przypuszczała, wydawał się cieszyć towarzystwem Luciena. Niemniej wiedziała, że nie powinna przywiązywać do tego większej wagi. Natura Granta nie pozwalała mu traktować poważnie zobowiązań. Lucien to tylko tymczasowa rozrywka. Grant szuka jej w nowych przeżyciach, ale z czasem nudzi się nimi i zwraca ku czemuś nowemu. Sophie widziała to już tyle razy, że nie miała złudzeń.

Lucien wrócił, a ona z ulgą stwierdziła, że nie wygląda na szczególnie wzburzonego oględzinami katowskiego bloku. Domagał się za to, żeby ruszali już do zbrojowni, zatem uczynili, jak prosił.

Po ciepłym słońcu na zewnątrz, wewnątrz kamiennego budynku wydawało się zimne i zawilgocone. Kiedy Sophie przekraczała próg pierwszej sali

wystawienniczej, Grant uprzejmie podtrzymał jej ramię. Ten dotyk wywołał w niej mrowienie. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- W tych starych zamczyskach zawsze jest okropnie zimno - wytłumaczyła się natychmiast.

- Rzeczywiście - mruknął Grant.

Niby przypadkowo zsunął dłoń po jej pelisie i zatrzymał ją na kibici, lekko dociskając do pleców. Gest ten wydał się jej ogromnie intymny. Zalała ją fala gorąca i podniecenia.

Może jednak powinnam mieć z nim romans?

Kusząca sugestia przyjaciółki, poczyniona poprzedniego dnia, nie przestawała krążyć jej po głowie. Caroline nie wiedziała nic o tym, że Sophie zaznała już niegdyś rozkoszy z Grantem i że na przestrzeni lat siłą woli wyrzuciła wspomnienie tych chwil z pamięci. Jednak wraz z powrotem byłego kochanka, powróciły też i stare wspomnienia i uczucia.

Dłonie i usta Granta na jej skórze. Ciężar jego ciała. Niewyobrażalna radość stapania się z nim w jedno.

Zniechęcona własną słabością, zerknęła na towarzysza. Nie ulegało wątpliwości, że próbuje ją uwieść - a może te podejrzenie to tylko wytwór jej rozgorączkowanego umysłu? Przecież nawet na nią nie patrzył. Grant z przeszłości zachowywałby się zupełnie inaczej. Droczyłby się z nią, omamiał swoim urokiem i nadskakiwał na każdym kroku. Był mistrzem riposty. Jego dowcipne komentarze pobudzały zarówno jej umysł jak i ciało. Teraz jednak wyczuwała w nim powściągliwość, której nie było w nim przed laty. Ściana rezerwy ukrywała przed nią jego myśli.

Mimo to, kiedy przeszli do kolejnej sali arsenału, wziął ją za rękę, pociągając do wystawy szabli, dotknął jej ramienia, pokazując stary muszkiet, przytrzymał za łokieć, prowadząc do następnego pomieszczenia. Dostrzegła, że kilka razy uważnie się jej przyglądał. Jakby patrzył i na coś czekał...

Na szczęście Lucien niczego nie zauważył, zafascynowany zbiorami średniowiecznej broni i narzędzi tortur, a także wypchanymi figurami angielskich królów, wystawionymi w jednej z kolejnych sal. Królowie w pełnym rynsztunku usadowieni byli na koniach i wyglądali tak, jakby wyruszali właśnie na wojnę. Grant o każdym opowiedział chłopcu jakąś ciekawą historyjkę.

Później, po wyjściu ze zbrojowni, kupili u ulicznego sprzedawcy gorące mięsne paszteciki, którymi raczyli się, spacerując po blankach.

- Nie wiem, czy słyszałeś, że królowie urządzali na terenie twierdzy turnieje rycerskie - poinformował Luciena w trakcie przechadzki Grant. - Rycerze mierzyli się ze sobą, chcąc sprawdzić, który z nich jest najzręczniejszy. Każdy miał przy sobie jakiś podarek od umiłowanej damy.

- Podarek? - zaciekawił się chłopiec.

- Chusteczkę albo szarfę. - Zanim Sophie się zorientowała, Grant pociągnął za czarną wstążkę przywiązaną do jej pelisy i obwiązał ją sobie wokół ramienia. Potem, z rękoma na biodrach, pokłonił się jej dwornie.

Lucien zatrzęsł się od śmiechu.

- Wyglądasz jak uliczny kuglarz.

- Tak, jak głupiec. - Grant przyznał chłopcu rację.

- Popatrz, mamó, jestem rycerzem i wygram turniej. - Lucien zbiegł w dół na dziedziniec.

Sophie, spoglądając na Granta, poczuła, że w jej gardle formuje się duża kula.

- Miło patrzeć, że Lucien bawi się niczym małe dziecko - powiedziała zduszonym głosem. - Od śmierci Roberta zawsze był taki cichy i przygaszony.

- Przeżywa stratę ojca, ale z czasem mu to minie.

We wzroku Granta było coś ciemnego i wyrachowanego, coś, od czego serce Sophie zabiło mocniej z lęku.

- Jestem ci wdzięczna za tę wyprawę - powiedziała. - Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo Lucien i ja potrzebowaliśmy takiej rozrywki.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Wydało jej się w tym momencie, że powietrze zamigotało czymś gorętszym niż słoneczne światło. Patrzyła, jak Grant zdejmuje wstążkę z ramienia i ponownie zawiązuje ją na jej szyi. Musnął ją przy tym dłonią, ale zaraz się odwrócił i krzyknął do Luciena, że czas kończyć zwiedzanie arsenału.

Resztę popołudnia spędzili na oglądaniu klejnotów Korony i zwiedzaniu małego zoo umiejscowionego w Tower. Menażeria znajdowała się w starym kamiennym budynku, w którym śmierdziało odchodami. Lucien jednak nie zwracał na to uwagi. Zachwycał się egzotycznymi zwierzętami, pomiędzy którymi znajdowało się kilka lwów, niedźwiedź i stara tygrysica.

Kiedy w końcu opuścili Tower, nad miastem rozciągała się już różowawa mgiełka zmierzchu. Lucien wyglądał na zmęczonego, choć ożywił się na chwilę, gdy Grant zaproponował zakup pamiątek od ulicznego sprzedawcy. Figurkę rycerza dla niego i bukietek fiołków dla Sophie. W powozie chłopiec oparł się o ramię matki i ściskając w dłoni drewnianą zabawkę, zasnął.

Sophie objęła ramieniem drobne ciało syna. W przypiływie miłości ucałowała zmierzwione włosy na jego czole, pachnące świeżym powietrzem zmieszonym z ulicznym kurzem. Ostatnio, ilekroć go przytulała, Lucien wydawał jej się coraz większy i silniejszy. Ze świadomością, że już wkrótce nie będzie się tak chętnie do niej przytulał, napawała się całą duszą tą drogocenną chwilą bliskości.

Grant zręcznie prowadził dwukółkę po wąskich ulicach. Co jakiś czas zerkał na Sophie. Jego wzrok był dziwnie ciemny i trudny do odczytania. Nie mówił, o czym myśli, a ona wołała nie pytać. Rozmowa tylko by ich do siebie zbliżyła, ona zaś nie wiedziała, czy zdołałaby teraz oprzeć się urokowi towarzysza.

A przecież musi się mu opierać, nie tylko ze względu na siebie, ale też ze względu na Luciena. Romans dawałby Grantowi powód do dalszego kontaktowania się z nimi. A Sophie bardzo się bała, że syn dozna wielkiego zawodu, gdy jego opiekun przestanie się nim nagle interesować.

W końcu w ciemności dojrzeli zarys eleganckiej rezydencji wznoszącej się naprzeciw Green Park. Pomimo że wieczór zrobił się chłodny, Sophie z niechęcią myślała o powrocie do domu i zakończeniu ich eskapady. Zatrzymali się i Grant zeskoczył na ziemię. Stangret przytrzymał konie, a on wyciągnął ramiona po Luciena i objąwszy go jedną ręką, drugą podał księżnej.

Przed nimi po obu stronach krużganka płonęły pochodnie, obejmujące swym blaskiem miedziane okucia frontowych drzwi. Otworzył je dla przybyłych lokaj w niebieskiej liberii. Kiedy wchodzili do środka, Sophie pomyślała ze zdziwieniem, że we trójkę wyglądają jak szczęśliwa, zżyta rodzina.

- Biedaczysko - mruknął Grant, spoglądając na Luciena. - Strasznie się zmęczył.

- Tak - przyznała miękko.

Na stoliku w pobliżu drzwi stał srebrny kandelabr. Światło świec ciepłym płomieniem oblewało sylwetki ojca i syna.

Zamknięte oczy chłopca osłaniały firanki z długich, ciemnych rzęs. Jego twarz, choć jeszcze bardzo niewinna, powoli nabierała już ostrzejszych rysów, zupełnie jak u Granta.

Nie, to Robert był ojcem Luciena, upomniała się w duchu Sophie. Jeśli zacznie myśleć inaczej, przysporzy sobie i innym cierpienia.

Odwróciła więc wzrok od śpiącego synka i wtedy na szczycie prowadzących na piętro schodów dostrzegła Helenę, która z wyrazem zaszokowania w oczach przyciskała ręce do twarzy i wyglądała tak, jakby ujrzała ducha.

Serce Sophie zabiło mocniej. Dobry Boże, czyżby szwagierka doszukała się podobieństwa pomiędzy Lucienem i Grantem? Trudno je było dostrzec, ale jeśli ktoś dobrze się przyjrzał...

Helena zbiegła ze schodów.

- Co się stało, na Boga! Czy Lucien się rozchorował? Zrozumiawszy powód przejęcia szwagierki, Sophie odetchnęła z ulgą.

- Nic mu nie jest - zapewniła ściszym głosem, muskając syna dłonią po włosach. - Po prostu zasnął w powozie.

Kobieta oparła się o poręcz schodów, chwytając ją mocno, jakby w obawie, że się przewróci.

- Myślałam... myślałam... Po tym, co przytrafiło się Robertowi...

- Przykro mi, że panią wystraszyłem - odezwał się Grant.

- Wygląda na to, że mam do tego talent.

Usta kobiety ułożyły się do niepewnego uśmiechu. Helena stała wyprostowana jak struna, z dłońmi pruderyjnie złączonymi przed sobą.

- Rzeczywiście. Do dzisiaj pamiętam tę czaszkę, którą w wigilię Wszystkich Świętych pan i brat podłożyliście mi do łóżka.

Grant zaniósł się cichym śmiechem.

- Powspominamy to sobie innym razem - powiedział.

- Lecz teraz, jeśli pani pozwoli, zaniosę chłopca do jego sypialni.

Helena przylgnęła do poręczy, żeby go przepuścić. Sophie chciała udać się za Grantem, ale szwagierka zatrzymała ją, chwytając za ramię. W blasku świec jej niebieskie oczy lśniły podejrzliwością.

- Dlaczego wróciliście tak późno? - spytała szeptem. - Martwiłam się o was.

- Niepotrzebnie. Lucien był zachwycony wystawą, więc zostaliśmy trochę dłużej, niż planowałam.

- Hm. Zastanawiam się, czy to jedyny powód. - Kobieta, marszcząc czoło, spuściła wzrok na rękę Sophie.

Ta dopiero teraz spostrzegła, że nadal ściska w niej bukietek fiołków od Granta. Zupełnie o nim zapomniała - a także o tym głupim dreszczyku emocji, który ją ogarnął, kiedy Grant obdarowywał ją kwiatami.

Jednak teraz pełne nagany spojrzenie szwagierki wywołało w niej nagły przypływ irytacji. Wprawdzie do końca żałoby zostało jeszcze kilka miesięcy, ale uważała, że to wyłącznie jej sprawa, czy będzie przyjmowała w tym czasie kwiaty od mężczyzn, czy nie.

Podawała jej Helenie.

- Bądź tak miła i poproś lokaja, żeby włożył bukietek do wody. Srebrny wazon jest w jadalni.

Nie dając szwagierce szansy na sprzeciw, wspięła się na schody. Po drodze ściągnęła z dłoni rękawiczki i rzuciła je na krzesło stojące na półpiętrze. Wchodząc na następne piętro, rozwiązała wstążki kapelusza. Zawiesiła go na kołku przy poręczy i poprawiła zmierzwiłone włosy. Zamierzała zapytać o coś Granta i chciała wyglądać przy tym jak najlepiej.

Doścignęła go na trzecim piętrze i wraz z nim weszła do pokoiów dziecięcych, sąsiadujących z pokojem do nauki.

Przed kominkiem w bujanym fotelu siedziała panna Olivier. W jej zręcznych palcach migają druty. Na widok przybyłych szybko wstała, a kiedy Grant położył Luciena na łóżku, pochyliła się nad nim z troską. Chłopiec, który nadal ściskał w dłoni figurkę rycerza, nie otwierając oczu, Stęknął.

- Zdaje się, że wolałby pójść spać bez mycia - zauważyła guwernantka ciepłym głosem. - Będzie zły, że go budzę, ale to dobre dziecko, więc szybko mu przejdzie.

Sophie także pochyliła się nad synem, chcąc złożyć na jego czole czuły pocałunek. Lucien był jedynym celem jej życia. Codziennie dziękowała Bogu, że go ma. Pomyślała, że zrodził się z miłości... przynajmniej tej, która płonęła przy jego poczęciu w jej sercu. Po tej gorzko-słodkiej myśli odwróciła się i zobaczyła, że Grant przygląda się im.

A dokładniej, przyglądał się jej. Ciemne oczy zasnuwał mu jakiś cień. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz podekscytowania, szybko go jednak stłumiła. Czy jemu się wydaje, że pozbywszy się Luciena, może rozpocząć uwodzenie?

Nie zamierzała dać mu ku temu okazji.

Kiedy opuścili sypialnię i wyszli na korytarz, powiedziała uprzejmie:

- Czy teraz, po spędzeniu czasu z Lucieniem, zastanowisz się nad moją prośbą?

- Prośbą? - Grant zmarszczył czoło. - Och, masz na myśli jego edukację? Sophie skinęła głową.

- Tak, jak mówiłam, Lucien jeszcze się nie otrząsnął po śmierci ojca. Uważam, że nie jest gotowy na wyjazd do internatu jesienią.

- A może to jego matka nie jest na to gotowa? - zakpił Grant. Jego beztroska zdenerwowała Sophie.

- Słucham? - spytała oziębło. - Robię tylko to, co jest najlepsze dla Luciena. Nigdy nie pozwalam, żeby górę wzięły moje pragnienia, czy...

- Schowaj już te pazurki - przerwał jej Grant, wyraźnie jeszcze bardziej rozbawiony. Podniósł jej obie dłonie do ust. - Nie chcę się z tobą droczyć, bo kiedy rzecz tyczy się twego syna, robisz się nerwowa.

Obawiając się, że czuły dotyk sprawi, iż zmięknie, Sophie wyrwała dłonie z uścisku. Drażniło ją, że zdana jest na łaskę Granta, niemniej ze względu na Luciena postanowiła powściągnąć nerwy.

- Czy to znaczy, że podzielasz moje zdanie? - spytała już uprzejmym tonem.

- Tak, jeśli chcesz, zatrzymaj Luciena w domu. - Zanim zdążyła odetchnąć z ulgą, Grant musnął ją palcami po policzku. - No i jak, spokojniejsza? Bałem się, że zaraz czymś we mnie rzucisz.

- Nie opowiadaj bzdur. Już dawno skończyłam z takimi wybuchami. - Kłamała, z czego oboje zdawali sobie świetnie sprawę. Mimo to dumnie się

wyprostowała, postanawiając, że będzie odgrywała rolę wyniosłej księżnej, jeśli ma to Granta do niej zniechęcić.

- Wielka szkoda - odburknął. - Podziwiałem w tobie tę zapalczywość.

- I właśnie dlatego do siebie nie pasowaliśmy. Rozbudzałeś we mnie najgorsze cechy.

Sophie odwróciła się i ruszyła przed siebie słabo oświetlonym korytarzem, wyłożonym miękkim bieżnikiem, o ścianach pokrytych zgniłozłotą tapetą. Powinna się była domyślić, że Grant tak łatwo się nie podda. Nagle poczuła, że obejmuje ją ramionami od tyłu i przyciąga do siebie. Pachniał wiatrem i dzikością, a bijące od niego gorąco owiało ją niczym płomień, rozgrzewając każde włókno jej ciała. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, ale wspaniale się czuła w tym męskim uścisku. Tyle że akurat ten mężczyzna...

Teraz nie miała już cienia wątpliwości co do zamiarów Granta. Próbował ją uwieść i cały dzień przygotowywał ją właśnie na tę chwilę.

- Sophie - mruknął. - Kiedyś do siebie pasowaliśmy, pamiętasz?

Nie chcąc pokazać po sobie, jak bardzo jest poruszona, wyprostowała się dumnie i zeszywniała. Nie zamierzała się szarpać. Zresztą pragnęła pokazać Grantowi, że jego dotyk jest jej obojętny.

- Byłam młoda i naiwna.

- Byłaś piękna i bystra... i chciałaś zaznać życia. - Jego usta znalazły się na jej karku. - Zapragnąłem cię od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem. Stałaś w tłumie i przyglądałaś się wyścigowi powozów, w którym brałem udział.

Doskonale pamiętała ten moment. Było to przed rozpoczęciem sezonu, pod koniec zimy. Przyjechała z matką do Londynu po kreacje, w których miała wystąpić podczas debiutu. Wtedy nie mogła jeszcze uczestniczyć w życiu towarzyskim, mimo to, kiedy wracając od krawcowej ujrzała w Hyde Parku tłoczący się tłum dam i dżentelmenów, postanowiła sprawdzić, co się dzieje.

Przynaglana ciekawością, kazała woźnicy zatrzymać powóz. Początkowo przyglądała się wydarzeniom z oddali, jednak podniecający wyścig kazał jej

podejść bliżej i tak, nie wiadomo kiedy, znalazła się nagle w samym centrum wiwatującego tłumu, oklaskującego zwycięski powóz, żółtą sportową dwukółkę, powożoną przez oszalamiająco przystojnego młodzieńca. Jego nazwisko powtarzały wszystkie obecne w tłumie kobiety. *Och ten szatański Chandler. Słyszałam, że jest niezrównany także w sypialni. Hm, ja oddałabym mu swoje wdzięki za darmo.* W swojej naiwności nie zorientowała się wtedy, że wcale nie otaczają jej damy, ale przedstawicielki półświatka. Upadłe kobiety, użyczające arystokratom swych ciał w zamian za pieniądze i błyskotki.

Jednak w tamtej chwili Sophie była tak zaintrygowana podziwianym przez owe panie mężczyzną, że nie myślała o przyzwoitości. Z niejakim zdumieniem przyglądała się długonogiemu młodzieńcowi, jak wyskakuje zgrabnie z powozu i z zawadiackim uśmiechem przyjmuje gratulacje i poklepywanie po plecach innych dżentelmenów. A potem nieznajomy podszedł do niej i odciągnął ją na bok, z dala od tłumu. Zajrzał jej głęboko w oczy... a ona z miejsca się w nim zakochała. Jej błąd polegał na tym, że sądziła, iż Grant także obdarzył ją miłością.

Tkwiąc teraz w jego uścisku, ze złością stwierdziła, że nadal pragnie w to wierzyć.

- Cokolwiek nas łączyło, minęło. Nie ma sensu wspominać błędów z przeszłości.

- Błędów? - spytał, owiewając jej szyję ciepłym oddechem. - Przecież połączyło nas coś wyjątkowego. Wspaniała namiętność. Nigdy wcześniej ani później czegoś takiego nie doświadczyłem.

Te słowa wzbudziły w niej mało stosowną radość i coś jeszcze... chyba zazdrość. Co ją obchodzą inne kobiety, z którymi się zadawał? Może sobie z nimi sypiać, a jej nic do tego.

- Ta rozmowa robi się nieprzyzwoita - oświadczyła wyniośle. - Puść mnie.

Ale Grant, zamiast uczynić, co prosiła, obrócił ją do siebie. Znalazła się pomiędzy ścianą a jego szerokimi ramionami, niemal przygnieciona jego kuszącym ciałem. Uniósł jej głowę i zajął głęboko w oczy.

- Powiedz, że zapomniałaś o tym, co nas łączyło, Sophie, a przysięgam, że sobie pójdę - przyrzekł ochryple.

Ona też popatrzyła mu w oczy.

- Zapomniałam. Zupełnie wyrzuciłam to z głowy - skłamała.

Oczy mężczyzny iskrzyły się pożądaniem zmieszonym z frustracją i czymś jeszcze. Czymś ciemnym i niebezpiecznym.

- W takim razie pozwól, że ci przypomnę, księżno.

Pochylił się i ze zręcznością doświadczonego kochanka złożył na jej ustach gorący pocałunek. Przytrzymał jej głowę w miejscu, gdy chciała ją odwrócić, zarazem językiem usiłując wedrzeć się pomiędzy jej wargi. Sophie wiedziała, że czeka ją cudowne przeżycie. Pamiętała, jak było w przeszłości. Jednak już po chwili przekonała się, że to, co się z nią dzieje, jest stokroć lepsze od wspomnień. Poczula ból w piersiach i miękkość w nogach. Gdyby nie podtrzymujące ją ramiona towarzysza, z pewnością osunęłaby się na ziemię. Próbując na próżno odsunąć Granta od siebie, położyła mu dłonie na piersiach. On jednak wziął to chyba za zachętę, bo do pocałunków dołączył też pieszczoty. Zaczął wodzić rękoma po jej ciele, doprowadzając tym do szaleństwa jej zmysły.

Pożądała tych pieszczot, a zarazem czuła do nich niechęć. Pomimo oszołomienia podnieceniem uświadamiała sobie bowiem, że zaloty Granta są udawane. Jego gesty były kontrolowane i dziwnie zimne, jakby cały czas się pilnował, aby nie dać się ponieść namiętności. Nawet oddech mu się nie zmienił.

Domyślała się, że chce ją podniecić, aby udowodnić swoją rację. Postanowiła więc, że nie ulegnie podnieceniu, jeśli i partner tego nie uczyni.

I nagle zaczęło jej bardziej zależeć na pobudzeniu Granta niż na opieraniu się mu. Niewiele myśląc, przytuliła się do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Potem wsunęła je we włosy, a palcami musnęła obrzeże ucha. Wiedziała, że Grant to uwielbia. Ledwie świadoma faktu, że igra z ogniem, poruszyła biodrami, chcąc pomimo kilku warstw odzieży wyczuć, czy partner uległ wreszcie jej wdziękowi.

Z uniesieniem stwierdziła, że jej poczynania odniosły pożądany skutek. Grant, cicho jęknąwszy, wzmocnił uścisk obejmujących ją ramion. Jego pieśczoły stawały się coraz gorętsze, pocałunki bardziej pożądliwe. Sophie jednak krótko mogła napawać się swoim osiągnięciem, bo już po chwili sama padła ofiarą własnego podstępów. Ona także dała się ponieść podnieceniu.

Grant tymczasem rozpiął jej pelisę, a następnie wsunął pod nią rękę. Gdy ta spoczęła na krągłym biuście, Sophie, zalana falą rozkoszy, jęknęła.

Przez mgłę podniecenia usłyszała, jak partner wymawia jej imię.

- Sophie... gdzie... gdzie jest twoja sypialnia?

Uniósłszy nieco ciężkie powieki, stwierdziła, że Grant, podtrzymując ją w pasie, prowadzi ku schodom. Świadomość jego zamiarów wywołała w niej szok, który z miejsca ją otrzeźwił. Wyrwała się z uścisku i stanęła pod ścianą.

- Nie, Grant. Nie.

Z ustami wykrzywionymi frustracją wyciągnął do niej rękę.

- Pożadasz mnie, Sophie, tak samo mocno jak ja ciebie. Nic nas nie powstrzyma przed sprawieniem sobie przyjemności.

- Nie zapominaj o Lucienie. - Stali tylko kilka kroków od pokoiw chłopca. Gdyby z nich teraz wyszedł i zobaczył ich w objęciach... gdyby ktokolwiek ich zobaczył... Ta porażająca myśl dodała mocy jej głosowi. - Nie chcę romansu. A już z pewnością nie tutaj.

Grant znowu przyciągnął ją do siebie, muskając czule palcami po szyi.

- Zatem chodźmy do mnie. Tam będziemy sami, tylko dla siebie.

Propozycja była zdradziecko kusząca. Na myśl, że mogłaby znów doświadczyć uniesień cielesnej miłości, Sophie zakreśliło się w głowie. Całym sercem pragnęła ponownie poczuć pożądanie mężczyzny. Zdesperowana, przywołała swoje najgorsze obawy.

- Nie wolno mi zapomnieć o rozsądku, Grant. Nie rozumiesz? Mogłabym zajść w ciążę. - Powtórnie.

Zacisnął mocno szczęki.

- Istnieją sposoby, żeby się zabezpieczyć - zauważył. - Na pewno je znasz, skoro zaszłaś w ciążę tylko raz.

Ostra uwaga zabolęła ją. Grant miał ją za płytką i próżną kobietę, która ze względu na figurę dała mężowi tylko jedno dziecko. Jak słabo znał ją i...

Robert. Ogarnięta zniechęceniem, odsunęła się.

- Nie chcę więcej o tym mówić. I proszę cię, żebyś wyszedł. Natychmiast.

Przez chwilę patrzył na nią, oceniając jej zdecydowanie. Potem skinął oziębłą głową.

- Jak sobie życzysz, księżno. Ale wiedz, że to jeszcze nie koniec. - Odwrócił się i odszedł.

Sophie została sama. Pocierając dłońmi ramiona, uzmysłowiła sobie, że jest jej zimno i że czuje się opuszczona. To wina Granta, który na nowo rozbudził w niej tęsknotę za bliskością i namiętnością, mimo że do tej pory doskonale sobie radziła bez mężczyzny u boku.

To jeszcze nie koniec.

Ależ to na pewno koniec. To musi być koniec. Sądziła, że już dawno temu pozbyła się słabości do byłego kochanka - a przynajmniej zmądrzała na tyle, że potrafi hamować lekkomyślne impulsy. Jednakże dzisiejszy wieczór udowodnił, że dość łatwo ją zwieść na złą drogę. Dla kilku chwil rozkoszy gotowa była zapomnieć o dumie i przyzwoitości, jakby nic nie znaczyły.

Ale te pocałunki... Dobry Boże... te wspaniałe, podniecające, namiętne pocałunki...

Jak ma zapomnieć o Grancie, nękana wspomnieniem jego zapachu, dotyku i smaku? Dlaczego ma on nad nią taką władzę? Dlaczego zapomina przy nim, że jeśli zszarga sobie reputację, największą krzywdę wyrządzi synowi?

Lucien. Sophie zdecydowała, że ze względu na syna musi oprzeć się pokusie. I nie wolno jej więcej zrażać do siebie jego opiekuna.

Rozdział VIII

5 listopada 1701

To było w dzień Guya Fawkesa. W całej Anglii świętuje się wtedy hucznie wykrycie spisku prochowego. Tego, co miał na celu wysadzenie w powietrze Parlamentu. Na naszej ulicy urządzono pokazy sztucznych ogni. Mogłam je oglądać w towarzystwie mej wiernej Mary. Och, cóż to była za zabawa! W całym Londynie rozbrzmiewało bicie dzwonów i huk armatnich wystrzałów. Stary pułkownik Dickinson maszerował po ulicach z kukłą Faweksa, przewodząc paradzie mieszkańców, zarówno szlachty, jak i służących. Pomiędzy okrzykami radości ktoś nagle objął mnie ramieniem.

To był William! Zaciągnął mnie w cień i zaczął namiętnie całować. Byłam taka otumaniona, że przyrzekłam, iż przyjdę do niego następnego dnia.

O Boże, co mam robić? Czy mam złamać przysięgę wierności daną Mulfordowi? Czy raczej złamać serce memu najdroższemu Williamowi?

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Następnego popołudnia, rozczarowany i sfrustrowany po dniu bezowocnego śledztwa, Grant zatrzymał konia przed elegancką miejską rezydencją przy Park Lane. Pogoda była równie paskudna jak jego nastrój. Mżyło i ubranie miał zupełnie przesiąknięte wodą. Wszedł szybko do domu i zaraz przy drzwiach oddał ociekający kapelusz i płaszcz kamerdynerowi. Potem przeszedł do salonu, żeby się zapowiedzieć.

Ciotka Phoebe siedziała na kanapie niczym królowa. W jej powykręcanych reumatyzmem palcach tkwiło pióro, którym pisała coś na kartce. Z jej ciemnobrązowymi oczyma, bladą cerą, dumnie zadartym nosem i siwymi włosami przypominała starą królową Bess. Jej maniery także były wyniosłe, co ją wyraźnie odróżniało od pospólstwa. Jednakże w przeciwieństwie do „Królowej Dziewicy”, ciotka pochowała trzech utytułowanych mężów, po śmierci ostatniego przysięgając, że więcej nie wyjdzie za mąż. Twierdziła, że boi się, iż w przeciwnym wypadku arystokracja utraci zapewne jeszcze jednego ze swoich szacownych członków.

Dostrzegłszy bratanka, nie pokazała po sobie zdumienia, jakby nieobecność Granta trwała tylko kilka dni, a nie prawie dekadę. Odłożyła pióro i obrzuciła go królewskim spojrzeniem.

- Widzę, że wreszcie postanowiłeś mnie odwiedzić, choć od Randolpha wiem, że wróciłeś już jakiś czas temu. Podobno spotkał cię w klubie.

Na wzmiankę o bracie Grant zeszytniał. Jednak nie zamierzał kłócić się z ciotką. Potrzebował jej licznych koneksji, żeby pozyskać informacje.

- A więc wydało się - powiedział lekko z czarującym uśmiechem. -

Wybaczysz mi?

- Hm. Biorąc pod uwagę fakt, że jesteś moim spadkobiercą, powinieneś zjawić się u mnie zaraz po przyjeździe do Londynu. No ale ty rzadko kierujesz się rozsądkiem.

Matrona wyciągnęła do Granta upstrzoną starczymi plamami dłoń. Lecz on zamiast w rękę ucałował ją w upudrowany policzek. Zapach kwiatowych perfum, którymi była skropiona, przywołał wspomnienia wakacji spędzanych w jej towarzystwie. Dom ciotki był dla niego schronieniem, ilekroć jej brat, wielmożny hrabia Litton, wściekł się na młodszego syna i przepędzał go do wszystkich diabłów.

- Droga ciotuniu, strasznie się za tobą stęskniłem. I powiem, że jesteś piękna jak zawsze.

- Pochlebca - rzuciła staruszka z przekąsem, ale też z lekkim uśmiechem. Odłożywszy na bok podkładkę pod papier, poklepała miejsce obok siebie. - Usiądź, żebym mogła ci się przyjrzeć bez łamania sobie karku.

- Najpierw muszę się napić brandy. Tobie też nalać? Oczy kobiety zabłyśły.

- Jeszcze pytasz?

Grant poszedł przez hol do biblioteki po karafkę i szklaneczki. Napełnił obie niemal po brzeg, po czym wrócił z nimi do salonu i jedną podał ciotce. Ta upiła spory łyk i westchnęła z zadowoleniem.

- Doskonale - mruknęła, unosząc szklaneczkę, żeby z podziwem przyjrzeć się bursztynowemu trunkowi. - Brakowało mi naszych pogaduszek, zwłaszcza że nie lubię pić w pojedynkę, a nie zamierzam, jak te staruchy, moje koleżanki, dodawać brandy do herbaty, mówiąc, że to śmietanka.

Sadowiąc się obok ciotki, Grant się roześmiał. Czuł, że jego zły nastrój powoli ustępuje.

- W takim razie korzystaj z okazji, tym bardziej że mam ci wiele do opowiedzenia.

Starsza dama, unosząc wąską brew, spojrzała na niego podejrzliwie.

- Moi informatorzy donieśli mi, że wróciłeś jakieś dwa tygodnie temu i że wynajęłeś dom od lorda Tallyrooda. Ponadto masz na sobie drogie ubranie. Wnioskuje więc, wiedząc, że brzydzisz się pożyczkami, iż dorobiłeś się jakichś pieniędzy.

Grant upił brandy, żeby ukryć zmieszanie. Ciotka nie może się dowiedzieć, że jest złodziejem, bo to, pomimo jej wielkiej tolerancji, z pewnością by ją zabiło.

- Lepiej zrobisz, nie pytając.

- A dlaczego miałabym nie pytać? Po tylu latach szwendała się po obcych krajach spodziewam się usłyszeć od ciebie wiele ciekawych historii. - Nieco urażona, uniosła dłoń. - Ale niech będzie jak chcesz, pod warunkiem, że wyjaśnisz mi jedno: czym jesteś tak zajęty tutaj w Londynie?

Grant odchylił się na oparcie kanapy, relaksując się po raz pierwszy od rozstania z Sophie.

- Domyślam się, że wiesz już, iż wyznaczono mnie na opiekuna dla młodego Mulforda?

- A tak. - W głosie matrony pobrzmiwały nuty głębokiego zaciekawienia. - Co oznacza też, że odnowiłeś znajomość z księżną.

Grant pilnował, żeby niczego po sobie nie pokazać. Nie lubił opowiadać o Sophie i nie chciał, żeby ktokolwiek ingerował w ich związek.

- I owszem. Szczerze mówiąc, chciałem właśnie prosić cię o poradę w jej sprawie.

- O co chodzi, chłopcze? Czyżbyś zdążył sprawić jej niespodziankę?

- Ależ skąd - odparł szorstko, opędzając się przy tym przed fantazjami, które od zeszłego wieczora nie przestawały krążyć mu po głowie. *Mogłabym zająć w ciążę*. Nie potrafił przestać myśleć o Sophie spodziewającej się dziecka - jego dziecka. Myśl ta powinna go przerażać, a jednak działo się coś odwrotnego. Bardzo by chciał, żeby Sophie zaszła z nim w ciążę. Byłby to niezbity dowód na to, że wziął ją w posiadanie. Niebezpieczna, nierozsądna myśl...

- Szkoda - mruknęła ciotka niecodziennym u niej tęsknym głosem. - Myślałam, że wy dwoje w końcu znów się zejdziecie i że tym razem się pobierzecie.

Znowu popsuł mu się nastrój.

- Dobry Boże, ciociu, a ty ciągle o tym samym.

- Wcale nie ciągle. A zresztą przyznaj, że ta kobieta podobała ci bardziej niż jakakolwiek inna.

- Tak, zanim wyszła za mojego przyjaciela. Ale to stare dzieje. - Grant wstał i zaczął krążyć po saloniku, którego ściany wyłożone były tapetami w chińskie wzory. - Poza tym nie mam zamiaru przykuwać się ani do niej, ani do żadnej innej. Za bardzo cenię sobie wolność, żeby to uczynić.

Przyglądając się bratankowi, lady Phoebe w zamyśleniu popijała brandy.

- Można się było tego spodziewać, jak sądzę. Twoi rodzice dali ci marny przykład na udane małżeństwo. Nic dziwnego, że boisz się zakochać. A nawet przyznać, że to możliwe.

Miłość. To uczucie dobre dla poetów i niedojrzałych młokosów. Nie ma nic wspólnego z pożądaniem, które wzbudzała w nim Sophie. Miał na jej punkcie obsesję. Przez nią gubił się i zapominał o swoim celu. Nie dalej niż wczoraj pokazała mu, jak łatwo potrafi wyprowadzić go z równowagi, pozbawić kontroli. Jeśli nie będzie czujny, Sophie sprawi, że uwierzy w każde kłamstwo, które wypowiedzą jej piękne usta.

Dostrzegłszy, że ciotka chytrze mu się przygląda, porwał różę ze stojącego na stole porcelanowego wazonu i z głębokim pokłonem podarował ją staruszce.

- Jesteś jedyną kobietą, którą kocham. Tylko ty i żadna inna. Matrona potrzęsła głową z rozdrażnieniem.

- Potrafisz mieć kobiety, Grant, ale ja czekam dnia, kiedy to ciebie któraś oczaruje i do siebie przywiąże.

Zrobiła to Sophie, przed laty. I więcej to się nie powtórzy. Poirytowany tematem, Grant postanowił go zmienić.

- Odeszliśmy od sprawy, z którą przybyłem. Pamiętasz list od Mulforda, który mi przesłałaś krótko przed jego śmiercią?

- Pamiętam. A w tydzień później, zaraz jak Mulford zmarł, posłałam ci też list od Sophie. - Staruszka zamilkła zastanawiając się nad czymś. - Sądziłam, że Robert chciał się z tobą pogodzić. Na łożu śmierci ludzi często ogarnia pragnienie załatwienia zaległych spraw.

Grant odszedł do kominka i oparł łokieć o gzyms. Upił brandy. Zagłębianie się w żalu nie ma sensu, pomyślał. Lepiej uczyni, jeśli w tym czasie pomści śmierć przyjaciela.

- Nie, chodziło o coś innego. Robert pisał w liście, że boi się otrucia.

- Też słyszałam, że podobno zatrul się nieświeżym jedzeniem. Całe szczęście, że nie spotkało to reszty domowników.

- Miałem na myśli umyślne otrucie.

Dłoń staruszki ze szklaneczką zmierzającą do ust zawisła w powietrzu. Kobieta głośno sapnęła, przyglądając się z niedowierzaniem twarzy bratanka.

- Słucham? Mulforda ktoś zamordował? Nie wierzę.

- Wcale nie żartuję. Kilka dni temu rozmawiałem z doktorem Athertonem. Zgodził się, że symptomy, które miał Robert, były bardzo podobne do symptomów zatrucia arszenikiem. Niestety, Atherton jest zbyt zarozumiały, żeby przyznać się do błędu.

- Ależ mój drogi chłopcze... Jesteś całkowicie pewien, że wiesz, co mówisz? Może sam książe się mylił. Był bardzo chory, prawdopodobnie w gorączce, kiedy pisał ten list.

- List brzmiał wiarygodnie, a Mulford był przerażony. Staruszka wolno pokręciła głową.

- Dlaczego ktoś miałby go zabić? I kto?

O dziwo, Grant czuł niechęć do wypowiedzenia swoich przypuszczeń na głos.

- Mulford twierdził, że to ktoś bardzo mu bliski. Uważam, że morderczynią jest nikt inny tylko sama księżna.

Lady Phoebe przez chwilę patrzyła na bratanka, a następnie, odstawivszy z brzękiem szklaneczkę, powiedziała:

- Sophie... morderczynią? Toż to absurd!

- Wcale nie. Wyszła za Mulforda dla tytułu i pieniędzy. Sama mi to wyznała. Jeśli się nim znudziła...

- Ba! Na świecie pełno jest żon znudzonych mężami. - Starsza dama podniosła się z sofy - wysoka z doskonałą sylwetką, pomimo podeszłego wieku. Wyraźnie nie dając wiary słowom bratanka, zaczęła krążyć po salonie, szukając argumentów przemawiających za niewinnością księżnej. - Od czasu do czasu widywałam Sophie na różnych towarzyskich spotkaniach. Wyglądało na to, że dobrze jej z Mulfordem. A na jego pogrzebie była szczerze przygnębiona... Płakała. To raczej nie pasuje do wizerunku morderczynie.

Grant pohamował przyпіływ wściekłości.

- To aktorka. Udawała pogrążoną w smutku wdowę, żeby ukryć swoją zbrodnię.

Ciotka nie sprawiała wrażenia przekonanej.

- Brałeś pod uwagę siostrę Mulforda, Helenę? Albo jego kuzyna - jak ma na imię ten kościsty mężczyzna? Ten, który zawsze ma ziemię pod paznokciami?

- Elliot - podpowiedział. Zły, że ciotka z takim zapalem próbuje zdyskredytować jego teorię, z trudem panował nad głosem. - I tak, brałem ich pod uwagę. Ale moim zdaniem fakt, że Sophie ani słowem nie wspomniała przy mnie o otruciu, mówi sam za siebie. Mulford z pewnością podzieliłby się z nią swoimi podejrzeniami - chyba że uważał, że to ona czyha na jego życie.

- Albo chciał ją chronić. Mulford należał do tych mężczyzn, którzy dmuchają i chuchają na żony, jakby były z porcelany.

Grant nie wierzył, że Sophie zgodziłyby się na takie traktowanie. Niemniej uwaga ciotki rzuciła nowe światło na małżeństwo księcia i księżnej. Coraz jaśniej widział motywy, którymi kierowała się morderczyni. Jeśli nienawidziła sposobu, w jaki mąż ją traktował...

- Może to cię przekona. Myślę, że Sophie dowiedziała się jakimś sposobem o liście Roberta. Kiedy ją odwiedziłem, nie zdawała się zachwycona moim powrotem...

- To chyba naturalne - powiedziała starsza pani z krótkim sarknieniem. - Odrzuciłaś jej miłość przed dziesięciu laty, a teraz musi cię przyjmować jako opiekuna jej syna. To by wyprowadziło z równowagi najspokojniejszą kobietę.

Grant zacisnął zęby. Jak szkoda, że ciotka nie wie, iż to Sophie odrzuciła jego, a nie on ją.

- Pozwól, proszę, że dokończę - kontynuował z napięciem. - Tego samego wieczora ktoś włamał się do mojego domu i splądrował moją sypialnię.

Ciotka pochwyciła się oparcia krzesła.

- Nie myślisz chyba, że Sophie...

- Właśnie, że myślę. Z pewnością zależy jej na zniszczeniu dowodu zbrodni.

- A więc list zginął?

- Nie, dobrze go ukryłem, więc nie zginął. Nic nie zginęło.

- Rozumiem. - Ciotka, jakby nagle zmęczona, znowu usiadła. Nadal popijała brandy, choć już z nie taką samą przyjemnością jak wcześniej. - Nie mogę sobie wyobrazić Sophie w roli morderczyni. Niemniej...

- Niemniej to zbyt duży zbieg okoliczności, żeby nie nabrać podejrzeń. Twierdzę, że Sophie zabiła Roberta, i zamierzam to udowodnić.

Żeby dać ciotce chwilę na przyswojenie szokujących informacji, Grant przeszedł do okna i zapatrzył się w padający na zewnątrz deszcz. Ulica, wraz ze wznoszącymi się przy niej statecznymi budynkami, wyglądała jak spowita szarą tkaniną. Ulewa zmusiła większość ludzi do schronienia się pod dachem, więc chodniki były puste, nie licząc okutanego w przeciwdeszczowy płaszcz listonosza roznoszącego popołudniową pocztę.

Grant był ciekaw, czy Sophie też wygląda teraz przez okno. Czy myśli o ich płomiennym pocałunku? Czy boi się, że gdyby dopuściła go zbyt blisko, prawda wyszłaby na jaw? W ciągu ostatnich dni kilkakrotnie widział, jak przygląda mu się ukradkiem z poczuciem winy we wzroku. Sophie coś ukrywa, tego był pewien.

- Zamierzasz udać się ze swoimi podejrzeniami na Bow Street?

Grant odwrócił się od okna.

- Nie. Sam rozwiążę tę sprawę. Tak szybko jak się da. Trzeba pamiętać o młodym księciu. Nie chcę, żeby spotkała go jakaś krzywda.

Grant martwił się o Luciena - miał go za bystrego, dociekliwego i niewinnego dzieciaka - i był zaskoczony, że przebywanie z nim i oglądanie świata z jego perspektywy sprawia mu tak dużą przyjemność. Nie spodziewał się też, że będzie miał opory przed udowodnieniem Sophie jej winy. Jednak w pamięci nadal tkwił mu obraz, na którym widzi księżną, trzymającą w ramionach śpiącego syna. Czulość, z jaką go traktowała, budziła w nim większe zamieszanie, niż skłonny był przyznać. Było oczywiste, że Sophie, mimo iż była morderczynią, szczerze kocha swoje dziecko.

Jak więc mogła odebrać mu ojca? Ten aspekt nie pasował

Grantowi do jego teorii. Sophie nie zabiła Roberta tylko dlatego, że się nim znudziła. Musiała mieć jakiś poważniejszy powód...

- Musisz mieć dowód, zanim kogoś oskarżysz - zauważyła ciotka z zadumą. - Przesłuchiwałeś kogoś jeszcze oprócz lekarza?

Opowiedział o poszukiwaniach kucharza, który przygotował rzekomo zatrutą śliwkową tartę. Zaraz po wypadku Sophie go zwolniła, nie dając referencji. Grant pytał o niego w kilku zamożniejszych domach, ale monsieur Ferrand rozwiął się bez śladu.

- Hm - mruknęła lady Phoebe. - Raczej wątpliwe, żeby ktoś z arystokracji zatrudnił kucharza, który przyczynił się do śmierci księcia. Z drugiej strony mogła go nająć jakaś rodzina z pośledniejszej szlachty, nie zważając na przykry incydent, za to ciesząc się, że zyskała kuchmistrza tego kalibru. Jeśli chcesz, mogę się dyskretnie o niego rozpytać.

- Miałem nadzieję, że to zaproponujesz. Ferrand mógłby mi powiedzieć, czy Sophie zaglądała do kuchni tego dnia, kiedy przygotowywał feralny obiad.

Od okna powiało chłodem, co jeszcze bardziej zmroziło mu serce. Monotonny szum deszczu odzwierciedlał jego ponury nastrój. Wyobraził sobie Sophie, zakradającą się do sutereny z garścią trucizny na szczury ukrytą, być może, w zwiniętej chusteczce. Do kuchni weszła pod byle pretekstem, a kiedy Ferrand się odwrócił, wsypała truciznę do przygotowywanego dla jej męża ciasta.

- Tylko po co? - zapytał na głos, skrajnie sfrustrowany. - Dlaczego to zrobiła?

- Tak sobie myślę, że... że może znam powód.

Grant popatrzył szybko na ciotkę, która ze spuszczoną głową wpatrywała się w swoje spoczywające na kolanach dłonie. Wyglądała na niespokojną i okręcała nerwowo tkwiący na palcu złoty pierścionek. Zdawała się rozważać coś w myślach.

- Mów, ciociu - ponaglił ją.

Kobieta podniosła na niego zakłopotany wzrok.

- Kilka lat temu krążyły o Mulfordzie pewne plotki. Uznałam je za bezpodstawne, więc wyrzuciłam je od razu z głowy, zupełnie o nich zapominając.

Ponury ton w głosie ciotki rozbudził w Grancie złe przeczucia.

- Cóż to były za plotki?

- Słyszałam, że Mulford... - Lady Phoebe zamilkła, jakby szukała odpowiedniego sformułowania. - Że Mulford znajdował przyjemność poza małżeńskim łóżem. W objęciach... w objęciach mężczyzny.

Sophie wspinała się właśnie schodami do biblioteki, kiedy z pokojów szwagierki wyłoniła się ona sama. Kobiety nie widziały się od poprzedniego wieczora, co zresztą nie było znowu takie dziwne. Poza krótkim pobylem w pokoju do nauki, większą część dnia Sophie spędziła bowiem w bibliotece, zajęta szukaniem pamiętników Annabelli. Chciała dzięki temu zajęciu zapomnieć o incydencie z Grantem.

Jednak nie udało jej się ani jedno, ani drugie.

Pomimo że z tym walczyła, wspomnienie pocałunków Granta powracało do niej nieustannie. Ocieplało ono ponury chłód deszczowego dnia. Dodawało kolorytu i jasności otoczeniu. Budziło pragnienie porzucenia żałobnej czerni i zamiany jej na słoneczne, wiosenne barwy: na zieleń, żółć i róż.

Domyślała się, co powiedziałyby na to Helena. Jak każda wielka dama, siostra Roberta została wychowana według surowych zasad. Sophie dziwiła się nawet, że szwagierka nie zrobiła jej awantury o tę wyprawę do Tower. Wiedziała jednak, że teraz nie uniknie już nagany, więc, szykując się na nią, przyjęła chłodną i wyniosłą postawę.

- Witaj, Heleno. Ten dom jest stanowczo zbyt wielki, skoro możemy przez cały dzień ani razu się nie spotkać.

O dziwo starsza kobieta odpowiedziała jej uśmiechem. Jej niebieskie oczy błyszczały ożywieniem, kiedy wysunęła przed siebie pakiecik listów w zaklejonych kopertach.

- Byłam zajęta pisaniem zaproszeń.

- Zaproszeń?

Skinąwszy głową, Helena wetknęła Sophie rękę pod ramię.

- Chodź ze mną na dół. Położę je w holu, żeby listonosz mógł je zabrać.

Schodząc wraz ze szwagierką do głównego przedsionka, Sophie dziwiła się jej życzliwemu nastrojowi. Dlaczego nie robi jej wyrzutów o Granta?

- Nic nie rozumiem. Nie przyjmowałyśmy gości od czasu...

- Od śmierci Roberta. - Przez twarz Heleny przemknął cień smutku. Na chwilę odwróciła wzrok. Kiedy jednak ponownie spojrzała na Sophie, na jej ustach znów gościł uśmiech, a na twarzy wyraz determinacji. - Ale nie sądzę, żeby Robert życzył sobie, byśmy zamieniły się w pustelnicę. Uważam, że nie popełnimy żadnego wykroczenia, wydając w przyszłym tygodniu przyjęcie z uroczystym obiadem.

Sophie poczuła przypływ irytacji. Helena, jak zwykle, nie zapytała jej o zdanie. Nawet nie przyszła pokazać listy gości.

- A kogo, jeśli wolno spytać, zapraszamy? Uśmiech szwagierki nieco przybladł.

- Wybacz. Jestem tak podekscytowana, że nie wyrażam się jasno. Na przyszły czwartek przypadają urodziny Elliota i przyjęcie ma się odbyć właśnie na jego cześć. Pozwoliłam sobie zaprosić na nie kilku znajomych z arystokracji.

Elliot. Niewiadomo dlaczego, Sophie ogarnęło przekonanie, że szwagierka coś knuje.

- Przecież do tej pory nigdy nie świętowaliśmy jego urodzin.

- Ale te są specjalne. Elliot kończy czterdzieści lat. To ważna data, nie uważasz?

- Tak, tylko nie wiem, jak zamierzasz go tu zwabić. On woli swoje starożytne ruiny od przyjęć lub czegokolwiek, co ma związek z Londynem.

Helena popatrzyła na mówiącą z rozbawieniem.

- To proste. Powiedziałam mu, że jeszcze raz przemyślimy kwestię wypożyczenia muzeum Montagu House wykopalisk z Chichester.

Sophie ze zdumienia zatrzymała się na szczycie schodów.

W minionym roku w jednym z wiejskich majątków Roberta pewien rolnik podczas orki natknął się w ziemi na starożytny cmentarz, w którym znaleziono wiele cennych przedmiotów. Między innymi pozłacaną tarczę, broszę z cennymi kamieniami, a także sporą ilość złotych i srebrnych monet. Elliot oczywiście pragnął dołączyć to wszystko do swojej kolekcji starodawnych przedmiotów, lecz Robert miał inny pomysł. Zamierzał przekazać znaleziska jakiemuś muzeum. Kuzyni się posprzeczali. W końcu Robert zmarł, zanim zdążył wprowadzić w czyn swój plan, znaleziska zaś pozostały w bankowym skarbcu.

- Nie powinnaś ściągnąć Elliota do Londynu pod fałszywym pretekstem - zaprotestowała Sophie. - Z pewnością szybko przejrzy twój podstęp.

Helena uniosła jedną brew.

- Ale zjawi się na przyjęciu. A o to nam przecież chodzi, czyż nie?

- No tak - przytaknęła. - Przyznam, że to sprytny plan, diabelsko sprytny. Tylko co przeszkodzi Elliotowi odwrócić się na pięcie i odejść, kiedy już zorientuje się, po co naprawdę go tu sprowadziłaś?

- Zostaw to mnie. Najważniejsze, żeby zatrzymał się w Londynie na kilka dni.

Do Sophie dotarło wreszcie, co w rzeczywistości może być powodem zaskakującego zachowania szwagierki.

- Jeśli twoje plany mają związek z edukacją Luciena, nie musisz nękać biednego Elliota. Pan Chandler zgodził się już, żeby Lucien pozostał w domu jeszcze przez rok.

Helena obrzuciła rozmówczynię cynicznym spojrzeniem.

- Doprawdy, widzę, że nie marnowałaś czasu. Szybko ci się udało oczarować Chandlera.

Sophie popatrzyła lodowato na szwagierkę.

- Nikogo nie czarowałam. Robiłam tylko to, co jest najlepsze dla Luciena.

- W takim razie sprawę jego wykształcenia pozostawiam tobie. Ja tymczasem zajmę się zaproszeniami. - Helena przeszła do stolika stojącego przy drzwiach.

Położyła listy na srebrnej tacy, pieszcząc ostatni w dłoniach, jakby to było nowo narodzone niemowlę. Sophie czekała przy poręczu, hamując chęć tupnięcia obcasem pantofelka w marmurową posadzkę. Nie wierzyła, że szwagierka tak łatwo zrezygnuje z chęci wtrącania się do sprawy wykształcenia Luciena.

- Odnoszę wrażenie, że nie powiedziałaś mi wszystkiego - oświadczyła.

Usta drugiej kobiety wygięły się w uśmiechu.

- Moja droga Sophie, nie bądź taka podejrzliwa. Ale to rzeczywiście prawda, że nie wyjawiałam ci do końca moich zamiarów. Na przyjęcie zaprosiłam kilka niezameężnych dam. Najwyższy czas, żeby Elliot znalazł sobie żonę.

Kiedy Grant opuszczał dom ciotki, nie padało już, za to na ciemnej ulicy unosiła się szara mgła oblepiająca lepкими mackami okoliczne budynki i drzewa. Odgłos stukotu kopyt odbijał się głuchym echem od ścian domów. Od czasu do czasu niewyraźna żółta kula ulicznych latarni wyzierała zza mgły, niczym czyjeś śledzące oko.

Grant nie zwracał jednak uwagi na ponurą scenerię. Pograżony był bowiem w burzliwych rozmyślaniach. Ciotka Phoebe namawiała go, żeby został na kolacji - a także prosiła, aby zaczekał z wizytą u Sophie aż przejdzie mu furia. Bo rzeczywiście czuł, że rozrywa go wściekłość po tym, co usłyszał. Ledwo się kontrolował.

Mulford znajdował przyjemność poza małżeńskim łóżem. W objęciach... w objęciach mężczyzny.

Te słowa były jak cios w brzuch. Nie mógł w nie uwierzyć, nie zamierzał w nie wierzyć. Chciało mu się śmiać, a zarazem był wściekły. W jego głowie walczyły ze sobą dwa wizerunki przyjaciela. Spokojnego, ustatkowanego Roberta i Roberta sodomity. Niemożliwe!

Zaklął pod nosem. Przecież, gdyby to była prawda, coś by zauważył. Coś by podejrzewał!

Niemniej rozmowa z ciotką dała mu do myślenia.

To prawda, że znał Roberta od czasów dzieciństwa, ale kiedy obaj weszli w wiek, w którym chłopcy zaczynają interesować się dziewczętami, ich drogi się rozeszły. Robert wyjechał do Eton, on do Harrow. Jako dorośli mężczyźni spotykali się sporadycznie, najczęściej w klubie na obiadach, żeby powspominać minione, dobre czasy. Każdy argument, który Grant podnosił w obronie przyjaciela, lady Phoebe zbijała wiarygodnym kontrargumentem.

- Przecież Robert, do licha, zalecał się do kobiet - z jedną się nawet ożenił.

- Żeby ukryć prawdę przed światem. Dziwisz mu się? Sodomia jest karana śmiercią.

- Ale począł syna.

- Tego typu mężczyźni często sprawiają sobie dzieci. Żona i rodzina to doskonała przykrywka dla ich chorych skłonności.

- Mnie nigdy nie zaczepiał. Ciotka roześmiała się głośno.

- Bo ty ewidentnie gustujesz w kobietach. Mulford musiałby być ślepy, żeby tego nie zauważyć.

- Nie zamierzam wierzyć plotkom.

- Ja też tak powiedziałam, kiedy usłyszałam to po raz pierwszy. Ale pamiętaj, że wszystko jest prawdopodobne i może mieć związek z twoim dochodzeniem.

Grant skrzywił się. Rzeczywiście, rewelacje usłyszane od ciotki mogą mieć znaczenie. Wskazywały na motyw, którym kierowała się Sophie.

Potrafił wyobrazić sobie jej przerażenie, kiedy odkryła prawdę o mężu. Sam był nią zaszokowany, a co dopiero ona. Przypuszczalnie nie zdawała sobie nawet sprawy z istnienia podobnych skłonności.

Dla Granta nie była to jednak nowość. W czasach szkolnych dochodziły go słuchy, że inni chłopcy zabawiają się ze sobą po kryjomu w niedozwolony sposób. Jako dorosły człowiek wiedział o mężczyznach odwiedzających podejrzane domy publiczne, w których bez zbędnych pytań zaspakajano ich najdziwniejsze zachcianki. Grant bagatelizował te zachowania, choć ich nie rozumiał. Nie umiał sobie wyobrazić, jak mężczyzna może nie pożądać kobiety.

Tym bardziej Robert.

Robert, który ożenił się z Sophie.

Piękną, ognistą, zmysłową Sophie, uwielbiającą cielesne rozkosze. Teraz się okazało, że Robert wykorzystał żonę do zamaskowania swoich przywar. Czy Sophie odkryła jego sekret, a następnie, mszcząc się, otruła go? Kolejna myśl sprawiła, że Grantowi zebrało się na mdłości. A może Sophie od początku o wszystkim wiedziała? Może dobiła diabelskiego targu: w zamian za tytuł księżnej przymknęła oko na mężowskie wynaturzenie? Tyle że w końcu ta szarada ją znużyła.

Jakkolwiek było, Grantowi chciało się wyć z rozpacz.

Poprowadził konia w boczną uliczkę na tyłach swojego miejskiego domu. Uświadamiając sobie, że wierzchowiec musi wyczuwać wzburzenie jeźdźcy, złuzował nieco uścisk rąk na wodzach. W tym samym momencie dostrzegł jakieś poruszenie w spowitym mrokiem wnętrzu stajni.

Ktoś się tam czał. Jakiś człowiek. Czyżby znów złodziej?

Splądrowana sypialnia. Wren, leżący na ziemi ze zranioną głową.
Przeklęty list od Roberta.

Grant w jednej chwili całą wściekłość przeniósł na obecną sytuację. Zapominając o ostrożności, wbił pięty w boki konia i rzucił się wraz z nim wprost na przeciwnika. Jeśli to Sophie, nie pozwoli jej uciec. Jednym płynnym ruchem zeskoczył z siodła i pochwycił w garść połę płaszcza intruza.

Ten obrócił się. W powietrze wystrzeliło jego ramię. Uwagę Granta przykuł błysk ostrza.

Nie chciał zranić Sophie, więc powstrzymał impuls zadania ciosu ręką ściskającą nóż. Zamiast tego wykonał unik, a następnie złapał przeciwnika za rękaw płaszcza z zamiarem odebrania mu broni.

Natychmiast pojął swoją pomyłkę. Owiała go ostra woń potu. Ramię, które trzymał, okazało się mocno umięśnione. Za przeciwnika miał mężczyznę, który od razu wykorzystał moment jego wahania.

Najpierw walnął Granta z całej siły w szczękę, a potem okręcił się dookoła, wyszarpując rękę. Grant pod wpływem rażącego ciosu zachwiał się na nogach i, zataczając się, opadł plecami na mur okalający ogród. Odbił się od niego i rzucił z powrotem do walki.

Ale było już za późno. Przeciwnik biegł w ciemnościach w stronę jego konia. Dosiadł go jednym susem i choć wodze zwisały z boku, zerwał go do galopu ze zręcznością doświadczonego jeźdźcy.

- Stój, do cholery! - krzyknął za nim wściekle Grant.

Wyrwał się do przodu, chcąc pochwycić wodze, ale złodziej zdążył przerzucić je na drugi bok.

Grant zerwał się za nim w pościg, jednak po wybiegnięciu na ulicę zatrzymał się. Zrozumiał, że jego poczynania nie mają sensu. Uciekinier zdążył już zniknąć we mgle. Odgłos tętniących kopyt stawał się coraz cichszy. Grant zaklął, wściekły na siebie jak diabli. I nie chodziło o to, że utracił wierzchowca, za którego niecały tydzień wcześniej zapłacił naprawdę sporą sumę - stać go na kupno nowego. Nie, Grant był wściekły, bo wiedział, że może nigdy nie mieć okazji udowodnić, że złodzieja wynajęła Sophie.

Rozdział IX

7 listopada 1701

Wszystkie moje nadzieje na spotkanie z Williamem spaliły na panewce z powodu pewnego strasznego wydarzenia. Do Londynu przyjechała ciotka Mulforda, Edith. Pojawiła się w progu domu mego ojca w lektyce niesionej przez czterech postawnych lokajów.

To przerażająca kobieta. Ma orli nos i wyniosłe maniery. Zachwiałam się, wykonując pokłon, a ona spojrzała na mnie tak, jakbym nie była godna zostać księżną. Był to ponury początek bardzo nieprzyjemnego popołudnia. Owa dama ostro skrytykowała moją ślubną garderobę, łącznie z koronkami na nocnych

koszulach, czym ogromnie zdenerwowała moją biedną matkę. A co gorsza, lady Edith ma się do nas przeprowadzić, aby strzec mej cnoty do czasu zaślubin. Och, wiem, że Mulford podejrzewa mnie o najgorsze!

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Dręczona tęsknotą, Sophie wodziła z zachwytem palcami po skraju śliwkowego jedwabiu. Znajdowała się w sklepie z materiałami na Regent Street. Miękką tkanina w jej dłoni mieniła się pięknie w blasku oliwnej lampki. Sophie nosiła żałobę już od dziesięciu miesięcy, więc nawet tak zgaszony kolor jak fiolet przemawiał jej do serca. Mimo to z powątpiewaniem zerknęła na swoją towarzyszkę.

- Chyba nie mówisz poważnie, Caro. Nie minął jeszcze przepisowy rok żałoby.

Caroline uśmiechnęła się. Jej błyszczące niebieskie oczy ocieniał rąbek stylowego żółtego kapelusika, dopasowanego kolorem do muslinowej sukni.

- I tak chodzisz w żałobie dłużej, niż Robert by sobie tego życzył. Przecież podobało mu się, kiedy ubierałaś się barwnie, czyż nie?

Sophie nie mogła temu zaprzeczyć. W przeciwieństwie do innych mężów, Robert lubił wybierać się z nią do krawcowej. Miał nieskazitelny gust i oko do pięknych rzeczy. Sophie dręczyły teraz wyrzuty sumienia na myśl, że niegdyś buntowała się, iż mąż usiłuje robić z niej swoją osobistą modnie odzianą lalkę.

- Nie wypada, żebym łamała zwyczaje - odparła zdecydowanie, porzucając śliwkowy jedwab i przechodząc do kuponu z czarną taftą. - Robert zgodziłby się ze mną.

- Nonsens. Powiedziałby, że fiolet jest wystarczająco poważny. I przypomnieliby ci, że świetnie pasuje do twojej jasnej cery.

- Robert miał obsesję na punkcie przyzwoitości. Twierdził, że książę i księżna zobowiązani są dawać dobry przykład swoim postępowaniem.

Caroline pochwyciła przyjaciółkę za ramię i delikatnie pociągnęła z powrotem do kuponu z jedwabiem.

- Nie zapominaj, kochanie, że to ty będziesz gospodynią na przyjęciu z okazji urodzin Elliota. Żałobna czerń rzuci ponury cień na uroczystość.

Przyglądając się luksusowemu materiałowi, Sophie czuła, że jej opory słabną. Jakże kobieco by się prezentowała w tym... Jaka byłaby zadowolona, widząc błysk podziwu w oczach Granta.

- Ludzie mnie skrytykują. Powiedzą, że nie szanuję pamięci zmarłego.

- No, doprawdy, czy mówi to ta odważna Sophie Huntington? Ta sama, która za nic miała ludzkie gadanie?

Caroline trafiła w sedno. Tamta śmiała dziewczyna nadal istniała. Sophie pojęła to tego wieczora, gdy Grant ją pocałował. Po tym incydencie, przez następne dwa dni, w sercu czuła gorączkowe trzepotanie, jakby skryła się tam mała, dzika ptaszyna. Dlaczego po dziesięciu latach nienagannego prowadzenia się miałabym nie pozwolić sobie na małe szaleństwo? - pytała samą siebie.

Czyżbym aż tak bardzo obawiała się plotek?

Śmiejąc się na głos, potrząsnęła głową.

- Caroline, to ty, zamiast Jamesa, powinnaś zasiadać w Parlamencie. Masz taki dar przekonywania, że muszę mu ulec.

Na twarz przyjaciółki wypłynął dodający jej uroku szeroki uśmiech.

- Wspaniale. Zamówimy zatem mnóstwo pięknych sukien. Powinny być gotowe do mojego powrotu z odwiedzin u wdowy w Wimbledon. To znaczy za tydzień.

Kobieta wezwała subiekta, który czekał z boku, aż klientki dokonają wyboru. Za namową przyjaciółki Sophie zakupiła też kilku innych rzeczy, w tym kupon czarno-szarego jedwabiu, ciemnoniebieskiego muślinu i kilka jardów brukselskich koronek, którymi zamierzała ożywić czarne suknie. Potem panie

kazały zanieść wszystko do pobliskiego zakładu krawieckiego, gdzie spędziły przyjemnie kilka następnych godzin, popijając herbatę i przeglądając żurnale z najnowszą modą.

Sprawunki w towarzystwie przyjaciółki sprawiły Sophie niemal taką samą radość, jak wyprawa do Tower z Grantem i Lucienem. Prawie zapomniała, jak miło spędza się czas na zakupach. Kiedy wreszcie panie postanowiły zakończyć eskapadę, zbliżała się czwarta po południu. W drodze powrotnej, trawiona lekkimi wyrzutami sumienia, że od rana nie widziała się z synem, Sophie postanowiła, że po dotarciu do domu szybko się odświeży i zaraz potem uda się do pokojów Luciena.

Drzwi otworzył jej Phelps.

- Jak tam książę? Czy panna Oliver zabrała go na spacer po parku? - spytała, oddając kamerdynerowi pelisę.

Wysoki i sztywny, stary służący sprawiał wrażenie nadętego bardziej niż zwykle.

- Nie, wasza książęca mość. Obawiam się, że nie zabrała.

Sophie zastygła w trakcie ściągania rękawiczek z kozłej skóry. Była zaskoczona odpowiedzią Phelpsa, wiedziała bowiem, że guwernantka jest zwolenniczką trzymania się rutynowego rozkładu zajęć.

- Ale przecież na dworze jest tak ładnie. Panna Olivier dobrze wie, że zależy mi, aby Lucien dużo spacerował na powietrzu. To niezdrowe siedzieć cały dzień w klasie.

- Książę nie był w klasie od rana.

- Słucham?

- Zaraz po pani wyjściu odwiedził go gość. A raczej to panią odwiedził gość. - Phelps zmrużył szare oczy, dając tym wyraz niezadowolenia. - Niejaki pan Chandler.

Grant. Serce Sophie zabiło mocniej z radości. Czy jest teraz na górze? Czekał tu cały dzień tylko po to, żeby się z nią zobaczyć? *To jeszcze nie koniec.*

Była podekscytowana tym ostrzeżeniem bardziej niż powinna. Co tylko świadczyło o tym, że brak jej rozsądku, skoro nie zamierza, nie ma nawet odwagi, ulec zalotom byłego kochanka.

Porzuciwszy frywolne myśli, uznała za stosowne przypomnieć delikatnie kamerdynerowi o statusie Granta.

- Pan Chandler to prawny opiekun mego syna. Przyszedł zapewne, aby się dowiedzieć, jak mu idzie nauka.

- Wątpię. - Phelps mocno zacisnął usta. - Pan Chandler dał panie Oliver wolne, po czym on i księżę bawili się przez pół dnia ołowianymi żołnierzami.

Dzięki Bogu, że Grant nie zapomniał o obietnicy. Lucien był pewnie zachwycony, że ma do towarzystwa mężczyznę. Sophie postanowiła, że teraz nie będzie się zamartwiała tym, iż syn za bardzo przywiąże się do opiekuna. Przeciwnie, z trudem zdusiła odruch, żeby pobiec szybko na górę.

- To wszystko - rzuciła w kierunku służącego. - Nie musisz informować pana Chandlera o moim powrocie. Sama go powiadomię.

Po tych słowach ruszyła w stronę schodów, ale Phelps znów się odezwał, jeszcze bardziej cierpkim tonem.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Pana Chandlera tu nie ma. On i księżę opuścili dom przed dwiema godzinami.

Sophie odwróciła się szybko do mówiącego.

- Jak to opuścili? Dokąd poszli?

- Do Hyde Parku. Słyszałem, że pan Chandler opowiadał księciu o jakichś wyścigach powozów.

Informacja uderzyła w Sophie z siłą góry lodowej. Podekscytowanie zastąpił mrozący krew w żyłach niepokój. Przez głowę przemknęły przerażające wizje. Powozy pędzące po zwirowej alei. Woźnice pochyleni do przodu, koła podskakujące i ślizgające się na nierównościach drogi. I w tym całym zamieszaniu Grant z Lucienem u boku...

Dusząc się strachem, wyrwała czarną pelisę z rąk służącego.

- Powinieneś być od razu mi o tym powiedzieć - warknęła. - Każ natychmiast podstawić z powrotem mój powóz.

- Tak jest, jej książęca mość. Natychmiast. - Jakby uradowany jej wściekłością, Phelps pospiesznym krokiem opuścił hol.

Sophie nie marnowała czasu na zżymanie się na bezczelność służącego. Drżącymi dłońmi przycisnęła do piersi pelisę. Krążyła po olbrzymim holu, zapewniając się w duchu, że nic złego się nie wydarzyło. Miała nadzieję, że stajenni nie zdążyli jeszcze odczepić koni, tak więc już za kilka minut będzie w drodze. Park znajdował się niedaleko. Dotrze tam i powstrzyma Granta przed narażaniem jej syna na...

Ogarnięta paniką, szarpnęła drzwi i wybiegła na ganek. Zachodzące już słońce przysłaniały przesuwające się gęsto po niebie szare chmury. Przepęlniona wilgocią, chłodna bryza owiała jej cienką, muślinową suknię. Dobry Boże, czy zdąży do parku na czas? W tej właśnie chwili Lucien może umierać ze strachu. Gorzej, może leżeć na ziemi obok roztrzaskanego powozu...

Szczękając zębami, bardziej ze strachu niż zimna, podeszła do skraju werandy.

Po wyłożonej kocimi łbami ulicy przejeżdżało z hukiem kilka pojazdów, ale żaden nie przypominał statecznego czarnego powozu Mulfordów. Przeklęty Phelps! Czyżby nie uprzedził stajennych, że mają się spieszyć?

Pomyślawszy, że powóz nadjedzie być może z drugiej strony, obejrzała się za siebie. I w tym samym momencie z jej ust wyrwało się głośne sapnięcie.

Ulicą nadjeżdżała w jej kierunku zgrabna, żółta dwukółka Granta. Lucien siedział na wysokim siedzeniu pomiędzy nogami opiekuna, który obejmował go ramionami i pomagał przytrzymywać wodze.

Ucisk w sercu Sophie zelżał. Z ulgą oparła się o masywny biały filar, a tymczasem dwukółka zatrzymała się tuż przed nią, przy krawężniku. Sophie, wpatrzona w syna, czy nie poniósł jakichś obrażeń, wykrzesła z siebie dość siły, by zejść na dół. Lucien wyglądał na całego i zdrowego, policzki miał

zaróżowione, a orzechowe oczy lśniły mu się mocno pod rozczochraną, rudobrazową grzywką.

- Mamo, mamó! - wołał z podekscytowaniem. - Powoziłem końmi całą drogę do domu. Widziałaś, jak podjeżdżałem?

Sophie zmusiła się do uśmiechu.

- Widziałam. Świetnie dawałeś sobie radę. - Wyciągnęła rękę do syna. Po napadzie strachu o niego, teraz pragnęła go jedynie do siebie przytulić. - Chodź tu do mnie szybko. Już czas na obiad.

Chłopiec spochmurniał i odwrócił głowę do Granta.

- Czy mógłbym jeszcze raz przejechać się dookoła domu, sir?

- Kiedy indziej - odparł łagodnie pytany, spoglądając przy tym na Sophie.
- Teraz lepiej idź z mamą.

Mimo że rozczarowany, chłopiec natychmiast zeskoczył na ziemię. Sophie przykucnęła i złapała go w objęcia. Lucien, który wtulał się w jej policzek miękkimi włoskami, wydał jej się drobny i nieskończenie drogi. I choć cieszyła się, że nic złego go nie spotkało, zarazem czuła się lekko urażona.

Syn zamiast posłuchać jej, zwrócił się do Granta. Tak jakby decyzja opiekuna była ważniejsza od decyzji matki. Irytowało ją, że Grant tak szybko zyskał sobie autorytet w oczach Luciena. Dobry Boże, czyżby popełniła błąd, pozwalając im na kontakty?

W tok jej myślenia wdarła się gorzka prawda. Nie była w stanie zapobiec tym kontaktom. Jako opiekun Grant ma do nich pełne prawo.

On też zeskoczył na ziemię i stanął obok chłopca. Sophie powiodła wzrokiem po jego postaci, od wypolerowanych czarnych butów z cholewkami, przez opięte skórzane bryczesy i wykwinny niebieski surdut z nieskazitelnie białym fularem, po diabelsko przystojną twarz. Wpatrywał się w nią przenikliwie chłodnym wzrokiem, który krył w sobie wyzywające oświadczenie mówiące, że wolno mu zabierać Luciena wszędzie i zawsze, kiedy zechce.

Owładnęła ją furia. Była wściekła, że Grant oczarował sobą syna i na dodatek umniejsza jej znaczenie w jego oczach.

Lucien wyrwał się jej z objęć.

- Puść mnie, mamó. Nie jestem już przecież małym dzidziusiem.

Grant przyjaznym gestem zmierzwił chłopcu włosy.

- Nigdy nie jest się zbyt dorosłym na przytulanie się do matki.

Te słowa jeszcze bardziej ją zirytowały. Uważała je za protekcjonalne. Jednak ze względu na obecność syna powstrzymała się przed przykrym komentarzem. Z wybuchem gniewu musi poczekać na odpowiednią chwilę, uznała.

Za dwukólką zatrzymał się w tym momencie z hukiem powóz Ramseyów. Sophie poinformowała zdeorientowanego woźnicę, że zmieniła zdanie i nigdzie nie jedzie. Dostrzegła zmarszczkę na czole Granta i zrozumiała, że domyślił się, iż zamierzała udać się na poszukiwanie jego i Luciena. I dobrze. Lepiej, żeby sobie uświadomił, że nie będzie beczynnym siedziela, kiedy on naraża jej dziecko na niebezpieczeństwo.

Grant położył dłoń na ramieniu chłopca.

- Chodźmy do domu, łobuziaku. Chyba wystarczy tych atrakcji na jeden dzień.

Ruszyła razem z nimi.

- Co robiliście w parku, kochanie? - spytała syna niby to obojętnie. - Phelps mówił, że pojechaliście obejrzeć jakieś wyścigi. - Po tych słowach ponad główką Luciena posłała Grantowi pełne wyrzutu spojrzenie.

Lucien wyglądał na zmieszanego.

- Er... miałem nie mówić... To znaczy... - Podniósł oczy na opiekuna.

- Już dobrze - rzucił spokojnie Grant. - Sam opowiem o wszystkim twojej mamie.

Z uprzejmością prawdziwego dżentelmena, otworzył drzwi i puścił Sophie przodem. Ubiegł ją Lucien, chcąc szybko wbiec do domu. Wyminął

matkę, jednak w ostatniej chwili cofnął się. W innych okolicznościach byłaby zachwycona jego zachowaniem, lecz teraz odczuwała głównie złość na Granta. Było jasne, że zakazał Lucienowi mówić o wyścigach.

Wmaszerowała energicznym krokiem do holu, natykając się w nim na Phelpsa, powracającego właśnie ze stajni. Służący obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

- Jej książęca mość?

- Czy panna Olivier wróciła już do klasy? - spytała.

- Panna Olivier jest na dole, w kuchni. Mam po nią posłać...?

- Nie - rzuciła ostro, po czym już łagodniejszym tonem zwróciła się do Luciena: - Ty też możesz zejść do kuchni. Zobacz, może kucharz upiekł świeże bułeczki.

Oczy chłopca pojaśniały. Objął matkę za szyję i cmoknął w policzek.

- Dziękuję, mam - krzyknął i pobiegł korytarzem w głąb domu.

Sophie zaś ze ściśniętym gardłem zastanawiała się, czy syn pocałował ją spontanicznie... czy raczej, bo Grant powiedział, że tak wypada.

Nie. Nie będzie kwestionowała uczuć Luciena. Nie pozwoli także, żeby ktoś spoza rodziny pomniejszał jej matczyne autorytet. Popełniła błąd, porzucając chęć namówienia Granta do zrzeczenia się opieki nad synem. Nie czas teraz jednak na spóźnione żale. Teraz musi wyznaczyć granice dotyczące kontaktów Granta z jej dzieckiem.

- Porozmawiamy w bibliotece - rzuciła. - Chodź za mną.

- Z przyjemnością.

Grant mówił szczerze. Krocząc za Sophie długim, wyłożonym marmurem korytarzem, przyglądał się jej z uznaniem. Podziwiał ruch jej bioder pod materiałem ciemnej sukni. Podziwiał zarys zgrabnych nóg, przypominając sobie przy tym, jak te nogi owijały się niegdyś wokół jego bioder...

Siłą woli sprowadził myśli do teraźniejszości. Czuł, że Sophie jest bardzo zdenerwowana. Zaniepokojenie na jej twarzy, gdy stała na werandzie, mówiło

samo za siebie. Dopiero teraz pojął, że musiała doznać szoku, kiedy po powrocie do domu przekonała się, że Luciena nie ma.

Może i jest morderczynią, ale kocha syna.

Tylko dlaczego, do diabła, uważa, że on nie potrafi się nim zaopiekować?

Nie planował wcale odwiedzić chłopca. A już z pewnością nie zamierzał spędzić z nim całego dnia. Przybył do Mulford House, żeby wypytać Sophie o sekret jej męża. Niestety, okazało się, że wyszła na zakupy. Postanowił więc na nią zaczekać, umilając sobie czas zabawą z Lucieniem. Sprawiało mu wielką przyjemność patrzeć, jak chłopiec ekscytuje się odgrywaną przez nich bitwą pod Waterloo. Jednak, mimo że doprowadzili ją do końca, a Napoleona osadzili w więzieniu na odosobnionej wyspie, Sophie nadal nie wracała. Zniecierpliwiony i niespokojny, zabrał wtedy Luciena na przejażdżkę. Nie pomyślał, jak zareaguje na to jego matka.

Kiedy wchodzili do biblioteki, dostrzegł na jej twarzy wyraz stanowczości. Jej delikatne rysy stały się wyniosłe - uniesiony dumnie podbródek, zaciśnięte usta, zmrużone oczy. Bez wątpienia szykowała się do kłótni.

Podobnie jak i on. Tyle że jemu nie chodziło o Luciena. Zdecydował jednak, że najpierw pozwoli wypowiedzieć się Sophie. Może nawet ją przeprosi, jeśli zajdzie taka potrzeba. Kobiety to lubią.

Przeszła do krzeseł, stojących przed kominkiem, po czym odwróciła się ku niemu. Ponieważ nie usiadła, Gran też stał. Oparł ramię o gzyms i przybrał skruszoną minę.

- Sophie, przykro mi, że cię wystraszyłem. Nie taka była moja intencja.

Z rękami opartymi na biodrach stała przed nim całkiem nieruchomo, choć wydawało się, że z trudem się hamuje, by się na niego nie rzucić.

- Jesteś bardzo uprzejmy, ale nie dam się tak łatwo zbyć. Czas, żebyś zrozumiał kilka spraw. Po pierwsze, nigdy więcej nie zakłócaj rozkładu zajęć Luciena.

- To tylko dziecko - zauważył. - Nic się nie stanie, jeśli opuści kilka lekcji.

- Był już w tym tygodniu na wycieczce. Nie pozwolę, żebyś go rozpuścił. Ponadto popełniłeś błąd, dając pannie Olivier wolne popołudnie...

- Nic takiego nie miało miejsca. Powiedziałem tylko, że może robić, co chce, do twojego powrotu, i że ja zajmę się w tym czasie Lucienem.

- Zajmiesz się Lucienem, tak? - powtórzyła Sophie zjadliwie. - Tak nazywasz zabieranie go z domu bez mojego pozwolenia? Zawiozłeś go na wyścig powozów, a potem namawiałeś do kłamstwa.

Grant uznał, że lepiej uczyni, jeśli nie będzie przypominał, że jako opiekun ma prawo zabierać chłopca wszędzie, gdzie zechce.

- Przyglądaliśmy się tylko tym wyścigom - wyjaśnił. - Nie braliśmy w nich przecież udziału. Co do namowy do kłamstwa, powiedziałem Lucienowi, że rozsądniej zrobi, jeśli zachowa milczenie i pozwoli mi wszystko wyjaśnić.

- A więc uczysz mojego syna swoich podstępnych sztuczek, tak? Nie pozwolę na to, Grant. Uczyłam Luciena, że trzymanie czegoś w tajemnicy jest równoznaczne z kłamstwem.

Sophie popatrzyła na buzujący w kominku ogień. Grant zaś kiwał chłodno głową, jakby rozmyślał nad jej hipokryzją. Na policzki wypłynął jej lekki rumieniec, następny dowód, że czuła się winna, że oczekiwała od syna lepszego postępowania niż od siebie.

Grant zorientował się, że ogarnia go coraz silniejsza złość. Sophie przez lata pomagała Robertowi kryć przed światem jego chore skłonności. Co więcej, ukrywała także swój udział w morderstwie. A ostatnio wynajęła potajemnie zbirów, którzy wdarli się do jego domu i splądrowali jego sypialnię. Z pewnością był to ten sam łotr, który ukradł mu konia.

Nie panując już nad sobą, zbliżył się do rozmówczyni i uniósł palcem jej podbródek. Poczul bijący od niej zmysłowy, kobiecy zapach. Z trudem zdusił chęć pocałowania jej, zamienienia wściekłości w namiętność.

- Doprawdy, jesteś aż tak cnotliwa, Sophie? Ty nie kryjesz przed światem żadnych tajemnic?

Zielone oczy kobiety zdradzały wewnętrzne wzburzenie - ale tylko przez chwilę. Sophie zamrugała powiekami i przybrawszy dumną minę księżnej, cofnęła się o krok.

- Znam te twoje sztuczki, Grant. Nie rozproszysz mojej uwagi. I tak powiem, co mam ci do powiedzenia. Nie ma znaczenia, czy brałeś udział w wyścigach, czy nie. Najważniejsze jest to, że naraziłeś Luciena na niebezpieczeństwo. Gdyby doszło do jakiegoś wypadku, gdyby powóz wpadł na widzów...

Ton przerażenia w jej głosie przedarł się przez jego gniew. Oparł dłonie na ramionach Sophie i uspakajająco je pogładził.

- Przywiozłem go do domu z powrotem całego i zdrowego. Zapewniam, że nawet przez moment nic mu nie zagrażało.

Odepchnęła jego ręce.

- A co ludźmi, którzy przychodzą na te wyścigi? Takimi jak lord Kilminster i Jerry Updike? I te kobiety z półświatka. Naprawdę uważasz, że to odpowiednie towarzystwo dla małego chłopca?

Nuta potępienia w jej głosie zbiła go z tropu. Rzadko miewał kontakty z dziećmi, więc nie zastanawiał się nigdy, jak należy się nimi zajmować.

- Masz rację - przyznał, przelitykając dumę. Nie powinien zabierać Luciena w takie miejsca.

- I żeby to się więcej nie powtórzyło - dodała. - Od tej pory masz się stosować do moich zasad.

- Twoich?

- Owszem. I lepiej uważnie mnie wysłuchaj. - Zaczęła wyliczać na palcach: - Po pierwsze, nie będziesz zabierał Luciena z domu bez mojego pozwolenia. Po drugie, będziesz go odwiedzał tylko wtedy, kiedy się na to zgodzę...

- Może lepiej czymś we mnie rzuć - przerwał jej.

- Słucham?

Rozdrażniony jej lodowatą postawą, porwał z pobliskiego stolika porcelanowy wazon i wetknął go Sophie w dłoń.

- Nie przyjmujesz moich przeprosin, może więc, żeby sobie ulżyć, rzuć we mnie tym wazonem.

Zacisnęła palce na porcelanowym naczyniu. Widać było, że zastanawia się, czy rzeczywiście nie rozbić go na głowie rozmówcy. Grant był prawie zawiedziony, kiedy ostrożnie odstawiła flakon.

Potem, przymknąwszy oczy, nabrała głęboko powietrza. A kiedy uniosła powieki, w miejscu dumnej księżnej pojawiła się zmartwiona kobieta.

- Przyjmę twoje przeprosiny, tylko błagam, zrozum mój niepokój. Nie chodzi o zwykły wybuch gniewu. Prawda jest taka, że bardzo się boję... boję się o Luciena.

Głębia emocji w jej głosie była poruszająca. Czyżby domyśliła się, że podejrzewa ją o morderstwo? Czy martwi się, co stanie się z jej synem, kiedy trafi do więzienia?

- Nie bardzo rozumiem.

- Boję się o niego, ponieważ Lucien tak bardzo... tak bardzo cię podziwia.

- Sophie podeszła bliżej i złapała go za poły płaszcza. - Och, Grant, jesteś teraz jedynym mężczyzną w jego życiu, więc to naturalne, że we wszystkim będzie cię naśladował.

Te słowa go zaskoczyły.

- Doskonale wiem, Sophie, że popełniłem błąd. Sądziłem, że jasno to wyraziłem.

- Nie chodzi tylko o dzisiaj. - Sophie zamilkła, szukając czegoś w jego wzroku. Grant nie miał pojęcia, czego. - Dobrze wiem, że sprawy rodzinne niewiele cię obchodzą. Zatem, jeśli zamierzasz opuścić Luciena, proszę, uczyn

to już teraz, zanim na dobre się do ciebie przywiąże. Lucien stracił ojca. Będzie bardzo cierpiał, tracąc także ciebie.

Grant mimowolnie przypomniał sobie pełną zaufania twarzyczkę chłopca. Z własnego doświadczenia wiedział, jak to jest mieć obojętnego ojca. Uciekając przed uczuciowym grzęzawiskiem, odwołał się do swojego uroku. Uniósł dłoń Sophie i złożył na niej szarmancki pocałunek.

- Nie porzucę Luciena - zapewnił. - Przysięgam.

Księżna potrząsnęła głową, najwyraźniej mu nie wierząc.

- Takie przysięgi nic nie znaczą, Grant. Liczy się to, co zrobisz. Lucien musi wiedzieć, że może na ciebie liczyć - albo przestań go odwiedzać. Moim zdaniem powinieneś podpisać dokumenty zwalniające cię z opieki nad nim.

Na usta cisnęły mu się słowa zapewniające o jego szczerych intencjach. Wiedział jednak, że Sophie nie zadowolili się uspokajającymi frazesami. Kochała syna niemal zwierzęcą miłością. Rzuciła mu wyzwanie, którego nie da się obejść wylewnością. Czy naprawdę chce wziąć na siebie odpowiedzialność za opiekę nad małym chłopcem? Powinien ją na siebie przyjąć, choć taka perspektywa go onieśmiałła. Gorzej, z zażenowaniem uświadomił sobie, że postrzegał opiekę nad Lucieniem tylko jako szansę na spędzanie czasu z Sophie, na okazję do uwiedzenia jej i wyciągnięcia od niej wyznań. Tylko, co stanie się z samym Lucieniem, kiedy jego matka trafi do więzienia?

To właśnie był słaby punkt jego planu zemsty. Lucien będzie ogromnie cierpiał. Lucien, chłopiec, który z miejsca go zaakceptował, którego twarz jaśniała, ilekroć Grant wchodził do pokoju.

Lucien, którego ojciec został zamordowany.

Grant podjął decyzję. Przysięgnął przecież, że złapie zabójcę, nie wolno mu więc teraz się wahać.

Pamiętając o tym, wziął Sophie pod ramię i podprowadził ją do sofy.

- Zrzeczenie się opieki to nie taka prosta sprawa - oświadczył. - Będę musiał porządnie ją przemyśleć. Lepiej usiądźmy i porozmawiajmy.

Sophie patrzyła na niego z rezerwą.

- Nie rozumiem, cóż w tym trudnego. - dziwiła się. - Wątpię, żeby pociągała cię opieka nad dzieckiem.

- Niemniej tego właśnie oczekiwał ode mnie Robert. Nie umiem tak po prostu zapomnieć o jego ostatniej woli. Był moim przyjacielem i...

Drzwi do biblioteki stanęły nagle otworem, co uniemożliwiło Grantowi wyciągnięcie od księżnej prawdy o skłonnościach jej męża. Poirytowany, odwrócił się i zobaczył, że do pokoju wchodzi jakiś mężczyzna.

Nieznajomy miał na sobie luźną, brązową kurtkę i obszerne bryczesy, w których wyglądał jak ktoś z pospólstwa. Białą koszulę znaczyły liczne plamy, a rzedniejące na szczycie głowy, wijące się kasztanowe włosy sięgały mu do ramion. Jego skóra była ciemna i wysuszona od częstego przebywania na słońcu.

Rozpoznawszy kuzyna Roberta, Grant cicho Stęknął. Czekał na rozmowę z Sophie cały dzień i znowu musi ją odłożyć.

Sophie zaś patrzyła na przybysza z niekłamanym zdumieniem.

- Elliot! A ty co tutaj robisz?

Rozdział X

10 listopada 1701

Jestem w więzieniu, a ciotka Mulforda, Edith, to moja strażniczka. A oto uczciwy opis tego, jak wyglądał mój dzień:

Dziewiąta rano - śniadanie ze strażniczką, która wygłosiła wykład o zasadach zachowania przy stole.

Potem, do południa - pisanie przy pomocy mamy ostatnich zaproszeń na wielki ślub. Wysłuchałam wykładu o kaligrafii.

Od południa do trzynastej - ćwiczyłam ukłony przed moją prezentacją u Dworu. Wykład o tym, jak zwracać się do Jego Wysokości Króla.

Trzynasta - przekąska z mamą i strażniczką. Wykład o szacownych przodkach rodziny Mulfordów.

Od drugiej popołudniu do czwartej - siedziałam zamknięta w swoim pokoju, a strażniczka tymczasem ucinając sobie drzemkę.

O nieba, czuję się jak w złotej klatce! Czy odzyskam kiedyś wolność?

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Sophie, nieco zdezorientowana, podniosła się, kryjąc rozczarowanie faktem, że zmuszona jest przerwać rozmowę z Grantem, na której przecież ogromnie jej zależało. Wreszcie nadarzyła się okazja poruszenia sprawy zrzeczenia się przez niego opieki nad Lucieniem, a tu się okazuje, że znów trzeba odłożyć ją na później.

Tymczasem Elliot, choć w domu rodzinnym pojawił się po raz pierwszy od tygodni, wyraźnie nie zamierzał zaprzętać sobie głowy wyszukаныmi powitaniem.

- Doskonale wiesz, dlaczego przyjechałem - odburknął. Zaczął grzebać w kieszeni, z której po chwili wyciągnął skrawek sznurka, kawałek jakiegoś glinianego naczynia, a na koniec złożoną na pół kartkę papieru. Pomachał nią Sophie przed nosem. - Wszystko jest w liście od Heleny. Chcecie oddać wykopaliska z Chichester, a ja się na to nie zgadzam. Nie pozwolę i już!

Sophie z niejaką konsternacją przypomniała sobie o podstępnej szwagierki, pragnącej zwabić kuzyna na czwartkowe przyjęcie. Widocznie wiadomość od niej wprowadziła Elliota w taką wściekłość, że nie chciał czekać aż do czwartku.

Zastanawiając się, gdzie jest Helena, zerknęła w stronę drzwi.

- Niczego nie zamierzamy oddawać. Dobrze wiesz, że nie mamy do tego prawa. Rozmawiałeś już o tym z Heleną?

- Lokaj poszedł jej szukać. - Elliot ponownie potrząsnął listem. - Ale to musi być twoja sprawka. Pewnie udałaś się do powierników w banku i przekonałaś ich, żeby...

- Porozmawiamy o tym na osobności - przerwała mu stanowczym głosem. Nie chciała wikłać się w następne kłamstwo, a zwłaszcza przy Grancie. Już i tak sprawiał wrażenie ogromnie zdumionego. - Ale najpierw pożegnam mojego gościa.

Na te słowa Grant wstał i uprzejmym gestem podał dłoń kuzynowi Roberta.

- Elliot. Kupę lat.

Drugi mężczyzna, wyraźnie zaskoczony, okręcił się na pięcie. Chyba nie wiedział, że nie są z Sophie sami. Przez chwilę wpatrywał się w Granta pustym wzrokiem, zaraz jednak oczy mu pojaśniały. Potrząsnął wyciągniętą do niego ręką.

- A to dopiero, ty chyba jesteś tym chłopcem, który przed laty mieszkał w sąsiedztwie Roberta. Chandler, tak?

- Nikt inny. Jestem też prawnym opiekunem Luciena, co oznacza, że nie musisz już się o niego martwić.

- Luciena? - Elliot zmarszczył czoło, jakby nie wiedział, o kim mowa. - A tak, Lucien. To wspaniale! Trudno mi raz w miesiącu opuszczać wykopaliska. Odslaniamy rzymską willę w Surrey i ci przekłęci robotnicy...

- Pan Chandler wysłucha tego innym razem, bo teraz właśnie wychodzi - wtrąciła się oziębłe Sophie. Była zła na kuzyna, że stare ruiny są dla niego ważniejsze od jej syna.

- Za chwilę - rzucił Grant. - To fascynujące, co mówisz o wykopaliskach, Elliot. Ale wyjaśnij mi, co to są znaleziska z Chichester?

- Różne przedmioty z okresy starożytnego Rzymu, znalezione w zeszłym roku w jednym z majątków Roberta. Prawdziwy skarb. - Elliot, z przejęciem w oczach, zaczął krążyć po bibliotece, gwałtownie wymachując przy tym rękoma.

- Jeden z najcenniejszych odkrytych na angielskiej ziemi. Złoty dysk z wytłoczonymi na nim figurami bogiń - Fortuny, Wenus i Minerwy. Wysadzana klejnotami brosza do rzymskiej tuniki. Monety z wizerunkiem cesarza Kaliguli.

- Z twarzą wykrzywioną gniewem Elliot zwrócił się do Sophie. - Tyle że Robert nie chciał podarować mi tych znalezisk. Postanowił oddać je muzeum, choć wiedział, że noszę się z zamiarem utworzenia z mojej willi publicznego miejsca zwiedzania...

- Elliot, wystarczy - przerwała mu Sophie, podkreślając wyraźnie każdą sylabę. - To sprawy rodzinne, które z pewnością nie interesują pana Chandlera.

Nie dając Grantowi szansy na sprzeciw, pochwyciła jego ramię i pchnęła go w stronę wyjścia. Bliski kontakt silnie na nią podziałał. Mięśnie, które wyczuła pod rękawem surduta, były twarde i sprężyste. Intensywny zapach męskiej wody kolońskiej przywołał wspomnienie nocy, kiedy leżała obok Granta nago. Była zła, że jej ciało, nawet w takiej chwili, kiedy na głowie miała ważniejsze sprawy, tęskni za byłym kochankiem.

Może powinnaś nawiązać z nim romans.

Pomimo jej usilnych starań, by o niej zapomnieć, rada Caroline zagnieździła się w myślach Sophie na dobre. Zdawała sobie sprawę, że jej niezadowolenie z pojawienia się Elliota wywołane jest po części także tym, iż musiała pożegnać się z nadzieją, że dojdzie do następnego pocałunku z Grantem. Ależ z niej idiotka! Czyżby jeszcze się nie nauczyła, że niebezpiecznie jest igrać z ogniem?

Grant przy drzwiach podniósł jej dłoń i gładząc ją, powiedział:

- Nie skończyliśmy naszej rozmowy. Mam zaczekać?

Bardzo ją kusila ta perspektywa. Pragnęła usłyszeć, co Grant ma jej do powiedzenia - sama też chciała dodać coś od siebie. Podejrzewała jednak, że

Elliot będzie głądził o znaleziakach z Chichester przez cały wieczór. Pokręciła więc głową.

- Odłóźmy tę rozmowę do jutra. Wtedy ostatecznie rozstrzygniemy kwestię opieki nad Lucieniem.

Grant tylko się uśmiechnął i lekko uściśnął jej rękę.

- Porozmawiamy o tym i... o innych sprawach.

Odprowadzając go wzrokiem, Sophie zastanawiała się nad jego tajemniczą odpowiedzią. Wiedziała jedno: udzielając jej, Grant uśmiechał się, ale uśmiech nie docierał do oczu. Po raz kolejny przyszło jej na myśl, że były kochanek coś ukrywa i że z pewnością chodzi o uwiedzenie jej.

Dostrzegła Helenę, zmierzającą korytarzem z przeciwnej strony. Szwagierka zerknęła nad jej ramieniem na Elliota, który, mamrocząc coś pod nosem, gniewnie przekładał książki na półce.

- Nie sądziłam, że zjawi się tak szybko - stwierdziła półgłosem. - Przecież list wysłałam dopiero wczoraj. Wspieraj mnie, gdy będę uładzała jego nastroszone piórka.

Przywoławszy na twarz stanowczy uśmiech, kobieta wkroczyła do biblioteki. Sophie szła niechętnie za nią. Nie miała ochoty pomagać w jej knowaniach. Zwłaszcza teraz, gdy wołałaby zostać sama, żeby przemyśleć niedawną rozmowę z Grantem.

A ty nie kryjesz przed światem żadnych tajemnic?

Co on miał na myśli? Jeśli odgadł, że Lucien jest jego synem, z pewnością poruszyłby ten temat otwarcie. Miał ku temu mnóstwo okazji. Chyba że...

Żołądek się jej zacisnął. Chyba że wie o Robercie. Ale to przecież niemożliwe...

Niemożliwe. Ona i mąż zawsze pamiętali, aby w towarzystwie sprawiać wrażenie zżytej, kochającej się pary. A Robert był bardzo dyskretny w swoich związkach. Nikt, nawet Helena, nie podejrzewał prawdy.

Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie dziwnego zachowania Granta. Prostsze. Pewnie próbuje wymusić na niej wyznanie, że ona nadal go pożąda. To jasne, że wciąż ma do niej żal o to, że przed laty go odrzuciła. Żeby podreperować swoją zranioną dumę, chce znów sprowadzić ją na złą drogę.

Ciałem Sophie wstrząsnął płynący z głębi przejmujący dreszcz. Zapra gnęła choć raz porzucić rolę księżnej i znów być, jak dawniej, lekkomyślną dziewczyną - być jak Annabelle, wymykającą się z domu na schadzke z kochankiem. Westchnęła. Gdyby tylko Grant wiedział, że nigdy nie pożądała innego mężczyzny poza nim.

Było już późno, kiedy wreszcie Sophie mogła oddalić się do swoich pokoi. Na kolacji, która w jej mniemaniu ciągnęła się w nieskończoność, siedziała jak na mękach. Elliot nie przestawał rozprawiać o wykopaliskach, Helena zaś próbowała wymóc na nim przyrzeczenie, że zostanie jakiś czas w Londynie. Ale Elliot był nieugięty i postanowił wracać do swojej rzymskiej willi już następnego dnia z samego rana. Helena więc wymyśliła następne kłamstwo: że w dzień przyjęcia ma umówione spotkanie z dyrektorami muzeum. Ponieważ był to jedyny sposób, żeby zwabić kuzyna na urodzinową uroczystość, Sophie, acz niechętnie, wspierała oszustwo.

Miała tylko nadzieję, że kiedy już znajdzie się w swojej sypialni, odetchnie z ulgą, że wreszcie jest sama. Niczego bardziej nie pragnęła, jak zdjęć suknię i obcisły gorset i, po przebraniu się w koszulę nocną, wśliznąć się do łóżka, żeby móc w spokoju przemyśleć swój następny krok dotyczący kontaktów z Grantem.

Ale niestety zamiast doznać spokoju nadal czuła się podenerwowana.

Obszerna sypialnia z jej fantazyjnymi tapetami, złotymi wykończeniami i białymi meblami pogrążona była w mroku. Stojąca na nocnym stoliku świeca oblewała blaskiem łóżko udrapowane niebieską satyną. Na suficie baraszkowały malowane cherubinki. Sophie dręczyło przecucie, że coś jest nie tak.

Pomimo że w kominku buzował ogień, w pokoju powietrze było zdecydowanie za chłodne. Wręcz hulał w nim wiatr. Ze zdumieniem stwierdziła, że drzwi balkonowe sypialni stoją otworem, a zasłony, podrywane nocną bryzą, powiewają niczym flagi.

Pospieszyła do okna, żeby je zamknąć. Nie było otwarte, kiedy przebierała się do kolacji. Najwidoczniej otworzyła je pokojówka, żeby przewietrzyć sypialnię na noc, po czym zapomniała zamknąć. Może źle domknęła klamkę i wiatr sam otworzył drzwi. Tak, to bardzo prawdopodobne.

Drżąc z zimna, Sophie nacisnęła na klamkę, chcąc się upewnić, że okno nie otworzy się ponownie. Postanowiła też, że dołoży polan do ognia. Kiedy się odwróciła, żeby wykonać swój zamiar, załapała ją fala nagłego przerażenia.

W ciemnym kącie dostrzegła sylwetkę jakiegoś człowieka. Siedział wygodnie rozparty w fotelu z nogami opartymi na podnóżku.

W gardle poczuła zbierający się krzyk.

- Grant!

Grant odłożył książkę, którą czytał. Sprawiał wrażenie spokojnego i zadowolonego. Niczym mąż, który doczekał się wreszcie powrotu żony. Jego fular leżał na stoliku obok, a rozpięta koszula odsłaniała skrawek nagiej piersi. Był jak zjawą z najintymniejszych fantazji Sophie. Patrzył na nią wesołym wzrokiem, a jedna z ciemnych brwi na jego czole wyginała się w górę łobuzersko.

- Trzeba przyznać - odezwał się śpiewnym głosem - że nie spieszyłaś się z tą kolacją.

Sophie przyłożyła dłoń do mocno bijącego serca, świadoma, że bije ono teraz tak szaleńczo nie z powodu strachu, ale z ekscytacji. Obecność Granta w sypialni sprawiała, że pokój wydał jej się nagle przeraźliwie mały. Jak on się tu dostał...

No tak, otwarte drzwi balkonowe.

Czując, że jej zaskoczenie przechodzi w gniew, zrobiła krok w stronę intruza.

- Wspiąłeś się na mój balkon po rynnie.

- Nie po rynnie, tylko po trejażu do róż. - Grant obejrzał swoje dłonie. - Przy okazji wbilem sobie w ręce kilka kolców, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Jeszcze przed dwoma dniami nie wiedział, gdzie jest jej sypialnia. Najwyraźniej od tamtej pory zdążył rozejrzeć się po domu.

- Jakże dobrze? - rzuciła ostro. - Możesz zapomnieć o dobrym zakończeniu, jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiesz.

Grant wstał i zbliżył się do niej.

- Nie bój się, nie zamierzam cię skrzywdzić - zapewnił uspokajająco. - Po prostu chciałem porozmawiać z tobą na osobności, tak żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Pomyślała, że on sam jest przeszkodą. Irytującą, a zarazem intrygującą. Nie zamierzała jednak powiedzieć tego na głos.

Grant zatrzymał się jeden krok przed nią. Jego oczy w przyćmionym świetle błyszczały tajemniczo. Woń jego wody kolońskiej drażniła węch. Sophie miała ochotę wtulić się w niego, ukryć twarz na jego szyi. Pragnęła, by ją porwał w ramiona i zaniósł do łóżka...

Żeby ukryć targające nią pożądanie, przywołała na twarz maskę lodowatej pogardy.

- Szkoda twoich wysiłków. Porozmawiamy, ale jutro.

- Jutro będziesz zajęta Elliotem i Heleną albo Lucieniem. Nie chcę, żeby znów nam przerwano. - Pochwyił ją bezceremonialnie za łokieć i zaprowadził do sofy stojącej przy kominku z białego marmuru. - Będziesz wołała siedzieć, kiedy usłyszysz, co mam ci do powiedzenia.

Ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem. Jeśli Grant zamierza powiedzieć coś na temat zrzeczenia się opieki, powinna go wysłuchać.

Przysiadła więc ostrożnie na brzegu kanapy. Widząc, że Grant zamierza zająć miejsce obok niej, wskazała na stojący naprzeciwko fotel, w którym siedział przed jej przyjściem.

- Usiądziesz tam albo wezwę lokaja - ostrzegła.

W oczach mężczyzny zabłysła kpina. Równie dobrze jak ona wiedział, że bez trudu przeszkodziłby jej w dotarciu do garderoby, gdzie wisiał sznur z dzwonkiem. Mimo to, lekko się uśmiechając, wypełnił jej polecenie.

- Jak sobie życzysz, księżno.

Zamiast jednak na fotelu, przysiadł na podnóżku, który postawił tak blisko jej nóg, że musiała je odsunąć, żeby go nie dotykać. Niestety, siedzenie naprzeciwko Granta było chyba gorsze niż siedzenie obok niego. Ciepły blask ognia z kominka, oświetlający jego przystojną twarz i rozpiętą pod szyją koszulę, sprawiał, że miała wrażenie, że jest w sypialni z kochankiem. Ciemne włosy miał zmierzwione, jakby właśnie wstał z łóżka, a otaczająca go aura męskości kusila tak samo mocno jak przed laty, w noc, gdy zgodziła się pójść z nim do jego domu. W noc, w którą poczęli Luciena...

Sophie skupiła myśli na synu.

- Mam nadzieję, że twoja obecność tutaj oznacza, że zdecydowałeś się podpisać dokumenty o zrzeczeniu się opieki - powiedziała. - Będzie nam potrzebny świadek. Umówię nas z moim adwokatem w jego biurze.

- Chyba źle mnie zrozumiałaś. Rzeczywiście pragnę z tobą porozmawiać, ale na zupełnie inny temat. Chodzi o Roberta.

Jego wyzywające spojrzenie sparaliżowało ją. Grant wie.

Ale przecież to niemożliwe. Nikt nie zna tajemnicy Roberta poza nią i jeszcze jedną... no, może dwiema osobami. Bardzo uważali, żeby nic się nie wydało.

- No to mów, proszę, bo jest późno i nie chcę znosić twojej obecności dłużej, niż to konieczne.

- Tak - zgodził się rozbawionym głosem. - Rzeczywiście jest późno, a ty musisz być bardzo zmęczona. Przecież cały dzień spędziłaś na zakupach.

Pochylił się i, pochwyciwszy za kostkę, postawił sobie jej stopę na kolanie. Potem jednym ruchem ściągnął z niej pantofelek i zaczął ją masować.

To było cudowne uczucie. Tak cudowne, że Sophie na chwilę zapomniała o przyzwoitości. Szybko jednak wróciła do siebie i szarpnęła nogą. Bez skutku.

- Puść mnie. Jak śmiesz mnie dotykać bez pozwolenia...

- Kiedyś lubiłaś masaż stóp. Pamiętasz, że potrafiliśmy przetańczyć całą noc? - Grant gładził podbicie stopy zręcznymi ruchami palców. - Potem siadaliśmy w ogrodzie, a ja, tak jak teraz, przynosiłem ulgę twoim stopom.

Nie tylko stopom. Pozwalał sobie też na inne rzeczy poza masażem nóg. Rzeczy, na które szanujące się damy nie wyrażają zazwyczaj zgody. Ale Sophie była wtedy młoda, zakochana i spragniona pieśczęt.

Nadal ich pożądała. Dotyk Granta budził mrowienie na jej skórze. Spojrzała na nogę osłoniętą dołem sukni. Gdyby tak Grant wsunął pod nią rękę. Gdyby tak powiodł nią po łydce i wyżej, aż do podwiązki...

- Dzisiaj jednak nie tańczyliśmy - oświadczyła roztrzęsionym głosem. - A ty nie jesteś już moim narzeczonym.

Po tych słowach uwolniła wreszcie stopę i odstawiła na podłogę. Grant jednak pochwycił drugą i ją także oswobodził z pantofelka.

- Nie ruszaj się - rozkazał. - Nie mogę cię masować, kiedy się tak wierzisz.

- Bo nie powinienes tego robić, Grant. Poza tym nie umiem poważnie z tobą rozmawiać, gdy trzymasz w rękach moją nogę.

Twarz mu pojaśniała.

- Ja też nie. Porozmawiajmy zatem o czymś mniej poważnym. Może na przykład o twojej stopie.

- O mojej stopie?

- Masz piękne stopy. Drobne i delikatne, jak cała ty. Podoba mi się zwłaszcza, jak zaginasz palce, kiedy drapię cię w to miejsce. - Dotknął stopy tuż pod palcami, na co Sophie zareagowała dokładnie tak, jak przewidział.

Znał ją doskonale. Ona zaś przy każdym pociągnięciu jego zręcznych palców coraz bardziej miękła. Gdzieś w głębi czuła rosnące napięcie, tyle że zupełnie innego rodzaju niż przed chwilą. Jej siła woli pod wpływem pieszczot słabła. Domyślała się, że Grant próbuje ją uwieść... i chciała tego.

Zmieszana, usunęła stopę i postawiła ją na miękkim dywanie.

- Wystarczy już tego - powiedziała stanowczo. - Nie będę bawiła się z tobą w te gierki, Grant. Nie zdołasz mnie omamić.

- Właśnie widzę.

Mimo tych słów, nie sprawiał wrażenia przejętego.

- Nic nie widzisz - zaprzeczyła gwałtownie. - Nadal jesteś zły, że wybrałam Roberta, a nie ciebie. Ale nie zamierzam być lekarstwem na twoją zranioną dumę. Jeśli po to się tu zakradłeś, równie dobrze możesz wyjść.

Mężczyzna zmrużył oczy, jakby nad czymś się zastanawiał. Oparł łokcie na kolanach i pochylił się do niej.

- Rzeczywiście cię pragnę, Sophie. Nie będę się tego wypierał. Ale jestem tu z zupełnie innego powodu.

Rzeczywiście cię pragnę. Nie miał pojęcia, co znaczą dla niej te słowa. Tak tęskniła za męską adoracją.

- Słucham więc - ponagliła. - Wyłuszc wreszcie swoją sprawę.

- Niełatwo mi o niej mówić.

- Na litość boską, Grant. Bądź po prostu szczery.

- To będzie raczej bezceremonialne. - Skupił na niej przebiegłe spojrzenie. - Doszły mnie niesmaczne plotki na temat Roberta. Podobno wolał sypiać z mężczyznami niż z własną żoną.

Sophie zamarła. Buzujące w niej pożądanie rozwiało się pod ciężarem szoku. Siedziała sztywno wyprostowana, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Dobry Boże, a więc Grant zna prawdę. Skąd?

Ktoś musiał mu o tym powiedzieć. Ktoś wyjawiał mu tajemnicę, której Robert tak bardzo strzegł. Ale kto?

A może tylko zgaduje? Robert był przekonany, że nikt niczego się nie domyśla. Tylko że Grant mógł coś zauważyć, a teraz próbuje wyciągnąć z niej potwierdzenie swoich przypuszczeń...

Walcząc z całych sił o to, by jej twarz niczego nie wyrażała, roześmiała się chłodno.

- Nie opowiadaj bzdur. Odkąd to dajesz wiarę podłym plotkom?

- Chcę znać prawdę, Sophie. Jeśli obawiasz się, że potępię Roberta, możesz spokojnie...

- Nie obawiam się, bo nie ma czego potępiać. Twój donosiciel się myli. Całkowicie. - Podniosła się sztywno z sofy.

- Wyjaśniliśmy tę sprawę, możesz więc już sobie pójść.

Zerwawszy się na nogi, Grant objął ciepłymi palcami jej zziębniętą dłoń.

- Nie dziwię się, że ukrywasz prawdę - powiedział łagodnie.

- W gruncie rzeczy, szanuję cię za to, że chcesz chronić dobre imię męża. Ale musi być ci z tym ciężko.

Współczucie w jego głosie niemal ją rozbroiło. Czowała, że chłód płynący z serca przenika jej ciało aż do kości. Gdyby Grant znał całą prawdę.

Ale on nie ma najmniejszego pojęcia, ile czasu spędziła w swojej sypialni, rozpaczając, że to wszystko przez nią, że gdyby tylko była bardziej zręczna, ładniejsza, bardziej kochająca, potrafiłaby rozbudzić w mężu pożądanie. Robert często sypiał z nią w jednym łóżku, kiedy była w ciąży. Jednak tylko się do niej przytulał, tłumacząc się, że nie szuka intymnego kontaktu, bo nie chce zrobić krzywdy dziecku. Była mu wdzięczna za troskę i czułość, tym bardziej że jej serce potrzebowało czasu na uleczenie się z ran. Niemniej widząc, że mąż nadal

jej unika, pomimo że już urodziła, sama do niego poszła. Potrzebowała znaleźć się w objęciach mężczyzny, potrzebowała czuć, że jest kochana i pożądana. Wszelako jej oczekiwania spełzły na niczym...

- Mylisz się - odezwała się lekko zduszonym głosem, mimo że starała się, by brzmiał naturalnie. - Robert był dobrym mężem i wspianiałym ojcem. Nie pozwolę, żebyś go zniesławiał. Grant przeniósł dłonie na jej ramiona.

- Nie mam zamiaru plamić jego pamięci. Nie zdradziłbym nigdy jego tajemnicy. Nie zapominaj, że był moim przyjacielem.

- Doprawdy? To dlaczego do niego nie pisałeś? - spytała z wyrzutem, próbując powstrzymać rozmówcę przed dalszymi kłopotliwymi pytaniami. - Zanim opuściłeś Anglię, Robert błagał cię o wybaczenie. Prosił, abyś nie dopuścił, by fakt, że się ze mną ożenił, zniszczył waszą przyjaźń. Ty jednak w odpowiedzi uderzyłeś go, po czym uciekłeś i przez lata się do niego nie odzywałeś.

Grant, zacisnąwszy zęby, odwrócił oczy do okna. Zaraz jednak powrócił wzrokiem do Sophie. Widać było, że niczego w tej chwili nie udaje.

- Nie mogłem do niego pisać - wyznał ponurym szeptem. - Bo był twoim mężem, Sophie. Mężem kobiety, której pożądałem ponad wszystko na świecie.

Rzykował, czyniąc to wyznanie. Sophie mogła go użyć jako broni przeciwko niemu. Musiał jednak wytrącić ją jakimś sposobem z równowagi, zmusić, by porzuciła tę chłodną wyniosłość. Poza tym sądził, że będzie bardziej skłonna do ujawnienia swoich sekretów, jeśli i on ujawni swoje.

Zobaczył, że spuściła powieki, jakby pragnęła ukryć przed nim wzrok i myśli. Nie miał pojęcia, czy mu uwierzyła. Ale pragnął, by tak było. Jej lekko rozchylone usta aż się prosiły o pocałunek. Tak bardzo pragnął to uczynić. Tak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona i zanieść do łóżka...

Ale jeszcze nie teraz. Najpierw musi wyciągnąć z niej prawdę.

Wyrwała mu się z objęć, a on jej nie zatrzymywał. Podeszła do łóżka i złapała się ręką słupka od baldachimu. Stała tyłem, sztywno wyprostowana.

- Przysięgniesz, że zostawisz mnie w spokoju, jeśli wyjawię ci prawdę o Robertcie? - spytała ledwie słyszalnym szeptem.

Zaskoczony dość łatwym zwycięstwem, wstrzymał oddech.

- Przysięknę. - Na razie.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego przez ramię. Miała zakłopotany wzrok i pobladłą twarz.

- Łamię przysięgę daną mężowi. Muszę wiedzieć, że to, co powiem, nie wyjdzie poza te ściany.

- Przysięgam, że nie.

Przez chwilę przyglądała mu się, po czym skinęła głową. Utkwiła oczy w drzwiach balkonowych, za którymi rozlewała się ciemność, i powiedziała bezbarwnie:

- Zatem dobrze. Plotki, które do ciebie dotarły, mówiły prawdę. Robert rzeczywiście posiadał pragnienia... które mógł zaspokoić tylko drugi mężczyzna. Na początku nie zdawałam sobie z tego sprawy. W pierwszym roku naszego małżeństwa nie dawał mi powodów, żebym podejrzewała go o to, że prowadzi podwójne życie. Wydawał się zadowolony z faktu, że jest moim mężem.

Ucisk w sercu Granta stawał się coraz boleśniejszy. Zamiast wyobrazić sobie Sophie w objęciach męża, powinien przeżywać teraz smutek, że potwierdziły się informacje o dziwnych skłonnościach przyjaciela. Do diabła, nie można być przecież zazdrosnym o zmarłego. Opierając się o sofę, postanowił zapanować nad sobą.

- Niemniej Robert skorzystał z mężowskich przywilejów. Wszak poczęliście razem syna.

Sophie, splótłszy palce dłoni, opuściła na nie wzrok. Nie komentując słów rozmówcy, mówiła dalej, zupełnie tak, jakby rozmawiała sama ze sobą.

- Z początku zachodził do mnie stosunkowo często. Był zachwycony, kiedy dowiedział się o ciąży. Traktował mnie z troską i czułością... był bardzo dobry. - Zagubiona we wspomnieniach sprzed lat, zamilkła.

- A potem? - wyrwał ją z zamyślenia Grant. - W jaki sposób dowiedziałaś się prawdy?

- Urodziłam Luciena i Robert przestał odwiedzać mnie w sypialni. Więc pewnej nocy sama do niego poszłam. Ale... ale nie umiałam rozbudzić w nim pożądania. Odtrącił mnie, czymś się wymawiając.

- Zależało mu tylko na tym, żebyś dała mu dziedzica.

Sophie, unikając wzroku Granta, nie odpowiedziała na jego kaśliwą uwagę.

- Robert od czasu do czasu wychodził dokądś wieczorami. Mówił, że do klubu. Ja jednak podejrzewałam, że... że ma kochankę. Zaprzeczał temu, ale bez większego zapału. Zatem pewnej nocy wynajęłam dorożkę i pojechałam za nim. Do domu niedaleko Covent Garden. Przez jakiś czas czekałam na zewnątrz, lecz w końcu... miałam dosyć. Weszłam do środka i... i zobaczyłam Roberta... zobaczyłam ich... w objęciach... - Sophie wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Oparła czoło o słupek baldachimu, a z jej oczu popłynęły łzy.

Grant oniemiał. Sophie widziała Roberta z innym mężczyzną?

Klnąc pod nosem, poderwał się i podszedł do niej. Pragnąc ją pocieszyć, otoczył ją ramieniem. Przypuszczał, że go odtrąci, ale ona, przytłoczona silnymi emocjami, nadal łkając, przywarła mocno do jego piersi.

W przeciwieństwie do innych kobiet nigdy nie ukrywała łez. Kiedy płakała, robiła to z całego serca, tak jak jej nakazywała namiętna natura. Głośno pociągała nosem, a łzy silnym strumieniem zalewały jej policzki. Już po chwili jej nos poczerwieniał, a oczy napuchły, zaś Grant miał mokry kołnierz.

Zaczął szukać chusteczki z nadzieją, że Wren, szykując mu ubranie, wetknął ją do kieszeni surduta. Znalazł ją wreszcie i osuszył nią delikatnie twarz

Sophie. Potem wcisnął jej chusteczkę do ręki. Wydmuchała w nią nos, po czym, usiłując się uspokoić, nabrała kilka głębokich oddechów.

Grant czuł się bezradny. Wprawdzie pragnął, by Sophie otworzyła się przed nim, ale nie w ten sposób. Nie mógł znieść, że tak cierpi.

Mamrocząc jakieś uspokajające frazesy, głaskał ją czule po włosach. Kręciły się i były miękkie w dotyku. W przeszłości lubił się droczyć z Sophie, wykradając jej z włosów spinki i, w ramach okupu, żądając pocałunku.

Wspomnienie to wywołało w nim ból. Do diabła, dlaczego nie namówił jej do małżeństwa, kiedy miał jeszcze na to szansę? Co z tego, że był wtedy biedny jak mysz kościelna? Nie zważając na konsekwencje, powinien był wywieźć kochankę do Gretna Green. Gdyby nie wyszła za Roberta, nie musiałyby potem przeżywać tego wszystkiego, tego szoku, że jej mąż nie interesuje się kobietami.

I nie czułaby się zmuszona go zabić.

Tam do diaska. Grant odkrył wreszcie motyw, który powodował Sophie. Tyle że nie spodziewał się, iż zarazem będzie mu jej tak bardzo żal ani że ogarnie go wściekłość na myśl, że to nie on zamordował Roberta.

- Wybacz - usłyszał jej szept. - Nikomu tego jeszcze nie mówiłam. Może... może to więcej, niż chciałeś usłyszeć.

Nie przestawał tulić jej do siebie. Powinien tryumfować, że jej pogoń za tytułem i majątkiem zebrała tak gorzkie żniwo. Dlaczegoż więc myśli tylko o tym, jak tu sprawić, by Sophie odzyskała radość życia? Uniósł palcem jej podbródek.

- Przykro mi. Przykro, że sama musiałaś nieść taki ciężar. Przykro, że Robert tak źle cię potraktował.

Marszcząc czoło, otarła z twarzy ostatnie łzy.

- Ależ on wcale mnie źle nie traktował. A przynajmniej nie chciał. Dużo go kosztowało ukrywanie przede mną prawdy. Był przerażony, że doznałam

takiego wstrząsu. Martwił się o mnie, a nie o siebie. I uczynił wszystko, co w jego mocy, żeby mi to wynagrodzić...

- Do diabła, Sophie! Przestań go bronić. Pochwyciła poły jego surduta.

- Wiem, jak się czujesz, Grant. Ja też przez długi czas czułam odrazę i wściekłość. Czułam się zdradzona, i to w najgorszy możliwy sposób. Ale gdybyś widział cierpienia Roberta, może inaczej byś na to spojrział. Robert z całego serca pragnął wieść normalne życie, mieć szczęśliwą rodzinę.

- Ożenił się z tobą, żeby chronić własną reputację - zauważył chłodno Grant. - Krył się za twoją spódnicą.

Sophie gwałtownie pokręciła głową.

- On szczerze wierzył, że zdoła pokonać swoją słabość. Nasze małżeństwo było dla niego nadzieją. Chciał się zmienić, zwalczyć tę swoją skłonność, którą uważał za skazę na honorze rodziny. Możesz go za to winić? Ja nie mogłam.

- Zdradził cię. Był ci niewierny.

- Tak, ale to nie to samo, co mąż, który bierze sobie kochankę. Robert miał potrzeby, których ja nie mogłam zaspokoić. Z czasem zrozumiałam, że te potrzeby są fundamentalną częścią niego. Nie potrafił zmienić swojej natury bez względu na to, jak bardzo się starał... - Odwróciwszy głowę, Sophie zagryzła usta.

Posępność i smutek na jej twarzy raniły Grantowi serce. Jak tu wierzyć, że jest morderczynią, skoro jest tak bardzo przytłoczona emocjami? Skoro z jej słów wynika, że zaakceptowała słabości męża? Czyżby zabiła go w przyływie rozpacz?

Tam do diabła! Nie chciał o tym myśleć i nie chciał niczego wybaczać Robertowi. A mimo to, kiedy patrzył na całą sytuację oczyma Sophie, jego gniew ustępował. Może miała rację, może przyjacielowi należałoby współczuć, zamiast nim pogardzać. Przecież w końcu nie był w stanie się zmienić, nawet pomimo takiego bodźca, jak piękna żona w łóżku.

Wyobraził sobie, że Sophie leży w jego łóżku. Och, dopiero by jej pokazał, co to znaczy być pożądaną przez mężczyznę. Sprawiłby jej taką rozkosz, że zapomniałyby na zawsze o latach celibatu i rozczarowań.

Poczuł, że od tych myśli rośnie w nim podniecenie. Tym bardziej że Sophie nadal się do niego tuliła, choć pogrążona we wspomnieniach z przeszłości, nie zwracała na niego uwagi. Chciał, żeby to się zmieniło, żeby dostrzegła jego pożądanie. Przycisnął ją do siebie mocniej.

- Gdybyś była ze mną, nie musiałabyś się starać - powiedział.

Kobieta w jego objęciach wstrzymała oddech. Jej oczy zabłyśły zdumieniem i ciepłem rodzącego się podniecenia. Poruszyła kusząco biodrami.

- Och, Grant...

W głosie Sophie wyczuwalna była tęsknota. Grant zdawał sobie sprawę, że tylko bezduszny drań wykorzystałby dla własnej przyjemności tę chwilę jej bezbronności. Tylko bezprzykładny łotr wykorzystałby jej obecną słabość. Ale on był właśnie kimś takim i nie powinien marnować okazji. Niestety, ogarnęły go niespodziewanie wyrzuty sumienia.

Wzywając się w duchu od głupców, przesunął dłonie na plecy Sophie.

- Zanim wyjdę, chcę, żebyś wiedziała, że ja zawsze bardzo cię pożałowałem - wyszeptał.

Sophie zamrugała szybko powiekami, jakby jego słowa wyrwały ją z głębokiego snu. Jej twarz nagle zrobiła się chłodna.

- O tak, doceniam to

Co docenia? Że wyjawiał swoje uczucia? Czy to, że postanowił wyjść, nie namawiając jej do zbliżenia? Nie chciał, żeby pomyślała, że zrezygnował ze swoich planów.

- Wychodzę tylko dlatego, że ci to przyrzekłem - oświadczył.

Skinęła głową.

- Dotrzymywanie obietnic jest istotne.

Żałując swej idiotycznej rycerskości, wypuścił ją z objęć i odsunął się.

- Zatem do jutra.

- Nie planuję jutro nigdzie wychodzić. Większość dnia spędzę w bibliotece. - Sophie spojrzała w dół na pomiętą chusteczkę, którą nadal ścisnęła w dłoni. - Powiem pokojówce, żeby ją uprała.

- Zatrzymaj ją. - Grantowi podobała się myśl, że była kochanka zaśnie z jego chusteczką wetkniętą pod poduszkę. Wyglądała prześlicznie, stojąc boso koło łóżka, oświetlone blaskiem płomieni z kominka. Jej miedzianokasztanowe włosy były zmierzwiłone. Chciałby zobaczyć je opadające na plecy. I tym razem, w zamian za zwrot spinek, poprosiłby nie o całusa, ale o całe jej ciało...

Ale tak się nie stanie, bo wychodzi. On, najgorszy łotr w Anglii, choć raz postąpi honorowo. Pożądał Sophie, ale chciał, by oddała mu się, bo tego pragnie, a nie dlatego, że jest zbyt słaba, aby mu się oprzeć.

Odwrócił się, zamierzając opuścić sypialnię tą samą drogą, jaką się w niej znalazł. Przez balkon. Krzywił się tylko o kłujących kolcach. Mimo to ruszył przed siebie, jednak zdążył wykonać zaledwie dwa kroki, gdy zatrzymał go melodyjny głos:

- Grant?

Niczym dobrze wytrenowany salonowy piesek okręcił się dokoła. Sophie wpatrywała się w niego z jakąś dziwną determinacją w oczach.

- Jeśli chodzi o jutro - zaczęła powoli. - Chyba powinieneś dowiedzieć się czegoś jeszcze.

- Tak?

Księżna po królewsku skinęła głową i, zupełnie go zaskakując, oświadczyła:

- Jutro, jeśli to możliwe, chciałabym rozpocząć nasz romans.

Rozdział XI

12 listopada 1701

Usycham w tym więzieniu. Każdego dnia strażniczka wymyśla nowe sposoby nękania (to moje określenie) i ulepszania (tak nazywa to ona) przyszłej księżnej Mulford (czyli mnie). Jeśli nawet raz przygarbię plecy, muszę potem pół dnia chodzić z przywiązaną do nich twardą deską. Jeśli podniosę głos, zabrania mi w ogóle się odzywać. Jeśli wyjrzę przez okno, muszę odczytać ustęp z Biblii, mówiący o lenistwie.

Kiedy znów będę mogła się bawić i leniuchować?! Moja biedna głowa pełna jest obowiązków, które musi wypełniać księżna. A najgorsze, że nie mam wieści od Williama. Moja wierna Mary doniosła mi, że pojechał do Lincolnshire na pogrzeb ojca. Czekam jego powrotu z udręczonym sercem.

- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.

Następnego dnia z rana mało brakowało a Sophie, która pogrążona w rozmyślaniach zmierzała do biblioteki, zderzyłaby się z idącym z naprzeciwka Elliotem. Kuzyn szedł na zgiętych nogach, uginając się pod ciężarem spoczywającej w jego rękach skrzyni po brzegi wypełnionej książkami.

Kiedy jego rozczochrana głowa wyłoniła się zza skrzyni, Sophie uderzyła myśl, że Elliot jest cały w brązach, poczynając od gadzich oczu lśniących w otoczone wysuszonej jaszczurzej twarzy, po kręcone włosy sięgające ramion, które okrywał ziemisty w barwie surdud.

- Radziłbym ci patrzeć przed siebie, kiedy dokądś idziesz.

- Wybacz - mruknęła, dziwiąc się, że Elliot nadal jest w domu, mimo że dochodziła prawie jedenasta. Potem w jej oczach pojawiła się podejrzliwość. - Mogę zapytać, co zamierzasz zrobić z tymi książkami?

- To chyba oczywiste. Chcę je pożyczyć. To znaczy, jeśli wasza książęca mość wyrazi na to zgodę.

Złośliwy ton kuzyna zirytował ją. Powodowana gniewem, ale także ciekawością, gestem dłoni nakazała mu postawić skrzynię na ziemi.

- Sprawdź, co tam masz.

Mężczyzna skrzywił się, przez co kurze łapki przy oczach stały się wyraźniejsze. Wykonał jednak polecenie, chociaż niechętnie i z urażoną miną.

- Robert nie miał nic przeciwko temu, że pożyczam książki z biblioteki. Chyba nie zamierzasz tego zmieniać?

Sophie nie chciała robić sobie z kuzyna wroga, uśmiechnęła się więc do niego pojednawczo.

- Ależ skąd. Chcę tylko zajrzeć. Cały tydzień szukam pewnej książki i wolałabym, żebyś przez przypadek jej nie zabrał.

Przykucnęła, żeby przejrzeć stos w skrzyni. *Rzymskie rewolucje* Vertota, *Żywoty* Plutarcha, *Cezar* Bladena i jeszcze kilka innych pozycji napisanych greką lub po łacinie, w językach, które Sophie знаła bardzo słabo. Nigdzie nie

dostrzegła pamiętnika pisanego ozdobnym, kobiecym charakterem z częstymi kleksami.

Otrzeprawszy dłonie, wyprostowała się i spojrzała na kuzyna.

- A może ty natknąłeś się gdzieś na pewien pamiętnik? Należał do lady Annabelle, trzeciej księżnej Mulford.

- A co mi po pamiętnikach jakieś damy? - zdziwił się Elliot, rozchylając w kpiącym uśmiechu wąskie usta i pokazując rząd białych zębów. - Jestem naukowcem, a nie dandysem. Nie interesują mnie ploteczki ani nudne pogaduszki o towarzyskich wydarzeniach.

Sophie pomyślała o Helenie i jej planach, mających na celu znalezienie Elliotowi żony.

- Towarzystwo to coś więcej niż tylko przyjęcia i bale. Daje ono także szansę na nawiązania bliskich przyjaźni. Nie czujesz się czasami samotny przy tych swoich wykopaliskach?

- Samotny? - Mężczyzna popatrzył na nią pustym wzrokiem. - A dlaczego miałbym się tak czuć?

Nie wiedziała, jak na to odpowiedzieć. Jak wytłumaczyć potrzeby serca komuś, kto poświęcił się całej swojej obsesji?

- Myślałeś kiedyś o małżeństwie? Może gdybyś poznał kobietę dzielącą twoje zainteresowania...

- Ba! Ale takie nie istnieją. - Elliot wycelował w Sophie wysuszony palec. - Wszystkie jesteście takie same. Myślicie tylko o fataląszkach, plotkach i romantycznych nonsensach. Nie mam czasu na takie bzdury. Wyjeżdżam do Surrey. Żegnam!

Sophie, nic nie rozumiejąc, patrzyła, jak kuzyn podnosi skrzynię i opuszcza szybkim krokiem bibliotekę. Urodzinowe przyjęcie okaże się klęską, jeśli Helena zaprosiła na nie same debutantki, które zazwyczaj mają pstro w głowie. Elliot nie powstrzyma się zapewne przed wygłaszaniem swoich przy-

krych uwag i robi z siebie pośmiewisko. Niemniej rozwiązanie tej sytuacji było tak proste, że aż roześmiała się na głos.

Musi zapamiętać, żeby zapytać Helenę, czy na przyjęciu pojawią się jakieś sawantki. Jeśli nie, sama którąś zaprosi. Kiedy Elliot usiądzie obok kobiety intelektualistki...

Znów się roześmiała, tym razem z samej siebie. Swatanie ludzi nigdy nie było jej ulubionym zajęciem. Ale dzisiaj pragnęła, żeby wszystkich przepęniało takie samo romantyczne uniesienie co ją.

Nie, to nie do końca tak. To, co czuła, nie miało nic wspólnego z romantyzmem. Owo drzenie w niej to wyraz niecierpliwego oczekiwania na zmysłowe rozkosze.

Dzisiaj wieczorem ona i Grant będą się kochali. Po raz pierwszy od dziesięciu lat Sophie porzuci maniery wyniosłej księżnej, zbliży się do mężczyzny i poczuje jego dłonie na swoich piersiach, ustach, nagiej skórze. I ona także pozwoli sobie na badanie ciała partnera. Grant przygniecie ją swym ciężarem, przycisnie do łóżka, wypełni sobą...

Głęboko zaczerpnęła powietrza, po czym wypuściła je wolno. Jej serce waliło jak oszalałe, nogi drżały. Zeszłej nocy, składając Grantowi nieprzyzwoitą propozycję nawiązania romansu, zaskoczyła samą siebie. Dopóki za sprawą byłego kochanka jej cielesne potrzeby przykryte grubą warstwą poczucia przyzwoitości nie wyszły na wierzch, Sophie była wzorem słusznego postępowania. Uważała, że zachowuje się rozsądnie, że panuje nad sobą i była zadowolona z celibatu. Inne kobiety w jej sytuacji szukałyby może ulgi w ramionach kochanka, ale ona nie chciała łamać przysięgi danej Robertowi. Uważała ją bowiem za świętą i wiążącą.

Rodzice dali jej wspaniały przykład swoim małżeństwem. Pobrali się późno, a Sophie była ich jedynym dzieckiem. Nie było dnia, żeby nie widziała wyrazów oddania, którymi się obdarzali. Pocałunków i uśmiechów. Nigdy się nie rozstawali, a kiedy matka Sophie, wkrótce po narodzinach Luciena, zmarła

złożona zapaleniem płuc, ojciec odszedł na tamten świat w kilka miesięcy po niej. Zdaniem córki zmarł, bo z tęsknoty za żoną pękło mu serce.

W czasach gdy debiutowała w towarzystwie, Sophie marzyła o takiej miłości. Myślała, że znalazła ją u boku Granta. Jednak bezlitosna rzeczywistość szybko ją otrzeźwiła. *Tam do diabła! Nie stać mnie na utrzymanie żony, a przecież muszę się teraz z tobą ożenić...*

Dzięki Bogu, że nie jest już tamtą naiwną dziewczyną. Grant chciał się nią wtedy zabawiać, pobaraszkować z nią w łóżku. Jej też w gruncie rzeczy zależało tylko na tymczasowym romansie. Pragnęła doświadczyć pełni fizycznej rozkoszy. Jednakże jako dojrzała kobieta nie zwiąże się z nikim bez zastanowienia. Musi zachować rozsądek i namówić Granta do przestrzegania pewnych zasad postępowania.

Usiadła przy sekretarzyku, przy którym często pracowała, zbierając dane do historii rodziny Ramsey. Dzisiaj wszakże zamierzała zająć się czymś innym. Chciała spisać listę zasad, które będą obowiązywały ją i Granta w trakcie trwania ich romansu.

Z górnej szuflady wyciągnęła pióro i odkręciła srebrny kałamarz. Po chwili zastanowienia zaczęła pisać. *Będziemy się spotykać u ciebie. W żadnym wypadku nie zgadzam się na zaloty pod dachem Mulford House.*

Zeszłego wieczora, kiedy Grant wdarł się do jej sypialni przez balkonowe okno, była wściekła. Uznała najście za inwazję na jej prywatny teren. Ponieważ znajdowała się w swojskim otoczeniu, zapomniała o czujności i dlatego właśnie wyjawiała Grantowi sekret męża. Złamała daną mu przysięgę... Mimo to, choć targały ją wyrzuty sumienia, zrobiło jej się lżej

Okręcając w palcach pióro, niewidzącym wzrokiem spojrzała na półki z książkami. Wyznanie prawdy zdjęło z jej barków wielki ciężar. Łzy ją oczyściły, zmywając z niej poczucie winy i rozżalenia. A Grant wykazał się w tym wszystkim ogromną wyrozumiałością, a nawet czułością. Jego troska rozerwała łańcuchy rezerwy, jaką do niego żywiła, pozwoliła przyznać się przed

samą sobą do tęsknoty za nim. Sophie była złakniona bliskości Granta - pod warunkiem, że zastosuje się do jej zaleceń.

Znów zanurzyła pióro w kałamarzu.

Wymagana jest całkowita dyskrecja. Nie zdradzisz mojego nazwiska nikomu, nawet swoim służącym.

Grant był zdumiony jej propozycją, ale szybko się pozbierał i zaproponował spotkanie już następnego dnia, pod pretekstem wspólnego wyjścia do teatru. Sprawiał wrażenie troskliwego i rycerskiego, i Sophie postanowiła nie doszukiwać się w jego zachowaniu ukrytych motywów.

Nawet jeśli chciał zdobyć jej zaufanie, aby mógł potem dokonać na niej jakiejś wymyślnej zemsty, nie miała nic przeciwko temu. Będą się nawzajem wykorzystywali. Dadzą sobie rozkosz - dziką, ognistą, nieopanowaną. Aż się zarumieniła na tę myśl, czując, że niecierpliwość nie pozwoli jej spokojnie dotrzeć do umówionej godziny schadzki.

Niemniej zdawała sobie sprawę, że nie może postępować całkowicie bezmyślnie. Musi być ostrożna. Ryzykowała przecież więcej niż Grant. Znów pochyliła się nad kartką.

Musisz bardzo uważać, aby nie doszło do niechcianych konsekwencji.

Uniósłszy głowę, przygryzła dolną wargę. Gdyby zaszła w ciążę, jej reputacja byłaby zrujnowana. Skandal zaszkodziłby Lucienowi, a także nienarodzonemu jeszcze dziecku. Przypomniała sobie słowa Granta, który po pocałunku w Tower mówił o sposobach zabezpieczenia się przed ciążą. Musi go zapytać, na czym one polegają.

Uprawiając miłość z rozsądkiem, będzie czerpała z niej przyjemność, a także zachowa w pamięci wspomnienia, którymi będzie się mogła cieszyć w nadchodzących latach. Sądziła, że skoro jej i Granta nie łączy głębokie uczucie, ogień pożądania zapewne dość szybko się w nich wypali.

Powróciła do tworzonej listy i ponownie zanurzyła pióro w atramencie.

Czas trwania romansu zależy będzie ode mnie. Po chwili zastanowienia dopisała: Kiedy postanowię go zakończyć, podpiszesz dokumenty, w których zrzekniesz się opieki nad Lucieniem.

Odczytując powtórnie ostatnie zdanie, zmarszczyła czoło. Brzmiało ono dość bezdusznie i wyrachowanie, a przecież nie o to jej chodziło, żeby Grant pomyślał, iż pragnie przehandlować ciało w zamian za jego podpis. Ale z drugiej strony, czy mogłaby się z nim nadal spotykać, jeśli ich namiętność się wypali? W takich okolicznościach ich spotkania byłyby bardzo niezręczne. Poza tym, im dłużej Grant będzie blisko, tym większa szansa, że domyśli się prawdy o Lucieniu.

Poczuła ucisk w żołądku. O tę sprawę martwiła się przede wszystkim. Nie bała się gniewu Granta, choć domyślała się, że byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że go okłamała. Ale jej panika nie brała się ze strachu przed ewentualną agresją. Bardziej obawiała się tego, że Grant zapragnie uznać Luciena za swojego syna. Co będzie, jeśli wytoczy proces o przyznanie mu ojcostwa? Jeśli zaciągnie ją przed sąd i zmusi do zeznań pod przysięgą?

Ta myśl przerażała Sophie. Na początku małżeństwa mąż przekonywał ją, że nikt nie jest w stanie podważyć pozycji Luciena jako jego spadkobiercy, nawet gdyby prawda o jego poczęciu wyszła na jaw, co, jak twierdził, jest mało prawdopodobne. W świetle angielskiego prawa Lucien był niezaprzeczalnie jego synem. Ponieważ urodził się w trakcie trwania małżeństwa, Robert musiałby zrzec się praw do niego, żeby uznano, iż tak niej jest.

Kłopot w tym, że Grant nigdy nie unikał wyzwań. Choć ze względu na swoją zbrukaną przeszłość nie miał szans na uzyskanie ojcostwa, i tak mógłby wystąpić o to do sądu. Nie wygrałby sprawy, to pewne, niemniej zagroziłby pozycji Luciena jako następcy Roberta. Ponadto Lucien stałby się obiektem plotek i pomówień.

- Proszę wybaczyć, jej książęca mość.

Sophie podniosła wzrok i zobaczyła Phelpsa, który stał w drzwiach i patrzył na nią wymownie. Na jej policzki wypłynęły rumieńce. Pospiesznie zakryła listę, mimo że kamerdyner nie mógł jej dostrzec z tak dużej odległości.

- Tak?

- Przybył do pani z wizytą jakiś mężczyzna - poinformował służący zaskakująco radosnym głosem. - Kazałem mu poczekać na dole, w kuchni.

Lekko zdziwiona, Sophie odłożyła pióro. Gość z pewnością nie był nikim z towarzystwa, inaczej Phelps wprowadziłby go do salonu. Ale ona przecież rzadko zajmowała się handlarzami.

- Może lepiej wezwij panią Jenks albo Helenę?

- Nie, jej książęca mość. Ten człowiek wyraźnie powiedział, że chce się widzieć z panią.

Pogodzona z faktem, że musi oderwać się od swojego zajęcia, schowała listę do szuflady i wstała.

- Kto to jest? Przedstawił się? Wąskie usta kamerdynera drgnęły.

- Hannibal Jones, konstabl z posterunku na Bow Street. Pragnie panią przesłuchać w sprawie... morderstwa.

- Mają być świece... dużo świec - polecił Grant, strząsając z ramion poplamiony surdut. - Dopilnuj, żeby zapalono je o siódmej wieczorem.

Wren wysłuchiwał rozkazów ze skrzywionymi ustami. Zainteresowanie tego niewysokiego mężczyzny skupiało się jednak przede wszystkim na kleistej plamie widniejącej na rękawie ciemnoniebieskiego surduta pana. Uniósłszy go do nosa, powąchał rękaw.

- Dorsz i pieczone ziemniaki. Znów szwendał się pan po targu przy Billingsgate.

- Nie, ale za to miałem nieprzyjemne spotkanie z chochłą. Opowiem ci o tym innym razem.

Grant, który niczym młodzik nie mógł się już doczekać spotkania z Sophie, porwał z oparcia krzesła czysty surdut. Połowę poranka zmarnował na dotarcie do bogatego mieszczanina, który, zgodnie z informacją otrzymaną od ciotki Phoebe, zatrudnił ostatnio francuskiego kucharza. Okazało się jednak, że nazwisko kucharza nie brzmiało Ferrand. Kiedy Grant zasugerował, że ukrywa on swoje prawdziwe nazwisko, bo nie chce, żeby się wydało, iż otruł księcia, nerwowy osobnik rzucił w niego chochlą wyciągniętą z garnka z zupą.

Zamiast więc udać się prosto do Mulford House, Grant musiał wstąpić wcześniej do domu, żeby się przebrać. Był poirytowany tą niepotrzebną zwłoką, chociaż do Sophie szedł tylko po listę zasad, którą zapowiedziała dla niego przygotować. Musiał przyznać, że jest ciekawy, co w niej znajdzie. Czy Sophie wymieni w niej miejsca, których nie będzie wolno mu dotykać? A może zażąda, żeby nawet w łóżku zwracał się do niej per „jej książęca mość”? Lub będzie chciała mu rozkazywać jak jakiemuś salonowemu pieskowi.

Może sobie pomarzyć.

Pozwolił, żeby Wren pomógł mu włożyć surdut.

- Przekaż też pani Howell, żeby zmieniła pościel. I zostaw na stoliku przy kominku paterę z serami i owocami, i butelkę porządnego burgunda z dwoma kieliszkami.

- Dwoma? - zakpił służący. - A ja myślałem, że chce pan, żebym zapalił świece i zmienił pościel tylko dla pana.

Wren szybko doszedł do siebie po ciosie w głowę. Przebiegły starzec był nieposłusznym pacjentem i uciekł z łóżka już w dwa dni po incydencie z włamywaczem. Grant musiał się pogodzić z tym, że nie umie zmusić służącego do leżenia, choć zagroził, że przywiąże go do łóżka. Nie miał czasu pilnować Wrena przez cały dzień.

Staął przed lustrem, żeby zawiązać biały fular.

- Pamiętaj, że zasłony mają być zaciągnięte. I rozpal w kominku drewnem a nie węglem.

- A może, żeby zadowolić księżną, rozpyłę w powietrzu trochę francuskich perfum? A nocnik obłożę gronostajami?

Napotykać w lustrze odbicie kpiących oczu służącego, Grant popatrzył na niego groźnie.

- Nie przypominam sobie, żebym mówił, kto mnie dzisiaj odwiedzi.

Wren nie wyglądał na wystraszonego.

- Księżna to jedyna kobieta, przez którą traci pan panowanie nad sobą. Od przyjazdu do Londynu jest pan bardziej spięty niż kok na głowie pani Howell.

Kamerdyner miał rację. Lecz dzisiaj Grant pozbędzie się wreszcie tego napięcia. Kiedy już znalazł czas, żeby się nad tym zastanowić, nagle zmiana w zachowaniu Sophie wydała mu się całkiem sensowna. Musiała sobie zapewne uświadomić, że, dowiedziawszy się prawdy o Robercie, Grant poznał też motyw, który zmusił ją do zamordowania męża. Tak więc postanowiła, że przekupi go swoim nęcącym ciałem.

Nie wiedziała tylko, w jak zręczne ręce się oddaje.

Odwrócił się do lokaja.

- Jak skończysz wykonywać polecenia, ty i pani Howell macie nie wystawiać nosa z sutereny. Albo, jeśli chcesz, wyjdź gdzieś na noc. Nie będę cię potrzebował.

Starszy mężczyzna pokręcił z dezaprobatą głową.

- Lepiej niech pan uważa. Jeśli się pan myli i księżna nie jest morderczynią...

- Jest.

- Skrzywdzi ją pan podobnie, jak przed laty.

Grant pohamował ostrą ripostę. To Sofie skrzywdziła jego, a nie odwrotnie - tyle że Wren nie znał tej części historii. Przedstawiła swoje stanowisko jednoznacznie i z okrucieństwem. Pierwszy raz wyłuszczyła je po nocy, którą ze sobą spędzili, drugi raz, parę tygodnie później, kiedy,

dowiedziawszy się o jej zaręczynach, pojawił się u niej wściekły jak zraniony byk.

Złapał ją za ramię, czując zarazem, że pożąda jej jak nigdy.

- Nie możesz wyjść za Mulforda. Możliwe, że jesteś ze mną w ciąży.

Odsunąwszy się, Sophie obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Na szczęście nie jestem. Przespałam się z tobą wyłącznie dla przyjemności. Nie chciałabym płacić za ten błąd aż takiej ceny.

- Błąd? - spytał zduszonym głosem. - Mój Boże, Sophie, mówiłaś przecież, że mnie kochasz.

Roześmiała się.

- Ty najlepiej wiesz, że kochankowie mówią sobie różne rzeczy. Tamtej nocy chciałam tylko zaspokoić ciekawość. Sprawdzić, czy twoja reputacja jest zasłużona. - Zlustrowała go pogardliwym wzrokiem, jakby był przedmiotem, a nie człowiekiem. - Szkoda, że nie możesz uczynić mnie księżną.

Te wspomnienia nadal wżerały mu się w serce jak kwas. Sophie wyszła za Roberta następnego dnia, on zaś opuścił Anglię i udał się do Rzymu. Tam, żeby zebrać pieniądze na spłacenie długów, zajął się okradaniem bogaczy. I wykorzystywał cały swój spryt i pomysłowość, żeby nie dać się przyłapać na kradzieżach. Nie miał więc czasu na roztrząsanie przeszłości.

Ale nie zapomniał o Sophie.

Dzisiaj będzie ją miał w swoim łóżku. Użyje każdej sztuczki ze swego bogatego repertuaru, aby dać jej rozkosz, której nigdy nie zapomni. Będzie tak zachwycona, tak otumaniona, że bez oporów przyzna się do zamordowania męża.

Tyle że dzisiaj nie będzie jej o to pytał. Tej nocy Grant zamierzał zaspokoić pragnienia, które nękały go przez minione dziesięć lat.

Ta noc ma służyć zaspokojeniu jego żądz.

Rozdział XII

15 listopada 1701

O ja nieszczęsna! Zdarzyła się straszna rzecz! Zaczęło się od tego, że biedny Quimper, mój nauczyciel tańca, podczas lekcji skręcił nogę w kostce. Nie miałam co robić, wróciłam więc do mojego pokoju z nadzieją, że może wierna Mary przyniosła mi jakieś wieści od ukochanego Williama. Zamiast jednak na nią, natknęłam się na strażniczkę, która szperała po kryjomu w moim sekretarzyku.

Nim zdążyłam zaprotestować, strażniczka otworzyła sekretną szufladę i wyjęła z niej stosik listów od Williama. Tryumfując, zabrała je ze sobą, a mnie zamknęła w pokoju na klucz. Czekam teraz w mej więziennej celi na karę, jaką mi wyznaczy.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Pierwszą rzeczą, na którą Sophie zwróciła uwagę, był słuszny wzrost Hannibala Jonesa. Jego zmierzwiona, ciemna czupryna niemal ocierała się o sufit saloniku gospodyni. Policjant miał wyrazistą twarz i dość niechlujny wygląd. Czerwona kamizelka i zarzucony na nią wyblakły płaszcz były wymięte, jakby w nich spał. Jednak czujny wzrok mężczyzny wskazywał na bystry umysł. W wielkich dłoniach trzymał notes i ogryzek ołówka.

Sadowiąc się na krześle z twardym oparciem, Sophie z trudem panowała nad niezdrową ciekawością.

- Z chęcią odpowiem na pańskie pytania - zapowiedziała. - Kłopot w tym, że nie słyszałam, żeby kogoś zamordowano.

Jones nie usiadł, tylko dość groźnie przyglądał się jej z góry.

- Z całym szacunkiem, jej książęca mość, posiadam inne informacje.

Dzisiaj wczesnym rankiem sędzieja pokoju otrzymał anonimowy list. Nadawca twierdzi, że poprzedni książę - pani mąż - nie umarł naturalną śmiercią, tylko został otruty.

Sophie poczuła nagły zawrót głowy. Sparaliżowana zaskoczeniem, próbowała wydobyć sens ze słów konstabla. Pomimo ciepła dochodzącego od buzującego kominka, na ciele wyskoczyła jej gęsia skórka.

- Robert...? Nie, pan się myli. Przecież ja... ja byłam przy nim.

- No właśnie, jej książęca mość. I dlatego pragnę panią przesłuchać.

Jones mówił poważnie, bardzo poważnie. Serce Sophie zabiło mocno. Znów odezwały się zawroty głowy, zaczęło jej brakować tchu.

- Nie rozumiem. Kto napisał ten list?

- Nie wiemy, nie był podpisany. - Policjant zamilkł z ołówkiem zastygłym w powietrzu. - Bardzo pani pობladła. Może poproszę o kieliszek sherry dla pani?

Przymknąwszy oczy, Sophie pokręciła przecząco głową. Ręce jej drżały i wątpiła, czy zdoła cokolwiek w nich utrzymać. Walczyła z napływającymi do

świadomości koszmarными obrazami ostatnich dni Roberta. Przypomniała sobie o bólu, którego doświadczał i... o jej własnej bezradności i rozpacz.

Ktoś miałby umyślnie sprowadzić na Roberta te cierpienia?

Zebrało jej się na mdłości, szybko więc zaczerpnęła kilka głębszych oddechów.

- To jakaś pomyłka - powtórzyła, otwierając oczy. - Albo okrutny żart.

Nie wyobrażam sobie, dlaczego ktoś miałby...

- Przełknęła ciężko ślinę. - Zapewniam pana, że Robert zmarł z powodu niestrawności. Doktor Atherton to potwierdzi.

- Już z nim rozmawiałem. Przyznał, że symptomy choroby były podobne do symptomów przy zatruciu arsenikiem.

Ta informacja ponownie wywołała w niej wstrząs. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. To niemożliwe. Diagnoza lekarza była zdumiewająca.

- Nie rozumiem. Doktor Atherton nigdy czegoś takiego nie sugerował.

- Najwyraźniej nie zastanawiał się dotąd nad taką ewentualnością. - Twarz policjanta przybrała wyraz dezaprobaty. - Lecz został do tego zmuszony, kiedy jasno przedstawiłem mu całą sprawę.

- Ale to tylko domysły, ewentualność - zauważyła Sophie z desperacją w głosie. - Morderstwo nie miałoby sensu. Robert był miłym człowiekiem, spokojnym i lubianym. Nie wiem, kto mógłby chcieć go za...

- Zamordować? - Jakby oceniając jej reakcję, Jones uważnie przypatrywał się jej twarzy. - Jest jeszcze coś, co powinna pani wiedzieć, księżno.

Anonimowy nadawca listu oskarża o morderstwo panią.

Po przybyciu do Mulford House Grant dowiedział się, że Sophie ma gościa i nie może go od razu przyjąć. Poczł się zawiedziony jak młokos. Było to śmieszne, zważywszy, że zjawił się u księżnej tylko po to, aby odebrać tę jej przekłątą listę zasad, według których miał przebiegać ich flirt. Żałował, że nie kazał jej sobie dostarczyć posłańcem.

Tam do diabła, dlaczego boi się przyznać, że nie jest w stanie wytrwać siedmiu godzin bez widzenia się z Sophie? Pragnął jej dotykać, chciał ją całować, podniecać. Sprawić, by porzuciła to praktyczne podejście do romansu.

A zamiast tego stoi w holu z Phelpsem, który mimo upływu czasu nic się nie zmienił. Miał tak samo ponuro opuszczone kąciki ust i ten sam chłód w oczach jak przed trzydziestu laty, kiedy Grant odwiedzał ten dom jako dziecko.

- Czy wiesz, jak długo księżna będzie zajęta?

- Trudno powiedzieć - mruknął kamerdyner z przebiegłym błyskiem w oku. - Z takimi jak on nigdy nic nie wiadomo.

Grant zmarszczył czoło.

- Jak jaki on?

- Z policją. - Phelps zmrużył oczy, jakby się nad czymś zastanawiał. - Ten konstabl wspomniał coś o dochodzeniu w sprawie morderstwa. Mówiłem mu, że księżna niewiele mu zapewne pomoże, ale...

- O, do diabła! - zawołał Grant, zaszokowany wieściami. - Gdzie oni są?

- Na dole. W saloniku pani Jenks...

Grant wyminął nadętego służącego i ruszył szybkim krokiem na tyły domu, do schodów dla służby. Najwyraźniej ktoś doniósł na Bow Street, że Robert mógł zostać zamordowany.

Czuł, że ogarnia go przerażenie. Czyżby Atherton zdał sobie sprawę, że błędnie zdiagnozował dolegliwości księcia? Czy odezwały się w nim wyrzuty sumienia i dlatego zgłosił sprawę na policję?

Nie, Atherton to zarozumialec, który za nic nie przyznałby się do błędu. Może ktoś inny wie, że Sophie otruła męża? Ktoś ze służby? Ktoś, kto w końcu postanowił ujawnić prawdę.

Grantowi zrobiło się niedobrze. Sophie nie może trafić do więzienia. Wzdragał się na myśl, że znalazłaby się w wilgotnej, ciemnej celi. Sam chciał przeprowadzić dochodzenie. Sam chciał ukarać morderczynię. Zamierzał ją do siebie przywiązać...

Na końcu korytarza pchnął drzwi ukryte we wnęce i zaczął zbiegać kręconymi schodami na dół. Wystraszył po drodze młodą pokojówkę, taszczącą na piętro kubek z węglem.

- Gdzie jest pokój gospodyni? - zapytał nerwowo.

Dziewczyna z twarzą nakrapianą piegami przyłgnęła plecami do ściany, jakby miała do czynienia z szaleńcem. Nic nie mówiąc, wskazała ręką na lewo.

Grant rzucił się w tamtym kierunku, mijając olbrzymie dębowe drzwi do piwniczki z winami i wejście do spiżarni, w której lokaj w fartuchu polerował srebra. Przechylał przy tym głowę, jakby próbując usłyszeć rozmowę toczącą się po przeciwnej stronie wąskiego korytarza za zamkniętymi drzwiami, na których widniała plakietka z nazwiskiem pani Jenks. W przejściu stało jeszcze kilku ciekawskich służących, którzy jednak, widząc gniewne spojrzenie Granta, szybko się rozpięchli.

Wpadł do saloniku gospodyni, nie pukając. Ściany przytulnego pomieszczenia o nisko zawieszonym suficie wyłożone były ciemną tapetą w pasy. W kominku wesoło buzował ogień. Na środku stał wysoki mężczyzna, który przywitał przybysza poirytowanym spojrzeniem.

Grant skupił uwagę na Sophie, siedzącą na prostym krześle przed małym biurkiem. Jej sztywna postawa wskazywała, że jest wstrząśnięta.

Siedziała nieruchomo jak kamienna rzeźba. Jej policzki były białe niczym papier, błyszczące oczy wbite w jeden punkt, zaciśnięte dłonie spoczywały na kolanach. Sprawiała wrażenie zagubionej i kruchej, a także tak zaszokowanej, że Grant zapragnął porwać ją w objęcia.

Pohamował jednak ten impuls. Uprzytomnił sobie, że Sophie tylko gra, że jej postawa ma wywołać współczucie. Do diabła, przecież sam planował poruszyć z nią temat otrucia, aby przekonać się, jaka będzie jej reakcja. Był ciekaw, czy dostrzeże w jej oczach błysk strachu, poczucia winy lub mówiącej samej za siebie nerwowości.

Ale ten policjant go ubiegł.

- Prowadzę tu śledztwo, sir - oświadczył autokratycznie Jones. - I dlatego muszę prosić, żeby pan wyszedł.

- A ja jednak zostanę. - Wchodząc w głąb pokoju, Grant musiał lekko unieść głowę, żeby napotkać wzrok policjanta. Rzadko się zdarzało, żeby jakiś mężczyzna przewyższał go wzrostem. Z rękami na biodrach i na szeroko rozstawionych nogach, zapytał chłodno:

- Nazywam się Chandler. Jestem prawnym opiekunem młodego Mulforda. A kim, do cholery, jest pan?

- Hannibal Jones, konstabl z Bow Street. - Policjant nie dał się zastraszyć. - Zostałem upoważniony przez zwierzchników do przepytania księżnej w sprawie morderstwa.

Sophie cicho jęknęła, po czym zwróciła strapiony wzrok na Granta.

- Pan Jones twierdzi, że Robert został otruty - wyjaśniła prawie szeptem. - I że to... że ja... ja jestem morderczynią.

Serce Granta zakłuło boleśnie na widok jej skurczonej przerażeniem twarzy. Boże, czy to możliwe, żeby tylko odgrywała malujące się w jej oczach zdumienie i niedowierzanie?

A może Wren miał rację? Może Sophie jest niewinna?

Ta myśl wstrząsnęła nim do głębi. Po plecach przebiegł lodowaty dreszcz, zawirowało mu w głowie. Jednak zaraz surowo się upomniał. Sophie z pewnością udaje. Niemniej uważał, że powinien jak najprędzej ją stąd zabrać. Jeśli powie coś, co ją obciąży...

Odwrócił się do Jonesa.

- To oburzające. Kto naopowiadał panu tych kłamstw?

- Otrzymaliśmy anonimowy list z informacją, że w zeszłym roku latem księżna podała swemu mężowi truciznę...

- Anonimowy? - Grant wybuchnął szczekliwym śmiechem. Dzięki Bogu, że świadek zbrodni stchórzył i nie ujawnił nazwiska. - I na tej wątpliej postawie

śmie pan nachodzić księżną, mimo że jest jeszcze w żałobie? Bez cienia dowodów pozwala pan sobie oskarżać tę kobietę o tak okropny czyn?

Nieco zmieszany, Jones przestąpił z nogi na nogę.

- Lekarz, który opiekował się księciem, potwierdził, że objawy były takie jak przy zatruciu arsenikiem. Poza tym policja ma obowiązek zająć się zarzutami. Zwłaszcza tak poważnymi jak w tym przypadku.

- Nawet wtedy, kiedy nie posiadacie żadnych dowodów? Chyba że zamierzacie ekshumować zwłoki i zbadać je pod kątem obecności trucizny w ciele.

Sophie znów jęknęła. Grant wołałby nie poruszać przy niej tak ponurych kwestii, jednak ważne było, żeby Jones pojął swoją sytuację.

- Ależ skąd - zapewnił konstabl, marszcząc czoło. - Żaden test nie wykaże obecności arszeniku w ciele. Zabójstwo mogą udowodnić tylko przyznanie się do winy mordercy, albo dowody poszlakowe.

Grant doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale chciał zmusić Jonesa, żeby sam to głośno przyznał. Żeby pojął, że jego działania są bezcelowe.

- Dowody poszlakowe - wycedził. - Nie pomyślał pan, że ten list to podłe oszczerstwo? Księżna jest piękną, utytułowaną i zamożną kobietą. Wiele osób jej zazdrości. Wielu życzy jej kłopotów i zniszczonej reputacji.

- Oczywiście, że taka możliwość istnieje, niemniej... Jones przerwał, bo drzwi do saloniku stały nagle otworem.

Do pokoju wbiegła Helena z czarnym staropanieńskim czepkiem na skromnie zaczesanych jasnych włosach. Jej szeroko otwarte niebieskie oczy przesuwają się ze zdumieniem po trzech obecnych w saloniku osobach.

- Co tu się, na Boga, dzieje? Phelps powiedział, że przesłuchuje cię policja.

Grant już otwierał usta, żeby wszystko wyjaśnić, ale Sophie, wstając, posłała jemu i posterunkowemu wymowne spojrzenie. Podeszła do Heleny i, pochwywszy za ramię, podprowadziła szwagierkę do sofy.

- Niestety pan Jones przybył do nas z przykrą sprawą. Lepiej, żebyś usiadła.

Sophie znowu przybrała rolę wyniosłej księżnej, zauważył Grant. Znowu przywołała na twarz maskę dostojeństwa, skrywającą jej prawdziwe myśli i uczucia. Czy specjalnie pozuje na opanowaną przed szwagierką? Czy zależy jej raczej na wywołaniu wrażenia, że ma dobre i troskliwe serce, i nikogo nie chce skrzywdzić?

- Phelps wspominał coś o... o morderstwie - szepnęła z przerażeniem starsza kobieta. - Czy ktoś z naszych sąsiadów...?

Sophie podniosła dłoń szwagierki i zaczęła ją delikatnie gładzić.

- Chodzi o Roberta - wyjaśniła. - Pan Jones twierdzi, że został otruty.

Helena szeroko rozwarła usta. Zachwiała się, jakby miała zemdleć. Jej przepełniony niedowierzaniem wzrok przesunął się od Sophie do policjanta, jakby szukała na ich twarzach potwierdzenia, że stroją sobie z niej żarty.

- To jakiś nonsens! Straszna pomyłka. Kto miałby powód, żeby zamordować mojego brata?

- Jones przypuszcza, że to byłem... ja.

Ciche słowa wypowiedziane przez Sophie zawisły ciężko w powietrzu. Księżna opanowanym krokiem powróciła do swojego krzesła i usiadła. Wydawała się spokojna, jednak, kiedy spojrzała na Granta, jej zielone oczy wyrażały głębokie przejęcie.

- Ty? - powtórzyła Helena ze zdumieniem. Powoli pokręciła głową. - Ależ to... to bzdura. Nawet nie zamierzam się nad tym zastanawiać!

- Witam, droga pani - wtrącił się Jones, zbliżając się do mówiącej. - Domyślam się, że jest pani siostrą księcia. Panią także będę musiał przesłuchać.

Twarz Heleny stężała, zamieniając się w chłodną, wyniosłą maskę. Kobieta spojrzała na policjanta, jakby był robactwem u jej stóp, a nie mężczyzną dwukrotnie przewyższającym ją wzrostem. Lodowatym głosem zapytała:

- Czyżby oskarżał mnie pan o współudział w zbrodni? Jones trochę się zmieszał, mimo to mówił dalej.

- Nie, szanowna pani, niemniej chciałbym, aby opowiedziała mi pani, co tu się działo, gdy brat umierał.

Helena poderwała się na równe nogi.

- Cóż za bezczelność! Jak pan śmie nachodzić porządnych ludzi i zadawać takie impertynenckie pytania! Zaraz pójdę na górę i napiszę skargę do sędziego pokoju.

- Najlepiej wyjdźcie obie - wtrącił Grant, który pragnął, korzystając z okazji, usunąć Sophie sprzed oczu konstabla. - Sam się wszystkim zajmę. - Wiedział, że musi przekonać jakoś Jonesa, żeby zaniechał śledztwa.

Ale Sophie, sztywno wyprostowana, pozostała na swoim miejscu.

- Nie - rzuciła stanowczo. - Nie mam nic do ukrycia. Uważam, że powinniśmy odpowiedzieć na pytania tego pana.

Jones z satysfakcją skinął głową.

- Przesłucham każdą z pań oddzielnie i zacznę od pani, jej książęca mość - powiedział i spojrzał na Helenę. - Poproszę, żeby pani wyszła. I pan także, sir.

Helena opuściła salonik ze wzburzeniem. Grant jednak, przeklinając w duchu lekkomyślność Sophie, nawet nie drgnął.

- Ja zostaję - oświadczył.

- Obawiam się, że procedura przesłuchania wymaga, aby każdy świadek zeznawał oddzielnie...

- Pan Chandler nie może być świadkiem w tej sprawie - wyjaśniła Sophie - bo od dziesięciu lat nie było go w kraju. Wrócił do Anglii dopiero przed dwoma tygodniami.

- Rozumiem - mruknął Jones bez przekonania, patrząc podejrzliwie na Granta. Zrozumiał chyba jednak, że próba wyproszenia go z pokoju spełźnie na niczym. - Cóż, w takim razie, jej książęca mość, proponuję, żeby zaczęła pani od obiadu, podczas którego pani mąż się rozchorował.

Grant przysłuchiwał się zeznaniom, uważnie obserwując zachowanie Sophie. Mówiła spokojnym głosem, z dumnie uniesioną głową. Odpowiadała na pytania bez wahania, opisując ze szczegółami ostatnie dwa tygodnie życia Roberta. Kiedy opisywała cierpienia i ból, przez które przechodził, w jej oczach błyszczały łzy, a głos drżał. Nawet na chwilę nie porzuciła wizerunku przybitej wdowy, pragnącej wykrycia zabójcy i osadzenia go za kratkami.

Niepokój Granta się wzmagił. Jeśli Sophie udawała, należy jej się miejsce gwiazdy w królewskim teatrze. Ale jeśli nie? Czy to możliwe, że pomylił się co do niej? Czyżby była niewinna?

Nie, anonimowy list potwierdzał przecież jego podejrzenia. Nie da się zwieść jej pięknej twarzyczce i gładkiej mowie. Sophie już raz wystrychnęła go na dudka. Nie pozwoli, żeby to się powtórzyło.

Uznał jednak, że już najwyższa pora rozszerzyć pole dochodzenia. Żeby nie wzbudzać podejrzeń Sophie, powinien lepiej się przyjrzeć pozostałym potencjalnym zabójcom. Czas odegrać rolę tak samo błyskotliwą jak rola, którą grała księżna.

Rozdział XIII

16 listopada 1701

Wezwano mnie rano przed oblicze szacownego Mulforda. Jego ponura mina zdradzała, że nie jest zachwycony wieścią o mojej korespondencji z Williamem. Zganił mnie i pytał, czy nie rozumiem, że nie wypada, abym flirtowała z obcymi mężczyznami. Że to niebezpieczne. I czy nie pojmuję, jaki to dla mnie zaszczyt, że się ze mną zareczył? Uprzedzał, że nie życzy sobie, żebym go zawstydzala moim postępowaniem.

Odpowiedziałam, że się cieszę, iż potrafi wypowiedzieć naraz więcej niż kilka słów. Nie wydawał się zachwycony tą ripostą. Poinformował mnie, że moją wierną Mary zastąpi inna służąca, którą on sam wybierze. Protestowałam, ale nie ugiął się.

Zimny, arogancki człowiek! Nienawidzę go!

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Sophie weszła do biblioteki z nadzieją, że pobyt w niej złagodzi nieco natężenie targających nią emocji. Ale jej sanktuarium zdawało się tym razem jakieś inne - puste, zimne, niegościnne. Usłyszała szczeł kłamki, który głuchym echem rozszedł się w ciszy. To Grant zamknął za sobą drzwi.

Wysokie regały z książkami, obrazy na ścianach, wygodnie ustawione grapy foteli i stolików, wszystko to wyglądało tak samo. Sophie czuła znajomy zapach kurzu i starych skórzanych opraw, a także woń płonącego w kominku węgla. Nic się nie zmieniło - poza nią.

Pani mąż nie zmarł śmiercią naturalną, tylko został otruty.

Ogarnęło ją tak silne przerażenie, że musiała pochwycić się oparcia krzesła, aby nie upaść. W trakcie długiego przesłuchania trzymała emocje na wodzy. Teraz jednak odezwały się one ze zdwojoną mocą.

Ktoś zabił Roberta. Łagodny, cichy, dobroduszny Robert padł ofiarą morderstwa. Sophie nie mogła w to uwierzyć, ale przecież był list. List, w którym to ją oskarżano o zabójstwo.

Zobaczyła Granta, który stanął obok i wetknął jej coś do ręki. Jej zziębnięte palce automatycznie zacisnęły się na chłodnym szkle. Grant uniósł dłoń ze szklanką do jej ust.

Ognisty płyn ściekał po języku do gardła, paląc go swoją mocą. Sophie sapnęła i szybko przełknęła ślinę, czując, że gryzący alkohol spływa do żołądka. Krztusząc się, powiedziała:

- To... to brandy Roberta. Nie pijam jej.

Chciała odstawić szklanę, ale Grant pokręcił głową.

- Wypij do końca - poradził. - To ci pomoże.

- Raczej mnie zamroczy.

- Wypij, naprawdę lepiej się poczujesz - nalegał. - Zaufaj mi.

Jego ciemne oczy wypełniała troska. Sophie uświadomiła sobie, że rzeczywiście mu ufa. Po minionej nocy, kiedy to wypłakiwała na jego ramieniu swoje żale, i po dzisiejszych wydarzeniach, podczas których tak zapalczywie bronił jej przed oskarżeniami o morderstwo, w jej stosunku do byłego kochanka zaszła ogromna zmiana. Czowała, że są sobie bliscy niczym pokrewne dusze. Może w jego objęciach znajdzie wreszcie to ukojenie, którego szukała w czterech ścianach biblioteki.

Uniosła szklanę i przełknęła następny łyk. Po jej ciele rozeszło się ciepło, które dotarło nawet do palców u stóp. Napięcie mięśni nieco zelżało, a chmura paniki i niedowierzania zaczęła się rozpraszać, dzięki czemu wróciła jej zdolność jasnego myślenia.

Grant stał tak blisko, że wyczuwała bijące od niego gorąco.

Na tyle blisko, że z łatwością mógłby ją pochwycić, gdyby zemdląca.

Ona jednak nie zamierzała mdleć. Musiała się zastanowić nad postawionymi jej zarzutami. Zaczerpnąwszy powietrza, spytała:

- Wierzysz, że Robert został otruty?

Grant odwrócił wzrok, a na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Kiedy znów na nią spojrział, twarz wykrzywił mu grymas przygnębienia.

- Na to wygląda. Chyba że przychodzi ci na myśl ktoś, kto wymyślił sobie to wszystko tylko po to, żebyś wylądowała w więzieniu.

Po plecach przebiegł jej lodowaty dreszcz. Czy to możliwe, żeby ktoś żywił do niej aż tak wielką nienawiść?

Jeszcze kilka dni temu jej podejrzenia padłyby na samego Granta. Teraz jednak uważała, że nie jest on zdolny do takiego okrucieństwa.

- Nawet jeśli ktoś taki istnieje, nie mam pojęcia, kto by to mógł być.

- Masz wrogów? Wyrządziłaś komuś jakiś afront? Kojarzysz kogoś, kto ci źle życzy?

- Nie. - Drżąc, odstawiła na wpół opróżnioną szklanę na stolik. - Robert i ja bywaliśmy wprawdzie w towarzystwie, ale nie przychodzi mi do głowy nikt, kogo moglibyśmy do siebie zrazić. A po śmierci Roberta w ogóle przestałam wychodzić do ludzi.

- Nie spiesz się i pomyśl - poradził Grant. - Zastanów się nad każdym, kto mógł żywić do was choćby cień urazy. Może to jakaś sprawa sprzed lat.

Sophie poczuła na całym ciele gęsią skórę. Pocierając ramiona, zaczęła krążyć po bibliotece. Puszysty dywan w niebiesko złoty wzorek wygłuszał jej kroki. Przeszła wolno wzdłuż regału z pięknie oprawionymi książkami, omijając drabinkę, stojącą w tym samym miejscu, w którym ją zostawiła po poszukiwaniach zaginionego pamiętnika Annabelle. Dzisiaj jednak jej silne pragnienie, by dowiedzieć się, czy Annabelle urodziła kochankowi dziecko, wydawało się wręcz trywialne w porównaniu z potrzebą oczyszczenia się z oskarżeń.

A także z potrzebą wymierzenia kary zabójcy męża.

Obszedłszy pokój, zatrzymała się przed Grantem, który opierał się ramieniem o kredens. Nawet pomimo zdenerwowania silnie odczuwała emanującą od niego męskość. Choć jego strój, burgundowy surdut i jasnobrązowe bryczesy, był strojem typowego dżentelmena, Grant i tak kojarzył się jej z czymś grzesznym i łobuzerskim. Zawdzięczał to chyba lekko niedbałemu ułożeniu ust i wyrazowi cynizmu w oczach, jakby już nic na świecie nie mogło go zdziwić.

Czy odwoła wieczorną schadzke? Miała nadzieję, że nie.

Była zbulwersowana samą sobą. Dowiedziała się, że Robert mógł paść ofiarą morderstwa, i myśli o romansie. To pewnie brandy tak ją rozluźniła.

- Przychodzą mi do głowy tylko mało znaczące incydenty - powiedziała. - Lord Harrington może mieć do mnie żal, bo śmiałam się, kiedy wjechałam na koniu do sali balowej w jego domu. A lady Dalrymple zapewne do tej pory mi nie wybaczyła, że nie zaprosiłam jej na przyjęcie.

Grant wygiął usta w uśmiechu, który nie dotarł do oczu.

- Nie zapominaj o tych, którzy zazdroszczą ci pozycji w towarzystwie.

- Sądzisz, że ich zazdrość jest tak silna, że z jej powodu oskarżyliby mnie o morderstwo? - Sophie pokręciła głową.

- Niemożliwe. To jakiś absurd.

Grant odwrócił się, żeby dolać sobie brandy z karafki.

- W takim razie należy uznać, że anonimowy nadawca listu mówi prawdę i Robert rzeczywiście został otruty. - Powróciwszy na miejsce, popatrzył na Sophie znad obrzeża kieliszka.

- Musimy ustalić, kto życzył mu śmierci.

Poczuła ucisk w żołądku. Czy jej się tylko wydaje, czy w czujnym spojrzeniu rozmówcy dostrzegła złowieszczy błysk? Uderzyła ją nieprzyjemna myśl. Niech Bóg ma ją w swej opiece, jeśli Grant sądzi...

Unosząc dumnie głowę, powiedziała wolno:

- Ja miałam powód, żeby zabić Roberta. Znałam jego tajemnicę. Myślisz, że to ja go zamordowałam?

Jak zwykle, z pociemniałych oczu Granta niczego nie można było wyczytać. Miał obojętną minę, jak osoba, która nie chce ujawnić swoich myśli. W złowrogą ciszę pokoju wdarł się odgłos syczenia ognia w palenisku.

- Ty? Oczywiście, że nie - odpowiedział, przywołując uśmiech na twarz.

Sophie głośno wypuściła wstrzymywane powietrze. Nie miała pojęcia, co by uczyniła, gdyby Grant umknął przed nią wzrokiem lub w jakiś inny sposób

wyraził powątpiewanie co do jej niewinności. Z zaniepokojeniem uświadomiła sobie, że nagle jego opinia zaczęła bardzo wiele dla niej znaczyć.

Zebrała myśli.

- Muszę się pospieszyć - oświadczyła. - Inaczej Jones dowie się o ciemnej stronie życia Roberta.

- Pomyślałem dokładnie to samo. - Grant z drinkiem w dłoni zaczął przechadzać się po bibliotece. - I nie tylko ty musisz zabrać się do działania. Byłem przyjacielem Roberta i ta sprawa dotyczy także mnie. Uważam, że na początku powinniśmy przyjrzeć się Elliotowi.

Sophie poczuła ukłucie w sercu.

- Z powodu wykopalisk z Chichester? Grant skinął głową.

- Przypuszczam, że Elliot i Robert pokłócili się o nie.

- Rzeczywiście, na kilka tygodni przed chorobą Roberta. - Sophie ciężko opadła na krzesło, próbując wyobrazić sobie kuzyna męża w roli mordercy. Czy Elliot był aż tak wściekły, że postanowił otruć Roberta? - Kłótnia była głośna. Miała miejsce tutaj, w bibliotece. Robert chciał przekazać wykopaliska do muzeum, ale Elliot się na to nie zgadzał. Pragnął ich dla siebie.

- Zakładam, że Robert nie zdążył zapisać skarbów muzeum i są one teraz w twoim posiadaniu.

- Należą do Luciena - wyjaśniła. - Są zdeponowane w skrytce bankowej. Nawet gdybym chciała je oddać, nie mogłabym tego uczynić. Pieczę nad znaleziskami sprawują powiernicy, do czasu aż Lucien osiągnie dojrzałość i sam postanowi, co z nimi robi.

- Rozumiem. - Popijając brandy, Grant podszedł do stołu, na którym leżały rozłożone mapy. Zaczął wertować kartki jednego z atlasów. Sophie przypomniała sobie, że jej towarzysz, ilekroć nad czymś się zastanawiał, miał zwyczaj chodzić nerwowo po pokoju. - Mówiłaś Jonesowi, że w dzień, kiedy Robert się rozchorował, Elliot był w Mulford House i uczestniczył w feralnej kolacji.

- Przyjechał pożyczyć jakieś książki z biblioteki. Często to robił. - Sophie zdawała sobie sprawę, że Elliot miał ku temu sposobność, by otruć jej męża. Czyżby zakradł się do kuchni i dosypał trucizny do ulubionego przez Roberta ciasta? Zadrżała na tę myśl. - Tylko że on i Robert na ogół się dogadywali. Obaj interesowali się historią i często o niej razem gawędzili. Trudno uwierzyć, żeby Elliot uczynił coś tak okropnego.

- A więc może Helena?

Sophie szeroko otworzyła oczy. Ze zdumienia przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- To niedorzeczne. Jak mogłeś nawet pomyśleć, że Helena...

- Zamordowała brata? - dokończył Grant. - Może dlatego, że zawsze bardzo się różnili. Robert bał się siostry, przynajmniej w dzieciństwie. Helenie zaś nie podobało się, że brat dorósł, a ona nie może dłużej dyktować mu, co ma robić.

- Zgodzę się, że Helena bywa nadopiekuńcza, ale kochała Roberta. Od drobnych sprzeczek do morderstwa daleka droga.

Grant wyjął jakąś książkę z półki i obrócił ją, żeby odczytać tytuł na obwolucie.

- Przypuszczam, że jedna rzecz mogła aż tak wyprowadzić ją z równowagi, że jednak pomyślała o zabójstwie. Chodzi mi o skłonności Roberta.

- Nie, to raczej wątpliwe. Helena nigdy nie dawała po sobie poznać, że się czegoś domyśla. - Pochyliwszy się, Sophie zacisnęła dłonie na oparciu krzesła. - Zrozum. Robert był bardzo ostrożny, i ja także. Pilnowaliśmy, żeby nikt nie miał powodu myśleć, że nie jesteśmy szczęśliwym, kochającym się małżeństwem.

I dlatego właśnie od czasu do czasu Robert sypiał z nią w jednej sypialni, choć do niczego nie dochodziło. Często też całował ją w policzek przy domownikach i okazywał czułość na jeszcze inne sposoby. Kupował jej kwiaty, biżuterię i książki. Na przyjęciach nie odstępował jej na krok, jakby byli świeżo po ślubie.

Zresztą nie były to wyłącznie pozory. Robertowi rzeczywiście na niej zależało, tak jak jej na nim. I Sophie pogodziła się z czasem z faktem, że musi tłumić w małżeństwie niespełnione potrzeby. Tyle przecież zawdzięczała mężowi. Robert zaopiekował się nią, kiedy była zdesperowana i osamotniona. Bez cienia niechęci dał jej synowi swoje nazwisko.

Synowi Granta.

Serce zabiło jej mocniej, kiedy się zorientowała, że Grant uważnie się jej przygląda. Nie powinna żałować, że dopuściła się oszustwa. Były kochanek był przerażony perspektywą małżeństwa. *Do diabła! Nie stać mnie na utrzymanie żony, a teraz przecież muszę się z tobą ożenić...* Te słowa nadal bolały, nadal raniły jej dumę. Ona i Lucien byłiby dla niego tylko ciężarem. Sophie uważała, że dobrze postąpiła, odtrącając kochanka za pomocą brutalnego kłamstwa.

- Co wiesz o partnerach Roberta? - zapytał niespodziewanie Grant. -
Opowiadał ci o nich?

- Był tylko jeden. Ktoś, kogo Robert znał od dawna. - Pokręciła głową. -
Ale on nie mógł go otłuć. Nie było go przecież wtedy w domu. Nigdy tu nie przychodził.

- Może przekupił kogoś ze służby? Wzdrygnęła się z niechęcią.

- Tylko po co miałyby to robić?

- Klótnia kochanków, lub głęboko skrywane poczucie winy, że ciągnie go do mężczyzn. Nie dowiem się, dopóki z nim nie porozmawiam. - Jakby popędzany tą myślą, Grant zbliżył się do Sophie. - Jak on się nazywa?

- Nie wiem. Robert nie wyjawiał mi jego nazwiska. Nigdy nie mówił o swoim drugim życiu. Pod tym względem był bardzo konsekwentny.

- Ale przecież byłaś w domu jego kochanka. Sophie skrzyżowała ręce na piersiach.

- Wątpię, żebym zdołała odnaleźć ten dom. To była noc, a ja byłam cała w nerwach. Śledziłam Roberta wynajętą dorożką, więc nie zwracałam uwagi, dokąd jadę.

Grant do końca opróżnił szklanę i odstawił ją na stół.

- Musi istnieć jakiś sposób na odnalezienie tego człowieka. Czy w rzeczach Roberta nie zostało coś, co może na niego wskazywać. List, adres.

- O ile wiem, nie. - Sophie przemknęła przez głowę pewna myśl, coś, co mąż powiedział do niej dawno temu. Chciał, żeby miała z nim kontakt, w razie gdyby podczas jego nieobecności wydarzyło się coś złego...

Zamierzała podzielić się tym wspomnieniem, lecz po chwili porzuciła ten pomysł. Uznała, że nikt poza nią nie powinien wiedzieć, iż Grant poznał tajemnicę Roberta. Sama będzie musiała zająć się tą delikatną kwestią.

Wstała.

- Może chcesz przejrzeć biurko Roberta? - zaproponowała. - Większość dokumentów już stamtąd usunęłam, ale coś tam jeszcze zostało. Zaprowadzę cię do jego gabinetu.

Ruszyła do drzwi, ale Grant ją zatrzymał. Chwytnąjąc za ramię, przyciągnął do siebie. Jego silne palce czule głaskały jej nadgarstek. Za sprawą tej delikatnej pieczyoty atmosfera w pokoju zrobiła się naładowana zmysłowością.

- Sophie - mruknął cicho. - Mam nadzieję, że nasze plany na wieczór nie uległy zmianie.

Skupiony na niej wzrok mężczyzny rozpałił w niej iskry podniecenia. Pomimo powagi sytuacji, jej serce zabiło radośnie i zaszumiło jej w głowie. Nie mogła dalej oszukiwać się, że to objawy odurzenia brandy.

Czy jest złą osobą, myśląc o własnych przyjemnościach, mimo że dopiero co dotarły do niej tragiczne informacje na temat śmierci męża?

W głębi serca była dziwnie przekonana, że Robert nie miałby do niej o to pretensji. Zawsze chciał, żeby była szczęśliwa. Zastanawiała się, czy mąż, wyznaczając Granta na opiekuna, miał na względzie tylko przekazanie praw do Luciena biologicznemu ojcu, czy może także życzył sobie, aby Sophie ponownie połączyła się ze swą pierwszą miłością.

Puls jej podskoczył. Zapragnęła zbliżenia już w tej chwili. Chciała, by Grant kochał się z nią w bibliotece. Na podłodze, sofie, gdziekolwiek. Pragnęła zapomnieć się w namiętności, oddać się rozkoszom ciała.

Ale to by było szaleństwo. Nie jest już przecież podlotkiem, żeby ulegać niepohamowanej lekkomyślności. Kryjąc więc wzburzenie, obdarzyła Granta chłodnym spojrzeniem.

- Nie widzę powodu, żebyśmy mieli odkładać nasze spotkanie. Pod warunkiem, że będziesz trzymał się moich zasad.

Usta mu drgnęły, jakby jej słowa go rozśmieszyły.

- Rozumiem zatem, że sporządziłaś już swoją listę?

- Owszem, sporządziłam. Dam ci ją. - Grant puścił jej rękę, ona zaś przeszła do sekretarzyka i z górnej szuflady wyciągnęła złożoną kartkę.

- Nie jest zbyt długa - zauważył. - Spodziewałem się poważnego dokumentu na co najmniej dziesięć stron.

Rozbawienie wygładziło jego ostre rysy. Sophie z biciem serca stwierdziła, że w tym momencie bardzo przypomina dawnego siebie. Mężczyznę, którego jako młoda dziewczyna namiętnie pokochała. Teraz jednak była starsza i mądrzejsza. Mimo to jej dłonie pod wpływem zdenerwowania zwilgotniały, Grant bowiem zaczął głębokim barytonem odczytywać listę.

- Schadzki będą się odbywały tylko u ciebie. Nie zgadzam się na zaloty w trakcie wizyt w Mulford House. - Jedna z brwi czytającego wygięła się w górę sardonicznie. - To dość duże ograniczenie, nie sądzisz? Spontaniczność i odmiana są bardzo inspirujące.

Pomimo że sama tak uważała, Sophie pokręciła odmownie głową.

- Mój syn tu mieszka. Ten punkt nie podlega dyskusji.

Wzruszywszy ramionami, Grant powrócił do czytania.

- Absolutna dyskrecja... ochrona przed niechcianymi konsekwencjami... - Jego ciemne oczy napotkały jej wzrok. - Rozumiem, że masz na myśli wystrzeganie się zajścia w ciążę.

- Tak. - To absurdalne, że mówiąc o ciąży, czerwieniła się. - Poczęcie dziecka po prostu nie wchodzi w grę, a wspominałaś coś o metodach zapobiegawczych.

- Zazwyczaj to kobiety dbają o zabezpieczenia. - Grant patrzył na nią przenikliwie. - Oczywiście najczęściej na ten temat wiedzą kurtyzany, a nie szanujące się damy.

Sophie wyprostowała się dumnie. To nie jej sprawa, z jakimi kobietami Grant się zadaje.

- Muszę być zabezpieczona. To konieczność. Długo jej się przyglądał.

- Znam pewien sposób - powiedział w końcu. - Mogę wyjść z ciebie przed samym szczytowaniem.

Słyszając to, tak jej ulżyło, że nie poczuła nawet zawstydenia, które powinna wywołać w niej bezpośredniość tych słów. Ależ to oczywiste. Dlaczego sama na to nie wpadła?

Dawno temu Grant nie był taki ostrożny. Doskonale pamiętała swoją radość, że może się z nim połączyć, ekscytację i ekstazę, których później doznała. Później, wymęczeni namiętnością, długo jeszcze leżeli złączeni, spleceni ramionami...

Zacisnęła dłoń na nadgarstku Granta, żeby zrozumiał, jak ważna jest dla niej kwestia, którą omawiali.

- Musisz mi przyrzec, że to zrobisz. Nie wolno nam ryzykować.

- W tej sprawie jesteśmy zgodni - odparł szorstko. - Mam czytać dalej?

Puściła go i skinęła głową.

- To ja wyznaczę koniec romansu. Kiedy to nastąpi - czytał niby to obojętnym głosem - podpiszesz zrzeczenie się opieki nad Lucieniem. - Unosząc głowę, obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. Strzelił palcami w kartkę. - A co to, do diabła?

- To konieczność, Grant. Nie mogę przecież widywać się z tobą po rozstaniu. Chyba to rozumiesz?

- To wygląda jak zapłata za usługi.

Chociaż jej serce skurczyło się z bólu, patrzyła rozmówcy prosto w oczy, nie unikając jego wzroku.

- Musisz mi zaufać i uwierzyć, że nie to miałam na myśli - powiedziała spokojnie. - Nie zgodzę się na romans, jeśli nie zaakceptujesz wszystkich punktów z listy.

Grant przyglądał się jej chłodno. Jego twarz znów niczego nie wyrażała. Sophie uniosła podbródek, odwzajemniając mu się równie twardym spojrzeniem, choć w środku drżała z niepokoju. A jeśli odrzuci jej warunki? Jeśli zażąda czegoś od siebie albo po prostu wrzuci listę do ognia? Czy jest w stanie zrezygnować z romansu, którego pożądała całym sercem i duszą?

Nie wiedziała tego.

- Trudna sprawa - powiedział wolno Grant. - Dotąd nie pozwalałem, żeby kobiety stawiały mi warunki.

Jej serce zabiło mocniej ze strachu, mimo to milczała. Powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia. Teraz decyzja należy do niego.

Grant zaś po chwili złożył kartkę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni surduta. Jego gesty były spokojne, jednak oczy błyszczały złowrogo. Leniwym ruchem wysunął rękę i przeciągnął kciukiem po jej ustach.

- Ale dla ciebie, księżno, zrobię wyjątek. Przyjmuję twoje warunki. Czekać na mnie o siódmej wieczorem.

Pokonawszy krótkie schody, Sophie weszła do chłodnej, zawilgoconej piwniczki z winami i zadrżała. Ściślej okryła się szalem i ruszyła w stronę przyćmionego światła, dochodzącego z przeciwległego krańca pomieszczenia.

Chwilę temu, po bezowocnym przeszukaniu biurka Roberta, Grant opuścił Mulford House. Przy pożegnaniu był uprzejmy i oficjalny. Najwyraźniej starał się uszanować jej prośbę o dyskrecję, więc powinna czuć zadowolenie.

Ona jednak, w głębi duszy, żałowała, że zastosował się do jej warunków.

Żałowała, że nie doszło między nimi do namiętnego pocałunku.

Szybko odepchnęła od siebie te zdrożne myśli. Grant wyraził zgodę na zrzeczenie się opieki i tylko to się liczy. Mogła sobie pogratulować, ponieważ zgoda dowodziła, iż nie zależy mu naprawdę na dobru Luciena. Mimo to czuła się rozgniewana i dziwnie zraniona - bowiem Lucien będzie bardzo zawiedziony. No ale przecież żadna matka nie jest w stanie wiecznie ochraniać dziecka przed przykrymi stronami rzeczywistości.

Powróciła do obecnego zadania. Już wkrótce, żeby kłamstwo o wyjściu do teatru nie wyszło na jaw, będzie musiała przebrać się w wieczorową suknię. Musi też znaleźć czas na pożegnanie się z synem przed snem. Jednak najpierw zajmie się inną, ogromnie ważną sprawą.

W piwniczce temperatura powietrza utrzymywała się na stałym, dość niskim poziomie. Wzdłuż ścian z kamienia stały długie regały z beczułkami wina oznaczonymi stemplami winnic z Hiszpanii, Włoch, Portugalii i Francji. W minionych miesiącach zawartość piwniczki niewiele się uszczupliła. Robert uwielbiał wino, podobnie jak wydawanie przyjęć. Ale Sophie i Helena piły alkohol tylko okazjonalnie, czasami po kieliszku do posiłku.

Pokrywająca posadzkę warstwa kurzu tłumiła jej kroki. Dochodząc do końca wysokiej półki, zastawionej zielonymi butelkami, usłyszała odgłos metalu uderzającego o metal i szum przelewanego płynu. Skręciła za róg i zatrzymała się w słabym świetle wiszącej na ścianie lampki oliwnej.

Przy długim drewnianym stole stał Phelps. Obok leżały różne narzędzia: ręczne wiertło do robienia otworów w beczkach, drewniany młotek do wbijania korków i miedziany lejek do napełniania butelek. Kamerdyner nie miał na sobie surduta. Zamiast niego koszulę i spodnie osłaniał długi biały fartuch. Z głową odchyloną w tył pił coś ze szklanego kielicha.

Sophie wkroczyła w obręb światła lampy.

Służący szeroko otworzył oczy, po czym szybko odstawił kielich, rozpryskując przy tym wino na blat stołu. W powietrzu rozeszła się kwaśna woń. Phelps, odchrząkując, chwycił ścierkę i zaczął wycierać plamę.

- Wasza książęca mość! Ja... ja sprawdzałem właśnie, czy wino jest dobre.

A więc Phelps podkrada wino. Odkrycie tej słabości kamerdynera bardziej ją rozbawiło niż zaniepokoiło. Uznała nawet, że ta sytuacja może jej pomóc.

- Domyślam się, że przygotowujesz się do czwartkowego przyjęcia - powiedziała dyplomatycznie.

Służący wyraźnie się rozluźnił.

- No właśnie. Lady Helena kazała mi wybrać najlepsze wina. Musiałem jednak sprawdzić, czy te, które wytypowałem, nie skwaśniały.

- To oczywiste - zgodziła się chłodno Sophie. Korzystając z przewagi nad rozmówcą, postanowiła poruszyć interesujący ją temat. - Domyślam się, że słyszałeś, że policja prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci księcia? Konstabl Jones zamierza przesłuchać służbę.

Pomarszczona twarz kamerdynera przybrała wyraz niechęci.

- Tak, jaśnie pani. Jones poprosił mnie nawet o sporządzenie listy osób pracujących w Mulford House w czasie, kiedy księżę zachorował.

- To znaczy, że ciebie już przesłuchał?

- Nie, ma tu wrócić jutro. - Phelps, wyraźnie oburzony, podniósł jedną z butelek i zaczął ją wycierać gwałtownymi ruchami. - Pozwolę sobie zauważyć, że to obraźliwe, iż ten niechlujny prostak będzie się kręcił po kuchni i przeszkadzał w pracy porządnym ludziom. Sam osobiście sprawdzałem referencje wszystkich służących. Są bez skazy, tak jak przystało na pracowników księcia.

- Nikt przecież nie obwinia cię o niedopilnowanie obowiązków - zauważyła Sophie, choć zarazem spoglądała wymownie na kieliszek z winem.

Na oblicze kamerdynera wypłynął lekki rumieniec.

- Proszę mi wybaczyć, jaśnie pani, jeśli za bardzo się uskarżam - powiedział z fałszywym uniżeniem. - I pragnę uprzedzić, że chcę dodać coś od siebie. To znaczy, chcę poinformować Jonesa o własnych podejrzeniach co do sprawcy.

Sophie ze zdumieniem zbliżyła się do stołu, który ich od siebie oddzielał.

- Jak to? A kto nim jest twoim zdaniem?

- Bez wątpienia monsieur Ferrand. Proszę sobie przypomnieć, że odradzałem zatrudnienie go.

- Kucharz? A jaki miałby powód? Phelps powrócił do wycierania butelki.

- Nic pani nie rozumie. Chodzi oczywiście o jego pochodzenie. Nie wolno ufać obcokrajowcom. To jasne, że Ferrand otrul księcia, mszcząc się w ten sposób za klęskę pod Waterloo.

Sophie pohamowała uśmiech, mało stosowny w tym momencie. Wątpiła, żeby Jones potraktował poważnie hipotezę kamerdynera, niemniej postanowiła wciągnąć pana Ferranda na listę podejrzanych.

- Rozumiem. Czy wiesz, gdzie się zatrudnił po odejściu od nas?

- U rodziny mieszcuchów. Chyba w Newberry. - Phelps pociągnął z dezaprobatą nosem. - U jakichś handlarzy tkaninami.

- No tak, ale Jones z pewnością będzie pytał też o innych. Pomóż mu, jak potrafisz. - Sophie na chwilę zamilkła, po czym dodała miękko: - Z jednym wyjątkiem.

Phelps stał jak skamieniały, a ona zastanawiała się, czy pojął, co miała na myśli.

Stary kamerdyner posiadał informację, na których jej zależało. Mąż uprzedził ją kiedyś, że gdyby podczas jego nieobecności wydarzyło się coś niedobrego, ma zwrócić się do Phelps'a, który natychmiast sprowadzi Roberta do domu. Sophie jak dotąd nie rozmawiała ze służącym na ten delikatny temat. Oboje go unikali. Czowała się więc teraz głęboko zażenowana, że zmuszona jest go poruszyć.

Przywołała na twarz wyraz surowości i powagi.

- Mówię o... o przyjacielu księcia. Nie wolno ci o nim wspominać nawet słowem. Zrozumiałaś?

W oczach Phelpsa pojawił się błysk urazy. Poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, lecz po chwili skinął tylko lekko głową.

- Jest jeszcze jedna rzecz - brnęła dalej Sophie. - Muszę poznać nazwisko tej osoby.

Kamerdyner zeszywniał.

- Proszę wybaczyć, jaśnie pani, ale przysięgłem księciu...

- Mój mąż nie żyje. Teraz ja jestem twoją panią.

Phelps zacisnął z uporem wąskie usta. Sophie z niepokojem pomyślała, że odmówi udzielenia odpowiedzi. Zważając na długie lata, jakie przepracował u rodziny Mulfordów, wolałaby nie straszyć go zwolnieniem, niemniej, jeśli zaszłaby taka konieczność...

Jednak ku jej wielkiej uldze kamerdyner wykonał najpierw niezgrabny ukłon, a potem, popatrzywszy jej prosto w oczy, powiedział:

- Jak sobie pani życzy, jej książęca mość.

Rozdział XIV

19 listopada 1701

Poranki spędzam na lekcjach etykiety, popołudnia na czytaniu Biblii, zwłaszcza tych ustępów, które mówią o posłuszeństwie i czystości. Zabrano mi pióra i atrament, więc zrobiłam sobie pióro z pawiego pióra, a atrament z sadzy zmieszanej z octem. Ukryłam je z pamiętnikiem w sekretnym miejscu, w którym strażniczka nie będzie ich szukała.

O ja nieszczęsna, William nie wrócił jeszcze z Lincolnshire.

- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.

Jak na kobietę, która właśnie rozpoczyna namiętny romans, Sophie sprawiała wrażenie stanowczo zbyt opanowanej.

Siedziała dumnie wyprostowana w dwukółce obok Granta, który sprawnie przedzierał się otwartym powozem po zatłoczonych ulicach. Okrywał ją obszerny, ciemny płaszcz, bardziej pasujący zakonnicy niż kochance. Twarz osłoniętą miała czarną woalką, lekko falującą pod podmuchami chłodnej bryzy.

Wymagana jest absolutna dyskrecja.

Sądziła, że dam ogłoszenie w „Morning Post”? - zastanawiał się w duchu Grant. Albo wejdę się na dach i stamtąd będę krzyczał, że ją zdobyłem.

Zdusił przyptyw poirytowania. Tak jak Sophie, doskonale zdawał sobie sprawę, że skandal oznaczałby nagły koniec ich romansu. Nie byłoby to zgodne z jego celem. Żeby zdobyć zaufanie księżnej, musi złamać jej opory i uczynić z niej niewolnicę rozkoszy. Niestety, jest na tyle sprytna, że niełatwo będzie ją złapać w sidła. Tym lepiej. Z radością czekał na długie noce niczym nieskrępowanej namiętnej miłości.

Ja zadecyduję o końcu romansu.

Akurat. To on postanowi, kiedy i gdzie zakończy się ich związek. A dojdzie do tego, gdy nasyci się już kochanką, a także wyciągnie z niej przyznanie się do morderstwa.

A może nie. Może Sophie nigdy mu się nie znudzi. Wtedy, wykorzystując jej poczucie winy, zatrzyma ją przy sobie...

Wyśmiał w duchu ten pomysł. Na świecie nie istnieje kobieta, którą nie znudziłby się po kilku tygodniach. To prawda, że o Sophie marzył aż dziesięć lat, ale było tak tylko dlatego, że nie próbował nawet o niej zapomnieć.

Po zakończeniu romansu podpiszesz, zrzeczenie się opieki nad Lucienem.

Ten warunek budził w nim prawdziwą wściekłość. Nieistotne, że Sophie twierdzi inaczej. Prawda jest taka, że usiłuje nim manipulować, oddaje mu swe ciało w zamian za pozbycie się go z jej życia - ponieważ uważa, że będzie miał zły wpływ na jej syna. Ta myśl jeszcze bardziej go zirytowała. Może i ma na sumieniu wiele grzechów, ale dziecka nigdy by nie skrzywdził.

Pomimo że na początku opiekę nad Lucienem postrzegał jako środek, który doprowadzi go do celu, z czasem polubił chłopca. Lucien przypominał mu Roberta z młodości. Spokojnego i poważnego, chociaż z diabelskim ognikiem w oku. Chłopiec był wychowywany przez same kobiety. Potrzebny mu mężczyzna, na którym mógłby się wzorować, który pokazałby mu, jak być męskim.

Na wspomnienie dużych, ufnych oczu Luciena Grantowi zacisnęło się gardło. Do diabła, chciał zasłużyć sobie na podziw tego dzieciaka. Choć raz w jego przeklętym życiu pragnął postąpić jak należy.

To on zadecyduje, czy zajmie się Lucienem, kiedy już policja udowodni, że Sophie zamordowała męża. Jej status ochroni ją być może przed stryczkiem, ale i tak wyląduje w więzieniu. Będzie marniała w lodowatej celi do końca jej dni.

Niech to szlag! On pierwszy musi znaleźć dowody. Wtedy będzie miał Sophie w garści. Zmusi ją, żeby zwolniła go z przyrzeczenia zrzeczenia się opieki nad Lucienem.

Szarpnął lejce, żeby koń ciągnący dwukółkę zwolnił. Zbliżali się bowiem do zaciemnionej uliczki na tyłach jego miejskiej rezydencji. Już wcześniej ustalili, że podjadą od tyłu, aby nie ściągać na siebie zainteresowania wścibskich sąsiadów. Skręcając w wąską alejkę, Grant rozglądał się czujnie dokoła, choć nie przypuszczał, żeby w cieniu czaił się złodziej. Tego wieczoru Sophie nie potrzebowała wsparcia wynajętego zbira.

Będziemy się spotykali wyłącznie u ciebie.

Grant domyślał się, że księżna zaproponowała taki układ między innymi w tym celu, aby, wykorzystując okazję, przeszukać jego pokoje. Chce znaleźć list Roberta, a nie wie, że ten leży bezpiecznie ukryty w skrytce bankowej.

Na dziedzińcu przed stajniami panował półmrok. Nieco światła przeciekało na zewnątrz z otwartych drzwi domu. Kiedy Grant zeskoczył z kozła, do powozu podbiegł krzywonogi parobek, aby przytrzymać konie.

Grant przeszedł na drugą stronę dwukółki. Wyciągnął ramiona ku Sophie i objął ją w pasie. Natychmiast zalała go fala podniecenia. Księżna, z jej obfitym biustem i kształtnymi biodrami, była uosobieniem męskich erotycznych fantazji. Tuląc ją mocno do siebie, postawił na ziemi. Bliski kontakt silnie na niego podziałał. Na Sophie też, sądząc po tym, jak zaczerpnęła nagle głęboko powietrza. Mimo to odsunęła się od niego, chłodna i uprzejma, niczym dobrze wychowana panna z wizytą na herbatce.

Dotknął jej pleców, kierując do bramy ogrodu. Kiedy znaleźli się w cieniu drzew, woń jej perfum zmieszała się z zapachem gleby rozchodzącym się w powietrzu. Grant mocno się nim zaciągnął, żeby uciszyć podenerwowanie.

Było jeszcze wczesnie. Miał jeszcze wiele godzin na zaspokojenie pragnienia, które dręczyło go od tylu lat. Tej nocy nie będzie tak jak ostatnim razem, kiedy się kochali. Nie rzucą się na siebie w przypływie dzikiej namiętności, żeby potem rozstać się w kłótni. Tej nocy emocje nie mają do niego dostępu. Liczy się tylko uwiedzenie Sophie. Doprowadzenie jej do ekstazy.

Przesunął dłoń w dół po jej plecach. Była taka miękka, kobieca i... spięta. Zbyt spięta.

Zatrzymał się więc na środku zwirowej alejki i podniósł woalkę, zakrywającą jej twarz, a potem przesunął palcami po jedwabistym policzku.

- Jeśli masz jakieś wątpliwości, powiedz. Sophie, dziwnie blada, pokręciła głową.

- Myślę o monsieur Ferrandzie.

Grant szybko cofnął dłoń. Był lekko zawiedziony, że Sophie w takiej chwili rozmyśla o tak odległych sprawach

- O tym kucharzu?

- Tak. Muszę jak najszybciej z nim porozmawiać. Nigdy nie czułam się dobrze z tym, że wyrzuciłam go z posady bez referencji. Teraz, kiedy już wiem, że Robert nie zmarł z jego winy, mam jeszcze większe wyrzuty sumienia.

Grant niczego nie rozumiał.

- Chcesz go przeprosić?

- Owszem - odparła, potakując głową. - Ale chcę go też zapytać, czy nie zwrócił tamtego wieczora uwagi na coś podejrzanego. Może do kuchni zaglądał ktoś, kto nie miał do tego uprawnień.

Uzmysłowił sobie, że Sophie, odgrywając rolę niewinnej, musi udawać zainteresowanie śledztwem. Tylko dlaczego, do wszystkich diabłów, zajmuje się tym w tej chwili?!

Wspiął się po schodach na ganek, który ciągnął się wzdłuż całej tylnej ściany domu.

- Jest tylko jeden problem - zauważył. - Ferrand zniknął.

- Ależ nie. - Sophie przystanęła na zadaszonym ganku i pociągnęła go za rękaw. - Phelps mówił mi dzisiaj, że Ferrand zatrudnił się u rodziny bogatych kupców. U jakichś Newberrych.

Coś takiego! A więc to nie Ferrand zdzielił go chochlą po ramieniu.

- Odszukam go i wyciągnę z niego wszystko, co wie. Ty już o tym nie myśl.

Otworzył drzwi i wprowadził Sophie do środka. W przedsionku panowała cisza, nie licząc tykania zegara stojącego w jednym z pobliskich pokojów. Na marmurową posadzkę padał blask płonących świec, oświetlających drogę do holu i schodów prowadzących na piętro z sypialniami.

Schodów do nieba.

- Sama porozmawiam z monsieur Ferrandem - upierała się Sophie. -
Wątpię, żeby chciał rozmawiać z kimś obcym. Bardzo się obraził posądzeniem,
że podał księciu nieświeże jedzenie. Przypuszczam, że nawet ja będę musiała
długo go namawiać, zanim zechce coś powiedzieć.

- W takim razie odwiedzimy go razem. - Grant nie zamierzał dopuścić, by
Sophie kupiła sobie milczenie najważniejszego świadka. Przycisnął ją do ściany,
wtulając się z rozkoszą w jej bujne kształty. - Od tej pory - dodał ochryplym
szepem - wszystko będziemy robili razem.

Sophie sprawiała wrażenie uroczo zmieszanej. Na jej policzkach pojawił
się lekki rumieniec, dłonie oparła mu na piersiach, jakby chciała, żeby nieco
zwolnił tempo.

- Proszę, zaczekaj chwilę - powiedziała z lekką zadyszką.

- To ważne. Nie chciałam o tym mówić, dopóki nie zostaniemy zupełnie
sami.

- Mamy ważniejsze rzeczy do roboty, kiedy jesteśmy sami.

- Grant rozpiął płaszcz kochanki, pozwalając, by zsunął się z jej ramion
na ziemię. Pomimo że miała na sobie czarną, żalobną suknię, wyglądała w niej
wielce nęcąco. Lekko wycięty dekolt odsłaniał kusząco część biustu. Nie mógł
się już doczekać, kiedy zobaczy Sophie nagą w blasku świec.

Ona zaś schyliła się, by podnieść płaszcz.

- Nie możemy tak rozrzucać ubrań, Grant. Służba...

- Dałem im wolne. W domu nie ma nikogo poza nami.

Odebrał płaszcz i rzucił go na krzesło. Następnie znów wziął Sophie w
objęcia, muskając ją ustami po policzku. Pachniała mydłem toaletowym i
jeszcze jakimś innym zapachem, charakterystycznym tylko dla niej. Przywodził
na myśl sekretne miejsca na jej ciele.

Sophie pochwyciła go stanowczo za ramię.

- Posłuchaj, Grant. Coś jeszcze nie przestaje mnie nurtować. Chodzi o ten
list.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. List napisany przez Roberta na łożu śmierci? Potem uświadomił sobie, że Sophie mówi o anonimowym liście, który ktoś wysłał na policję.

- Tak?

- Ktoś próbuje zrzucić na mnie winę, ale nie wiemy kto. Przyszło mi na myśl, że mogłabym rozpoznać charakter pisma donosiciela.

Najwyraźniej pragnie dowiedzieć się, kto był świadkiem jej zbrodni i może zeznawać przeciwko niej w sądzie. Grant jednak dosyć już miał tego ponurego tematu. Postanowił sprawić, by uwaga Sophie od tej pory skupiała się tylko na nim.

- Zatem jutro udamy się do magistratu i obejrzymy list. - Pochylił się i żeby oderwać Sophie od jej rozmyślań, musnął ustami jej usta. - A teraz koniec z morderstwami i całym tym zamieszaniem, kochanie. Dzisiaj jesteśmy dwójką nieznanym bez przeszłości.

- Nieznanych?

- Tak, zupełnie się nie znamy. Spotkaliśmy się dzisiaj po raz pierwszy. - Gra, którą proponował, przypominała ich zabawy sprzed lat. Wtedy był to raczej rodzaj szarad. Naśladowali różne osoby z towarzystwa i próbowali odgadnąć, o kogo chodzi.

Grant jednym ruchem rozwiązał wstążki kapelusza ocieniającego urocze oblicze kochanki i rzucił go na płaszcz. Pochylił się do włosów Sophie, żeby zaciągnąć się ich świeżym zapachem. Były uczesane w swobodnym stylu, z miękkimi miedzianokasztanowymi lokami spływającymi po bokach twarzy.

- Zobaczyliśmy się na przyjęciu - kontynuował swoją wymyśloną opowieść. - Zapragnąłem cię w tej samej chwili, w której cię ujrzałem, tańczącą na parkiecie. Pomimo że nigdy wcześniej cię nie widziałem, zżerała mnie zazdrość, że tańczysz z innym.

Sophie, wcielając się w rolę, skromnie opuściła głowę i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Ależ, sir. Jestem szanującą się damą. Nie mam zwyczaju wdawać się w romanse.

Grant ucieszył się, że tak chętnie dołączyła do zabawy. Ściągnął rękawiczki z jej dłoni, nie zważając, że opadły na ziemię pod ich stopy. Potem ucałował wewnątrz jednej dłoni.

- Uczyni mi pani zaszczyt, jeśli dla mnie zrobi wyjątek.

- Jak mogłabym odmówić - odparła, trzymając się swojej roli. - Jestem panem oczarowana, zwłaszcza po tym, jak obdarował mnie pan tą piękną różą.

Grant objął ją i zaczął prowadzić w głąb oświetlonego blaskiem świec korytarza.

- Jej kremowe płatki przypominają mi pani piękną cerę, szanowana pani.

- Nie kremowe, tylko czerwone - poprawiła go z zawstydzeniem. - Tak czerwone, jak pańska namiętność.

Przyglądając się, jak gładzi palcami płatki niewidzialnego kwiatu, poczuł suchość w ustach.

- Tak, tak, czerwone. Pomyliłem się, oślepiony pani niezwykłą urodą.

Sophie posłała mu kuszące spojrzenie spod półprzymkniętych powiek.

- Uroczy komplement, sir. Ale pan jesteś podobno nieuleczalnym nicponiem. Nie powinnam wierzyć w ani jedno pańskie słowo. Przyzwoite kobiety unikają mężczyzn takich jak pan.

- Przyzwoite kobiety wiodą nudny żywot. Pani zaś jesteś odważna. Widać to w pani oczach. Lubi pani igrać z ogniem.

- Znana też jestem ze wstrzeźliwości. Do tej pory ani razu nie zesłam z drogi cnoty. - Przesunęła dłonią po jego piersi, a jej głos zaczął przypominać jedwabiste mruczenie. - Ale pańska osoba, sir, nieodparcie mnie pociąga. Kiedy pana ujrzałam, nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko o... namiętym zbliżeniu.

Grant poczuł, że krew w nim zawrzała. Czy Sophie mówi w swoim imieniu - czy jako wymyślona postać? A z drugiej strony, jakie to ma znaczenie, do diabła, skoro podobało mu się to, co się działo.

- No właśnie... namiętne zbliżenie - powtórzył. - To z jego powodu pozwoliłem sobie zapomnieć o towarzyskich uprzejmościach i zaproponowałem, byśmy wspólnie opuścili przyjęcie...

- Ależ to ja to zaproponowałam - poprawiła Sophie. - Powiedzmy to wyraźnie, nie obawiam się sięgać po to, czego pragnę.

Dotarli do słabo oświetlonego holu. Sophie stanęła na pierwszym stopniu schodów i, zagrządzając mu drogę, odwróciła się do Granta. Objęła jego twarz dłońmi i złożyła na ustach delikatny pocałunek. Tak samo lekki jak ten, którym on obdarował ją zaraz po wejściu do domu.

Tyle że Grant miał już dosyć ich zabawy. Znudziła go. Czas na silniejsze emocje.

Przyciągnął Sophie i, mocno tuląc, zaczął ją namiętnie całować. Językiem rozchylił jej wargi. Nie wzbraniała się. Ich języki połączyły się we wspólnym tańcu. Był oszołomiony. Puls dudnił mu w uszach, w głowie wirowało. Pożądanie zupełnie nim zawładnęło.

Bliskość Sophie zawsze tak na niego działała. Ogarniało go przemożne pragnienie, by się z nią połączyć. Dając temu wyraz, przyciągnął jej biodra do swoich. Odpowiedziała na to westchnieniem. Zarzuciła mu ręce na szyję i, wsuwając palce we włosy, wpiła się w jego usta, jakby to było pożywienie, które ratuje życie.

Granta ogarnęło pragnienie, by kochać się z nią już tutaj, w holu. Mógłby zdrzeć z kochanki suknię i zatopiwszy się w...

Ale nie jest już przecież nieopanowanym młodzikiem. Po wszystkim Sophie nie byłaby zachwycona, że leży na zimnej marmurowej posadzce, w miejscu dobrze widocznym przez wysokie okna usytuowane po obu stronach wejściowych drzwi.

Chciał, żeby była zadowolona, usatysfakcjonowana i żeby błagała go o więcej.

Odsunął się więc i popatrzył na nią uważnie. Wyglądała tak, jakby była gotowa mu się oddać. Twarz jej płonęła, usta miała wilgotne od pocałunków. Była piękna. Poczuł w sercu dziwny skurcz, uczucie, które nie wiązało się wyłącznie z pragnieniami ciała.

Uznał, że chodzi zapewne o zbliżający się moment tryumfu. Moment, na który czekał od dziesięciu lat. Sophie wreszcie znalazła się w jego władzy, gotowa połączyć się z nim. Tym razem już mu nie umknie. Tym razem sprawi, że obdzielili go niezachwianym zaufaniem.

Pochylił się do niej i ze zręcznością wytrawnego kochanka przesunął uwodzicielsko językiem po jej ustach.

- Czekają nas wiele rozkoszy, moja droga pani. Tej nocy nigdy nie zapomnisz.

Rozdział XV

21 listopada 1701

Moja nowa pokojówka przypomina królika. Ma pulchne policzki, a kiedy jest zła, czubek jej nosa dostaje dziwnych drgawek. Ma na imię Adelaide, ale ja mówię do niej Laddie. Nie potrafi delikatnie czesać i za nic ma moją prywatność. Nocami, żeby mnie pilnować, śpi obok mojego łóżka i chrapie tak głośno, że mogłaby obudzić zmarłego.

Nadal nie otrzymuję żadnych wieści od Williama i nawet nie mam ich skąd uzyskać, bo moją wierną Mary wyrzucili na bruk. Straciłam więc posłańca.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Sophie zalała fala obezwładniającej żądy. Przestraszyła się, że osunie się zaraz na podłogę u stóp Granta. I nie dlatego, że brakowało jej pewności siebie, ale z powodu miękkości w nogach. Paliła ją przenikająca do głębi tęsknota za zbliżeniem. Nadal czuła na ustach smak pocałunku kochanka... a raczej jej pocałunku, bo to ona pierwsza pocałowała Granta.

Upomniała się w duchu, że jej towarzysz tylko odgrywa swoją rolę. Rolę uwodziciela, zgodną zresztą z jego naturą. W migoczącym blasku świec rzeczywiście wyglądał jak niegodziwiec, którego przyzwoite damy omijają szerokim łukiem.

Gra cieni nadawała jego obliczu groźny wyraz. Ciemne oczy dziwnie błyszczały, ostre rysy twarzy wydawały się jeszcze wyrazistsze. Ponieważ stał tak blisko, Sophie wyczuwała mocne uderzenia jego serca.

Jej ciało ogarnęło nagle gorąco, a w duszy zbudziła się dzikość. Powiodła palcami po zarysie mocnej szczęki Granta, zachwycając się dotykiem szorstkiej skóry. Miała dosyć gry; chciała już mieć do czynienia z prawdziwym mężczyzną.

- Gdybym rzeczywiście spotkała cię dzisiaj po raz pierwszy - wyszeptala - poszłabym z tobą, Grant. Naprawdę bym poszła.

- A ja poruszyłbym niebo i ziemię, żeby do tego doszło. - Kącik jego ust uniósł się w przebiegłym uśmiešku. - Oboje poruszymy dzisiaj niebo i ziemię, Sophie. Przyrzekam ci to.

W jego głosie pobrzmiwały dziwne nuty, ale ona nie chciała roztrząsać ukrytych intencji Granta. Nie pozwoli, żeby cokolwiek zepsuło jej ten moment ekscytacji.

- Przejdziemy w takim razie do sypialni? - spytała szeptem, uśmiechając się zachęcająco. - Chcę szybko sprawdzić, czy dotrzymasz obietnicy.

Odwróciła się i, uniósłszy dół sukni, zaczęła się wspinać na górę wypolerowanymi dębowymi schodami. Świadoma, że Grant idzie tuż za nią, umyślnie zakołysała biodrami. Kiedy się obejrzała, stwierdziła, że utkwił wzrok dokładnie tam, gdzie chciała. Na widok podziwu w jego oczach zaląła ją fala radości.

W trakcie jej małżeństwa rzadko mogła doświadczać adoracji mężczyzn. Ci, wiedząc, że jest szczęśliwą mężatką, jeśli już w ogóle zwracali na nią uwagę, to tylko ukradkiem. Zdarzali się wprawdzie i odważniejsi, którzy, sugerując romans, otwarcie z nią flirtowali, ale ją odstręczała myśl o złamaniu małżeńskiej przysięgi. Sophie nie uznawała niewierności, tak częstej w kręgach wyższych sfer. Pomimo że nie była szczęśliwa z Robertem, nadal uważała małżeństwo za świętość. Utrzymywała celibat, bo jej zdaniem, bez względu na okoliczności, żona winna być wierna mężowi.

Ale teraz nie jest już niczyją żoną. Może robić, co chce.

Na piętrze znów się zatrzymała i ponownie połączyła z Grantem w pocałunku. Namiętnym i gorącym. Chciała oczarować partnera, chciała go uwieść, chciała, żeby stracił nad sobą kontrolę. Jęknął cicho w odpowiedzi, a ją oblała nowa fala domagającego się rozładowania pożądania.

Pragnę Granta.

Nie chciała się oszukiwać, że tak samo czułaby się z innym mężczyzną. Od pierwszej chwili, gdy ujrzała Granta po zwycięskim wyścigu powozów, między nimi nawiązała się silna więź. Możliwe, że kochanek wpisał się na zawsze do jej serca i ciała.

Nie, nie na zawsze. On przecież nie życzy sobie trwałych zobowiązań. Nie potrafi być stały w uczuciach. Pozostaje jej więc skorzystać z tego, co chce jej dać, czerpiąc z obecnej sytuacji tyle przyjemności, ile tylko można.

Pokonali resztę schodów ramię przy ramieniu, po czym długim korytarzem dotarli do drzwi sypialni. Po wejściu do niej Sophie ogarnęło

zdumienie. W pokoju panowała bardzo nastrojowa atmosfera. Grant ogromnie się postarał. I to wszystko dla... niej.

W przestronnym pokoju płonęło kilka świec. Ich zapach, zmieszany z wonią szczap drewna płonących w kominku, wypełniał powietrze. Złota poświata opływała jasnoniebieskie ściany i ciężkie mahoniowe meble. Nad łóżkiem zwieszał się ciemnoniebieski baldachim. Pod odsłoniętą narzutą zachęcająco połyskiwała nieskazitelnie biała pościel.

Drzwi za nimi zamknęły się z cichym trzaskiem. Sophie poczuła na sobie ramiona kochanka. Objął ją i przytulił do atletycznej piersi. Jego ciepły oddech owiał jej kark. Rozluźniła się i niespodziewanie ogarnęło ją wrażenie, że wróciła do domu, do siebie. Było jej dobrze. Czowała, że to w porządku, iż Grant ją obejmuje, że otacza ją jego zapach, że przy nim nabiera przekonania, iż jest bezpieczna.

- Sophie - wyszeptał jej do ucha. - Należysz teraz do mnie.

Jej serce zalało ciepło. Tuląc policzek do piersi mężczyzny, powiedziała szczerze:

- Tęskniłam za tobą, Grant, i to bardzo. I chyba nie uświadamiałam sobie tego w pełni, aż do tej chwili.

Jedyną oznaką, że jej słowa wywarły na nim jakieś wrażenie, było napięcie mięśni otaczających ją ramion. Chciała się odwrócić, ale Grant na to nie pozwolił.

- Tęskniłaś nie za mną, tylko za namiętnością - poprawił. - I zaznasz jej tej nocy, zapewniam cię. Lecz najpierw musisz wyrazić zgodę na pewne warunki, które ci postawię.

Jedną jego dłoń błędziła po jej brzuchu, druga po ustach. Poruszona pieścizotą, Sophie nie potrafiła zebrać myśli.

- Warunki?

- Podobnie jak ty, mam pewne wymagania. - Grant otarł się policzkiem o jej włosy. - Tyle że moje dotyczą tego, co będzie się działo w sypialni.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Były prawie czarne, wypełnione niebezpieczną zmysłowością. Serce zabiło jej mocniej, znów zrobiło się jej gorąco.

- Słucham - szepnęła.

- Po pierwsze, nie chcę pośpiechu. Pragnę się tobą nacieszyć.

Jego ręce powędrowały do jej biustu. Piersi, uciskane przez materiał sukni, natychmiast stały się ciężkie i nabrzmiałe. Przeszywał je dziwny ból. Sophie miała wrażenie, że dłonie kochanka emanują ciepłem, które rozchodziło się szybko po całym jej ciele.

Wtuliła się w niego zachęcająco. Pamiętała, że za pierwszym razem, kiedy się kochali, owładnięci dziką, nieopanowaną namiętnością, bardzo się spieszyli. Pragnęła ponownie zaznać tej gorączkowej namiętności... ale pragnęła też czegoś innego - delectowania się każdą pieszczotą, każdym pocałunkiem, każdą chwilą spędzoną w objęciach Granta.

- Zgadzam się - powiedziała lekko zduszonym głosem. - Nie będziemy się spieszyli. Jakie jeszcze masz wymagania?

- Że pozwolisz się prowadzić. Musisz mi zaufać. - Grant uniósł jej podbródek i zajrzał głęboko w oczy. - Potrafisz, Sophie? Potrafisz mi zaufać?

W jego niskim głosie pobrzmiwało wyzwanie. We wzroku obietnica, przyrzeczenie, że obdarzy ją rozkoszą. Ale tliło się w nim też coś niebezpiecznego. Sophie przyzwyczała się już do niezależności, do tego, że sama o sobie decyduje. Grant prosił, żeby to porzuciła, żeby oddała mu kontrolę nad sobą. A jednak, widząc, jak na nią patrzy, miała ochotę zgodzić się na wszystko, czego od niej żądał.

- Ufam ci.

Na usta wypłynął mu uśmiech satysfakcji.

- Teraz cię rozbiore - zapowiedział. - Ale nie zdejmę wszystkiego od razu, tylko będę to robił powoli, stopniowo.

Przeniósł ręce na plecy i zaczął rozpinać guziczki sukni. Przy każdym, na odsłoniętym kawałku skóry składał delikatny pocałunek. Żeby dokończyć, przykląkł na kolano. W końcu pociągnął za suknię, która zsunęła się jej z ramion i swobodnie opadła na ziemię.

- Odwróć się - nakazał.

Kiedy to robiła, nogi jej drżały. Grant nadal klęczał, obejmując jej biodra dłońmi. Nie miała na sobie gorsetu, tylko samą koszulę. Gorące spojrzenie kochanka paliło ją, mimo to stała wyprostowana, dumnie wypinając pierś. Nie chciała dać się pokonać zawstydzeniu. Stoi przecież przed Grantem - przed jedynym mężczyzną, którego w życiu pożałowała. Mężczyzną, z którym zaraz będzie dzieliła najbardziej intymne doznania. Była zachwycona, że przed nią klęczy, jakby w adoracji.

Kierowana kobiecą intuicją, uniosła ramiona i wyciągnęła spinki z włosów. Potrząsnęła głową, żeby uwolnić miedzianokasztanowe loki. Opadły na plecy i piersi. Wyraz zachwytu na twarzy Granta wystarczał za wszelkie pochwały.

- Mój Boże - westchnął. - Jakaś ty piękna. Jeszcze piękniejsza, niż gdy miałaś osiemnaście lat.

Niedługo mogła się sycić tym zachwytem, bowiem Grant pochylił się i przez cienki materiał koszuli zaczął muskać ustami jej łono. Zaszokowana, poczuła miękkość w nogach. Żeby nie upaść, oparła się dłońmi o ramiona kochanka. Ten zaś, położywszy ręce na jej pośladkach, przyciągnął bliżej jej biodra i muskając ją najpierw nosem, a potem językiem, pieścił jej miękkie ciało pod koszulą.

To, co się działo, zupełnie nie mieściło się jej w głowie.

Nigdy nie wyobrażała sobie tak śmiałej sceny. Chciała powstrzymać Granta, odsunąć go i upomnieć, lecz nie umiała znaleźć odpowiednich słów. Zamiast tego czuła, że jego poczynania wzbudzają w niej coraz silniejsze podniecenie.

Szerzej rozstawiła nogi i wygięła się w tył, szepcząc przy tym imię kochanka.

Ten jednak, widząc, co się z nią dzieje, odsunął głowę.

- Powoli - rzucił niemal groźnym głosem. - Pamiętaj, na co się zgodziłaś.

Wstał, jednak zamiast skierować się do łóżka, zaprowadził ją do kanapy ustawionej blisko kominka. Opadła na nią bezwolnie, przyglądając się zamroczonym wzrokiem, jak kochanek ściąga surdut, a następnie kamizelkę i białutki fular. Czyniąc to, nie odrywał od niej wzroku.

Ona też wpatrzona była w niego jak w obraz. W jego kształtne ramiona, odznaczające się pod materiałem koszuli, w odsłonięte miejsce pod szyją, ujawniające ciemny zarost na klatce piersiowej i w obcisłe beżowe bryczesy, opinające długie, muskularne nogi i...

Odwróciła wzrok. Widok ten rozpałił w niej płomień, który szedł w górę, przez piersi do policzków. To śmieszne. Przecież była wieloletnią mężatką, myślała. Tylko, ile wdów tak słabo zna męskie ciało?

Zobaczyła, że Grant pochyla się do niej. Na ustach miał denerwujący uśmiezek.

- I jeszcze jedna zasada, Sophie. Ostatnia. Nie wolno ci się bać. Masz patrzeć i dotykać do woli.

- Ja się wcale niczego nie boję - zaperzyła się, zła, że dostrzegł jej onieśmielenie. Przeniosła wzrok na jego biodra, na miejsce wiele mówiącego wyrzuczenia pomiędzy nogami. To, co ujrzała, zaszokowało ją.

Zerkając kochankowi w oczy, położyła mu rękę na łonie, gładząc palcami jego męskość. Wyraz rozbawienia w oczach Granta zamienił się w wyraz ognistego skupienia. Zachęcona tym, pochyliła się i naśladując jego wcześniejsze poczynania, musnęła go po spodniach ustami.

Grant jęknął przez zaciśnięte zęby i szybko odepchnął ją od siebie.

- Przestań albo zaraz nastąpi koniec.

- Może powinieneś jeszcze raz przemyśleć swoje warunki.

- Jeśli ty przemyślisz swoje.

Patrzył na nią surowo i nieprzejeđnanie. Widać było, że nie zamierza ustąpić. Sophie zdecydowała, że nie będzie się z nim droczyła. Bała się, że w sprzeczce odstąpi być może od swoich zasad, a tego by nie chciała. Poza tym, co było dla niej w tej chwili najistotniejsze, bardzo pragnęła zaznać już tych rozkoszy, które Grant jej obiecywał.

On tymczasem znów przyklęknął i zdjął czarny pantofelek z jej stopy. Wsunąwszy ręce pod koszulę, rozpiął podwiązkę i zsunął ją w dół wraz z pończochą. Nie spiesząc się, gładząc nogę, to samo uczynił z drugą pończochą, zamieniając zwyczajną czynność w zmysłowe doznanie.

Kiedy skończył, opadł na kanapę i posadził sobie Sophie okrakiem na kolanach. Aż dech jej zaparło ze zdumienia. Była naga, nie licząc koszuli. Jej serce biło mocno w rytm pulsowania, które czuła w łonie.

- Grant... czy... czy nie powinniśmy iść do łóżka?

- W końcu tam dotrzemy, ale najpierw trochę się zabawimy.

Przyciągnął ją do pocałunku, tak namiętnego, że już po chwili nie miała czym oddychać. Zarazem czuła, że Grant wsuwa rękę za dekolt koszuli i zaczyna pieścić jej nagie piersi, które, pod wpływem zmysłowego dotyku, natychmiast nabrzmiały.

Ona także go pieściła, wodząc dłońmi po sprężystych ramionach i mocnej klatce piersiowej.

- Już wiem, dlaczego nie chciałeś, żebyśmy się spieszyli - wydyszała. - Takie powolne rozbieranie wzmacnia uczucie pożądania.

- A im bardziej czegoś pragniesz, tym większe zaspokojenie, kiedy to uzyskasz. - Grant zajrzał jej głęboko w oczy.

- Pragniesz mnie, Sophie? Sprawdzimy to?

Wprowadzając słowa w czyn, bez cienia skrępowania wsunął rękę pomiędzy jej nogi, a ona z zaszokowania aż odetchnęła spazmatycznie. Pomimo że Grant zdawał się całkowicie opanowany, drżała na całym ciele. Z

rozsuniętymi udami czuła się bezbronna. Speszona, ukryła twarz w zagięciu szyi kochanka.

- Tak, Grant... pragnę.

- Popatrz na mnie - rozkazał. - Nie dotknę cię więcej, jeśli na mnie nie spojrzysz.

Za bardzo pożałowała jego pieszczot, żeby odmówić. Chwyciwszy się jego ramion, uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Ujrzała w nich nie tylko pożądanie, ale też czułość.

Czułość. Upomniała się, że nie powinna dopuszczać do siebie cieplejszych uczuć. Grant to przecież tylko partner do łóżka. Uzmysławiała sobie jednak, że tęskniła nie tylko za jego ciałem, ale także za jego towarzystwem, bystrością, poczuciem humoru i ekscytującym podejściem do życia. Wraz z tym uświadomieniem zrodziło się w niej niewytłumaczalne przekonanie, że najzwyczajniej nadal kocha Granta, że nigdy nie przestała go kochać, i nigdy nie przestanie. To szaleństwo. Niech Bóg ma ją w swojej opiece.

On znów zaczął ją pieścić, więc, ogarnięta podnieceniem, porzuciła te rozważania. Lekkiimi, leniwymi muśnięciami wzbudzał w niej coraz silniejsze pożądanie. Tak silne, że nie mogła dłużej siedzieć w bezruchu. Jej biodra same zaczęły się kołysać. Instynktownie pragnęła uwolnić się już od narastającego napięcia. Jęcząc, zachęcała Granta, żeby pieścił ją szybciej i intensywniej.

Ale on nie zamierzał jej posłuchać. Zaprzeszał pieszczot, choć nie usunął dłoni spomiędzy jej ud.

- Tego właśnie pragnąłem - wyszeptał niskim, ochryłym głosem. - Żeby palił cię płomień pożądania. Żebyś mnie desperacko pragnęła.

Pomimo podniecenia Sophie wyczuwała w kochanku coś ciemnego, groźnego. Coś, co tkwiło w nim bardzo głęboko. Pomyślała, że dla niego to nie jest zwyczajna schadzka. Grant pragnął udowodnić jej, że potrafi wzbudzić w niej żądze. Dlatego, że przed laty go odrzuciła.

Wezbrała w niej dojmująca potrzeba ulżenia mu w bólu, równie silna co tętniące w niej pożądanie. Objęła dłońmi jego twarz.

- Tak, ogromnie cię pragnę - przyznała. - Nie wyobrażam sobie, żebym mogła pożądać tak mocno jakiegokolwiek innego mężczyznę. Nawet jeśli to zemsta, nie będę ci się opierała. Oddaje ci się cała.

Zaczęła go z zapalem całować po podbródku i szyi. Słyszała jego ciężki oddech i czuła szybkie bicie serca. Grant próbował nad sobą zapanować, ale ona postanowiła, że tym razem mu na to nie pozwoli.

Jednym ruchem ściągnęła z siebie koszulę i rzuciła ją na podłogę. Potem wtuliła się w niego, przyciskając dłoń do jego męskości.

- Kochaj się ze mną, Grant. Błagam. Tak bardzo cię pożądam.

Grant opuścił rozpalony wzrok na jej nagie piersi, a z jego gardła wydarł się zduszony jęk. Pochwyciwszy ją w ramiona, wstał i zaniósł do łóżka. Posadził na brzegu, po czym przykląkł pomiędzy jej nogami. Zaniemówiła, kiedy sobie uzmysłowiła, co zamierza.

Pochylił głowę do jej łona. Wczepiona palcami w jego włosy, opadła bezwładnie na łóżko i natychmiast poczuła, że pod wpływem pieczyoty zalewa ją oślepiająca fala rozkoszy. Miała wrażenie, że to silne doznanie za chwilę uniesie ją gdzieś w przestworza.

Do przytomności powracała powoli. Przypomniała sobie, że leży na łóżku w sypialni Granta. Dostrzegła na ścianie cienie migoczących płomieni świec. Czowała się zupełnie wyzuta z sił, a zarazem zaspokojona w pełni. Pomyślała, że jutro zapewne będzie zawstydzona własną rozwiązłością, ale nie dzisiaj. Dzisiaj chciała bez skrępułów sycić się zadowoleniem.

Przekręciła się na bok i dopiero w tym momencie spojrzała na kochanka. Stał obok i, przyglądając się jej uważnie, zdejmował z siebie ubranie. Jego intensywne spojrzenie znów wywołało w niej dreszcz podniecenia. Wiedziała, że teraz pora, aby Grant znalazł swoje zaspokojenie. Pragnęła już poczuć go w sobie.

Patrzyła, jak zdejmuje koszulę i rozpina spodnie. Kiedy je z siebie ściągnął, nie odwrócił wzroku, podobnie jak i ona.

Widok nagiego ciała kochanka nappełnił ją podziwem. Nie widziała nigdy tak pięknie wyrzeźbionej sylwetki. Takiej imponującej muskulatury. A mimo to nie można było uznać Granta za typowego adonisa. Miał zbyt ciemną skórę, rysy twarzy zbyt ostre i kanciaste.

- Jesteś wspaniały - wyszeptała. - Tak naprawdę dopiero teraz widzę cię w całej okazałości. Wtedy, przed laty, w pokoju było ciemno, a ja...

Położył jej palec na ustach.

- Nie mów o przeszłości. To mój kolejny warunek. Liczy się tylko chwila obecna. Ty i ja, i rozkosz, którą mamy sobie dać.

Materac zaskrzypiał pod jego ciężarem. Znowu zaczął ją pieścić, wodząc dłońmi i ustami po jej ciele. Odpowiedziała mu z odnowionym zapalem, płonąć pożądaniem, gdy jego zręczne ręce objęły jej biust.

Ona także go pieściła, zachwycona jego budową. Tak bardzo się od niej różnił. Był umięśniony tam, gdzie ona była miękka, szorstki w miejscach, w których ona była gładka. Rozogniona nie tylko własnym podnieceniem, ale także podnieceniem kochanka, uzmysłowiła sobie, że Grant w jednej kwestii się mylił. W zbliżeniu nie chodzi tylko o czerpanie rozkoszy, ale także o jej dawanie.

Błądząc dłońmi po jego szerokich ramionach, wyczuła na jednym z nich chropowatą bliznę. Była różowawa, jakby dopiero niedawno się zagoiła.

- Co to za rana? Skąd ją masz? - spytała cicho, delikatnie wodząc palcem wokół szramy.

- To nic poważnego, zwykła blizna po postrzale - odparł swobodnie Grant, powracając do pocałunków.

Zaszokowana, odsunęła się i popatrzyła na niego z przerażeniem.

- Ktoś do ciebie strzelał? Kiedy? Dlaczego?

Przymknął lekko powieki.

- To nieważne. Takie tam mało przyjemne spotkanie. Nie myśl już o tym.

Sophie zadrżała na myśl, co by było, gdyby kula trafiła w pierś. Zgodnie z tym, co Grant opowiadał, niedawno wrócił z Konstantynopola. Nie mówił jednak, w jakim celu się tam udał. Jego życie w ogóle było dla niej wielką tajemnicą.

- Pojedykowałaś się czy ktoś cię zaskoczył? - pytała dalej.

- Czy może napadli cię bandyci.

- To naprawdę mało istotne. Zapomnij o tym, proszę.

Żeby odwrócić jej uwagę od rozmowy, ponownie sięgnął ręką do jej ud. A niech sobie ukrywa te swoje tajemnice, pomyślała. Była lekko oszołomiona i nie mogła się już doczekać połączenia. Postanowiła przełamać opanowanie partnera. Musnęła go palcami po piersiach, a potem ustami po miękkiej i rozgrzanej skórze na brzuchu. Grant jęknął.

- Chcę, żebyś mnie wziął - szepnęła, głaszcząc go kusząco.

- Nie każ mi dłużej czekać.

Jej prośba spotkała się z natychmiastowym odzewem. Grant przekreślił ją na plecy i położył się na niej, otulając ją swoim zapachem i ciepłem. Czując dotyk jego nagiej piersi, zadrżała.

Pożądanie, które nią owładnęło, było wszechogarniające i wręcz bolesne.

- Teraz - nakazała szeptem. - Pospiesz się.

Jednak pomimo tego gorączkowego polecenia, Grant zatapiał się w niej powoli, nie spuszczać z niej oczu. Na jego czole widniała głęboka bruzda, jakby wysiłek wkładany w panowanie nad sobą wiele go kosztował. Sophie miała już dosyć tych subtelności, więc, unosząc biodra, zmusiła kochankę, żeby wszedł w nią do końca.

- O tak - Stęknął zduszonym głosem. - O tak.

Doskonale wiedziała, co te westchnienia oznaczają. Ją także przepelniała satysfakcja, że wreszcie doszło do zbliżenia. Że są nadzy i mogą tulić się do

siebie, i że jest to tak słodkie doznanie, iż nie rozumiała, jak mogła żyć bez takich chwil do tej pory. Jak mogła żyć bez Granta?

Pomimo że niemal płonęła z podniecenia, przez głowę przemknęła jej niemądra myśl. Zapragnęła, by ta chwila trwała wiecznie. Ale Grant nie rozumie tego słowa. Nie wie, co znaczy miłość i zaangażowanie. Pod każdym względem, nie licząc cielesnych rozkoszy, nie był mężczyzną dla niej.

Ale za to jakim był wspaniałym kochankiem.

Patrząc jej w oczy, uniósł biodra, a potem zatopił się w niej jeszcze głębiej. Było to bardzo przyjemne, niemniej, jak dla niej, kochanek nadal za bardzo się kontrolował. Chciała, by kochał się z nią tak ognście, że przestałaby w ogóle myśleć. Pozostałoby tylko samo doznawanie.

Zakołysała więc pożądliwie biodrami, a Grant, ku jej zachwytowi, zrozumiawszy, o co chodzi, zwiększył tempo. Tego właśnie było jej trzeba. Dzikiego, namiętnego zbliżenia, które oderwało ją od rzeczywistości i rzuciło w wir doznań. Teraz jej światem stał się tylko Grant - jego dłonie błądzące po niej, ich połączone w pocałunku usta, smak i zapach kochanka. Spełnienie, które po chwili na nią spłynęło, było tak intensywne, że, zamroczona ekstazą, zaczęła głośno krzyczeć.

Potem, nadal jeszcze w objęciach rozkoszy i nieco oszołomiona, poczuła, że Grant także tężeje, a jego mięśnie się napinają. Odchylił się i z jej imieniem na ustach osiągnął orgazm. Poczuła na udzie ciepło, a potem ciężar ciała kochanka na sobie, który, dysząc, opadł na nią ciężko.

Wyczerpana, nie mając sił, żeby się poruszyć, przymknęła oczy i pozwoliła sobie dryfować spokojnie po morzu wyciszenia, o niczym nie myśląc. Otaczała ją ciepła ciemność.

Dopiero po chwili poczuła powiew powietrza - to Grant się podniósł, żeby pójść po ręcznik, którym ją wytarł.

Potem znów się przy niej położył, przykrywając ją i siebie kołdrą. Wtulona w jego ciepłe ciało, Sophie odpłynęła w błogi sen.

- Grant.

Anielski głos przedarł się do głębi jego snu. Grant otworzył oczy i zobaczył czyjaś postać pochylającą się nad łóżkiem.

Delikatne rysy kobiety i jej zielone oczy były słabo widoczne w przyćmionym świetle. Jej usta były miękkie i zaróżowione... od jego pocałunków.

Wróciła mu pamięć, a wraz z nią podniecenie.

Wyciągnął dłoń do opadających kaskadą włosów kochanki. Położył jej rękę na szyi, delikatnie ciągnąc ją do siebie.

- Sophie - mruknął. - Moja ty piękna kochanko. Sophie rozchyliła usta, gotowa do pocałunku. Jednak w ostatniej chwili wyrwała mu się z objęcia i odsunęła od łóżka.

- Już po północy - powiedziała z cieniem zaniepokojenia. - Musisz natychmiast odwieźć mnie do domu.

- Po północy?

Zdezorientowany, podciągnął się i oparł na łokciu. Dopiero teraz zauważył, że Sophie zdążyła się już ubrać. Przykucnęła, żeby zebrać z dywanu rozsypane spinki.

Rozejrzał się po sypialni. Panował w niej półmrok i było chłodno. Ogień w kominku prawie już wygasł. Zostało w nim tylko kilka słabo jarzących się polan. Świece też się wypaliły. To niemożliwe. Grant nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Z pewnością nie jest jeszcze tak późno - upierał się.

Sophie wyprostowała się, ściskając w dłoni zebrane spinki, które po chwili odłożyła na stolik. Ten sam, na którym stały nietknięte butelka wina i dwa kieliszki. A także miska szklarniowych truskawek, którymi Grant zamierzał nakarmić kochankę.

Patrzyła na niego z żalem.

- Niestety jest - powiedziała, unosząc zarazem włosy, żeby spiąć je w kok na tyle głowy. - Przed chwilą sprawdzałam na zegarku, który znalazłam w kieszeni twojego surduta. Mam nadzieję, że nie jesteś zły, że do niej zajrzałam. I jest już prawie w pół do pierwszej. Oboje zasnęliśmy. Szczęście, że w porę się obudziłam.

Grant usiadł i przeciągnął dłonią po włosach. Był zdumiony, a także... zażenowany. Spał około trzech godzin. Jak to, do diabła, możliwe? Jak do tego doszło?

Nigdy nie zasypiał przy kochankach. Już sama myśl o tym była odpychająca. Zasypianie przy kobiecie to... takie intymne i pełne zaufania. A przecież nikt lepiej niż on nie zdawał sobie sprawy, że powinien pilnować się przy Sophie.

Zbliżenie zupełnie wyzuło go z sił. Miał orgazm życia. Ale to żadne wytłumaczenie. Planował przecież, że będzie się kochał z Sophie przez cały wieczór. Zamierzał ją zaszokować, pokazać tysiące różnych pozycji. Chciał, żeby umierała z rozkoszy.

I choć osiągnęła spełnienie dwukrotnie, w rzeczywistości kochali się tylko raz.

Raz!

A potem, trzymając ją w objęciach, zasnął. Jak jakiś trzęsący się starzec.

Popatrzył ponuro na kochankę, która zręcznymi ruchami upinała przed lustrem włosy. Przypomniawszy sobie, że tak samo zręcznie wodziła rękami po jego nagim ciele. Dotykała go z niemal niewinnym zdumieniem. *Tęskniłam za tobą, Grant, i to bardzo.* Przywiodła go na skraj opanowania. Dotykami, pocałunkami, westchnieniami i jękami wyrażała podziw dla niego. Jakby był jakimś mistrzem, który zszedł z niebios, aby podarować jej rozkosz.

Niczym bóg miłości.

O tak, zasłużył sobie na to miano bez dwóch zdań. Wreszcie udało mu się zaciągnąć Sophie do łóżka, po czym, do diabła, zasnął.

Jego nadal jeszcze zamroczony umysł skupił się na późniejszych słowach kochanki. On spał, a ona przeglądała mu kieszenie. Czy chciała odnaleźć list Roberta? Cholera! Kolejny punkt jego planu spalił na panewce. Zamierzał przecież przyłapać Sophie na gorącym uczynku, żeby udowodnić jej winę.

Ułożywszy włosy w skromny kok, zbliżyła się do łóżka. Znow wyglądała jak księżna.

- Pospiesz się - ponagliła go, marszcząc czoło. - Musisz mi pomóc zapiąć suknię, bo nie dosięgam do wszystkich guzików.

- Zbliź się zatem. - Poklepał materac. - Usiądź, to je zapnę.

Wyraźnie speszona jego nagością, obrzuciła go niepewnym spojrzeniem. Był na szczęście przykryty kołdrą od pasa w dół.

Gdyby jednak wiedziała, jak bardzo jest podniecony, cofnęłaby się od łóżka na drugą stronę pokoju. Oczywiście bez kłopotu sprowadziłby ją z powrotem, ale...

Tam do diabła! Chciał, żeby sama do niego przyszła. Pragnął wiedzieć, że ma nad nią przynajmniej taką władzę.

Rzucił jej wyzywające spojrzenie.

- Boisz się?

Z zadowoleniem stwierdził, że po chwili zastanowienia uczyniła, jak poprosił. Usiadła na łóżku plecami do niego. On zaś, ignorując guziki, objął jej wąską talię. Łasząc się do jej szyi, wciągnął głęboko jej zapach.

- Moja słodka Sophie - mruknął kusząco - wcale nie musimy jeszcze wychodzić.

Poczuł, że zeszywniała.

- Wystarczy, Grant. Nie mamy na to czasu.

- Mamy.

- Nie. Sztuka skończyła się godzinę temu. Helena zacznie coś podejrzewać.

- Powiemy, że coś nas zatrzymało - upierał się. Sięgnął do piersi kochanki i zaczął je pieścić w sposób, w który lubiła. - Wicehrabia Hockridge urządza dzisiaj przyjęcia. Powiemy, że nas do siebie zaprosił.

- Od roku nie byłam na żadnym przyjęciu. - Sophie drżała pod dotykiem, ale zarazem patrzyła na Granta surowo przez ramię. - Poza tym, w żadnych okolicznościach nie zgodziłabym się na wizytę u kogoś takiego jak lord Hockridge.

- Powiemy, że wpadliśmy do niego tylko na chwilę. - Grant przesunął dłoń niżej. - Wizyta była krótka - dodał wymownym szeptem. - Trwała nie więcej niż pięć minut.

Z ust Sophie wyrwało się drżące westchnienie. Odwróciła się i położyła dłoń na jego nagim ramieniu. Policzki miała zaczerwienione, oddech przyspieszony.

- Pięć minut? Jak to się ma do twoich zasad?

- Zapomnij o nich. Liczyły się tylko przy pierwszym razie. Chciałem, żeby zapisał ci się dobrze w pamięci.

Uśmiechając się, musnęła go palcami po ustach.

- Jestem pewna, że szybkie zbliżenie też potrafi się w niej zapisać.

Ach, ten jej uśmiech. Na jego widok krew w nim wrzała.

- Zatem dosiądź mnie i sama nadaj tempo.

- Dosiądź?

Była fascynującą mieszanką światowości i niewinności. Grant podłożył sobie kilka poduszek pod plecy i wyciągnął ręce do kochanki. Ona zaś, z twarzą rozświetloną oczekiwaniem, wspięła się na łóżko. Pomógł jej podciągnąć suknię i otoczyć jego biodra nogami. Zatopił palce w jej kobiecości. Przekonał się, że jest gorąca i wilgotna.

Może, tak jak on, ona także gotowa była do zbliżenia już od pierwszej chwili, gdy się przebudziła.

Oparta na kolanach, usiadła na nim, a on wszedł w nią głęboko. Jęknęła z rozkoszy i jej biodra od razu wpadły w dziki, kołyszący się rytm. Ich usta połączyły się w namiętnym pocałunku.

Kochali się szybko i gorączkowo.

Nie minęło więcej niż pięć minut, gdy Sophie, szczytując, opadła mu w ramiona. On też doznawał w tej chwili spełnienia, pamiętając jednak, że przed kulminacyjnym momentem musi wycofać się z kochanki.

Opadli potem razem na poduszki, wyczerpani i zdyszani. Przepelniony zadowoleniem, Grant przytulił policzek do włosów Sophie, napawając się ich miękkością. Zarazem z podziwem myślał, jak ognistą jest kochanką. Wystarczyła tylko niewielka zachęta, żeby namówić ją do zbliżenia. I był mile zaskoczony, że kolejny raz osiągnęła orgazm.

Czyż ona nigdy nie przestanie go zadziwiać?

I w tym właśnie momencie Sophie znów go zaskoczyła - roześmiała się ciepło na cały głos.

- Coś mi się wydaje, Grant - powiedziała, ocierając się o niego policzkiem - że będziesz miał na mnie bardzo zły wpływ.

Rozdział XVI

23 listopada 1701

Strażniczka nie przestaje mnie dręczyć na każdym kroku. Marnuję młodość na wysłuchiwanie pouczeń i czytaniu Biblii. Och, dlaczego do obowiązków księżnej nie należą na przykład szaleńcza jazda powozem po ulicach albo śpiewanie arii z dachów domów. Dlaczego nie wolno mi już zapytać chłopca na posyłki, czy tęskni za rodziną, lub zagrać w warcaby z podkuchenną? Zamiast tego muszę wykonywać takie ważne zadania jak uczenie się na pamięć ustępów z Biblii.

Tak właśnie wygląda teraz mój żaloszny żywot.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Odziewiątej rano następnego dnia, po opuszczeniu wynajętej dorożki i poproszeniu woźnicy, aby na nią zaczekał, Sophie ogarnęła niepewność. Nie wiedziała, czy słusznie postępuje, pojawiając się w tej przyjemnej dla oka dzielnicy mieszkalnej w pobliżu Covent Garden, choć domyślała się, że nie natknie się tu na nikogo znajomego. Arystokracja osiedlała się w bardziej ekskluzywnych okolicach.

Niemniej jej wahanie nie wynikało z obawy, że znajomi przyłapią ją na wizycie w tym rejonie.

Popatrzyła na wznoszący się przed nią schludny budynek z cegły. Jego okna lśniły czystością, co świadczyło o sumiennosci służby z tego domu. Rezydencja sprawiała wrażenie szacownej, a nawet eleganckiej. Mimo to Sophie najchętniej wskoczyłaby do dorożki i kazała zawieść się z powrotem do Mulford House.

Odczuwała niechęć na myśl, że musi wspiąć się po kamiennych schodach na ganek, a potem zastukać mosiężną kołatką w drzwi. Serce jej się skurczyło, kiedy sobie uzmysłowiła, że za chwilę pozna kochanka Roberta.

Widziała go już wprawdzie, ale tylko przez ułamek sekundy. Było to wtedy, gdy, śledząc męża, dotarła za nim aż tutaj. Myślała, że przyłapie Roberta z inną kobietą, ale rzeczywistość okazała się o wiele bardziej szokująca. Tamto wydarzenie nie sprawiało jej już bólu, niemniej nie czuła się swobodnie, zjawiając się w progach kochanka męża.

Czy starczy jej odwagi, żeby z nim porozmawiać, żeby poruszyć temat podejrzonej śmierci Roberta?

Nie miała wyboru, musiała to uczynić.

Ruszyła więc w stronę domu, pamiętając, że nie ma zbyt wiele czasu, bo przed dziesiątą powinna znaleźć się z powrotem w Mulford House. Na tę godzinę bowiem umówiona była z Grantem. Zamierzali udać się razem na Bow Street na posterunek policji, obejrzeć anonimowy list, a później chcieli wyśledzić monsieur Ferranda.

Jednak rozmowę z kochankiem Roberta Sophie wolała przeprowadzić sama. Nie tylko dlatego, że to rozmowa intymna. Istniały też inne powody, dla których Grant nie powinien w niej uczestniczyć.

Sophie domyślała się, że przyjaciel męża zna jej tajemnicę. Robert z pewnością mu wyjawiał, iż to nie on był ojcem Luciena.

Nie chciała, żeby Grant spotkał jedyną poza nią osobę, która zna prawdę. Postąpiłaby nierozsądnie, podejmując takie ryzyko. Gdyby Grant dowiedział się, że przez te wszystkie lata ukrywała przed nim syna, na pewno wpadłby w szal. Mógłby zażądać praw do Luciena.

Na tę myśl zrobiło jej się słabo. Nawet gdyby jej kochanek przegrał sprawę w sądzie, Lucien mógłby utracić prawa do tytułu po Robercie. Niewinne dziecko padłoby ofiarą skandalu.

No i Grant z pewnością by jej nie wybaczył. Utraciłaby go ponownie, a tego bardzo nie chciała.

Przypomniała sobie ich ostatnią noc. Było im wspaniale. Dokładnie tak, jak Grant zapowiadał. Kiedy odwiózł ją w końcu do domu, poczuła się samotna i opuszczona. Jej łóżko wydawało się puste i zimne.

Wieczór spędzony w objęciach kochanka nie ugasił w niej jednak pragnienia. Wręcz odwrotnie - jeszcze bardziej pożądała Granta.

Czy on także za nią tęsknił? Czy też żałował, że musieli się rozstać? Czy obudził się w środku nocy z jej imieniem na ustach...?

- Sophie!

Serce jej podskoczyło. Zamarła, z ręką zaciśniętą na poręczy. Przez jedną sekundę myślała, że ten niski głos, który dotarł do jej uszu, to tylko wytwór jej wyobraźni.

Potem jednak, kiedy się odwróciła, ze zdumieniem stwierdziła, że obok żółtej dwukółki zaparkowanej przy krawężniku stoi Grant. Wyciągał coś z kieszonki surduta. Była to moneta, którą rzucił dorożkarzowi, pozwalając mu odjechać.

Sophie patrzyła na kochanka z przerażeniem.

Wyglądał szalenie przystojnie w ciemnozielonym surducie i jasnych bryczesach. Nie miał kapelusza, przez co wiatr swobodnie rozwiewał mu włosy. Ale to nie jego wygląd, a wyraz twarzy wzbudził w niej niepokój. Malowały się na niej zaciętość i podejrzliwość, i z tego powodu nawet trochę nie przypominał żarliwego kochanka z poprzedniej nocy.

Pochwycił ją za nadgarstek dłonią osłoniętą skórzaną rękawiczką.

- Gdzie ty się, do diabła, wybierasz? - zapytał bez wstępów. - Kto tu mieszka?

Dotyk jego dłoni, pomimo że był wyraźnie rozgniewany, sprawił, że jej serce zabiło mocniej. Szybko jednak ukryła wyraz ekscytacji za maską chłodnej wyniosłości.

- Mnie też miło cię widzieć. Nie rozumiem tylko, jakim prawem zwolniłeś moją dorożkę.

- Nie będziesz jej potrzebowała. Sam zawiozę cię wszędzie, dokąd sobie zażyczysz.

- W takim razie, życzę sobie wrócić do domu. I to natychmiast.

Grant nie wypuszczał jej ręki z uścisku.

- Przyjechałaś tu w jakimś celu. Czekał na wyjaśnienia.

- A ja czekam na twoje. Siedzisz mnie, jakbym była jakimś... przestępcą. - Sophie nie umiała pojąć, z jakiego powodu Grant znalazł się w pobliżu jej domu

na godzinę przed umówionym spotkaniem. Czyżby się na nią zaczął? Tylko po co?

- Miałem zamiar odwiedzić Luciena, ale zanim dotarłem do Mulford House, ulicę wcześniej zaskoczył mnie niecodzienny widok. Ujrzałem samą wielką księżną Mulford stojącą na rogu i zatrzymującą dorożkę. - Przy tych słowach twarz Granta spochmurniała jeszcze bardziej. - Odpowiedz mi więc na pytanie. Chyba że wolisz, żebym zapukał do tych drzwi i sam się przekonał.

Determinacja w jego głosie przestraszyła Sophie. Szukała rozpaczliwie sensownego argumentu, którym powstrzymałaby go przed wykonaniem tego, co zapowiedział. Tylko, co miała mu powiedzieć? Znalazła się w pułapce. A Grant był na tyle sprytny, że nie dałby wiary byle jakiemu kłamstwu.

- To dom Geoffreya Langstona - wyznała wreszcie.

- Langstona? - powtórzył jej towarzysz, marszcząc czoło. - Znam to nazwisko.

- Może słyszałeś je z ust Roberta. - Mimo, że w pobliżu nikogo nie było, Sophie zniżyła głos do szeptu. - Pewnie się już domyślasz, że pan Langston to... to przyjaciel Roberta.

Grant obrzucił ją zasepionym spojrzeniem.

- Zatem kłamałaś, mówiąc, że nie znasz jego tożsamości.

- Ależ nie! Mówiłam prawdę. Potem jednak przypomniałam sobie, że Phelps zna nazwisko tego człowieka. Robert mu je wyjawiał... żeby wiedział, dokąd się udać, w razie gdyby wydarzyło się coś złego.

- I zjawiałaś się tu sama, pomimo uzgodnień, że śledztwo będziemy prowadzili razem?

Sophie nie odwróciła wzroku przed jego rozgniewanym spojrzeniem.

- Przyjechałam sama ze względu na przysięgę daną Robertowi. Langston myśli zapewne, że nikt nie zna jego sekretu. To bardzo delikatna sytuacja i dlatego proszę, żebyś się nie wtrącał.

- Zapomnij o tym.

Zacisnąwszy palce na jej nadgarstku, Grant pociągnął ją za sobą na ganek. Nie chcąc robić sceny na oczach sąsiadów, nie opierała się.

- Jesteś arogancki i nie myślisz rozsądnie - syknęła. - Robert nie chciałby, żebyś tu był. Nic cię nie obchodzi jego wola?

- A ciebie nie obchodzi własne bezpieczeństwo, księżno? - odciął się Grant. - Langston może być groźnym mordercą. Chyba że doszłaś do wniosku, że nie wchodzi to zupełnie w grę.

Nie całkiem rozumiała, skąd ta kpina w jego głosie. Czyżby nadal podejrzewał ją o nieszczerłość? A może za wybuchem gniewu kryje się po prostu troska o nią?

Uznała jednak, że obawy Granta nie są bezpodstawne. Jej żołądek ze strachu zacisnął się w supeł.

- Będę bardzo ostrożna - zapewniła. - Ale błagam, zrozum, że muszę porozmawiać z panem Langstonem sama. Nie sądzisz chyba, że wyjawię swoje tajemnice tobie, komuś zupełnie obcemu.

- Zmuszę go do tego. - Odwróciwszy się, Grant zastukał głośno w drzwi. Sophie była zniechęcona jego agresywną postawą. Jakże inaczej zachowywał się minionej nocy. Ale czy mogła mieć do niego pretensję? Przecież, zjawiając się w tym miejscu, oszukała go. Zawiodła jego zaufanie.

I nie tylko w tej sprawie, ale też w innej, o wiele poważniejszej, o której Geoffrey Langston wie wszystko. Gdyby wyjawiał Grantowi tę tajemnicę...

Wewnątrz domu rozległy się przytłumione kroki. Sophie pochwyciła Granta za ramię.

- Proszę, nie denerwuj go - powiedziała z naciskiem. - Ta rozmowa będzie wymagać taktu i delikatności. Musisz pozwolić, żebym to ja ją prowadziła.

Grant uniósł jedną brew, jakby zamierzał się sprzeciwić, zaraz jednak, ku jej wielkiej uldze, z chmurną miną odparł:

- Jak sobie życzysz, księżno. Ale wyrażam zgodę na twą prośbę wyłącznie dlatego, że Langston będzie chętniej rozmawiał z tobą niż ze mną.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich korpulentna gospodyni niskiego wzrostu, która patrzyła na przybyłych ze zdumieniem.

- W czym mogę służyć

- Proszę nam wybaczyć tak wczesne najście, ale chcemy zobaczyć się z panem Langstonem. Czy zastaliśmy go?

- Pan Langston niestety właśnie wychodzi, szanowna pani.

- Proszę go więc zatrzymać. - Sophie wyciągnęła z torebki kartę wizytową i podała ją kobiecie. - Proszę powiedzieć, że księżna Mulford pragnie z nim porozmawiać w bardzo pilnej sprawie.

- Oczywiście, wasza łaskawość. - Gospodyni ukłoniła się nerwowo, po czym wprowadziła gości do przestronnego salonu.

Choć żołądek zaciskał się jej ze strachu, Sophie próbowała udawać opanowanie. Z godnością zasiadła na sofie i rozejrzała się po eleganckim pokoju urządzonego w męskim stylu, z bordowymi zasłonami i tapetą w złote pasy. Jej uwagę przykuły dwa obite miękkim pluszem fotele, stojące przed wygasłym kominkiem, nad którym rozciągał się gzyms z rzeźbionego dębu.

Wyobraziła sobie męża i jego przyjaciela siedzących w tych fotelach. Czym się wtedy zajmowali? Rozmawiali o lekturach, o swoich najskrytszych marzeniach? Na tę myśl zakłuło ją serce, ale poczuła też smutek, że Robert z powodu zasad społecznych musiał wieść życie w oszustwie.

Gdy ona rozmyślała, Grant krążył po pokoju. Najpierw zatrzymał się przed gablotą z kolekcją starych tabakierek, pół minuty później przeszedł do regału z książkami, a potem do stołu, z którego podniósł małą hebanową skrzyneczkę. Otworzył ją i wyjął talię kart i zaczął ją tasować. Szeleszczący dźwięk działał Sophie na nerwy.

- Usiądź - poprosiła. - Irytuje mnie, że tak krążysz i zaglądasz we wszystkie kąty.

Grant, z kartami w dłoniach, opadł na sofę i spojrzał na nią gniewnym wzrokiem.

- Usiądź, bądź cicho. Jeszcze jakieś rozkazy, księżno? Mówiąc to, tasował karty. Widząc, jak zręcznie to robi,

Sophie poczuła dość niestosowną w tym momencie ekscytację. Zaczerwieniła się, wspominając namiętne pieszczoty kochanka z poprzedniej nocy.

Wyjęła mu karty z rąk i odłożyła na stół.

- I owszem. Przestań patrzeć wilkiem i mówić z taką wrogością. Bez względu na to, jak bardzo jesteś na mnie zły, masz być uprzejmy i miły.

- A jak mnie za to wynagrodzisz? - spytał uwodzicielskim tonem. - Może po tej wizycie udamy się do mnie i, jak wczoraj, pokażę ci, jaki potrafię być miły.

Jego propozycja odniosła natychmiastowy skutek. Sophie poczuła mrowienie na całym ciele i zalała ją fala gorąca. Grant potrafił wzbudzić w niej pożądanie, nawet jej nie dotykając.

Sądząc po zarozumiałym uśmiešku na jego ustach, doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Uświadomiła sobie, że jego postępowanie wynika z chęci zemsty. Bawił się tym, że tak łatwo potrafi ją pobudzić. Zeszłej nocy, oddana namiętności, nie miała czasu ani ochoty zastanawiać się nad pobudkami kochanka. Teraz jednak, w świetle dnia, czuła się rozczarowana. Naiwnie sądziła - miała nadzieję - że dzięki zbliżeniu między nimi nawiązała się szczerą nić sympatii. Myliła się jednak.

- Nie prowokuj mnie, Grant. Nie mam teraz do tego głowy.

W odpowiedzi jej towarzysz uważnie się jej przyjrzał. Odniosła wrażenie, że wyszukuje w niej wszystkie słabości i dobrze je sobie zapamiętuje. Jednak o jednym nie wiedział. Jednego nie mógł się domyślić...

- Widzę, że obawiasz się rozmowy z Langstonem - zauważył.

- Owszem - przyznała.

Położył jej rękę na plecach i zaczął je masować.

- Mógłbym zaoszczędzić ci nerwów, gdybyś na to pozwoliła. Możesz zaczekać na mnie w powozie. Domyślam się jednak, że tego nie zrobisz.

Zaskoczył ją tą propozycją. Jakim cudem tak szybko z uwodziciela przemienił się w troskliwego pomocnika? Jej serce zabiło mocniej pod wpływem naiwnej nadziei. Czy to możliwe, że Grantowi jednak na niej zależy? Przynajmniej odrobinę?

Intymną chwilę przerwał odgłos zbliżających się kroków. Sophie, na nowo ogarnięta niepokojem, odwróciła wzrok ku drzwiom, w których pojawił się jakiś mężczyzna. Od razu go rozpoznała, choć widziała go tylko raz, i to dawno temu.

Był to Geoffrey Langston.

Szczupły, przystojny po czterdziestce, z rzadziejącymi blond włosami i jasnoniebieskimi oczyma. Wysokie czoło i harmonijny zarys kości policzkowych czyniły z niego kwintesencję dżentelmena. Jego strój był stonowany, a składały się na niego czarny surdut i tego samego koloru spodnie.

Sophie obawiała się, że tak jak ostatnim razem, na jego widok owładnie nią furia. Na szczęście jej równowagę niszczył tylko nerwowy niepokój. Zależało jej bardzo na zdobyciu zaufania Langstona, ponieważ musiała ustalić, czy to on otruł jej męża.

Przyglądając się mu, kiedy się do niej zbliżał, odniosła wrażenie, że jest nieufny. Jeśli to nie on zamordował Roberta, zapewne zastanawia się, co spowodowało do niego żonę kochanka. A jeśli to on jest trucicielem, będzie zaszokowany, kiedy się dowie, że jego okrutny czyn wyszedł na jaw.

Możliwe, że zrobi się wtedy niebezpieczny.

Mężczyzna uklonił się przed nią sztywno, choć uprzejmie.

- Wasza książęca mość. Pani wizyta wielce mnie zaskoczyła.

Sophie przemknęło przez głowę, że sytuacja, w której się znalazła, jest paradoksalna. Żadna zasada etykiety nie mówiła, jak należy się witać z kochankiem męża.

Postanowiła, ze względu na cel swojej wizyty, oczarować rozmówcę. Wstała i uniosła osłoniętą rękawiczką dłoń.

- Panie Langston, to przyjemność poznać człowieka, który tak wiele znaczył w życiu mego męża.

Langston dotknął jej dłoni, po czym przeniósł wzrok na Granta. W jego oczach czaiło się zaniepokojenie. Zapewne zastanawiał się, dlaczego Sophie rozmawia z nim tak otwarcie.

- Pozwoli pan, że przedstawię panu pana Granta Chandlera. Pan Chandler i Robert byli przyjaciółmi z dzieciństwa.

Langston potrząsnął dłonią Granta.

- Chandler. Tak, pamiętam. Robert często o panu mówił. W samych superlatywach.

- Pan też nie jest mi obcy - odezwał się Grant. - Był pan profesorem historii w Eton, a także nadzorcą akademika, w którym mieszkał Robert.

- Wtedy byłem jeszcze asystentem profesora, a nie profesorem - sprostował oschle Langston, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie ma ochoty kontynuować tematu.

Nowe informacje zaniepokoiły Sophie. Nie wiedziała, że przyjaciel Roberta był w przeszłości jego nauczycielem. Niedobrze to o nim świadczyło, że wykorzystał swoją pozycję do uwiedzenia ucznia.

- Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać? - zaproponowała. - Oczywiście, jeśli nie ma pan innych ważnych zajęć.

- Wybierałem się właśnie do księgarni - wyjaśnił Langston, wskazując gościom miejsce na sofie. Mimo że jego zachowanie było uprzejme, on sam wydawał się spięty i niespokojny. - Ale to może poczekać, jej książęca mość.

Sophie zajęła swoje miejsce, uśmiechając się szeroko do gospodarza. Bardzo chciała, żeby przestał się jej obawiać.

- Proszę mówić mi po imieniu. Robert był bliski nam obojgu. Uważam, że ta okoliczność nas także do siebie zbliża.

Na policzki mężczyzny wypłynął lekki rumieniec. Jego oczy znów powędrowały ku Grantowi. Było oczywiste, że obawia się wyjawienie jego sekretu.

- To bardzo miłe... Sophie.

- Chciałabym mówić z tobą zupełnie szczerze - zaczęła. - Nie musimy niczego ukrywać, bo Grant zna sekret twój i Roberta.

Langston pobladł. Jego kształtne palce zacisnęły się na poręczy krzesła.

- Mój Boże, powiedziałaś mu? - spytał drżącym, oskarżycielskim głosem. Sophie poczuła ukłucie wyrzutów sumienia.

- Wybacz mi. To jedyna osoba, której wyjawiałam tę tajemnicę.

Przyrzekłam Robertowi...

- Twoje przyrzeczenia najwyraźniej nie mają żadnej wartości - przerwał jej ozięble Langston. - Z drugiej strony nic dziwnego, że zwierzyłaś się właśnie Chandlerowi. Byliście sobie kiedyś bliscy, czyż nie?

Strach zacisnął Sophie gardło. Langston znał tajemnicę poczęcia Luciena, widziała to w jego zimnych oczach. Czy użyje tej wiedzy, żeby się zemścić? Powie o wszystkim Grantowi?

- To ja wymusiłem na Sophie wyznanie prawdy - odezwał się gniewnie Grant. - Dlatego że Robert został zamordowany. Ktoś go otrul.

Langston wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Niechęć na jego twarzy ustąpiła miejsca wyrazowi zdumienia i niedowierzania.

- Chyba... chyba nie mówi pan poważnie.

Sophie odetchnęła. Wprawdzie wypowiedź Granta trudno było nazwać delikatną, ale przynajmniej przerwał nią poprzedni temat. Zanim się odezwała, posłała mu spojrzenie, które nakazywało mu zachowanie spokoju.

Jedno było oczywiste: Langstona nie udawał zaskoczenia.

- Obawiam się, niestety, że to prawda - powiedziała łagodnie. - Ostatnio na policję dotarł anonimowy list. Wczoraj byłam przesłuchiwana w związku z

nim. Nawet doktor Atherton potwierdził, że objawy, jakie miał Robert, podobne były do objawów przy zatruciu arszenikiem.

Geoffrey Langston wyprostował się i przeciągnął drżącą ręką po włosach.

- To niemożliwe. Nie wierzę. Kto chciałby skrzywdzić Roberta?

Sophie dla odwagi zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Policja podejrzewa o to mnie.

- Ciebie? Ale dlaczego... - Langston, bardzo poruszony, kręcił wolno głową. - Chcesz powiedzieć, że policja podejrzewa, że zamordowałaś Roberta, bo on i ja...

- Nie - przerwała mu pospiesznie. - Policja nic o tobie nie wie i zapewniam, że nie zamierzam im niczego wyjawiać. Boję się jednak, że kiedy zaczną kopać, sami odkryją prawdę. Właśnie z tego powodu mam nadzieję, że mi pomożesz, udzielając szczerych odpowiedzi na moje pytania.

Langston zamrugał powiekami, jakby budził się ze złego snu.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Ale nie dlatego, że boję się zdemaskowania. Zrobię to dla Roberta. Zabójca musi ponieść karę.

Oczy mówiącego pociemniały od smutku. Dopiero w tej chwili Sophie zrozumiała, dlaczego gospodarz ma na sobie czarne odzienie. Podobnie jak ona był w żałobie. Uzmysłowanie sobie tego zmiękczyło nieco jej serce.

Grant pochylił się do Langstona.

- Czy Robert wspominał kiedyś, że ma jakichś wrogów?

- Poza panem? - rzucił gospodarz, nie kryjąc niechęci.

- Nie, nie przypominam sobie, żeby coś takiego mówił.

Grant poszarzał lekko na twarzy. Widząc, że zaraz wybuchnie, Sophie zadała następne pytanie:

- Ale mieliście chyba wspólnych znajomych? Może któryś z nich żywił urazę do Roberta?

- Pytasz o to, czy mężczyźni z takimi inklinacjami, jak moje, mają swoje tajne zgrupowania?

- Niech pan nie wkłada jej słów do ust - warknął Grant.

- Proszę po prostu odpowiedzieć.

Sophie ostrzegawczo dotknęła ramienia kochanka.

- Ta opryskliwość jest zbędna. Przecież to tylko rozmowa, a nie przesłuchanie.

Langston podziękował jej sztywnym skinieniem głowy.

- Robert i ja byliśmy tu zawsze sami. A ponieważ rzadko widywaliśmy się poza tym domem, nie mieliśmy wspólnych znajomych.

Sophie wiedziała, że jej mąż był bardzo ostrożny. Nigdy się nie zastanawiała, jak ta dbałość o dyskrecję mogła wpływać na jego partnera. Uświadamiając sobie, że temat jest wielce delikatny, starała się, by jej głos brzmiał łagodnie i uprzejmie.

- Czy to ci ciążyło? - spytała. - Fakt, że nie mogłeś publicznie wyrazić swoich uczuć?

Langston popatrzył na nią przez zmrużone powieki.

- Jeśli już musisz wiedzieć, byłem o ciebie zazdrosny, Sophie. Robert w świetle prawa należał do ciebie. Ja nie mogłem na to liczyć.

To wyznanie zaskoczyło ją. Czy niechęć Langstona była aż tak głęboka, że to on wysłał anonimowy list na policję? Z drugiej strony, jeśli rozmawia z nią szczerze, jako pogrążony w żalu kochanek, powinna odwzajemnić mu się tym samym.

- Robert nigdy do mnie nie należał. Ciałem i sercem był twój.

- Nie jestem o tym przekonany.

- Co masz na myśli?

Langston wstał i przeszedł niepewnym krokiem do kominka.

- Na kilka tygodni przed jego śmiercią doszło między nami do kłótni.

Widzisz, Robert bardzo cierpiał z powodu naszego związku. Nigdy do końca go nie zaakceptował. W głębi serca pragnął być dla ciebie dobrym mężem.

Sophie poczuła w oczach szczypanie łez.

- I był. Nie prosiłam go, żeby się zmieniał.

- Niemniej on tego pragnął. Okropnie się z tego powodu posprzeczaaliśmy... Nie widzieliśmy się potem prawie przez miesiąc. - Langston przymknął powieki, jakby próbował wyciszyć emocje. - Kiedy wezwał mnie do Mulford House, nie wiedziałem nawet, że zachorował.

- Pan go odwiedził? - przerwał mu Grant. - Kiedy? Langston ze spokojem popatrzył mu w oczy.

- Trzy dni przed śmiercią. Robert chciał się ze mną pogodzić. Kazał mi więc przybyć do siebie. W środku nocy, kiedy cały dom spał.

Sophie natychmiast się domyśliła, o którą noc chodziło. Chociaż w trakcie choroby spała w sypialni męża, jednej nocy Robert poprosił ją, żeby wróciła do siebie. Przyrzekł, że nie zamknie drzwi łączących ich sypialnie. Ale, gdy z rana chciała do niego wejść, drzwi były jednak zamknięte.

- Tamtej nocy Robertem opiekował się Phelps - powiedziała na głos. - To on cię wpuścił.

Langston skinął głową.

- Ze wszystkich służących Robert ufał tylko jemu. A ja ze swej strony dodam, że to była moja pierwsza i ostatnia wizyta w Mulford House.

Czyżby? A może już wcześniej tam bywał? Mógł przecież, udając ulicznego sprzedawcę, zakraść się do kuchni. A tej nocy, kiedy odwiedził Roberta, mógł mu podać następną dawkę trucizny. Stan chorego pogorszył się przecież znacznie następnego dnia.

Tylko że Langston sprawiał wrażenie bardziej przybitego niż winnego. Poza tym, po co miałby przyznawać się do kłótni. Poza nim i Robertem nikt o niej nie wiedział.

Sophie rozumiała rozgoryczenie pobrzmiewające w wypowiedziach Langstona. Robert ukrywał przecież przed światem jego istnienie. Wstydził się ich związku.

Ale czy istniała jakaś alternatywa? Nawet gdyby Robert się nie ożenił i tak nie mógłby ogłosić światu, że żyje z mężczyzną. On i Langston nigdy nie mogliby się ujawnić. Za sodomie grozi wszak kara śmierci.

Ze zbolałym sercem Sophie podniosła się z kanapy i podeszła do gospodarza.

- Tak mi przykro - szepnęła, dotykając ze współczuciem jego ręki. - Ta sytuacja była bardzo trudna dla wszystkich, ale chyba najbardziej dla ciebie.

Oczy mężczyzny były pełne cierpienia. Pochwycił dłoń Sophie, lecz zaraz ją wypuścił. Potem się odsunął.

- Powinnaś się radować, księżno - powiedział z lekką ironią. - Ta kłótnia mogła być motywem zbrodni. To dlatego tu przyszłaś, prawda? Żeby mnie oskarżyć o zamordowanie Roberta.

Rozdział XVII

25 listopada 1701

O radości! William wrócił z Lincolnshire!

Dziś rano, pod nieobecność strażniczki, jeden z odźwiernych wetknął mi w rękę list od mojego ukochanego. Przyniosła go do kuchni zawsze wierna Mary, która nadal jest mi oddana, pomimo że została tak okrutnie wyrzucona ze służby.

W moim sercu znów zagościła nadzieja. William nadal mnie kocha! Píše, że śni o moich pocałunkach! Chce się ze mną zobaczyć! List ukryłam w książeczce z kazaniem, żebym zawsze, kiedy mi będzie ciężko na duszy, mogła pocieszyć się jego lekturą.

Ale i tak jestem nieszczęśliwa. Jakże bowiem wydostanę się z mego więzienia? Męczą mnie też wyrzuty sumienia, że znów planuję zdradzić Mulforda.

- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,

Godzinę później, z Sophie u boku, Grant przedzierał się swoją dwukółką przez zatłoczoną Park Lane, wzdłuż której z jednej strony wznosiły się majestatyczne rezydencje, z drugiej zaś rozciągał się zielony Hyde Park. Jak na zwyczaje arystokracji, pora była wczesna, więc park świecił na razie pustkami.

Sophie pewnie się z tego cieszy, myślał Grant, wspominając zasadę dyskrecji, której kochanka kazała mu przestrzegać. Tego dnia już raz ją zresztą złamał, kiedy odesłał dorożkę. Ale przecież, do diabła, nie pozwoli, żeby Sophie sama prowadziła śledztwo.

Po wizycie u Langstona udali się razem na Bow Street, obejrzyć anonimowy list. Okazało się to daremnym przedsięwzięciem. List napisany był drukowanymi literami, tak żeby nie dało się rozpoznać charakteru pisma. Jednak jedno nie ulegało wątpliwości. Dobór słów oraz doskonałej jakości papier sugerowały, że nadawca nie pochodzi z plebsu. Grant zerknął na Sophie, siedzącą obok w milczeniu z wyrazem skupienia na twarzy. Czyżby była rozczarowana, że nie dowiedziała się, kim jest osoba, która ją widziała, kiedy podawała mężowi truciznę?

- Myślisz o liście? - zapytał. Podniosła na niego zamyślony wzrok.

- Tak. Próbuję zrozumieć, dlaczego nadawca czekał z wysłaniem go aż dziesięć miesięcy.

- A mnie zastanawia, dlaczego ten ktoś nie wyjawiał prawdy od razu, kiedy tylko Robert zachorował.

Zaciskając usta z frustracji, Sophie potrząsnęła głową.

- Może ta osoba nie była pewna tego, co zobaczyła. Może to cały czas ciążyło jej na sumieniu.

- A co twoim zdaniem mogła zobaczyć? - dociekał.

- Coś zupełnie niewinnego. Choćby tak naturalną czynnością, jak słodzenie herbaty. Ten ktoś mógł wiedzieć, że dosypuję coś do filiżanki Roberta i uznać, że to była trucizna.

Bardzo zręczne wytłumaczenie, pomyślał Grant, a na głos podsunął własną hipotezę.

- A może list to przynęta. Może jego autorem jest sam morderca.

Sophie obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

- Jak to?

- Jeśli morderca żywi do ciebie urazę, z chęcią widziałby cię za kratkami.

Bardzo mi tu pasuje osoba Langstona.

Dłonie Sophie, spoczywające na kolanach, zacisnęły się mocno na skrawku sukni.

- Ale przecież jego smutek wydaje się szczery. Zresztą, gdyby był winny, z własnej woli nie wyjawiałby nam spraw, które świadczą przeciw niemu.

Sophie sprawiała wrażenie zupełnie pogubionej. Grant nie rozumiał, dlaczego nie chce wykorzystać Langstona jako kozła ofiarnego.

Czyżby była niewinna?

Ta myśl prześladowała go już od jakiegoś czasu. Langston sam przyznał, że był zazdrosny o Sophie. Miał powód, żeby wysłać na policję anonimowy list. A mówiąc o kłótni z Robertem, może chciał im zagrać na nosie. Może jest szaleńcem, przekonanym, że dokonał zbrodni doskonałej.

Boję się, że ktoś bliski próbuje mnie otruć...

Niech diabli wezmą Roberta za to, że nie wyjawił w liście nazwiska podejrzanej osoby. Gdyby napisał, że chodzi o Sophie, Grant nie denerwowałby się teraz. Nie zastanawiałby się, czy popełnia błąd. Nie martwiłby się, że Sophie trafi do więzienia, mimo że jest niewinna...

- Powinieneś był skrócić - usłyszał jej głos. Oglądała się przez ramię. - Mówiłam ci, że muszę wracać do domu. Helena będzie się zastanawiała, co się ze mną dzieje.

- Więc pošlij jej wiadomość. Moja ciotka da ci papier i pióro. -

Powiedziawszy to, zatrzymał dwukólkę przed eleganckim domem z jasnej cegły. Nad gankiem rozciągał się trójkątny daszek podtrzymywany przez wysokie kolumny. Drzwi wejściowe lśniły się złotymi okuciami.

Sophie zamrugła powiekami.

- Twoja ciotka Phoebe? Nie chciałabym jej przeszkadzać.

- Nie będziemy przeszkadzać. Zresztą mam do niej pewną sprawę. Ciotka to źródło wszelkich informacji. Mam nadzieję, że powie nam, gdzie mieszkają Newberryowie, żebyśmy mogli odnaleźć monsieur Ferranda.

Grant chciał już zeskoczyć na ziemię, ale Sophie go powstrzymała, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Zaczekaj.

Wystarczyło lekkie dotknięcie, żeby krew w nim zawrzała. Poczuł, że ciało tężeje mu nagle od pożądania.

Przez głowę przemknął pomysł, żeby zapomnieć o śledztwie i zamiast tego zabrać Sophie do domu i kochać się z nią tam do upadłego. Wiedział, że początkowo byłaby temu przeciwna, ale szybko zmieniłaby zdanie.

Spontaniczne zbliżenie w środku dnia z pewnością przemówiłoby do jej uwielbiającej przygody duszy...

- Czy ty mnie słuchasz? - spytała go ostrym tonem.

- Najwyraźniej nie - przyznał, lekko się uśmiechając. - Ale myślałem o tobie. Wyobrażałem sobie ciebie nagą w moim łóżku.

Na policzki wypłynął jej uroczy rumieniec. Marszcząc gniewnie czoło, pochyliła głowę, żeby ukryć twarz. Wyglądała niewinnie a zarazem surowo.

- Wstydzilibyś się, Grant. Nie powinieneś mówić o takich rzeczach publicznie.

- Nikt nas nie słyszy. - Zniżył głos do kuszącego szeptu. - Co dzisiaj wymyślisz? Przyjęcie? Następne przedstawienie?

Sophie wstrzymała oddech.

- Chyba przyjęcie u jednego z twoich znajomych. A jutro... może opera?
- Nienawidzę opery, ale przecież wcale tam nie pójdziemy. Będziemy zajęci czymś innym.

Rumieniec na jej policzkach jeszcze się pogłębił.

- Tak. A teraz wejdźmy już do środka i spotkajmy się z twoją ciotką.

Grant nie miał ochoty rozstawać się ze swoimi fantazjami.

- Moglibyśmy odłożyć tę wizytę. Mój dom jest niedaleko. W niecałe piętnaście minut bylibyśmy w łóżku.

Zobaczył, że Sophie przygryzła dolną wargę, a jej zielone oczy rozbliły się podekscytowaniem. Dobry Boże, ona naprawdę rozważa jego propozycję. Grant nie był głupcem i szybko pochwycił za lejce.

Sophie go jednak powstrzymała.

- Nie. Musimy zająć się śledztwem. Chyba że chcesz, żebyś trafiła do więzienia oskarżona o morderstwo.

Te słowa były jak kubek zimnej wody. Sophie ma rację. Hannibal Jones na pewno nie próżnuje, tylko węszy gdzie się da. Jeśli dowie się o sekrecie Roberta, uzna, że Sophie miała motyw, aby otruć męża.

- Dobrze, przełożmy to - zgodził się niechętnie. - Ale tylko do końca dnia.

- Dobrze.

Ta szybka, wypowiedziana zduszonym głosem odpowiedź, podziałała na niego jak najsilniejszy afrodyzjak. Tam do diabła, nie może być aż tak impulsywny, musi nad sobą zapanować. Wyobrażając sobie Sophie w więziennej celi, Grant zeskoczył na ziemię i złapał konia za uzdę.

W kilka chwil później stali już w salonie, czekając na lokaja, który poszedł sprawdzić, czy lady Phoebe zechce ich przyjąć. Okazało się, że ma już jednego gościa, co nie było znowu tak zaskakujące, zważywszy na jej liczne znajomości.

Sophie, znudzona czekaniem, podeszła do Granta i zapytała:

- Jak wytłumaczysz ciotce, że szukamy monsieur Ferranda?

Starsza dama знаła całą sytuację. Grant wierzył jednak, że ciotka nie zdradzi się z tym przed Sophie.

- Jeśli pozwolisz, wyjawię jej prawdę - poprosił. - Chciałbym zasięgnąć jej opinii w tej kwestii. Ciotka wprawdzie uwielbia plotki, ale zapewniam, że potrafi być też bardzo dyskretna.

Po chwili zastanowienia Sophie skinęła głową.

- Dobrze. Może wpadnie na coś, na co my jeszcze nie wpadliśmy. Tylko ani słowa o Robercie i Langstonie. Ani jej, ani nikomu innemu.

Ironia sytuacji polegała na tym, że to właśnie ciotka przekazała mu pikantne plotki o zmarłym księciu. Mimo to Grant podziwiał u Sophie to pragnienie strzeżenia tajemnicy męża, choć z drugiej strony zastanawiał się, czy jej celem nie było ukrycie motywu morderstwa.

Wrócił lokaj, który oświadczył, że zaprowadzi gości do lady Phoebe.

Grant podał więc ramię swojej towarzyszce, po czym ruszyli razem korytarzem do porannego saloniku. Pokój wyglądał tak, jak go Grant zapamiętał z dzieciństwa. Utrzymany był w wesołych zieleniach i żółciach, a przez duże okna wpadało do niego jaskrawe słońce. Gospodyni i jej gość, pogrążeni w rozmowie, siedzieli na kanapie przy jednym z nich, wychodzącym na ogród.

Na widok gościa gospodyni Grant zatrzymał się w pół kroku.

Ciotka uśmiechnęła się.

- Witaj, kochanie. Cóż to za miła niespodzianka. I widzę, że przyprowadziłeś ze sobą księżną.

Nie słuchał ciotki. Jego uwaga skupiła się na jej towarzyszu. W żołądku czuł ucisk, jakby ktoś go właśnie w niego kopnął. Do diabła, powinien był to przewidzieć. W końcu ciotka jest ciotką ich obu.

Randolph, ten święty hipokryta, uśmiechał się do niego szeroko.

Sophie z miejsca rozpoznała gościa lady Phoebe. Był nim starszy brat Granta, Randolph, hrabia Litton. Widywała go czasami w towarzystwie, ale nie byli sobie nigdy oficjalnie przedstawieni.

A tak naprawdę, Sophie go unikała. Choć bracia różnili się kolorem włosów, to poza tym byli do siebie zadziwiająco podobni i właśnie dlatego widok Randolpha zawsze budził w niej bolesne wspomnienia.

Teraz jednak, ponieważ wyczuła u Granta nagłą irytację, popatrzyła na jego brata z większym zainteresowaniem. Nie dostrzegła w nim niczego odpychającego. Oczywiście Randolph, jak wszyscy arystokraci, sprawiał wrażenie zarozumiałego i zadufanego w sobie, lecz poza tym wyglądał na miłego, dobrze ułożonego mężczyznę.

Litton pomógł uprzejmie ciotce wstać z kanapy i razem z nią podszedł do przybyłych. Poklepał Granta po ramieniu.

- Dobrze cię widzieć, bracie. Czy zechcesz przedstawić mnie swojej uroczej towarzyszce?

Grant szybko dokonał prezentacji. Sophie czuła, że jego ramię, na którym trzymała dłoń, przez cały czas mocno się napinało. Przypomniła sobie plotki mówiące, że bracia nie mieli wspólnego ojca. Grant był ponoć synem lokaja, z którym jego matka wdała się w romans. Helena twierdziła, że poprzedni hrabia Litton nie traktował synów jednakowo - starszego wyróżniał, młodszego odrzucił.

Najwyraźniej konflikt między nimi trwał nadal, choć wyglądało na to, że bardziej podtrzymywany był przez Granta niż jego brata.

- Witam w moich skromnych progach, księżno - odezwała się lady Phoebe. Była to wysoka i szczupła kobieta, o jasnej karnacji, siwych włosach i królewskich manierach. Sophie znała ją tylko przelotnie.

Staruszka gotowała się już do ukłonu, ale Sophie ją powstrzymała.

- Proszę się nie kłaniać i mówić mi po imieniu. - Posłała uśmiech także bratu Granta. - Tyczy się to również pana.

- To wielce uprzejme z twojej strony, Sophie - odrzekła nieco powściągliwie lady Phoebe. Gestem zachęciła gości, aby zasiedli na kanapie. - I cieszę się, że widzę cię poza domem. Ponieważ sama pogrzebałam aż trzech mężów, doskonale wiem, że żałoba to wielka i niepotrzebna uciążliwość.

- Samotność rzeczywiście trochę mi się już sprzykrzyła, ale teraz planuję częściej gdzieś wychodzić - odpowiedziała Sophie, wypowiadając formułkę, którą wcześniej ona i Grant przygotowali na podobne okoliczności. Zerknąwszy na niego, poczuła, że znów budzi się w niej podniecenie.

Ale Grant na nią nie patrzył.

Stał przed kominkiem, wsparty łokciem o marmurowy gzyms i ponuro przyglądał się bratu siedzącemu na krześle.

- Dlaczego na zewnątrz nie widziałem twojego powozu? - zapytał takim tonem, jakby miał o to do niego pretensję.

- Bo przyszedłem tu na piechotę. - Hrabia uśmiechnął się, dzięki czemu nie wyglądał już tak wyniośle. - Jane twierdzi, że potrzebny mi ruch. Jest straszliwie nadopiekuńcza.

- I tak być powinno - wtrąciła się lady Phoebe. Następne słowa skierowała do Granta. - Martwiliśmy się o twojego brata.

Kilka miesięcy temu przeszedł zawał serca. Pisałam ci o tym. Dostałeś mój list?

- Nie, nie dostałem. - Grant przez chwilę wyglądał na zaniepokojonego, zaraz jednak jego wzrok zubożał. - Ale chyba wróciłeś już do formy? - zwrócił się do hrabiego. - Wyglądasz całkiem zdrowo.

- Prawie - odparł Randolph i machnął niedbale dłonią.

- To nie było nic poważnego, ale znasz kobiety. Lubią się zamartwiać.

- Jak możesz tak mówić - oburzyła się lady Phoebe. - Miałeś okropne bóle w klatce piersiowej, a lekarze zakazali ci wstawać z łóżka, żeby twój stan się nie pogorszył. Na szczęście twoja żona miała na tyle zdrowego rozsądku, że uznała, iż trochę wysiłku ci nie zaszkodzi, a wręcz pomoże.

- Moja Jane to dziewczyna ze wsi. Po ślubie, który miał miejsce w zeszłym roku, miesiąc miodowy spędziliśmy na włóczędze po Krainie Jezior.

- W zeszłym roku? - powtórzyła Sophie. Oczywiście wiedziała, że Randolph się ożenił. W kręgach wyższych sfer śluby to bardzo ważne wydarzenia. Niemniej nagle podejrzenie kazało jej zwrócić się z pytaniem do Granta.

- Grant, a ty poznałeś już swoją szwagierkę? Odpowiedział jej przeczącym ruchem głowy.

- Nie.

- Wstydził byś się - zganiała go lady Phoebe. - Jesteś przecież w Londynie już od dwóch tygodni. No ale nieważne, wszystko można naprawić. - Dama postukała palcami w oparcie sofy. - Wydam małe przyjęcie z obiadem i zaproszę na nie ciebie, Grant, Randolpha z Jane, i także ciebie, Sophie.

- Och, nie chciałabym przeszkadzać w rodzinnym spotkaniu - zaprotestowała księżna.

- Ależ to nonsens - oświadczył hrabia z uśmiechem. - Jane z chęcią panią pozna. Tylko ostrzegam, że spodziewa się naszego pierwszego dziecka i zamęcza inne matki prośbami o rady.

Sophie roześmiała się.

- Ze mną było podobnie. Mogłabym napisać książkę ze wszystkich informacji, które zebrałam. Z wielką przyjemnością odpowiem na pytania lady Litton.

- Zatem ustalone - rzuciła lady Phoebe z satysfakcją. - I nie ma co zwlekać. Tak się składa, że jutro nie jestem z nikim umówiona. Odpowiada wam ten termin?

- Mnie i Jane zapewne tak - odparł hrabia. - Ze względu na stan żony nie przyjmujemy wielu zaproszeń, więc spodziewam się, że będziemy jutro wolni.

- Ja niestety nie - poinformował sucho Grant. - Jestem już umówiony.

- Ale tylko ze mną - wtrąciła się Sophie. Ignorując gniewane spojrzenie kochanka, zwróciła się ku gospodyni. - Mieliśmy się wybrać do opery, ale wolę przyjść do pani.

- Bardzo mi to schlebia - odpowiedziała starsza dama, spoglądając przebiegle na młodszego bratanka. - Domyślam się, że Grant również chętnie zrezygnuje z opery. Ilekroć proszę, żeby mnie do niej zabrał, narzeka, że nie ma ochoty wysłuchiwać tych kocich pisków. Widocznie bardzo sobie ceni twoje towarzystwo, Sophie, skoro zgodził się na wizytę w operze, pomimo że jej nie znosi.

Sophie mogła sobie tylko wyobrazić, co powiedziałyby lady Phoebe, gdyby знаła prawdę. Że ona i Grant planowali spędzić wieczór nie w operze, ale w łóżku Granta na namiętnych pieściznach.

Pojawił się lokaj z poczęstunkiem, gospodyni zajęła się więc nalewaniem herbaty dla gości. W tej samej chwili Randolph klepnął się dłońmi po kolanach i powiedział:

- Cóż, wybaczenie, ale muszę już lecieć. W parlamencie odbywa się po południu debata nad budżetem i nie chciałbym się na nią spóźnić.

Przeszedł do ciotki, i pochyliwszy się, ucałował ją w policzek. Potem pożegnał się z Sophie i przyjaźnie skinął głową Grantowi. Ten to zignorował, choć Sophie zauważyła, że odprowadził brata wzrokiem aż do drzwi.

Po jego wyjściu wyraźnie się rozluźnił. Porzucił swe miejsce przy kominku i z rękoma splecionymi na plecach zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju.

- Jeśli pozwolisz, ciociu, chciałbym od razu przejść do powodu naszej wizyty.

- Najpierw nalej mi brandy - poprosiła starsza dama, spoglądając przy tym wyzywająco na księżną. - To nasz stary zwyczaj - tłumaczyła się. - Może ty też się napijesz?

Sophie, nieco rozbawiona, uniosła filigranową filiżankę, która trzymała w dłoniach.

- Nie, dziękuję. Wolę herbatę.

Grant przeszedł do barku z alkoholami i napełnił brandy dwa kieliszki. Wrócił potem z nimi do ciotki i podając jej jeden, powiedział:

- Rozumiem, dlaczego czekałaś z tym, aż Litton wyjdzie. Bałaś się, że nie pochwaliby twoich ciągot do mocnych trunków. Jest na to zbyt surowy.

- Mylisz się - sprzeciwiła się lady Phoebe. - Randolph złagodniał w małżeństwie. Nie jest już taki sztywny ani wyniosły jak niegdyś. Sam byś się o tym przekonał, gdybyś przewyciężył tę nierozsądną niechęć do niego.

Grant stężał na twarzy. Wyglądał tak, jakby zamierzał powiedzieć coś kąśliwego, ale zerknąwszy na Sophie, zmienił chyba zdanie i rzucił tylko chłodno:

- Nie będziemy teraz tego roztrząsać.

- Odpowiadałam tylko na twoją niezbyt uprzejmą uwagę - broniła się ciotka. - Poza tym chcę ci uświadomić, że oczekuję, iż jutro w czasie obiadu będziesz zachowywał się jak należy.

- Grant będzie uroczy - zapewniła Sophie. - Przecież zdaje sobie sprawę, że nie wolno denerwować kobiet w tak delikatnym stanie, w jakim jest lady Litton.

Grant odwrócił się do mówiącej.

- Czyżby to była groźba, księżno?

W jego zagniewanym spojrzeniu oprócz złości czaiły się także iskry zmysłowego wyzwania, na widok których Sophie ogarnęła fala przyjemnego gorąca. Walcząc z rumieńcem wypływającym na jej twarz, odważnie popatrzyła kochankowi w oczy.

- To tylko obserwacja i mam nadzieję, że jesteś na tyle kulturalny, że weźmiesz ją jutro pod uwagę.

Lady Phoebe zakrztusiła się śmiechem.

- Dobrze powiedziane, Sophie. A ty, Grant, przestań już piorunować ją wzrokiem i lepiej powiedz, co was do mnie sprowadza.

Nadal krążąc po saloniku ze szklaneczką brandy w dłoni, Grant w skrócie opowiedział ciotce o anonimowym liście, dochodzeniu i o podejrzaniach, które padły na księżną.

Lady Phoebe, popijając alkohol, przysłuchiwała się jego relacji z wielką uwagą. Sophie, obserwując reakcję starszej pani na bulwersujące wieści, dziwiła się, że nie widzi u niej żadnego zaskoczenia. Tak jakby lady Phoebe o wszystkim już wiedziała...

Poczuła ucisk rozczarowania w żołądku. Czyżby plotka o skandalu już się rozniosła w towarzystwie? Helena wprawdzie twierdziła, że służba w Mulford House jest lojalna i dyskretna, ale być może któryś z pracowników szepnął jednak słówko służącemu z innego domu, a ten przekazał soczyste nowinki swojemu panu lub pani. Ci zaś roznieśli je pośród znajomych.

Czy lady Phoebe uwierzyła plotkom? Czy podejrzewa ją o otrucie męża? Sophie, przygnębiona swoimi dywagacjami, nie miała jak się o tym przekonać.

- Nie mieści mi się w głowie, że ktoś śmiał wysunąć takie oskarżenie - obruszyła się starsza dama. - Domyślcie się może, kto był nadawcą listu?

- Nie. Charakter pisma jest nie do odszyfrowania - wyjaśnił Grant.

Sophie zadrżała, wspominając moment, w którym spojrzała na list anonimowego nadawcy, leżący na biurku sędziego pokoju. Jego treść była prosta, a zarazem zatrważająco okrutna w wymowie.

Dłużej już nie mogę ukrywać prawdy. Księżę Mulford nie zmarł z powodów naturalnych. Został otruty arszenikiem. Przyjrzyjcie się bliżej jego żonie, księżnej Mulford.

- Styl wskazuje na kogoś z wyższych sfer - dodała Sophie, zaciskając zziębnięte od niepokoju palce na ciepłej filiżance.

Lady Phoebe zmarszczyła czoło.

- Rozmawialiście z siostrą Mulforda, lady Heleną? I z jego kuzynem? Jak on ma na imię?

- Elliot - podsunęła Sophie. - Niedługo zjawi się w Londynie w związku z przyjęciem, które ma się odbyć w Mulford House. Wtedy z nim porozmawiam. Co do Heleny, ona po prostu nie przyjmuje do wiadomości, że to coś więcej niż paskudny żart.

- Może mieć rację - zgodziła się rzeczowo gospodyni. - Żeby cię zaaresztować, Sophie, policja musi najpierw zdobyć niepodważalny dowód lub świadka. Ponieważ nadawca listu nie ma ochoty się ujawnić, dowodów brak.

- Myślę dokładnie tak samo - wtrącił Grant. - Poza tym mamy z Sophie nadzieję, że kucharz, który pracował w Mulford House, może nas nakierować na trop mordercy. Podobno zatrudnił się u jakichś Newberrych. Znasz tę rodzinę, ciociu?

Lady Phoebe, zastanawiając się, upiła brandy.

- Nazwisko brzmi znajomo...

- Newberry'owie zbili majątek na handlu materiałami - podpowiedziała Sophie. - Obawiam się, że to już wszystko, co o nich wiemy.

- A tak, teraz sobie przypominam. Kilka lat temu zaczął mnie w sklepie z tkaninami jakiś umizgujący się mały człowieczek. Przedstawił mi się i zaprosił na przyjęcie do jego domu. - Starsza pani zacisnęła usta. - Oczywiście, nie poszłam. Nie mam nic przeciwko znajomym spoza towarzystwa, ale takich podstępnych ropuch się wystrzegam.

Grant podszedł do ciotki.

- Zapamiętałaś jego adres? Kobieta wolno pokiwała głową.

- To było chyba... Portman Square.

Grant spodziewał się gradu pytań i Sophie go nie zawiodła.

Kiedy opuścili dom jego ciotki, obrzuciła go stanowczym spojrzeniem.

- Biorąc pod uwagę fakt, że przed dziesięciu laty byliśmy sobie bardzo bliscy, trochę to dziwne, że nie poznałam wtedy twojego brata - oświadczyła z wyrzutem. - Czyżby rzadko bywał w mieście?

Usiłując poskromić gniew, Grant uznał, że spokój lepiej mu się przysłuży, gdy będzie zaspakajał ciekawość rozmówczyni.

- Randolph zjeżdża do Londynu zawsze na sezon. Wtedy właśnie odbywają się posiedzenia w parlamencie.

- Między wami wyczuwa się napięcie, choć hrabia Litton sprawia wrażenie miłej osoby. Dlaczego go nie lubisz?

Grant mógłby z łatwością zaszokować kochankę kilkoma opowieściami o swoim doskonałym bracie, ale nie zamierzał tego czynić.

- Bo bardzo się różnimy. Wolę wybierać przyjaciół pomiędzy mniej czcigodnymi osobami z towarzystwa, a już z pewnością nie pomiędzy oddanymi członkami parlamentu.

- Ale przecież to twoja rodzina. Gdybym miała siostrę lub brata...

- Zostaw to, moja droga. Nie chcę Randolpha w swoim życiu i na tym koniec.

Na kilka błogosławionych minut Sophie zamilkła. Wokół nich rozbrzmiewały odgłosy miasta: stukot końskich kopyt, turkot kół na bruku, okrzyki dorożkarzy nawołujących jeden drugiego.

Wkrótce jednak Sophie nie wytrzymała. Dotknęła ramienia Granta i lekko je pogładziła, pragnąc chyba go pocieszyć. Przyglądała mu się zielonymi oczyma, jakby próbowała zajrzeć mu w duszę.

- Słyszałam plotki o tobie i bracie, Grant. O tym, jak źle traktował cię poprzedni hrabia. Bo nie byłeś jego prawdziwym synem.

Grant, słysząc to wyznanie, poczuł się tak, jakby dostał cios w brzuch. W jego piersiach pojawił się nagły, intensywny ból. Kto jej to powiedział?

Prawdopodobnie Robert albo Helena. Dorastał przecież z nimi w jednym sąsiedztwie w Sussex. Ale i tak był zdziwiony. Jego rodzina, chcąc uniknąć

skandalu i plotek, bardzo strzegła tej tajemnicy. Poprzedni hrabia Litton był zbyt dumny, żeby dopuścić do ujawnienia informacji, iż żona doprawiła mu rogi. Nie powiedział o tym nikomu poza Grantem... i Randolphem.

Owładnęła nim furia, która przeważyla ból. Jeśli prawda przeciekła do Roberta albo Heleny, znaczy to, że źródłem informacji mógł być tylko Randolph. Następny grzeszek na sumieniu nieskazitelnie uczciwego, kochającego braciszka.

- Nie chcę rozmawiać o przeszłości - oświadczył chłodno.

- Ale ja tylko próbuję ci pomóc...

- Nie prosiłem o to. Pamiętaj, że nasz związek jest natury czysto fizycznej i nie daje ci prawa do węszenia w moich osobistych sprawach.

Sophie zacisnęła usta i choć nie zadawała już więcej pytań, Grant widział, że jej oczy płoną zaciekawieniem. Domyślał się, że to tylko kwestia czasu, nim znowu poruszy temat jego brata.

Z ponurą determinacją zawrócił ostro konie, które z Park Lane wjechały w samo serce Mayfair. Przeklęta Sophie i jej wścibskość! Naprawdę sądziła, że podzieli się z nią swoimi najciemniejszymi sekretami?

Na szczęście znalazł sposób na powstrzymanie jej od zadawania kłopotliwych pytań.

Kilka minut później, widząc, że Grant skręca w uliczkę położoną na tyłach jego rezydencji, Sophie ze zdziwienia szybko zamrugła powiekami. Mieli przecież jechać na Portman Square. Jednak kochanek, korzystając z jej zainteresowania Randolphem, zmienił trasę.

Istniał tylko jeden powód, dla którego to uczynił.

Ku własnemu zawstydzeniu poczuła, że ogarnia ją podniecenie. Na myśl o zbliżeniu jej serce zabiło mocniej, a umysł się zamglił. Nie powinna pożądać Granta po jego bezceremonialnych słowach, za pomocą których pokazał jej jasno, gdzie jest jej miejsce, redukując ją wyłącznie do roli kochanki.

Nasz związek jest natury czysto fizycznej. Nie daje ci prawa do węszenia w moich osobistych sprawach.

Z trudem zmusiła się do przywołania na twarz wyrazu wyniosłości.

- Nie pójdę do ciebie, Grant. Dobrze wiesz, że tego nie zrobię.

Spojrzał na nią wzrokiem, w którym namiętność mieszała się z oziębłością.

- Doprawdy, księżno? A ja pomyślałem, że środek dnia to zła pora na odwiedzin u Ferranda. Będzie zajęty przygotowywaniem obiadu dla pracodawców. W tym czasie my też moglibyśmy coś przekąsić.

- Przekąsić? - Niemożliwe, żeby chodziło mu tylko o posiłek.

Grant zrećnie zatrzymał powóz przed stajniami.

- Nie miałem nic w ustach od śniadania. Jestem głodny.

Ona też odczuwała głód, ale był to głód innej natury. Pragnęła pieszczot kochanka, jego pocałunków i uniesień, jakich dzięki niemu doznawała.

- Przypominam, że przyjąłeś moje warunki - odezwała się, siląc się na spokój. - Przyrzekłeś mi całkowitą dyskrecję.

- Będziemy dyskretni - zapewnił, unosząc kącik ust w kuszącym półuśmiechu. - Pozostaniemy w salonie na parterze. Nawet nie zbliżymy się do sypialni. Słowo honoru.

Nie potrzebowali łóżka, żeby się kochać. Grant ma jakieś inne plany, wymyślił coś szelmowskiego. Sophie domyślała się tego, patrząc na jego zaciśnięte z determinacją usta i na groźne błyski w oczach.

Ze stajni po konie wyszedł parobek. Sophie jednak nie miała teraz głowy do przejmowania się, że ktoś zobaczy ją w domu kochanka. Mogła myśleć tylko o jego dłoniach mocno obejmujących ją w pasie, kiedy pomagał jej zejść z wysokiego siedzenia. O jego bliskości, kiedy prowadził ją ścieżką ogrodową do wejścia.

Gdy znaleźli się w środku, stwierdziła, że długim korytarzem w ich stronę zbliża się niewysoki, kościsty i łysiejący mężczyzna, uginający się pod ciężarem spoczywającego w jego ramionach białego tobołka.

Z miejsca uzmysłowiła sobie dwie rzeczy: po pierwsze, ten nieznajomy to Wren, lokaj Granta, o czym wiedziała z przeszłości, po drugie, że biały toboł w jego rękach to pościel.

Ogarnęło ją zawstydzenie. Domyśliła się, że służący niesie pościel z łóżka swojego pana. Z tego samego, na którym w nocy ona i Grant uprawiali miłość. Poczula, że wpada w panikę, próbując mimo wszystko zachować spokój.

- Panie Wren. Miło mi pana widzieć.

- Jej książęca mość! - Wyraźnie zaskoczony, kamerdyner wodził wzrokiem od niej do Granta. - Nie spodziewałem się, że nas pani odwiedzi.

- Wpadliśmy tylko coś zjeść - wyjaśnił Grant. - Powiedz pani Howell, żeby podała nam jakąś lekką przekąskę za pół godziny w jadalni. My tymczasem udamy się do mojego gabinetu.

Po tych słowach Grant dotknął pleców towarzyszki i poprowadził ją korytarzem do wspomnianego pomieszczenia. Kiedy Sophie przekroczyła jego próg, przesunęła wzrokiem po wysokich regałach z książkami, lśniącem mahoniowym biurku i wygodnych fotelach, ustawionych po bokach wygaszonego kominka. Ciemnozielone zasłony i na wpół przymknięte żaluzje wpuszczały do środka niewiele naturalnego światła. To był typowo męski pokój, w którym unosiła się woń cygar i skóry.

Grant zamknął za nimi drzwi i przekręcił klucz w zamku, czemu towarzyszył zgrzytliwy odgłos.

Sophie szybko odwróciła się w jego stronę. W oczach kochanka ujrzała iskry pożądania, tak intensywne, że zadrzała. Na całym ciele poczuła ekscytujące mrowienie.

Jednakże spotkanie z Wrenem wzmogło jej czujność. Dziwiła się, że Grant myśli w takiej sytuacji o zbliżeniu. Jeszcze bardziej dziwiła się sobie, bo bardzo ją ta perspektywa pociągała. Wstyd jej było samej za siebie.

Przesunęła koniuszkiem języka po wyschniętych wargach.

- Jesteś zły, bo wypytywałam cię o brata - powiedziała. - To dlatego mnie tu sprowadziłeś. Chcesz się zemścić, wyprowadzając mnie z równowagi.

- Przywiozłem cię tu, bo cię pożądam, Sophie. To proste.

Po tych słowach, nie spuszczać z niej wzroku, Grant ściągnął surdut i rzucił go na krzesło. Potem rozpiął kamizelkę i ruszył w jej stronę.

Sophie cofnęła się.

- Nie tak się umawialiśmy.

- Nie pamiętam, żebyś precyzowała porę, w jakiej mogę się do ciebie zalecać. Zaznaczyłaś tylko, że może to się odbywać wyłącznie u mnie.

- Ale mamy przecież środek dnia, a w domu jest pełno służby.

- W takim razie postaraj się być cicho.

Po tych obcesowych słowach sięgnął po poduszkę leżącą na jednym z foteli i wepchnął ją kochance w ręce. Sophie patrzyła na nią z gniewem zmieszanym z ekscytacją i zdumieniem. Jej oddech stał się tak urywany, że miała problemy z wydobyciem z siebie głosu.

- Co to...

- Tutaj, kochanie. - Objąwszy ją, Grant podprowadził do biurka. - Połóż się - polecił, wskazując na gładką powierzchnię stołu.

Natychmiast pojęła, co mu chodzi po głowie. Zalała ją fala jeszcze silniejszego podniecenia. Szorstkość we wzroku kochanka budziła w niej ekscytację i odrazę. Przyglądała się, jak rozpina rozporek.

- Grant - szepnęła - nie powinniśmy...

- Powinniśmy - rzucił. - Będziesz zadowolona. Zaufaj mi.

Mówił jak doświadczony, bezwzględny uwodziciel. Mimo to ona czuła, że jej serce topnieje pod wpływem pożądania. Tak jak prosił, rozsunała więc

drżące nogi i położyła się na biurku. Owiał ją chłód, kiedy Grant podciągnął w górę dół jej sukni i halki.

I w tym momencie przemknęło jej przez myśl, że jest teraz zdana wyłącznie na jego łaskę. Zarazem uzmysłowiła sobie, że Grant usiłuje ją sobie podporządkować, a ich zbliżenie chce sprowadzić do czysto zwierzęcego, prymitywnego aktu. Nie powinna się na to godzić. Niemniej, kiedy na udach poczuła dotyk wędrujących po nich dłoni, rozsunęła nogi szerzej, wydając z siebie przy tym jęk rozkoszy.

Ale Grant nie był w stanie jej upokorzyć, ponieważ oddaje mu się z własnej woli i czyni to z prawdziwym zapalem, czym niweczy jego plany. Zresztą w tej chwili nic nie liczyło się bardziej niż zaspokojenie trawiącego jej ciało pożądania.

- Masz się nie odwracać - usłyszała polecenie wypowiedziane głosem zimnym i rozkazującym, kontrastującym z jej rozgorączkowaniem. - Nasze ciała będą się stykały tylko w jednym miejscu. W tym.

Dotyk ręki na jej kobiecości kazał jej skupić na niej całą świadomość. Krew w niej zawrzała. Wczepiła się palcami w poduszkę, na której leżała. Grant wchodził w nią powoli, a ona, rozrywana frustracją, mocno przygryzła dolną wargę, żeby nie zacząć błagać kochanka o pośpiech.

Drżąc na całym ciele, walczyła z pragnieniem, aby odwrócić się do niego i wziąć go w objęcia. Chciała czuć na sobie jego ramiona. Chciała wtulić się w jego nagą pierś. Chciała poczuć do głębi, że jest szczerze i prawdziwie... kochana.

Czy sposób, w jaki Grant ją traktuje, to przypomnienie, że ona nic dla niego znaczy? Że widzi w niej tylko kobiece ciało, które może dać mu rozkosz?

Nie zamierzała tego roztrząsać ani przejmować się tym.

- Teraz - szepnęła. - Teraz. - Gorączkowo poruszyła biodrami, żeby zatopił się w nią do samego końca.

Grant, oparty rękoma o biurko, wbił się w nią z całą mocą. Jego urywany oddech świadczył o tym, że, mimo pozornego opanowania, on też zbliża się do granicy szaleństwa.

- Sophie - mruknął. - Należysz do mnie. Powiedz to.

Nie mogąc doczekać się spełnienia, zerknęła na niego przez ramię.

- Tak, a ty należysz do mnie.

Spojrzał na nią wzrokiem wypełnionym dzikim pożądaniem i wysunął z niej swoją męskość, żeby po chwili znów w nią wejść. I, zgodnie z obietnicą, nigdzie jej nie dotykał. Ona zaś, przymknąwszy oczy, cała oddała się namiętnemu aktowi, czując, że każdy nerw jej ciała pożąda rozładowania. Ledwo zdawała sobie sprawę z tego, że aby zagłuszyć okrzyki, wciska twarz w poduszkę. I nagle coś w niej pękło, nagle wszystkie mięśnie zadrgały... a potem nastąpił wybuch rozkoszy, ekstaza.

Wracała do przytomności powoli, z policzkiem wciśniętym w poduszkę. Po chwili Grant także osiągnął spełnienie, po czym opadł na nią, otaczając ją ciepłem swego ciała. Jakże była zachwycona jego ciężarem, bliskością, gorącym oddechem, którym owiewał jej szyję. Przyszło jej nagle namyśl, że są teraz jak jedna osoba i mają jedno wspólne serce i duszę. Była przekonana, że Grant też tak to czuje, że uważa ich zbliżenie nie tylko za zwykłą fizyczność, ale także intymność. Jakże mogłoby być inaczej?

Poczuła, że się podniósł.

- Wstawaj, księżno - rzucił zadowolonym głosem, klepiąc ją przy tym lekko po plecach. - Zjedliśmy już deser, teraz czas na coś treściwszego.

To obcesowe zachowanie ogromnie ją ubodło. Ból serca odebrał jej dech. A zaraz potem ogarnął ją przemożny gniew. Jak ten drań może zwracać się do niej w ten sposób, kiedy ona stoi przed nim zupełnie bezbronna. Cóż, nie pokaże mu, jak bardzo ją zranił.

Wyprostowała się więc i spojrzała na kochanka z taką samą obojętnością, jak on patrzył na nią.

- Tak, pospieszmy się, mamy przecież zagadkę do rozwiązania. Szkoda dłużej marnować czas.

Rozdział XVIII

29 listopada 1701

Mulford mnie pocałował. Nadal jestem roztrzęsiona. Drży nawet pióro w mojej dłoni.

Sama go sprowokowałam swoim bezczelnym zachowaniem. Odwiedził mnie dzisiaj, żeby sprawdzić, jakie robię postępy w Szkole dla Księżnych. Potem poprosił moją strażniczkę, żeby zostawiła nas samych. Powiedział, że chce porozmawiać ze mną na osobności. Pytał, czy wybiłam już sobie flirty z głowy i czy oddam się mu z czystym umysłem i ciałem.

Wyznałam, że nadal tęsknię za pocałunkami Williama. To nieroztropne wyznanie rozzłościło Mulforda. Przyciągnął mnie do siebie, przycisnął usta do moich ust, rękę położył mi na biuście. A ja, Największa Rozpustnica na świecie, rozkoszowałam się tą chwilą. Och, czemu jestem taka bezwstydna? Mulfordowi zależy przecież tylko na fortunie mojego ojca. A ja pragnę tylko Williama.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Po Clarze Newberry widać było, że dopiero niedawno wstąpiła do grona osób zamożnych. Jej pulchna figura świadczyła o nadmiernym dogadzaniu sobie w jedzeniu. W jej uszach i na szyi lśniły diamenty, włosy zaś ułożone były w

kunsztowną fryzurę. Zbyt kunsztowną, jak na tę porę dnia. Poza tym przesadnie nadskakiwała Sophie. Umizgiwała się do niej jak typowa osoba z nizin, pragnąca wyrobić sobie miejsce w wyższych kręgach.

Prowadząc gości korytarzem w suterenie, nie przestawała rozpływać się w pochwałach.

- Jestem pani najbardziej oddaną sługą, księżno - zapewniała. - I ogromnie się cieszę, że nas pani odwiedziła. Ale czy jest pani pewna, że nie wolałby porozmawiać z kucharzem w niebieskim salonie?

Sophie uśmiechnęła się uprzejmie, jakby nie odpowiadała na to samo pytanie po raz enty.

- Tak, jestem pewna, pani Newberry. Niemniej dziękuję.

Wcześniej ona i Grant ustalili, że najlepiej będzie, jeśli przesłuchają Ferranda w swojskim dla niego otoczeniu. Mieli nadzieję, że wtedy chętniej otworzy się przed nimi. Grant proponował nawet, żeby od razu udali się do wejścia dla służby, nie kłopotząc pani domu, Sophie jednak uparła się, że nie powinni zaniedbywać zasad grzeczności.

A ponieważ nadal była na niego zła, Grant ustąpił. W eleganckim, czarnym kapeluszu okrywającym jej miedziane włosy i w skromnej pelisie zarzuconej na żałobną suknię wyglądała dumnie i wyniośle. Jak kwintesencja damy z wyższych sfer. Patrząc na nią, nikt by się nie domyślił, że jeszcze przed chwilą, dysząc i jęcząc, oddawała się namiętnemu zbliżeniu.

- Witam w naszej skromnej kuchni - powiedziała pani Newberry z przesadnie szerokim gestem dłoni, na której lśniły diamentowe pierścienie. Pełna szacunku usunęła się w bok, żeby Sophie i Grant mogli wejść swobodnie do pomieszczenia.

Zamożność Newberrych, wyczuwalna na wyższych piętrach, także w kuchni rzucała się w oczy. Paliło się w niej kilkanaście lampek oliwnych, oświetlających rząd miedzianych garnków wiszących na hakach nad masywnym, żelaznym piecem. W długiej, oszklonej komodzie piętrzyły się

porcelanowe talerze ze złotą obwódką. Nawet odgłosy i zapachy miały w sobie coś z bogactwa. W kuchni rozbrzmiewał brzęk srebrnych sztućców, a w powietrzu unosiła się woń pieczonych mięs.

Grant od razu dostrzegł monsieur Ferranda. Kucharz stał przy jednym końcu długiego dębowego stołu i mieszał coś w drewnianej misie, zerkając zarazem czujnie na podkuchenne, zajęte krojeniem warzyw u jego boku. Ten niskiego wzrostu mężczyzna o ochryplym głosie ubrany był w biały surdut, ciemne bryczesy, popielate rajstopy i trzewiki z klamrami. Głowę ze spiczastym podbródkiem miał dumnie uniesioną.

Kiedy się zorientował, że w jego królestwie pojawili się nieproszeni goście, nozdrza rozděły mu się szeroko, a usta zacisnęły w cienką linię na znak niezadowolenia. Odstawił głośno misę, posyłając gościom gniewne spojrzenie.

Sophie z całym spokojem zwróciła się do pani domu.

- Chcielibyśmy porozmawiać z monsieur Ferrandem na osobności, jeśli pani pozwoli.

- Na osobności? - zaskrzeczała pani Newberry. - Ale ja sądziłam, że...

- Lepiej niech pani wraca na górę - wtrącił się Grant. - Inaczej księżna będzie niepokieszona.

Na okrągłej twarzy pani Newberry pojawił się niepokój. Wykonała głęboki ukłon, zupełnie jakby była na dworze przed samą królową.

- Och, ależ ja niczemu się nie sprzeciwiam, księżno. Proszę czuć się jak u siebie. - Cofając się do drzwi, dodała: - Tylko niech pani łaskawie nie zapomina swojej obietnicy, że nie ukradnie nam pani monsieur Ferranda.

- *Pardonnez-moi?* - Kucharz, z uniesioną pięścią, ruszył w stronę przybyszów. - Za nic nie wrócę do tamtego domu. Zostaję tutaj i koniec!

Sophie skinęła głową z godnością.

- Proszę się nie martwić, nie zamierzam pana porywać. Przybyłam z zupełnie inną sprawą. Może zaprowadzi nas pan do jakiegoś ustronnejszego miejsca. Może do jadalni dla służby?

Ferrand posłał jej wściekle spojrzenie. Wydawało się, że ma ochotę odmówić, jednak już po chwili, mamrocząc coś pod nosem w rodzimym języku, chwycił ze stołu lampkę oliwną i ruszył pierwszy do przestronnego pokoju z długim stołem i wieloma krzesłami o prostych oparciach. Grant zamknął za nimi drzwi, po czym podszedł do jednego z krzesel, żeby wysunąć je dla Sophie.

Kiedy koło niej przechodził, w nozdrza uderzył go jej zapach i natychmiast odżyły wspomnienia namiętnych chwil sprzed godziny. Jęki Sophie... jej miękkie ciało... ekstaza spełnienia.

Po wszystkim nie umiał się już powstrzymać, żeby nie objąć kochanki. Pokazawszy jej, że zależało mu tylko na fizycznym zbliżeniu, powinien czuć się jak zwycięzca. On jednak odnosił niemiłe wrażenie, że w tym starciu wygraną była Sophie.

Potem przez cały czas zachowywała się wyniośle i choć przy posiłku rozmawiała z nim życzliwie, wydawało się, że nie jest z nim szczerą, że kryje przed nim swoje prawdziwe myśli. Jej pełne rezerwy zachowanie świadczyło o tym, że ona także pragnie utrzymać ich związek na czysto fizycznym poziomie.

Grant nie zamierzał przejmować się tym. Przecież to marzenie każdego mężczyzny, mieć piękną i namiętną kochankę, która niczego nie żąda i oddaje swoje ciało tylko dla przyjemności. Tylko głupiec pragnąłby pozyskać oprócz tego umysł i duszę takiej kobiety.

Pomyślał, że wisi nad nim jakaś klątwa.

Sophie spojrzała ponad stołem na Ferranda.

- Niewątpliwie domyśla się pan - zaczęła - że zjawiłam się tu w sprawie mojego świętej pamięci męża. Tak się składa, że zaistniały pewne okoliczności, które pragnę z panem omówić.

- Opowiedziała kucharzowi o anonimowym liście wysłanym na policję, a także o śledztwie, nie wspominając jednak, że to ona jest osobą podejrzaną o morderstwo.

Ferrand aż kipiał wściekłością.

- *Sacrebleu!* A więc teraz oskarżcie mnie, że podałem księciu trutkę na szczury, tak?

- Nie, monsieur, o nic pana nie oskarżam...

- Ale ja oskarżam - odezwał się Grant. - Przynajmniej o jedno. - Podszedł do kucharza i spojrzał na niego groźnie.

- Był pan zły, że odprawiono pana ze służby bez referencji.

Może więc w ramach zemsty to pan napisał ten list? Chciał pan, żeby podejrzenia padły na księżną.

Sophie otworzyła szeroko oczy. Było oczywiste, że nie pomyślała wcześniej o takiej ewentualności. Jednak Grant miał w głowie coś innego. Zastanawiał się, czy nie było tak, że kucharz, tamtego dnia, gdy Robert zachorował, zwrócił uwagę na jakieś dziwne zachowanie Sophie i dopiero później wpadł na pomysł, że to ona otruła męża.

Ferrand wstał przy wtórze skrzypienia nóg krzesła i pomachał pięścią w jego stronę.

- *Merde!* Wy, Anglicy, wszyscy jesteście nienormalni. Nie chcę i nie będę dłużej tego słuchał.

Grant pchnął mężczyznę z powrotem na krzesło.

- Hamuj język, człowieku, i odpowiadaj na pytania. Ty wysłałeś ten list na policję?

- Och, przecież on nie mógł go napisać - zaprotestowała Sophie. - Nie zna dobrze angielskiego.

- Mógł komuś zapłacić, żeby go za niego napisał. Jakiemuś ulicznemu skrybie.

- Nie, nie, nie - zarzekał się Ferrand. Zmrużywszy oczy, pochylił się nad stołem, jakby zamierzał podzielić się jakąś tajemnicą. - Ale powiem wam jedno. Wydaje mi się, że wiem, kto jest zabójcą.

- Kto? - spytał natychmiast Grant.

- Ten kamerdyner. Monsieur Phelps. - Z wyrazem nienawiści na twarzy Ferrand zatarł dłonie. - To on podawał księciu posiłki. Kiedy upiekłem tartę, wykradł mi kawałek. Mówił, że chciał sprawdzić, czy jest smaczna. Ale teraz myślę, że to on dodał trucizny do ciasta. To on zamordował księcia!

- Coś takiego - zawołała Sophie słabym głosem. - To bardzo interesujące, co pan mówi, i z pewnością weźmiemy to pod uwagę.

Grant, słysząc uspokajające nuty w jej głosie, uznał, że tak jak on nie bierze ona poważnie słów kucharza. Złożywszy ręce na plecach, przemierzył z zastanowieniem długość pokoju, po czym znów stanął przed Fernandem.

- Zamierzamy przesłuchać każdą osobę, która była tamtego dnia w kuchni - wyjaśnił. - Wiadomo, że w gronie tych osób znajdują się służący. My jednak się chcemy dowiedzieć, czy w domu zjawił się ktoś jeszcze. Jakiś dostawca lub gość państwa Mulfordów, który zszedł do suterenu?

- Do kuchni przychodziła ta kobieta - mruknął z wyraźniejszym francuskim akcentem Ferrand.

- Mówisz o lady Helenie? - spytała Sophie.

- Tak. Zaglądała do mojej kuchni codziennie. Wydawała mi polecenia i mówiła, co mam robić i jak gotować. - Tłumacząc, kucharz gestykulował gniewnie rękoma. - Powiedziała, że księżę rozchorował się od mojej tarty. A jej na to, że to moja... jak to się mówi... *piece de resistance*.

- Pańska specjalność - podpowiedziała Sophie. - Mąż rzeczywiście bardzo lubił pańską tartę.

- A więc Helena była tamtego dnia w kuchni - zastanawiał się na głos Grant. - I pewnie w porze, kiedy przyrządzał pan wieczorny posiłek?

Ferrand złączył w jedno krzaczaste brwi.

- *Alors!* To ona dodała trucizny do ciasta. Tak, to z pewnością ona zamordowała księcia, swojego brata!

Zdecyduj się pan na coś, chciał krzyknąć Grant, ale milczał. Pragnął bowiem wyciągnąć od kucharza jeszcze jedną informację. Chciał się

dowiedzieć, czy w kuchni pojawiła się też Sophie. Musiał jednak zapytać o to w taki sposób, żeby nie wzbudzić jej podejrzeń.

- A kuzyn księcia, Elliot? O ile wiem, gościł wtedy w Mulford House.

- Jego też widziałem, *oui* - rzucił pogardliwie Ferrand. - Jak zawsze przyszedł zaczepiać tę pomywaczkę.

- Elliot? - zdumiała się Sophie. - Zaczepiał pomywaczkę? Ale... którą?

- Tą głupią dziewczuchę z wielkimi... - kucharz wskazał na klatkę piersiową.

- Z dużym biustem? - dokończył za niego Grant. Nietrudno będzie rozpoznać, o którą służącą chodzi. Ponieważ Sophie nadal wyglądała na zaskoczoną, szybko dodał: - Czy przypomina pan sobie kogoś jeszcze? Może jakiegoś handlarza albo kogoś, kto nie miał zwyczaju zaglądać do kuchni? Ferrand wzruszył ramionami.

- Kręciło się tam wiele osób. - Potem, zmarszczywszy czoło, spojrzał na Sophie. - Pani, księżno. Pani rzadko pojawiała się w kuchni, ale tamtego dnia zeszła pani na dół.

Usłyszawszy to oświadczenie, Grant drgnął. Przeniósł wzrok na kochankę, której twarz, osłonięta rąbkiem czarnego kapelusza, skąpana była w blasku światła bijącego od lampki.

- Zeszłam? - spytała z zastanowieniem. Zaraz jednak jej dodała: - A tak, pamiętam. To było tego dnia, kiedy znalazłam pamiętnik na poddaszu. Zeszłam do kuchni, szukając Heleny. Chciałam zapytać ją o ten pamiętnik.

- Jaki znów pamiętnik? - zdziwił się Grant.

- Pamiętnik Annabelle. - Sophie popatrzyła na niego prostodusznie. - Nie pamiętasz? Oglądałeś go podczas pierwszej wizyty w Mulford House.

W oczach Granta zabłysła konsternacja. Stary, obłożony skórą pamiętnik z wyblakłym, jeszcze dość dziecięcym pismem, nie może przecież mieć nic wspólnego z obecną sytuacją. A może ma? Jednak jego myśli zaprzętało teraz tylko jedno: Sophie była tamtego dnia w kuchni.

Ferrand otwarcie przyznał to przed chwilą.

Następnego dnia, kiedy Sophie zajrzała do pokoju dziecięcego, ze zdumieniem stwierdziła, że obok siedzącego przy stole Luciena stoi Grant. Ponieważ on i chłopiec byli odwróceny do drzwi plecami, nie zauważyli jej. Gawędzili wesoło, a Grant budował z kart wysoką wieżę.

- Jak wysoka będzie? - dopytywał się z zaciekawieniem Lucien.

- Bardzo wysoka. Została mi jeszcze jedna talia. Chłopiec z entuzjazmem podskoczył na krześle.

- To będzie największa wieża z kart na świecie. Ludzie będą przyjeżdżać z daleka, żeby ją zobaczyć.

- Tak, nawet z Rosji i Konstantynopola. Ale teraz przestań podskakiwać, bo ją przewrócisz. - Grant postawił ostrożnie na czubku budowli następne dwie karty, Lucien zaś wiwatował.

Wzruszona widokiem, Sophie oparła się o framugę. Gardło ściśnięte miała radością, której nie powinna odczuwać. Powinna raczej przerazić się, że zastała Granta w pokoju syna. Wiedziała przecież, że im więcej czasu będą ze sobą spędzali, tym trudniej jej syn zniesie rozstanie z opiekunem. Musi pamiętać o warunku, który postawiła kochankowi: kiedy ich romans dobiegnie końca, Grant zrezygnuje z opieki nad Lucieniem.

Kłopot w tym, że nie wyobrażała sobie dnia, w którym sypianie z Grantem mogłoby jej się znudzić.

Poprzedniego wieczora, pod pretekstem udziału w przyjęciu, spędzili ze sobą w jego domu kilka długich, rozkosznych godzin. Był to czas na zmysłowe uctowanie i na naukę. Grant pokazywał jej bowiem nowe sposoby wzbudzania podniecenia i zaspokajania go. Uczestnicząc w tych lekcjach, Sophie nie zapominała, że tak jak partner powinna traktować ich związek czysto fizycznie, bez oddawania się wznioślejszym emocjom.

I do tej pory jej się to udawało.

Widok Granta z Lucieniem obudził w niej jednak dziwną tęsknotę. Ojciec i syn byli bardzo przystojni, obaj mieli na sobie takie same ciemnoniebieskie surduty i jasne pantalone. Jakby umyślnie ubrali się podobnie. Lucien, choć nie tak ogorzały na twarzy jak ojciec, stanowił niemal jego miniaturową kopię. A już z pewnością podobni byli do siebie z profilu, mimo że u chłopca był on zarysowany jeszcze dość łagodnie.

Ojciec i syn. Co by się stało, gdyby już na samym początku powiedziała Grantowi o Lucieniu? - zastanawiała się.

Ta nieproszona myśl przeraziła ją. Nie może pozwolić, żeby poniosła ją wyobraźnia. Nie wolno jej zastanawiać się, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby, zamiast za Roberta, wyszła za Granta. Grant nie chciał się żenić. Gdyby go do tego zmusiła, znienawidziłby ją. Poza tym, z czego utrzymałby rodzinę?

W ostatnich latach dorobił się wprawdzie znacznego majątku, ale zdobył go przy stoliku karcianym. A szczęście potrafi odwrócić się niespodziewanie od gracza. Grant zapewne nie porzuci hazardu, a to znaczy, że jeśli fortuna nie będzie mu sprzyjała, może znów wszystko stracić. Mężczyźni tacy jak on nie nadają się po prostu na mężów i ojców...

Sophie postanowiła porzucić te ogłupiające i niebezpieczne rozważania. Od kiedy to zaczęła myśleć o Grancie w kategoriach małżeństwa?

- Mamo, zobacz. Zobacz, co pan Chandler dla mnie zrobił. - Lucien odwrócił się i pomachał do niej ręką. - To zamek z kart.

- Widzę - odpowiedziała.

Wyraz radości w jasnoniebieskich oczach syna ocieplił jej serce. Doznanie to spotęgowało się, gdy także Grant popatrzył w jej stronę, uśmiechając się do niej szeroko.

Lekkie wygięcie kącika ust było charakterystyczne dla jego hultajskiej natury. W tym skrzywieniu ust kryła się tajemnica ich romansu wraz z obietnicą przyszłych rozkoszy. I było to całkowicie niestosowne, zważywszy na okoliczności.

Sophie odepchnęła od siebie zdrożne myśli, postanawiając, że musi się zachowywać jak przystało na księżną. Czyli godnie i dumnie.

Grant zerknął na Luciena.

- Nie ruszaj się. Nawet nie oddychaj, inaczej nasza wieża się rozpadnie.

Po tym poleceniu wstał i podszedł do Sophie. Oczy opuścił na jej usta, dając do zrozumienia, że ma ochotę ją pocałować. I choć tego nie uczynił, i tak, biorąc jej dłoń w swoją i delikatnie gładząc palcem jej wnętrze, udało mu się wytrącić ją z równowagi.

- Witam, księżno. Wyglądasz dzisiaj wyjątkowo pięknie.

- Miło to słyszeć, tym bardziej że przecież nadal noszę żalobę.

- Ale bije od ciebie jakiś blask. Zastanawiam się, co jest tego przyczyną.

Jego kpiący uśmiezek sugerował, że Grant nawiązuje do wydarzeń poprzedniego wieczora.

Sophie doskonale wiedziała, że od rozpoczęcia romansu wygląda promiennie i że taką promiennosc kobiety zawdzięczają częstym zbliżeniom. Nie wolno jej tylko myśleć, że może ona oznaczać coś więcej.

- Pochlebca - rzuciła lekko. - Nie powinienes...

Odgłos rozsypujących się kart zmusił ich do spojrzenia w stronę Luciena.

Wysoka wieża na stole zamieniła się w nieskładną kupkę. Lucien zaś, z zakrytymi dłońmi ustami, cicho chichotał.

Grant, udając, że jest wściekły, jęknął przeciągle. Podszedł do podopiecznego i chwyciwszy go pod pachy, uniósł w powietrze.

- Zrobiłeś to specjalnie. Przyznaj się, że nie umiałeś się pohamować i dotknąłeś wieży.

- Nie, nie, nie dotknąłem - krzyczał radośnie chłopiec, choć błysk w jego oczach mówił coś innego.

- Nie? Nie wierzę ci i będę cię torturował, aż powiesz prawdę. Grant położył chłopca na dywanie i zaczął go bezlitośnie łaskotać. Lucien zaś, zanosząc się śmiechem, próbował go od siebie odepchnąć i uderzał go małą

piąstką w pierś. Udając, że jęczy z bólu, Grant pozwolił chłopcu w końcu uciec, ale zaraz rzucił się za nim w pościg dokoła stołu.

Sophie śmiała się tak samo głośno jak syn i kochanek. Taka zabawa w przepychanki była dokładnie w stylu Granta. Robert nigdy nie harcował tak z Lucieniem.

Zawstydziła się tych nielojalnych refleksji. Robert był wspaniałym ojcem. Chodził z Lucieniem na spacer i codziennie czytał mu bajki do snu. Niemniej chłopiec potrzebował zapewne także i takich rubasznych, męskich psot.

Lucien skoczył Grantowi na plecy i powalił go na dywan.

- Zwyciężyłem! Zwyciężyłem!

- Pokonał mnie ośmiolatek. Nie przeżyję takiej hańby.

- Mam dziewięć lat, a nie osiem - poprawił go chłopiec. - Moje urodziny były miesiąc temu. Mama dała mi na nie w prezencie duże pudło marmurowych kuleczek.

Grant, uśmiechając się, usiadł.

- Naprawdę? Mama nic mi nie mówiła. No więc, kiedy właściwie masz urodziny?

Słyszając to pytanie, Sophie zamarła. Wydało jej się, że czas stanął w miejscu. Serce zabiło jej mocniej, a dłonie zwilgotniały. Grant patrzył na nią ze zdziwioną miną. Dobry Boże, jeśli doda dwa do dwóch...

Zanim Lucien zdążył otworzyć usta, klasnęła w dłonie i szybko podeszła do walczących.

- Wystarczy tej zabawy - zawołała pogodnie, ale stanowczo. - Czas na naukę, Lucienie. Nie zapominaj, że lekcje powinieś rozpocząć już pół godziny temu. Ja więc wezwę pannę Olivier, a ty zbierz karty.

Chłopiec wyglądał na zasmuconego.

- Naprawdę muszę? Pan Chandler powiedział, że zrobi mi łódkę do zabawy. - Lucien odwrócił się do Granta. - Niech pan powie mamie. Mieliśmy ją potem zabrać do parku.

- Nie powiedziałem, że zrobię ją dzisiaj - sprostował Grant, targając malcowi włosy. - Poza tym mamy teraz do załatwienia z twoją mamą pewną ważną sprawę. Ale obiecuję, że niedługo zrobimy tę łódkę.

Już po chwili Lucien i pani Olivier zamknęli się w klasie, a Sophie i Grant schodzili po schodach. Sophie nadal jeszcze odczuwała podenerwowanie potencjalną wpadką i żeby odwieść towarzysza od rozmowy o dacie urodzin syna, natychmiast poruszyła inny temat.

- Czeka nas dzisiaj dużo pracy - powiedziała, kiedy tylko zamknęły się drzwi za Lucieniem i jego guwernantką. - Musimy przesłuchać służbę, a przede wszystkim tę pomywaczkę...

- Tak, tak, ale za chwilę. - Grant zatrzymał ją na półpiętrze. Oblewało je szare światło pochmurnego dnia, wpływające do środka przez witrażowe okno, nadając atmosferze otoczenia intymny charakter. Grant złapał dłonie Sophie w swoje, po czym popatrzył jej głęboko w oczy. - Najpierw chcę pomówić o Lucienie.

Jej serce skurczyło się ze strachu. Czując, że nie może nabrać pełnego oddechu, uzmysłowiła sobie, że kochanek posiada ogromną władzę nie tylko nad jej życiem, ale także nad życiem jej syna.

- Powinniśmy raczej zająć się dochodzeniem. I tak zmarnowaliśmy już część poranka.

- Dopiero minęła dziewiąta - zauważył Grant. - A ja chcę tylko powiedzieć, że Lucien to wspaniałe dziecko, a ty świetnie go wychowałeś.

Sophie, słysząc tę pochwałę, nieco się rozluźniła. Świadomość, że Grant ją docenia, sprawiała jej więcej przyjemności, niżby chciała przyznać.

- Dziękuję - odparła ostrożnie. - Ale to nie tylko moja zasługa. Robert też wiele z siebie dał. Był dobrym ojcem. A teraz, czy możemy już iść?

Zrobiła krok przed siebie, lecz Grant nie pozwolił jej odejść, trzymając nadal za rękę.

- Widzę, że nie chcesz rozmawiać ze mną o swoim synu - oświadczył. - Pewnie nie możesz się już doczekać, kiedy podpiszę dokumenty na zrzeczenie się opieki.

Kłótnia. Tak, kłótnia rozproszy uwagę kochanka. Nie będzie więcej zadawał dociekliwych pytań. A ona dzięki temu nie rozpadnie się na kawałki ze zdenerwowania.

Sophie uniosła dumnie głowę i rzuciła Grantowi oziębłe spojrzenie.

- Pewnie się powtarzam, ale to ważne, żeby Lucien nie przywiązał się zanadto do ciebie. Inaczej, kiedy odejdziesz, będzie strasznie cierpiał.

- Lucienowi potrzebny jest kontakt z mężczyznami. Co zrobisz, jeśli powiem, że zamierzam poświęcić się opiece nad nim? Zrezygnujesz wtedy ze swojego warunku?

- Rola opiekuna szybko ci się znudzi - oświadczyła, ignorując ukłucie tęsknoty za czymś, co było nieosiągalne. - Nie cenisz sobie rodzinnych więzi. Jesteś nałogowym hazardzistą, libertynem i uganiaasz się za spódniczkami. Nie chcę, żeby Lucien miał takiego nauczyciela.

Zobaczyła, że Grant zacisnął zęby, a oczy mu pociemniały.

- Wprawdzie sam jestem tym zaskoczony, ale przekonałem się, że lubię dzieci. Może wcale nie przeszkadzałoby mi, gdybym sprawił sobie kilkoro własnych.

Sophie spodziewała się każdej odpowiedzi, ale nie takiej. Ogarnęły ją różne emocje: poczucie winy za to, że oszukuje Granta i nie mówi mu prawdy o Lucienie, nadzieja, bo choć nie było to mądre, bardzo pragnęła uwierzyć jego słowom. I zazdrość. Nie chciała, żeby Grant ożenił się z inną kobietą.

- Lepiej nie działaj pochopnie - poradziła oziębłe. - Żeby mieć dzieci, powinienes się najpierw ożenić. A ty przecież nie chcesz się żenić.

Grant się rozzłościł. Domyśliła się tego, bo mocniej zacisnął rękę na jej nadgarstku. Ale nie przejmowała się tym. Wołała, żeby się na nią rozniewał,

niż żeby odgadł, jak bardzo pragnie, aby stał się takim mężczyzną, jakim chciała go widzieć.

Zaskoczył ją, bo nagle gwałtownie szarpnął jej ręką, ciągnąc za sobą korytarzem. Przyspieszyła więc kroku, żeby się nie przewrócić. Grant otworzył drzwi do pierwszego pokoju po lewej, którym była Niebieska Sypialnia, jeden z dwunastu pokoi gościnnych. Okna były zasłonięte kotarami, a w powietrzu czuć było zaduch. Ponieważ nikt go od dawna nie używał, na łóżku i reszcie mebli leżały białe pokrowce.

Sophie z niechęcią stwierdziła, że jej ciałem wstrząsnął dreszczyk ekscytacji. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe, między udami pojawiło się zmysłowe pulsowanie. Dobrze wiedziała, że nikt nie zajrzy do tego pokoju, a to oznaczało, że ona i Grant mogliby kochać się w nim bez obawy, że ktoś ich tu zaskoczy...

Dobry Boże, o czym też ona myśli?

Tymczasem Grant, zamknawszy drzwi kopniakiem, pchnął ją silnie w róg pokoju, a następnie z furią w oczach przygniótł ją swoim ciałem.

- Skąd tyle o mnie wiesz, Sophie? Sądzisz, że to - wcisnął się biodrami w jej biodra - daje ci prawo zaglądać mi do duszy?

Sophie wstrzymała oddech. Czując ciepło emanujące od kochanka, pomyślała, że najchętniej wtuliłaby się teraz w niego i tak pozostała.

- Natychmiast mnie puść. Łamiesz warunki umowy.

- Tylko je naginam, a to przecież różnica. Odpowiedz mi lepiej na pytanie.

Musiała na siłę oderwać myśli od magnetycznego ciała kochanka. Z muskularnym torsem i ramionami, wąskimi biodrami i silnymi nogami, Grant był ucieleśnieniem perfekcji.

Złapała go za klapy surduta i, zwróciwszy ku niemu twarz, popatrzyła mu w oczy.

- No już dobrze. Wiedz, że nie mam pojęcia, co się kryje w twoim sercu i umyśle - rzuciła gniewnie. - Skąd miałabym to wiedzieć. Przecież nic nie mówisz o sobie.

- Ty też masz swoje tajemnice. Nieprawdaż, słodka Sophie?

W ochryplym głosie Granta zabrzmiała ostrzejsza nuta. Sophie zadrżała pod wpływem nagłego ukłucia strachu. Lucien. Na pewno ma na myśli Luciena.

Ale skoro tak, skoro odkrył prawdę, to dlaczego po prostu tego nie powie? Czyżby się z nią droczył? Czekaj, aż sama wszystko ujawni? Ale ona nigdy tego nie uczyni; nie zaryzykuje zniszczenia reputacji syna i jego pozycji w towarzystwie.

- A więc nie chcesz mówić, tak? - usłyszała zjadliwy głos kochanka. - Może więc zrobimy lepszy użytek z naszych ust?

Po tych słowach Grant pochylił się ku niej. Zaczął ją całować, usiłując przy tym rozsunąć językiem jej wargi. Wahala się tylko sekundę, zanim je rozchyliła. Miała przecież odciągnąć uwagę kochanka od rozmowy o synu. A poza tym... Cóż, smak pokusy nigdy nie był tak słodki. Grant, całując ją, używał całego swego doświadczenia. Robił to z wycuciem i zręcznością. Jej ciało zmiękło w odpowiedzi. Drżała.

Mimo to pilnowała się.

- Wystarczy, Grant - powiedziała stanowczo po chwili, odrywając się od kochanka.

On jednak, nie słuchając jej, jeszcze niżej pochylił głowę i ciepłym oddechem owiał jej szyję.

- Nie wystarczy - mruknął, obsypując ją pocałunkami. - Mógłbym wziąć cię tutaj, Sophie. Moglibyśmy to zrobić, nie ruszając się z tego miejsca.

Wbrew rozsądkowi ta propozycja wywołała w niej przyjemny dreszcz.

- Na stojąco...?

- Podniosę cię. - Uczynił to bez wysiłku, obejmując ją rękoma za biodra. Potem oparł o ścianę.

- Możesz owinać się wokół mnie nogami.

Nie mogła tego zrobić bez zadzierania sukni. Nie, nie mogła tego zrobić, nie powinna. A jednak miała no to wielką ochotę. Wystarczyłaby sekunda, a Grant znalazłby się w niej, wypełniając jej łono aż do bólu. A ponieważ to prawie niemożliwe, żeby ktoś zajrzał do pokoju...

Nie, nie wolno jej tak ryzykować.

- Nie możemy tego tu zrobić. To wykluczone - powiedziała szybko, zbulwersowana samą sobą. - I postaw mnie na podłodze, bo zacznę krzyczeć.

Grant jednak nadal ją trzymał, a jeden kącik jego ust wykrzywił mu hultajski uśmiezek.

- Krzycz, byleby z rozkoszy. Błagam, zapomnij o tych swoich zasadach i kochajmy się tu i teraz.

W sercu Sophie w odpowiedzi na tę namiętą prośbę wybuchła walka pomiędzy pożądaniem, a rozsądkiem. W końcu rozsądek zwyciężył. Mocno potrząsnęła ramionami kochanka i wtedy ten, tracąc równowagę, wypuścił ją wreszcie z objęć i, chwiejąc się, cofnął się kilka kroków.

Ucieszyła się, że znów stoi twardo na ziemi.

- Tym razem naprawdę przesadziłeś, Grant. Miałeś nie uwodzić mnie w moim domu, a jednak to robisz.

Popatrzył na nią spod półprzymkniętych powiek.

- Nie umiałem się opanować, kochanie. Przecież nałogowo uganiam się za spódniczkami, zapomniałaś? Uwodzenie kobiet to jedyna rzecz, którą potrafię.

Kpina w jego głosie zirytowała ją. Zrozumiała, że Grant zachował się tak arogancko z rozmysłem. Zaciągnął ją do opuszczonej sypialni, bo był zły, że nazwała go niepoprawnym uwodzicielem. Czyżby poczuł się tym urażony?

Przyglądała się ponurej twarzy kochanka, słabo widocznej w półmroku pokoju. Myśl, że Grantowi zależy na jej zdaniu, była zaskakująca. A poczucie bezbronności próbował ukryć za maską nonszalancji. Czy to nawyk z dzieciństwa?

Gniew zaczął ją opuszczać. Podeszła do niego i pogładziła go dłonią po starannie wygolonym policzku.

- Uwiedziesz mnie wieczorem, kochany - powiedziała kuszącym szeptem.
- A na razie musimy zabrać się do pracy.

Nie oglądając się za siebie, przeszła do drzwi i otworzyła je. Wyczuła bliskość Granta, jeszcze zanim położył jej rękę na zagłębieniu w talii. Jego oddech poruszył delikatne włoski na jej karku.

- Sophie... - usłyszała. - Sophie?

Znajomy kobiecy głos dochodził z korytarza. Pobrzmiwało w nim zdumienie zmieszane z przyganą.

W kierunku zaskoczonej pary stanowczym krokiem zmierzała Helena.

Rozdział XIX

2 grudnia 1701

Minęły trzy dni od ostatniego razu, gdy widziałam Mulforda. To dobrze, że trzyma się z daleka, bo wstydziłabym się spojrzeć mu w oczy. To oziębły i okrutny człowiek, który zamknął mnie w domu pod kluczem. Za dnia pilnuje mnie jego ciotka, strażniczka, a nocą Laddie o drgającym nosie i paciorkowych oczach. A Mulford tymczasem używa sobie wolności.

Nasz ślub ma się odbyć za niecały miesiąc, pierwszego dnia nowego roku. Nie wolno mi ulegać panice, ale muszę koniecznie spotkać się z Williamem.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Lady Helena Ramsey zachowuje się jak typowa zgorzkniała, pruderyjna stara panna, myślał Grant, nie mogąc oderwać wzroku od płonącego niczym żagiew znamienia na poblądłej twarzy kobiety.

Ta zaś stała tuż przed nim i Sophie i mocno zaciskała dłonie w pięści.

- A co tu się dzieje, na Boga? - spytała ostrym tonem, spoglądając na nich gniewnie. - Po co zaglądaliście do tej sypialni?

Dużo byś dała, żeby się tego dowiedzieć, co? - zakpił w duchu Grant. Nie powiedział jednak tego głośno, bo choć nie zależało mu na własnej reputacji, nie chciał przysparzać kłopotów Sophie.

- Witaj, Heleno. Szukaliśmy cię właśnie - wyjaśnił.

- W sypialni? - W głosie kobiety pobrzmiwało skrajne zdumienie.

- Ależ skąd - zaprzeczyła spokojnie Sophie. - Do sypialni zajrzeliśmy, bo jesteśmy w trakcie zbierania dowodów. Z tej sypialni często korzystał Elliot.

Helena tak mocno zacisnęła usta, że prawie nie było ich widać.

- Chyba nie podejrzewacie, że on...

- Otruł ci brata? - dokończył za nią Grant. - Elliot pragnął pozyskać na własność znaleziska z Chichester. Robert mu odmówił, więc Elliot się wściekł i zamordował go.

Helena zmarszczyła czoło i rozejrzała się po pustym korytarzu.

- Mów, proszę, ciszej. I tak nie jestem już w stanie powstrzymać służby od plotkowania, zwłaszcza po przesłuchaniach prowadzonych przez tego policjanta z Bow Street.

Na wzmianka o Hannibalu Jonesie Granta ogarnął lekki niepokój.

- W takim razie przejdźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli rozmawiać swobodnie - zaproponował. - Może do twojej sypialni. - Liczył, że w pokoju siostry Roberta natknie się na coś, co rzuci podejrzenia na nią, a tym samym oczyści z nich Sophie.

Jego zdaniem Helena jak najbardziej była zdolna dopuścić się zabójstwa. Pamiętał ją z dzieciństwa, kontrolującą każdy krok młodszego brata. Bardzo pilnowała, żeby Robert zachowywał się jak należy. Jeśli za sprawą przypadku dowiedziała się o jego związku z Geoffreyem Langstonem, mogła wpaść w takie oburzenie, że postanowiła odebrać bratu życie.

A może to wszystko bzdura? - myślał. Może te absurdalne pomysły przychodzą mu do głowy, bo za wszelką cenę pragnie udowodnić niewinność Sophie?

Helena przyglądała mu się z dezaprobatą.

- Nie wypada, żeby niezamężna kobieta przyjmowała w swojej sypialni mężczyzn - oświadczyła, spoglądając przy tym wymownie na szwagierkę. - Poza tym nie mam ochoty rozmawiać z kimkolwiek, kto nie jest członkiem tej rodziny. Zresztą nie do końca wierzę, że Robert został otruty.

Sophie wsunęła jej rękę pod ramię.

- Droga Heleno, już przestań się złościć. Próbujemy tylko dowiedzieć się prawdy, żeby Jones nie musiał nas więcej nachodzić. Ty najlepiej wiesz, co dzieje się w tym domu. Chodźmy do biblioteki porozmawiać. - Mówiąc to, Sophie prowadziła szwagierkę w kierunku klatki schodowej.

Grant szedł za nimi i zupełnie mu to nie przeszkadzało. Miał dzięki temu okazję podziwiać zgrabną sylwetkę Sophie.

Mimo że znał każdy centymetr jej pięknego ciała i tak nie mógł oderwać wzroku od jej bioder kołyszących się pod materiałem czarnej sukni. Żałował, że nie doprowadził do zbliżenia w sypialni. Żałował, że pozwolił sobie na skrupuły. Przecież Sophie i tak uważa go za łajdaka, więc jakie znaczenie miałby jeszcze jeden grzeszek na długiej liście jego występków?

A jednak nie umiał tego zrobić. Nie chciał się z nią kochać wbrew jej woli. Wiedział wprawdzie, że Sophie chętnie oddałaby mu się, że tak naprawdę wystarczyłby jeden pocałunek, aby ją do tego namówić, ale później znienawidziłaby go za to, że złamał warunki umowy. On zaś nie chciał, żeby kochanka go nienawidziła.

Właśnie z tego powodu zaciągnął ją do sypialni. Bo zarzuciła mu, że jest hazardzistą i libertynem. Bo uważała, że nie nadaje się na ojca.

Przypomnił sobie swoje własne słowa: *Może wcale by mi nie przeszkadzało, gdybym sprawił sobie kilkoro własnych*. Dobry Boże, co go naszło, żeby tak powiedzieć?

To prawda, że polubił Luciena, choć wcale nie spodziewał się tego. Być może chodziło o dziecięcą pogodę ducha tego chłopca. A może o to, że był dowodem na to, że niewinność istnieje jeszcze na świecie. Tak czy inaczej podziw, jakim Lucien go obdarzał, sprawiał, że Grant pragnął na ten podziw zasłużyć.

Niemniej sprawowanie opieki nad obcym dzieckiem, a posiadanie własnego to dwie różne rzeczy. Myśl, że dałby się związać na całe życie, budziła w nim popłoch. Sophie ma rację, nie jest typem rodzinnym. Po rozprawieniu się z księżną planował wieść bujny żywot - balować do upadłego w towarzystwie takich utracjuszy jak Kilminster, Hockridge i Updike.

Zamierzał uwodzić kobiety.

Kłopot w tym, że w chwili obecnej pożądał tylko Sophie, a ich dotychczasowe zbliżenia nie zaspokoili jeszcze jego apetytu. Nadal go pociągała i intrygowała.

Schodziła teraz schodami ze szwagierką i wyglądała jak dumna królowa. Sprawiała wrażenie osoby, która potrafi poradzić sobie z każdym kryzysem. A przecież przed kilkoma minutami nie była taka opanowana.

Kiedy zapytał o jej sekrety, wystraszyła się. Aż zadrżała z niepokoju. Sophie coś ukrywa. Prawdopodobnie fakt, że brała udział w otruciu męża.

Kiedy już całą trójką dotarli do biblioteki, Sophie, siadając, posłała Grantowi wymowne spojrzenie, które mówiło, że sama chce przeprowadzić rozmowę ze szwagierką. On miał odzywać się jak najmniej.

Nie spodobało mu się to milczące polecenie, niemniej nie powiedział tego na głos, choć wyraził niezadowolenie wzrokiem. Zamiast usiąść, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Pogoda była paskudna.

Sophie zaś, mając nadzieję, że mimo wszystko zachowa się rozsądnie, odwróciła od niego oczy i skupiła się na Helenie.

- O ile wiem, Phelps sporządził już listę służących, których ma przesłuchać policja.

- Tak - odparła spokojnie starsza kobieta, składając dłonie na podółku. - Ale uważam, że to strata czasu. Moim zdaniem ten anonimowy list to robota jakiegoś okrutnego żartownisia. Jeśli ktoś naprawdę wierzy, że pod tym dachem mieszka morderca, jest szalony.

- Wszyscy podzielamy twoje zdanie - zgodziła się współczująco Sophie - tyle że musimy to jeszcze udowodnić. I dlatego chciałabym porozmawiać z każdą osobą z listy.

- Ja się tym zajmę - oświadczyła stanowczo Helena. - Znam służbę lepiej niż ty.

Grant odwrócił się od okna.

- Zatem wiesz, że Elliot zalecał się do pomywaczki? Kobieta zrobiła zdumioną minę.

- Słucham?

- To tylko plotki, które do nas dotarły - pośpiesznie sprostowała Sophie. - Sama byłam zdziwiona. A ty, czy domyślałaś się czegoś?

- Ależ skąd. Gdybym coś podejrzewała, natychmiast bym to ukróciła. - Starsza dama z wyraźnym zmieszaniem opuściła wzrok na dłonie. - Widziałam go wprawdzie w kuchni raz albo dwa, ale... - Helena uniosła głowę i popatrzyła zmartwionym wzrokiem na Sophie. - To jakiś nonsens. Kto wam to powiedział?

- Widzieliśmy się wczoraj z monsieur Ferrandem. Pracuje teraz u handlarza tkaninami o nazwisku Newberry. Twierdził, że Elliot był tamtego dnia w kuchni.

Helena wyglądała tak, jakby połknęła żabę.

- Ferrand! Przecież to on podał nieświeże jedzenie Robertowi. Nie wierzę ani jednemu jego słowu!

- No tak, tylko że nie wiemy, czy Robert zmarł przez zaniedbania Ferranda - zauważyła łagodnie Sophie. - Może niesprawiedliwie go zwolniliśmy. A jeśli tak, to chyba można mu wierzyć.

- To przecież Francuz! - zawołała druga kobieta, wykonując zamaszysty, nerwowy gest ręką. - Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to on dodał trucizny do ciasta. Przez tę przegraną Francuzów pod Waterloo.

To samo mówił Phelps. Zdaniem Sophie były to zbyt daleko posunięte podejrzenia, niemniej zapisała sobie w pamięci, żeby spytać służbę, czy Ferrand kiedykolwiek wyrażał się z niechęcią o Anglikach. Nie mogła pominąć żadnego tropu.

Dlatego też brała pod uwagę nawet taką ewentualność, że to jej szwagierka jest morderczynią. Przecież cechowały ją twardość i upór. Ale czy byłaby w stanie zabić brata?

Sophie poczuła skurcz w żołądku. Czy to właśnie Helena napisała anonimowy list i wysłała go na policję?

Grant przeszedł do kominka i oparł się łokciem o marmurowy gzyms.

- Czy trzymacie w domu trutkę na szczury? Używacie jej?

- Czasami - przyznała Helena. - W końcu to Londyn. Ale zapewniam, że dom jest teraz czysty. Nie pozwoliłabym, żeby szkodniki zaległy się tu na stałe.

- Nikt nie twierdzi, że źle zarządzasz Mulford House - pospieszyła z zapewnieniami Sophie. - Grant upewniał się tylko, czy w domu jest arszenik. Trzymamy go chyba na dole, w suterenie, prawda?

- Tak. - Helena z zastanowieniem przechyliła głowę na bok. - Ty też go używałaś, Sophie, pamiętasz? W zeszłym roku, w bibliotece.

- Tak, szczury pogryzły wtedy wiele książek - zwróciła się Sophie z wyjaśnieniami do Granta. Przy okazji aż poszarzała na twarzy na wspomnienie przeżutych kartek rozsianych po dywanie. - Na szczęście dobrały się tylko do tych nowych, które można było odkupić.

Grant popatrzył na nią uważnie.

- Gdzie one stały? - spytał.

- Na najniższej półce z prawej strony, koło okna - odpowiedziała księżna, wskazując miejsce palcem.

Przeszedł tam i przykląkł.

- Widzę, że ktoś wywiercił mały otwór w sztukaterii - poinformował. - Sama rozsypywałaś trutkę, Sophie?

- Boże, ależ skąd. Zrobił to któryś z lokajów.

- Heleno, czy któreś ze służących zgłaszało zaginięcie większej ilości trutki? - spytał Grant, wróciwszy do pań.

Starsza z nich pokręciła przecząco głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale... chyba nie trzeba jej wiele, żeby kogoś otruć.

Grant wzruszył ramionami.

- Zapytam Jonesa. A przy okazji, kiedy twój kuzyn przyjeżdża do Londynu?

- Jutro, na przyjęcie z okazji jego urodzin. - Helena zrobiła wyniosłą minę. - Ale ja go znam całe życie i jestem pewna, że nie jest zabójcą.

Widząc, że szwagierka zdenerwowała się nie na żarty, Sophie postanowiła uspokoić ją szybko.

- My tylko rozpatrujemy różne opcje, Heleno. Poza tym Elliot, jeśli rzeczywiście był tamtego dnia w kuchni, mógł zwrócić uwagę na coś szczególnego. Musimy go o to zapytać. - Odwróciwszy się do Granta, dodała: - Zapomniałam powiedzieć, że ty także jesteś zaproszony na przyjęcie. Naturalnie, jeśli masz ochotę.

- Dziękuję za zaproszenie i przyjmuję je - odparł nieobecny głosem. - A na razie chciałbym przesłuchać tę pomywaczkę.

Po całym dniu spędzonym na męczących rozmowach ze służbą Sophie z niekłamaną przyjemnością udała się na umówioną kolację do lady Phoebe.

Najbardziej frustrujące okazało się przesłuchiwanie pomywaczki, Alice. Dziewczyna już po pierwszym pytaniu, zadany przez Granta, zemdląca. Albo była przerażona, że straci posadę, albo coś ukrywała. Sophie postanowiła, że dowie się prawdy następnego dnia.

A na razie zamierzała odprężyć się, cieszyć się towarzystwem, zapominając na chwilę o problemach.

Jednak, choć sama była spokojna, bardzo wyraźnie wyczuwała napięcie pomiędzy Grantem i jego bratem.

Grant, który całą uwagę skupił na obecnych na kolacji paniach, zupełnie ignorował Randolpha - dzięki temu bracia przynajmniej się nie kłócili - ale wobec ciotki i żony brata, lady Litton, zachowywał się bez zarzutu.

Rozmowom zrećnie przewodziła lady Phoebe, która zasypała gości niezliczonymi historyjkami o towarzyskich skandalach, które wydarzyły się w Londynie podczas nieobecności w kraju jej młodszego bratanka.

- Nie wiem, czy wiecie, że lord Thurgood odwiedził Amerykę - opowiadała. - I wrócił z niej w czapce z szopa. Chodził w tej okropnej czapie codziennie do Hyde Parku, przynajmniej do czasu, aż mastiff lorda Barrymore'a skoczył na niego i zerwał mu ją z głowy. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Biedaczysko - rzuciła z rozbawieniem lady Jane. - Thurgood podobno uwielbiał tę czapkę. Niestety, kiedy wyrwał ją psu z paszczy, zostały z niej same strzępy.

Sophie z przyjemnością przysłuchiwała się opowieściom i z niejakim zdziwieniem przyglądała się lady Jane, żonie hrabiego Littona. Kierując się jego słowami z poprzedniego dnia, kiedy to mówił, że jego żona jest wiejską dziewczyną gustującą w długich spacerach, spodziewała się ujrzeć dobrze zbudowaną rzeczową osobę o bezpretensjonalnych manierach. Jane jednak okazała się filigranowa i delikatna, niczym porcelanowa lalka. Była to miła kobieta z masą blond włosów, ubrana w jasnoniebieską suknię, ujawniającą jej

zaawansowaną ciążę. Siedziała przy stole obok męża i od czasu do czasu chwyтали się za dłonie i spoglądali sobie czule w oczy.

W pewnej chwili Randolph, zamiast na żonę, spojrział na brata.

- A ty, Grant, co tak milczysz? - zapytał. - Lepiej nam opowiedz o swoich podróżach. Ciotka wspominała, że dotarłeś aż do Konstantynopola i Rosji. Coś tam robił przez tyle lat?

Grant przed odpowiedzią upił wina.

- Jak to co? Oczywiście kradłem.

Przy stole zapadła cisza. Hrabia oniemiał, podobnie jak jego żona, która zamarła w bezruchu z widelcem zawieszonym nad talerzem. Natomiast na twarzy Granta pojawił się dziwny wyraz - nieco dziki, niekorespondujący z jego eleganckim wyglądem. Sophie, dostrzegłszy to, pomyślała, że kochanek powiedział prawdę.

Ciotka patrzyła na niego z wyrzutem.

- Nie zmyślaj, Grant, tylko mów, czym naprawdę się tam zajmowałeś. Czas, żebyśmy dowiedzieli się tego.

Na usta Granta wypłynął sardoniczny uśmiech.

- Wybacz, ciotuniu, moje żarty. Będę już poważny i jeśli rzeczywiście macie ochotę posłuchać o moich przygodach, opowiem wam o spotkaniu z sułtanem Smyrny.

- Ależ tak, tak, tylko najpierw wyjaśnij, jakim cudem udało ci się go poznać?

- Zupełnie przypadkowo. I dodam, że był zachwycony faktem, iż spotkał Anglika - mówił Grant z błyskiem ironii w oczach. Sophie ją spostrzegła i pomyślała, że kochanek coś ukrywa.

- Jak długo gościłeś u sułtana? - spytała więc podejrzliwie.

- Och, to była bardzo krótka wizyta - odparł. - Niemniej w jej trakcie miałem okazję zwiedzić salę tronową, pałacowe ogrody, a nawet prywatne komnaty sułtana.

- Jakież to romantyczne - zachwycła się lady Jane, w której niebieskich oczach pobłyskiwała ekscytacja. - Czy pałac był urządzone tak jak w *Arabskich nocach*, a meble były całe ze złota? Widziałeś niewolników?

Grant roześmiał się. Było oczywiste, że niechęć, którą żywił do brata, nie obejmowała jego żony.

- Meble istotnie inkrustowane były złotem - potwierdził. - A pałac składał się z około dwustu komnat, łącznie z haremem, w którym sułtan trzyma swoje liczne żony. Strzeżone przez eunuchów.

- Eunuchów? - zdziwiła się Sophie. Grant obrzucił ją spojrzeniem bez wyrazu.

- To tacy nieco wybrakowani mężczyźni... Tylko tacy mogą strzec żon sułtana. Innym nie mógłby zaufać.

- Ej, ej - zachnął się Randolph. - To chyba nie jest temat dla dam.

- Może i nie, ale za to jaki fascynujący, kochanie - zauważyła jego żona. Pomimo drobnej budowy, wyraźnie nie pozwalała mężowi nad sobą dominować. - To musiało być bardzo interesujące, poznać władcę obcego kraju, na własne oczy przekonać się, jak wygląda jego codzienne życie.

- Proszę nie idealizować sułtana - ostrzegł Grant. - Swoje bogactwo zawdzięcza handlowi opium. Jest właścicielem rozległych pól makowych.

Randolph zmarszczył czoło.

- A więc zdaje się, że nie jest to ktoś godzien szacunku. W jakim celu go odwiedziłeś?

- Interesy - odparł Grant oschle.

Dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie i choć młodszy z nich miał wyzywającą minę, starszy nie odezwał się już. Sądząc jednak po zmartwieniu malującym się w jego oczach, hrabia myślał to samo, co Sophie - że jego brat wplątał się w coś niedobrego. Albo hazard, albo nielegalny handel.

Obserwując zachowanie Randolpha, Sophie doszła do wniosku, że hrabia wyrósł już z braterskiej rywalizacji. Ciekawiło ją jednak, co takiego wydarzyło

się w dzieciństwie między braćmi, że Grant nadal nie umie się otrząsnąć. Czyżby Randolph tyranizował młodszego brata? A może Grant po prostu zazdrościł Randolphowi ojcowskiej aprobaty? Może nienawiść do poprzedniego hrabiego przeniósł na obecnego?

Musiała przerwać te rozważania, bo lady Phoebe, podnosząc się od stołu, zwróciła się do obecnych pań:

- Proponuję, żebyśmy zostawiły teraz panów, aby napili się w spokoju po kieliszeczku brandy, my zaś przejdźmy do salonu.

Sophie była zaskoczona propozycją. Czy lady Phoebe nie boi się, że bracia rzucają się sobie do gardła? Jeśli zostaną sami, kto ich przed tym powstrzyma? Niemniej uprzejmość nie pozwoliła jej zaprotestować, zatem ona także się podniosła i opuściła jadalnię wraz z lady Litton i gospodynią.

Przy drzwiach obejrzała się jednak za siebie. Grant i Randolph, którzy z szacunku dla dam podnieśli się z krzeseł, wyglądali na skrepowanych, a Grant nawet na wściekłego.

Jego zaciśnięte usta i zwięzione oczy mówiły, że ma ochotę zamordować brata.

- Brandy? - zapytał ten po wyjściu dam. Jego głos brzmiał życzliwie.

Grant nienawidził tej pozornej uprzejmości. Jednak pomimo irytacji i poczucia, że dał się złapać w pułapkę, usiadł z powrotem na krześle i rozparł się na nim nonszalancko.

- Możesz przestać grać - burknął. - Nikt cię już nie widzi.

Randolph z całym spokojem usiadł u szczytu stołu i nalawszy brandy do dwóch szklanek, jedną pchnął w stronę rozmówcy.

- Ja niczego nie gram - zapewnił. - I cieszę się, że zostaliśmy sami, bo chciałem z tobą o czymś porozmawiać.

- Nie mamy o czym ze sobą rozmawiać. Wszystko zostało powiedziane przed laty.

- Owszem, mamy. A raczej to ja mam ci coś do powiedzenia. - Randolph upił drinka, po czym popatrzył uważnie na brata. - Ja... pragnę cię przeprosić.

- Przeprosić? Randolph skinął głową.

- Kiedy byliśmy młodszy, źle cię traktowałem. Mówiłem rzeczy, które nie powinny być powiedziane... a nawet pomyślane. Byłem okrutny i dałbym teraz wiele za możliwość cofnięcia moich czynów i słów.

Grant oniemiał, owładnięty całą gamą emocji. Zdumieniem, bólem, niechęcią... ale też, do licha, nadzieją. Jednak przede wszystkim był wściekły na brata, że ten sądzi, iż jednymi przeprosinami zniweluje wieloletnie zniewagi.

- A więc sądzisz, że uda ci się zamieść przeszłość pod dywan? - Czując, że alkohol w jego ustach nabiera cierpkiego smaku, odsunął od siebie szklanekę z brandy. Część bursztynowego płynu rozlała się przy tym na biały obrus. - To niemożliwe.

Randolph nie tracił spokoju.

- Rozumiem twój gniew i uważam, że masz do niego pełne prawo. Chcę tylko zaznaczyć, choć to pewnie żadne wytłumaczenie, że... że pozostawałem pod wpływem naszego ojca.

- Twojego ojca, nie mojego.

- Oficjalnie był też twoim ojcem. Jesteś młodszym synem czwartego hrabiego Litton i nic tego nie zmieni.

Grant nie mógł już dłużej wysiedzieć na miejscu. Odepchnął więc gwałtownie krzesło i poderwał się na równe nogi.

- W takim razie przeklinam mego ojca. Już dawno się go wyrzekłem, podobnie jak i ciebie. Mam was gdzieś, Randolph.

Hrabia Litton zacisnął zęby.

- Trzymanie się uraz z przeszłości nic ci nie da. To nie jest rozsądne. Ani ty, ani ja nie mieliśmy wpływu na to, w jakiej rodzinie się urodziliśmy. Ludzie nie wybierają sobie rodziców. Pogódź się z tym wreszcie i zacznij czerpać z życia to, co najlepsze.

- Tak właśnie uczyniłem - warknął Grant, krążąc gniewnie po pokoju. - Znalazłem sobie nowe życie i chcę, abyś ty zostawił mnie w spokoju.

Pomimo nieprzyjemnych słów skierowanych pod jego adresem, Randolph nie sprawiał wrażenia, jakby zamierzał się poddać.

- Nie mogę tego zrobić, a ponadto zmuszony jestem o coś cię poprosić. To ważne, biorąc pod uwagę stan mojego zdrowia.

Grant przestał krążyć, czując, że wbrew jego woli powaga na twarzy brata wzbudziła w nim niepokój.

- To znaczy?

- Moje serce jest osłabione. Lekarze twierdzą, że w każdej chwili mogę dostać następnego ataku - za pięć minut albo za pięć lat. Wszystko w rękach Boga.

- Zatem mnie nie potrzebujesz.

- Właśnie, że potrzebuję - zaprzeczył z naciskiem Randolph. - Chcę, żebyś wiedział, iż w razie, gdybym zszedł z tego świata, ustanowiłem cię powiernikiem mojego majątku.

Grant stał w miejscu jak skamieniały. Randolph przekazał mu cały swój majątek? Jemu, czarnej owcy rodziny? Ale dlaczego?

- Co ty do diabła... - zaczął, lecz zaraz ugryzł się w język.

- Chcę też, żebyś coś mi obiecał - kontynuował uroczystym tonem hrabia.

- To ważniejsze niż pieniądze. Muszę wiedzieć, czy, jeśli umrę, zaopiekujesz się Jane i naszym dzieckiem.

- Ciekawe, o czym tak długo rozmawiają? - denerwowała się Sophie.

Siedziała na kanapie obok żony Randolpha, a lady Phoebe, stojąc, nalewała herbatę do filiżanek. W pokoju rozlegało się monotonne tykanie zegara ustawionego na gzymsie nad kominkiem. Pokazywał on, że minęło już ponad dziesięć minut od chwili, gdy panie wyszły z jadalni do salonu.

- Przypuszczam - odezwała się lady Jane, przyjmując od gospodyni herbatę - że Randolph informuje Granta o stanie swojego zdrowia. Przy mnie nie chce o tym mówić, bo pewnie myśli, że nie wiem, jak poważnie jest chory.

Sophie od razu zapomniała o swoich zmartwieniach.

- Słyszałam, że hrabia miał atak serca w zeszłym roku, ale sądziłam, że już jest dobrze.

- Bo, dzięki Bogu, na razie jest - odrzekła miękko lady Litton. - Ponieważ jednak domyślałam się, że mąż nie powiedział mi całej prawdy, zasięgnęłam języka. I skorzystałam przy tym z pomocy ciotki Phoebe.

- Mężczyźni uważają, że my, kobiety, jesteśmy zbyt delikatne, żeby znieść nieprzyjemne wieści - wtrąciła się gospodyni. - A to bzdura. Panowie może i walczą na wojnach, ale kobiety rodzą dzieci i zarządzają domem. Nie trzeba nas chronić.

Mieszając herbatę, Sophie pomyślała, że doskonale rozumie wypowiedź lady Phoebe. Robert właśnie był takim nadopiekuńczym mężem, co czasami, niestety, doprowadzało ją do szału.

Lady Phoebe kontynuowała:

- Za pozwoleniem Jane wybrałam się do lekarza, który opiekuje się Randolphem, i o wszystko go wypytałam.

Jane uśmiechnęła się przyjaźnie do starszej damy.

- Zazdroszczę ci tego talentu. Ludzie nie mają przed tobą tajemnic.

- To nie talent, a lata praktyki - odparła lady Phoebe z uśmiechem. - Z czasem nauczyłam się, kiedy należy kogoś pochwalić, kiedy zganić, a kiedy po prostu wysłuchać.

- I czego się pani dowiedziała? - spytała Sophie.

Gospodyni posmutniała.

- Że mój bratanek w każdej chwili może dostać następnego ataku. A ten może być śmiertelny.

Sophie była wstrząśnięta. Cóż to za straszna wieść dla Jane, która dopiero co wyszła za mąż i spodziewa się dziecka.

- Czy nie da się jakoś temu zapobiec?

- Myślę, że się da - oświadczyła z zapalem hrabina. - W sąsiedztwie domu mojego ojca w Devon mieszkał pewien człowiek, który był w podobnym stanie co Randolph. Nie zaakceptował diagnozy lekarzy, którzy twierdzili, że do końca życia będzie inwalidą. I dlatego codziennie rano chodził na długie spacery i jadł tylko warzywa i ryby. Dożył dziewięćdziesięciu lat. Zaaplikowałam mężowi taki sam reżim. - Twarz kobiety wypogodniała po tych słowach, a na jej usta wypłynął słodki uśmiech. - Czasami uskarża się na niego, ale na ogół go przestrzega.

Randolph i Jane z pewnością pobrali się z miłości. Sophie trochę im zazdrościła ich szczęścia. Pomimo tragedii wiszącej nad głowami, byli sobie oddani i traktowali się z życzliwością i czułością. Łączyło ich dokładnie to, co chciała, żeby połączyło ją i Granta. Gdyby tylko zechciał otworzyć przed nią serce.

A także przed bratem.

Znów zerknęła z niepokojem w stronę drzwi do jadalni.

- Mam nadzieję, że Grant nie zdenerwuje pani męża.

- Ostatnio raczej trudno wyprowadzić go z równowagi - uspokoiła ją lady Phoebe. - Odkąd ożenił się z Jane, nie jest już tym wyniosłym, arogantem, jakim był w przeszłości.

Sophie uświadomiła sobie, że nadarza się okazja, zaspokoić jej ciekawość.

- Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale doszły mnie pewne plotki dotyczące Granta. A raczej jego matki. Podobno miała romans?

- Tak, to była bulwersująca sprawa - mruknęła niechętnie lady Phoebe. - Księżna w ciąży z lokajem. Ale jeszcze gorsze było to, jak mój brat, Bertram,

traktował Granta. Grant nie zaznał miłości w rodzinnym domu. Dlatego, ilekroć mogłam, zabierałam go do siebie.

Sophie poczuła bolesny ucisk w sercu.

- Czy on i Randolph znali prawdę jako dzieci?

- Tak, Bertram wyznał ją kiedyś Grantowi w przyływie furii w obecności Randolpha. Od tamtej pory bracia nieustannie ze sobą walczyli. Grant był porywczym dzieckiem, a Randolph dokładnie wiedział, czym można go zdenerwować. Wystarczyło jedno słowo, a Grant już rzucał mu się do gardła. A potem obrywał od ojca za wszczynanie bijatyk. Mój brat uważał, że jego starszy syn był świętym, a Grant diabłem.

- Dzieci często zachowują się tak, jak się tego po nich oczekuje - zauważyła z zastanowieniem Sophie. - Skoro Grant tyle razy słyszał od hrabiego, że jest zły i nic niewart, nie dziwne, że miał tak niskie mniemanie o sobie.

- A i Randolph nie jest wcale święty - oświadczyła stanowczo lady Jane. - Jest tak samo uparty jak Grant. Zmienił się jednak, kiedy zachorował. Jeśli ma choć odrobinę rozsądku, przeprosi brata za swoje postęпки z przeszłości.

- A Grant, jeśli jemu też nie brakuje rozumu - rzekła Sophie

- przyjmie przeprosiny. Niestety ma on jeszcze jedną poważną wadę - szybko się denerwuje.

Lady Phoebe obrzuciła księżną życzliwym spojrzeniem.

- Wygląda na to, że dobrze znasz mojego bratanka. Moim zdaniem on nadal jest tobą zauroczony.

Sophie poczuła, że się rumieni. Czyżby lady Phoebe domyślała się prawdy? Czy domyśla się, że ona i Grant mają romans? Czy lady Jane też tak myśli? Ale przecież to tylko chwilowy związek, a sądząc po zaciekawieniu malującym się na twarzach obu kobiet, z pewnością mają one na myśli małżeństwo.

Tylko że małżeństwo nie wchodzi w grę. Nawet jeśli Sophie bardzo by tego pragnęła.

Postanowiła zbagatelizować rozpoczęty wątek.

- Znam Granta, bo przecież od lat się przyjaźnimy. Poza tym jest on prawnym opiekunem mojego syna - dodała, zwracając się do lady Litton.

- No właśnie, zapomniałam, że jesteś doświadczoną matką - zawołała hrabina, porzucając na szczęście poprzedni temat.

- Czy mogę prosić cię o radę w pewnej ważnej kwestii?

- Ależ naturalnie.

- Powiedz mi więc, bo nie wiem, czy powinnam umieścić niemowlę w pokoju dziecięcym, tak jak nakazuje zwyczaj, czy lepiej jego kołyskę postawić w naszej sypialni? - spytała hrabina, gładząc brzuch. - Wolałabym, żeby spało z nami.

- Lucien przez kilka pierwszych miesięcy spał w kołysce ustawionej obok mojego łóżka - poinformowała Sophie. - To mi ułatwiało nocne karmienie.

- Och, jakże się cieszę, że to mówisz. Takie rozwiązanie jest znacznie praktyczniejsze, a poza tym nie chciałabym, żeby dziecko spało samo.

Rozpoczęła się dyskusja o sposobach usypiania małych dzieci i ich karmienia, w której Sophie uczestniczyła z całym zaangażowaniem, choć nie przestawała zarazem niepokoić się o Granta.

- Może zajrzemy tam i sprawdzimy, dlaczego panowie tak długo nie wychodzą - zaproponowała wreszcie.

Lady Phoebe, lekko rozbawiona przestraczem malującym się na jej twarzy, odstawiła filiżankę.

- No cóż, siedzą tam od pół godziny i nie słychać żadnych odgłosów kłótni ani bijatyki, niemniej, może rzeczywiście lepiej sprawdzić, czy są cali i zdrowi.

Rozdział XX

6 grudnia 1701

O Radości! Święty Mikołaj w swoje święto podarował mi wspaniały prezent. Siedziałam sobie właśnie w rodzinnej ławce w kościele św. Pawła, pilnowana z jednej strony przez matkę, z drugiej przez strażniczkę, gdy nagle z tyłu w tłumie wiernych dojrzałam moją Prawdziwą Miłość! Udałam, że dostałam ataku kaszlu, i uciekłam do bocznej nawy. Niestety miałam tylko sekundę, żeby popatrzeć w te przepastne niebieskie oczy. William wcisnął mi w dłoń liścik, w którym błagał, żebyśmy się u niego spotkali.

Serce rozrywa mi tęsknota. Muszę znaleźć sposób na wymknięcie się strażniczce. Muszę!

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Chodząc do sypialni, Grant przyrzekł sobie, że uda się z Sophie prosto do łóżka. Chciał przestać myśleć i zamiast tego skupić się na uciechach ciała. Jednakże w jego głowie panowała wrzawa, która wcale nie cichła.

Rozwiązał fular, zdjął surdut i kamizelkę. Sophie ściągnęła pelisę i pantofle, a potem usiadła w fotelu z podciągniętymi nogami, osłoniętymi szczelnie dołem sukni. Później, posyłając kochankowi zmysłowy uśmiech, wyciągnęła do niego rękę.

- Chodź - zaproponowała cicho - usiądź koło mnie.

To było zaproszenie do miłości. Grant wszakże ze złością stwierdził, że pragnie najpierw porozmawiać.

- Za chwilę.

Sięgnął po pogrzebacz i poruszył nim polana w kominku. Następnie przeszedł się po pokoju i zapalił kilka dodatkowych świec. Zdjął buty i wrzucił je do garderoby.

Sophie przez cały czas ze spokojem przyglądała mu się. W jej ciepłych oczach tliło się pożądanie, a także coś jeszcze, coś trudnego do określenia. Coś, co sprawiało, że Grant miał ochotę złożyć głowę na jej piersi. I nie chodziło wcale o grę wstępną.

Pragnął się po prostu do kogoś przytulić i zwierzyć.

Tylko że okropnie się tego bał. Dobry Boże! Toż przecież nikt inny tylko on pokonał kamienny mur pałacu sułtana, wkradł się do tego pałacu nocą, uciekał przed uzbrojonymi w miecze strażnikami i wściekle ujadającymi groźnymi psami. A jednak, kiedy przychodzi do dzielenia się emocjami, trzęsie się jak ostatni tchórz.

Po raz pierwszy w życiu modlił się w duchu o to, żeby Sophie zasypała go pytaniami. Żałował, że wcześniej z taką stanowczością podkreślał, iż ich związek ma czysto fizyczny charakter.

Z drugiej strony wiedział, że lepiej nie ufać kochance. Nad jej głową wisi przecież podejrzenie o morderstwo. A on zamiast próbować ją wybielać, powinien raczej szukać dalej dowodów na to, że uczestniczyła w zbrodni. Rzadko zjawiała się w kuchni, ale zeszła do niej w dniu, w którym doszło do zatrucia. I wiedziała, że trutkę na szczury znajdzie w spiżarni. Poza tym była blisko Roberta przez dwa ostatnie tygodnie jego życia.

Jednak tak naprawdę to wszystko nie miało w tej chwili dla niego większego znaczenia. Pragnął tylko jednego: porozmawiać z Sophie i opowiedzieć jej o ciąży, którym obarczył go Randolph.

Pochwycił się kurczowo słupka baldachimu.

- Jesteś taka miła, bo chcesz ze mnie wyciągnąć, co mówił mój brat - powiedział z wyrzutem. - To dziwne, że tak cię to interesuje.

- Interesuje, bo pragnę cię zrozumieć - odparła Sophie nieco cierpkim tonem. - Chciałabym lepiej cię poznać, wiedzieć, co naprawdę myślisz i czujesz, ale nie będę na ciebie naciskała.

Pragnąc pozbyć się bolesnego ucisku w piersiach, Grant wypuścił głośno powietrze z płuc. Tam do diabła, dlaczego jeszcze się waha? Czyżby bał się oceny kochanki? Przecież nie obchodzi go, co ludzie o nim sądzą.

- Randolph jest w gorszym stanie, niż myślałem. W każdym momencie może dostać następnego ataku. Może umrzeć.

Sophie, wcale niezaskoczona, kiwała głową.

- Jane też to mówiła i ona również martwi się o Randolpha.

- Ja się wcale o niego nie martwię - wybuchnął. Silne emocje nie pozwoliły mu ustać w miejscu, więc zaczął krążyć po sypialni. - A przynajmniej nie w tym sensie, jaki masz na myśli. Chodzi o to, że... Randolph wyznaczył mnie na powiernika swojego majątku. Kazał mi też przyrzec, że w razie jego śmierci zaopiekuję się Jane i ich dzieckiem.

Sophie zmarszczyła brwi.

- I co, przyrzekłeś?

- Oczywiście. Czy miałem wybór?

- Mogłeś odmówić, ale nie zrobiłeś tego. Cieszę się, ponieważ uważam, że bracia powinni sobie pomagać w trudnych sytuacjach.

Grant zbliżył się do kochanki i popatrzył na nią z poirytowaniem.

- Przestań wygłaszać te idealistyczne frazesy. Poza tym ja i Randolph jesteśmy tylko braćmi przyrodnymi. Moja matka wdała się w romans z lokajem, zapomniałaś?

Sophie zacisnęła usta.

- Źle mnie zrozumiałeś. Czy ci się to podoba, czy nie, ciebie i Randolpha łączą więzy krwi. On to zaakceptował i ty też powinienes.

- Nie, to ty niczego nie rozumiesz. To szaleństwo przekazywać w moje ręce taką fortunę. Przecież mogę ją przetrwonić, stracić wszystko. Jane i dziecko zostaną wtedy bez grosza.

- On ci ufa, Grant. Wie, że nie pozbawisz jego rodziny majątku. Wie, że nie jesteś złodziejem.

Jestem. Niewiele brakowało a powiedziałby to na głos. Nie był jednak szaleńcem, żeby dawać wrogom broń przeciwko sobie, choć już raz podczas kolacji u ciotki przyznał się do złodziejstwa. Tylko że wtedy uczynił to, żeby wywołać szok u swojego świętoszkowatego braciszka.

Świętoszkowatego i poważnie chorego.

Zacisnąwszy zęby, odwrócił się gwałtownie i przeszedł do okna. Rozchylił zasłony, żeby wyrzucić w noc tak czarną jak jego dusza.

- Randolph nie powinien mi ufać. Nienawidziliśmy się w dzieciństwie. Opuściłem Kendell Park w wieku szesnastu lat i potem spotykałem go tylko wtedy, kiedy miałem nieszczęście natknąć się na niego w towarzystwie. Przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat przegrałem w karty cały spadek po babce. Jestem hulaką, draniem i leniwym pasożytem.

Sophie wybuchnęła śmiechem.

- To ostatnie na pewno ciebie nie dotyczy. Dużo się przecież napracowałeś w życiu, żeby wyrobić sobie aż tak złą reputację.

Popatrzył na nią gniewnie przez ramię.

- A co to ma znaczyć?

Sophie spoważniała i obrzuciła go zatroskanym wzrokiem.

- Nie będę udawała, że wiem, jak wyglądało twoje dzieciństwo, Grant. Ale uważam... że twój ojciec niesłusznie winą za postępek twojej matki obarczył ciebie, wtedy jeszcze dziecko. Nie okazywał ci miłości i traktował pogardliwie. A ty być może... usiłowałeś stać się takim, jakim cię widział.

Te słowa go zastanowiły. Czyżby o to właśnie chodziło? Nie mógł być dobrym synem, więc postanowił być złym.

- Co ty tam wiesz - burknął zduszonym głosem.

- Masz rację, nie powinnam snuć takich domysłów. - Sophie ponownie poklepała siedzenie obok siebie. - Usiądź przy mnie, proszę i opowiedz mi o swoim życiu w Kendell Park. To tam dorastałeś, prawda?

Grant niemal wbrew swojej woli zbliżył się do sofy, po czym przysiadł na jej brzegu, opierając łokcie na kolanach i unikając wzroku kochanki. Na myśl, że będzie mówił o przeszłości, wilgotniały mu dłonie. Ale obecność Sophie, słodki zapach jej perfum sprawiały, że nie tylko budziło się w nim pożądanie, lecz także poczucie bezpieczeństwa.

Zamknął oczy i przypomniał sobie swój dom z dzieciństwa, bezładną budowlę z kamienia porośniętą bluszczem. Niespodziewanie ogarnęła go nostalgia, a słowa same zaczęły wypływać z ust.

- Dom stał na wzgórzu. Poniżej były lasy i pola. Miałem pięćset akrów terenu, po którym mogłem bez problemu się włóczyć, jeśli tylko udało mi się uciec guwernantkom. Przez posiadłość płynęła rzeka. Razem z Randem łowiliśmy w niej ryby. - Pochłonięty wspomnieniami, bezwiednie użył zdrobniałego imienia brata. - Pewnego dnia na wiosnę złowiłem wielkiego pstrąga. Byłem wtedy młodszy od Luciena. Miałem może z siedem lat. Wyciągając rybę, wpadłem do wody. - Grant sapnął, jakby zimna tafla wody znów zamykała się nad nim.

- I co było potem? - spytała Sophie.

- Rand wskoczył za mną do rzeki i wyciągnął mnie na brzeg. Byłem przemoczony i trząsałem się z zimna. I nadal ścisnąłem w garści tę przeklętą wędkę. Randolph chciał mnie odprowadzić do domu, ale ja się uparłem, że jednak wyciągnę tę rybę z wody.

- I udało ci się? Skinął głową.

- A Rand w tym czasie pobiegł po ojca. Kiedy hrabia zbliżył się do brzegu, ja stałem dumny jak paw nad trzepoczącym się na ziemi pstrągiem. Nie mogłem się doczekać, aż pokażę go ojcu. Wtedy jeszcze uważałem Littona za

ojca i naiwnie wierzyłem, że mnie pochwali. Ale on kopniakiem wrzucił rybę z powrotem do rzeki, a mnie złoił tyłek za to, że zniszczyłem ubranie.

Sophie ciężko westchnęła.

- To okropne - powiedziała. - No ale może hrabia po prostu wystraszył się i chciał dać ci nauczkę.

Grant sarknął.

- Dał mi tych nauczek aż nadto. Litton nie przepuścił żadnej okazji, żeby sprawić mi lanie. W tym celu trzymał w swoim gabinecie brzożową różgę.

Wyobraźnia przeniosła go do gabinetu hrabiego. Doskonale pamiętał te chwile, kiedy się pochylał, a zaraz potem rozlegał się głośny świst i następowało bolesne uderzenie. Nie chodziło jednak o ból; ten potrafił znieść. Chodziło o poniżającą pozycję i poczucie bezradności.

Uzmysłowił sobie nagle coś bardzo przykrego, przez co jego żołądek zacisnął się w supeł.

- Taką samą kazałem przyjąć tobie, Sophie. Wczoraj, w moim gabinecie. Chciałem cię w ten sposób poniżyć. Narzucić ci moją wolę, zmusić do posłuszeństwa. Może jestem podobny do męża matki bardziej, niż sądziłem.

Sophie zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie. - Wcale nie jesteś do niego podobny. A to, co działo się wczoraj, to nie to samo, co przeżywałeś w dzieciństwie. Jesteśmy dorośli i mamy wolną wolę. To ogromna różnica.

- Pragnąłem cię poniżyć - powtórzył szorstko. - Chciałem pokazać, że nasz związek jest czysto fizyczny. Potraktowałem cię niemal jak kurtyzanę.

- Tak, to nie było stosowne. Próbowalesz udowodnić, że ci na mnie nie zależy. Niemniej to, co się działo, nie było karą. Oboje czerpaliśmy z tego przyjemność. To była tylko erotyczna zabawa.

Powinien się cieszyć, że tak łatwo mu wybaczyła. On jednak wolałby, żeby na niego nakrzyczała, zganiała za okrucieństwo i brak uczuć.

Usta wykrzywił mu ironiczny uśmiech. Powinien się już nauczyć, że Sophie rzadko zachowuje się tak, jak powinna. Poza tym prawdą było, że wczorajsze zbliżenie sprawiło im przyjemność.

- Tracisz doskonałą okazję na zmycie mi głowy, Sophie - zauważył. - Nakrzycz na mnie. Powiedz, że jestem potworem. Każ mi się czołgać za karę u swoich stóp.

- Nie jesteś żadnym potworem, miałeś tylko trudne dzieciństwo. Nie z twojej winy. - Sophie przeniosła dłoń na jego plecy i zaczęła gładzić je delikatnie przez materiał koszuli - Czy hrabia bił też Randolpha? Grant zeszywniał.

- Nie, nigdy. Randolph był złotym dzieckiem, takim co to nigdy nic złego nie robi. Bardzo dobrze się uczył, w przeciwieństwie do mnie. Jego ubranie było zawsze czyste, nigdy nie czołgał się po ziemi między krzakami, tak jak ja i nie wdrapywał się do komina.

- Nie wierzę! Próbowaleś wejść do komina? - zdumiała się Sophie, lekko się uśmiechając. - Po co, na Boga?

Na jego usta wypłynął leniwy uśmiech.

- Podejrzałem, jak robi to kominiarz, który wybierał sadze. Zaimponował mi zręcznością. Szczerze mówiąc, marzyłem, że kiedyś ucieknę z domu i zostanę właśnie kominiarzem. Fantazjowałem tak przynajmniej do czasu, aż utknąłem w tym kominie i parobek musiał spuścić mi linę, żeby mnie z niego wyciągnąć.

- Boże drogi, zaczynam doceniać spokojną naturę Luciena.

- Powinnaś się cieszyć, że nie dorasta ze starszym bratem, który ciągle by mu powtarzał, jaki to z niego bezwartościowy bękart. - Żołądek znów zacisnął mu się w węzeł. Przygryzł dolną wargę. Nie rozumiał, dlaczego opowiada to wszystko kochance.

Jej dłoń, emanująca ciepłem, przestała bładzić po jego plecach i zatrzymała się w miejscu.

- Randolph naprawdę tak do ciebie mówił?

Głęboko zakorzeniona niechęć znów wypłynęła na powierzchnię. Może gdyby wyjawiał Sophie całą prawdę, zrozumiałaby wreszcie, dlaczego tak nienawidzi brata, dlaczego to niemożliwe, żeby się zaprzyjaźnili.

- Tak, przy każdej okazji. Nasz ojciec - ojciec Randolpha - bardzo pilnował, żeby świat nie dowiedział się, że został rogakcem. Ale w domu, kiedy byliśmy sami, nie trzymał języka za zębami. Randolph bardzo wcześnie dowiedział się, że nie jestem prawdziwym Chandlerem, że nie należę do rodziny. I nigdy nie pozwalał mi o tym zapomnieć.

Sophie wyglądała na wstrząśniętą.

- Domyślam się, że w takich momentach miałaś ochotę rzucić się na niego.

- I robiłem to. Nieraz rozkwaśiłem mu nos, choć potem obrywałem od Littona. Ale co tam, skoro mogłem przyłożyć Randolphowi. Był o dwa lata ode mnie starszy, więc na początku nie zawsze udawało mi się go pokonać. Potem jednak nauczyłem się kilku paskudnych sztuczek, które podejrzalem u chłopaków z ulicy. I byłem na tyle zepsuty, że je wykorzystywałem.

Zamiast go skarcić za niehonorowość, jak się tego spodziewał, Sophie powiedziała coś zupełnie innego.

- Jakim okrutnym, zgorzkniałym człowiekiem musiał być wasz ojciec, skoro tak bardzo skrzywdził was obu!

- Obu? - Grant wyprostował się, spoglądając na nią gniewnie. - Litton nienawidził tylko mnie. Randolph miał wszystko - przywileje, czystą krew, miłość ojca.

- Który nauczył go nienawiści - zauważyła Sophie. - Cóż to za dziedzictwo? Randolph naśladował zachowanie ojca. Nie znał innego sposobu postępowania.

- A więc ty byś mu wybaczyła - obruszył się.

Potrząsnęła głową ze zniecierpliwieniem.

- Nie. Po prostu próbuję spojrzeć na sytuację jego oczyma. Pomyśl o Lucienie, jak naśladuje każdy twój gest. Gdybyś robił coś niewłaściwego, też by to naśladował. I czyja by to była wina, jego czy twoja?

Grant nie chciał zaakceptować słuszności tej wypowiedzi.

- To nie to samo - warknął. - Lucien ma dopiero dziewięć lat, a Randolph znęcał się nade mną nawet wtedy, kiedy dorósł.

- Zgadzam się, że nie powinien był tego robić. - Sophie dla pokreślenia swoich słów uścisnęła mocno dłoń kochanka. - Ale w końcu uświadomił sobie przecież swoje błędy. Randolph pragnie odpokutować przeszłość. Chce zacząć wszystko od początku, byście stali się dla siebie prawdziwymi braćmi.

Gardło znów zacisnęło mu się burzliwymi emocjami - gniewem, niechęcią i... nadzieją. Wysunąwszy rękę, uderzył pięścią w oparcie kanapy.

- Do cholery, Sophie. Nie da się wymazać wielu lat upokorzeń jednymi przeprosinami.

Sophie przez chwilę milczała. Jej oczy wyrażały troskę, ale także upór.

- Masz rację. Nie da się zmienić przeszłości, za to można wpłynąć na przyszłość. Możesz pogodzić się z bratem i zyskać rodzinę... lub możesz iść dalej tą samą drogą, udając, że na nikim ci nie zależy. Oczywiście tak jest bezpieczniej.

Grant oniemiał. Czyżby zarzucała mu tchórzostwo?

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Twoje dzieciństwo nie było koszmarem.

Pochyliła głowę i zmarszczyła czoło.

- Czy ty i Randolph tylko się kłóciliście? Chyba masz też jakieś dobre wspomnienia.

Choć było to zaskakujące, w jego pamięci zaczęły pojawiać się przykłady takich dobrych momentów: Randolph, który uczy go puszczać latawce, pomaga zbudować domek na drzewie, dzieli się z nim kieszonkowym...

- Pomyśl o tych miłszych chwilach - nalegała Sophie, jakby czytała mu w myślach. - A o reszcie zapomnij. Nie musisz nieść dalej tego ciężaru. I pamiętaj, że Randolph uratował ci życie, kiedy wpadłeś do rzeki. To był akt miłości, a nie nienawiści.

- Może zrobił to, żeby mieć kogo torturować. - Pomimo tych słów Grant uświadamiał sobie, że jego sposób myślenia jest nieracjonalny.

Znów poczuł się tak, jakby tonął w rwących wodach zimnej rzeki. Nadal nie potrafił uwierzyć, że aż tak dalece otworzył się przed Sophie. Opowiedział jej o rzeczach, o których nie mówił nikomu. Mimo to czuł się lżejszy. Tak jakby wyciągnięcie wspomnień na światło dzienne spowodowało, że te stały mniej bolesne.

Sophie przyglądała mu się z niepokojem.

- Musisz dać bratu szansę - stwierdziła. - Nie wiadomo, jak długo pozostanie między nami. Nie mógłbyś przynajmniej traktować go uprzejmie?

Do ust cisnęła się mu automatyczna odmowa. Nie chciał zastanawiać się nad stanem zdrowia brata. Sam od dawna wystawiał się na różne niebezpieczeństwa, nie dbając o to, czy przeżyje. I nigdy nie umiał pojąć, dlaczego niektórzy zamiast przygód wybierają nudę domowego ogniska. Rozumiał jednak sytuację Randolpha. Potrafił wyobrazić sobie jego przerażenie na myśl, że umrze, a żona i dziecko pozostaną bez ochrony. Gdyby on miał rodzinę, gdyby Sophie i Lucien należeli do niego, poruszyłby niebo i ziemię, żeby zapewnić im bezpieczeństwo...

- Nie chciałbym przyczyniać się do pogorszenia jego stanu - przyznał, acz niechętnie. - Postaram się nie wchodzić z nim w utarczki, ale czy się zaprzyjaźnimy, to już inna sprawa. Zobaczymy, co przyniesie przyszłość. - Ponieważ nienawidził ujawniać wzruszenia, zmienił ton na żartobliwy. - Tak czy inaczej zaczyna to być diabelnie uciążliwe, że wszyscy ustanawiają mnie opiekunem swoich pociech.

Uśmiechając się, Sophie zsunęła mu dłoń po ramieniu, aby połączyć ją z jego dłonią.

- Może ludzie widzą w tobie dobro. Wprawdzie starannie je ukrywasz, ale ono w tobie jest.

Grant uścisnął rękę Sophie. Był tym zaskoczony, ale jej słowa uczyniły go nagle absurdalnie szczęśliwym. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się taki spełniony, podniesiony na duchu, jakby właśnie przejął władzę nad całym światem. Wcześniej twierdził, że opinia Sophie nie ma dla niego żadnego znaczenia, że nie wolno mu polegać na nikim, tylko na sobie. A jednak teraz czuł się tak, jakby Sophie obdarowała go czymś wyjątkowym, czymś, co leczyło rany w jego sercu, co sprawiło, że znów stał się całością.

Czyżby był zakochany?

Myśl ta przyprawiła go o radosne podniecenie, ale też wywołała popłoch. Chyba nie jest aż takim głupcem, żeby ponownie oddać Sophie serce.

Uniósł jej rękę do ust. Biła od niej lekka woń różanych perfum.

- Ciekawe, że mówisz o mojej dobroci - zauważył z rozbawieniem. - Nie dalej jak rano twierdziłaś, że jestem libertynem uganiającym się za spódniczkami.

- I nie mam nic przeciwko temu, pod warunkiem, że w grę wchodzi tylko moja spódniczka - odcięła się żartobliwie, po czym pochyliła do niego i pocałowała namiętnie.

Dotyk jej miękkich warg wskrzesił w nim iskry pożądania. On także był już gotowy porzucić poważne dysputy na rzecz cielesnych uciech. Postanowił, że tej nocy wynagrodzi Sophie epizod w gabinecie. Będzie się z nią kochał powoli, rozkoszując się każdą chwilą zbliżenia.

Zaczęli się rozbierać, przerywając tę czynność licznymi pocałunkami i pieścizotami. Kiedy byli już nadzy, Sophie zrobiła ruch, jakby chciała usiąść mu na kolanach, jakby chciała kochać się z nim na kanapie. On jednak miał inne plany. Pochwyił kochankę w ramiona i zaniósł do łóżka. Pragnął okryć ją już

swoim ciałem i poczuć pod sobą. Nie dlatego, żeby nad nią dominować. Chodziło mu o coś zupełnie innego. Chciał uprawiać z nią miłość w sposób prosty, bez wymyślnych sztuczek.

Położył ją w chłodnej pościeli, a potem, czując coraz silniejsze podniecenie, przeciągnął rękami po jej biuście, linii bioder, po krągłych udach. Zatopił pomiędzy nimi dłoń, którą zastąpił swoją męskością dopiero wtedy gdy, sądząc po jękach kochanki, zbliżała się ona do spełnienia.

Jej wnętrze było ściśle... gorące... aksamitne. Tak rozkoszne, że ledwo nad sobą panował. Pomyślał, że Sophie jest wspaniała, że z żadną inną kobietą nie było mu tak dobrze jak z nią.

Zaczął obsypywać jej twarz czułymi pocałunkami.

- Moja słodka. Jesteś dla mnie wszystkim. Chciałbym, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Boże, co też on mówi? Nie ma przecież mowy o żadnej wieczności, a zwłaszcza u boku Sophie. To emocje przez niego przemawiają, wywołane oczyszczeniem, którego doznał podczas zwierzeń. Postanowił im się nie poddawać.

I rzeczywiście, już po chwili, kiedy kochanka, szepcząc jego imię, poruszyła niespokojnie biodrami, zapomniał o uczuciach i o wszystkim innym. Została tylko Sophie i on.

Zatopił się w niej głębiej, na co odpowiedziała cichym jęknięciem i westchnieniem zadowolenia. W jej zielonych oczach pojawiał się blask czułości i coś jeszcze, coś tajemniczego.

- Grant - szepnęła, przesuwając koniuszkiem palca po jego policzku. - Mój kochany.

Znów uderzyła w niego fala wszechogarniającego podniecenia. Miłosne wyznanie pchnęło go na skraj szaleństwa. Nie był już w stanie się hamować. Musiał zwiększyć tempo i ich zbliżenie zamieniło się w tym momencie w wybuch gorączkowej namiętności. Ich napięte ciała, szukające spełnienia, złąły

się w jedno. I z tego właśnie powodu, kiedy Sophie przy wtórze jęków rozkoszy zaczęła szczytować, on także, nie mogąc tego powstrzymać, osiągnął orgazm.

Leżeli potem w milczeniu do chwili, aż odzyskali pełnię przytomności. I dopiero wtedy Grant uzmysłowił sobie, że jego męskość nadal spoczywa we wnętrzu kochanki.

W ferworze rozkoszy zapomniał, że przed spełnieniem powinien był się z niej wycofać.

Rozdział XXI

11 grudnia 1701

Ostatnia przymiarka sukni ślubnej odbyła się dzisiaj w mojej sypialni. Kiedy paradowałam w niej przed strażniczką i matką, spostrzegłam swoje odbicie w stojącym lustrze. Widok był zaskakujący. Zobaczyłam elegancką sarnę w jasnoniebieskiej, satynowej sukni haftowanej złotem i z rękawami trzy czwarte obszytymi koronkami. Śmiem twierdzić, że wyglądałam tak wyniośle i oziębłe jak sam Mulford. O ja nieszczęsna, jestem skazana na bycie księżną!

Czy to możliwe, że minęło tylko pięć dni od ostatniego razu, kiedy widziałam mojego drogiego Williama? Mam wrażenie, że minęło nie pięć dni tylko tysiąc lat.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Przepelniona przyjemnym ciepłem i poczuciem nasycenia po miłosnym akcie Sophie nie pragnęła wcale wracać do rzeczywistości. Leżała pod Grantem, czując mocne bicie jego serca. We wpatrzonych w nią ciemnych oczach i zakłopotanym wyrazie twarzy kochanka dostrzegła odbicie swego własnego

oszołomienia. Grant nadal się w niej znajdował. Litościwy Boże, miał orgazm w środku. Zalała ją niespodziewana fala wielkiego uniesienia.

Zaraz jednak na powierzchnię wypłynęła panika.

Ciężar kochanka zaczął jej nagle przeszkadzać. Zaczęła się pod nim dusić. Położyła mu więc dłonie na piersi i mocno go od siebie odepchnęła. Ale Grant się nie poruszył.

- Sophie - wymamrotał ze skrucą.

- Puść mnie... proszę.

Musiał się chyba przejąć drzeniem w jej głosie, bo wreszcie się podniósł. Kiedy usiadła, pomiędzy udami poczuła coś wilgotnego. Grant zapomniał o ostrożności. Oboje o niej zapomnieli, niczym para bezmyślnych dzieciaków. Tym razem, jeśli zajdzie w ciążę, nie będzie Roberta, który wybawi ją z opresji.

I ewentualny skandal odbije się nie tylko na niej, ale także na Lucienie. Ciężarna wdowa to prawdziwa sensacja. Nie mogła się nawet pocieszyć myślą, że szansa zajścia w ciążę jest minimalna. Przecież przed dziesięciu laty wystarczył tylko raz.

Ukryła twarz w roztrzęsionych dłoniach.

- Dobry Boże - wyszeptała. - Och, nie.

Materac ugiał się pod ciężarem Granta. Poczula na plecach jego ciepły oddech.

- Tak mi przykro - powiedział cicho. - Nie zrobiłem tego umyślnie.

Uniosła gwałtownie głowę.

- Przykro ci? Czy ty rozumiesz, co się stało? Masz pojęcie, co powiedzą ludzie, jeśli się okaże, że zaszłam w ciążę? Towarzystwo mnie odrzuci. I Luciena też, bo to mój syn.

Grant przeciągnął ręką po zmierzwionych włosach.

- Chyba trudno zajść w ciążę od jednego razu. Szanse są nikłe.

- Nikłe? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Nie mówimy tu o grze w kości, Grant. Chodzi o dziecko!

Zbyt przygnębiona, żeby usiąść, zczołgała się z łóżka i zebrała swoje ubrania. Chciało jej się paść na podłogę i zalać łzami. Dobry Boże, co zrobi, jeśli znów będzie w ciąży? Dokąd się uda?

Czy Grant zaproponuje jej małżeństwo? Nawet jeśli, nie powinna go przyjąć. Przynajmniej nie w tej chwili, kiedy nie jest w stanie jasno myśleć, kiedy wie, że on jej nie kocha.

Moja słodka. Jesteś dla mnie wszystkim. Chciałbym, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Pomimo okoliczności, nadal go pożądała. Czy mówił prawdę, czy też te czule wyznanie wymknęło mu się tylko pod wpływem uniesienia?

Zasześciła pościel, co znaczyło, że on także podniósł się z łóżka.

- Uwierz mi, gdybym mógł, cofnąłbym czas - mruknął. Popatrzyła mu w twarz oblaną migoczącym światłem świecy.

Malował się na niej wyraz szczerzego zatroskania. Wzruszona tym widokiem, siłąc się na spokój, powiedziała:

- Co się stało, już się nie odstanie. Poza tym... było mi cudownie - dokończyła mimowolnie.

Kochała Granta bez względu na wszystko. A fakt, że miała w sobie jego nasienie, wydawał jej się dziwnie stosowny. W głębi serca marzyła o urodzeniu mu kolejnego dziecka i jakaś część niej żywiła nadzieję, że tak się stanie.

Czyżby zupełnie oszalała?

Roztrzęsionymi rękoma sięgnęła po koszulę. Nie chciała przedłużyć schadzki, mimo że kusiło ją, żeby, zapominając o ostrożności, ponownie oddać się Grantowi.

Przysiadła na kanapie, chcąc założyć pończochy. Grant przykląkł przed nią. Od jego nagiego torsu odbijał się blask ognia z kominka. Wijąca się po ramieniu szrama przypominała o sekretach, których jeszcze jej nie wyjawiał. Była ich ciekawa, a z drugiej strony bała się o nich usłyszeć.

Zrozumiała, że niedawna chwila zwierzeń zbliżyła ich do siebie, ale zarazem sprawiła, że zapomnieli o ostrożności.

Grant podniósł z podłogi jedną z jej podwiązek i otaczając nią jej udo, zupełnie swobodnie, jakby rozmawiali o pogodzie, powiedział:

- Gdyby się okazało, że jesteś w ciąży, masz mnie od razu o tym powiadomić. Ożenię się z tobą, Sophie. Stać mnie już teraz na żonę. Może nie zapewnię ci takiego luksusu, do jakiego jesteś przyzwyczajona, ale z pewnością niczego ci nie zabraknie.

Zamarła w reakcji na to oświadczenie. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Gardło zaciskały jej sprzeczne uczucia. Miała ochotę skakać z radości, a zarazem zbierało jej się na płacz. Słowa kochanka rozbudziły w niej bowiem przykre wspomnienia z przeszłości.

Przyglądając się mu, kiedy podnosił drugą podwiązkę, zmusiła się do popatrzenia prawdzie w oczy. Grant nie chce się żenić. Nie zaproponował jej małżeństwa powodowany miłością ani nawet uczuciem przyjaźni. Uważa to za konieczność. Ożeni się z nią tylko wtedy, kiedy zmuszą go do tego okoliczności.

Tylko wtedy, kiedy nie będzie miał innego wyboru.

Ukryła ból za maską spokoju i wyniosłości.

- Cóż - rzuciła lekko - pozostaje nam modlić się, żeby wszystko zakończyło się pomyślnie.

- Tak - potwierdził, przyglądając się jej uważnie.

Sophie wstała i podniosła suknię z podłogi. Kiedy ją wkładała, w pokoju słychać było tylko szelest materiału i strzelanie ognia w kominku. Grant milczał. Ona także. Domyślała się, że jest zadowolony, że nie obrzuciła go wyrzutami, czego zresztą wcale nie zamierzała robić. Nie chciała ujawniać swojego bólu.

Po chwili Grant także zaczął się ubierać. Włożył spodnie, po czym, jak zawsze, podszedł do niej, aby pomóc jej zapiąć guziczki z tyłu sukni.

- Kiedy ostatnio miałaś miesiączkę? - zapytał bez wstępów.

To pytanie ją zawstydziło. Zaczerwieniła się, choć przecież nie powinna kępować się rozmawiać z kochankiem o kobiecych sprawach. Byli sobie tak bliscy. Postanowiła się skupić.

- Prawie miesiąc temu. Wszystko okaże się za kilka dni. Tak czy inaczej... nie możemy dopuścić, żeby to się powtórzyło.

- Nie powtórzy się. Następnym razem będę uważał.

- Nie będzie żadnego następnego razu. - Pomimo że serce jej pękało, Sophie dokonała jedyne słusznego wyboru. Ze względu na Luciena. Ze względu na siebie. - To koniec naszego romansu, Grant.

Dłonie mężczyzny, zapinające ostatni guzik sukni, znieruchomiały. Potem Grant odwrócił Sophie twarzą do siebie i pochwycił ją mocno za ramiona. Twarz miał spiętą, ciemne brwi zmarszczone.

- Z powodu jednego błędu? Mój Boże, Sophie, przecież powiedziałem, że to się więcej nie powtórzy!

Musiała użyć całej siły woli, żeby się odsunąć. Nie potrafiła wytrwać przy swojej decyzji, czując na sobie jego dotyk. Unikając spoglądania na jego nagą pierś, utkwiała wzrok w jego twarzy.

- Kontynuując schadzki, wiele ryzykujemy. Udowodnił to dzisiejszy wieczór. Nie chcę wychodzić za mąż z konieczności.

Krzywiąc się, Grant znów przesunął sfrustrowanym gestem dłonią po włosach.

- Rozumiem - rzucił chłodno. - Przeraza cię myśl, że musiałabyś zostać moją żoną, tracąc przy tym status księżnej.

- Ależ to wcale nie o to chodzi. Chcę wyjść za mąż... chyba chcę... ale z miłości, a nie dlatego, że muszę.

- Ach te przekłete sentymenty - warknął. - Jeśli się okaże, że jesteś w ciąży, pobierzemy się i basta. Moje dziecko nie będzie bękartem i nie pozwolę też, żeby wychowywał je inny mężczyzna.

Po tych słowach odwrócił się gwałtownie po resztę ubrań. Sophie stała jak sparaliżowana. Jej serce biło mocno. Przemowa Granta wypowiedziana była ostrym, stanowczym i bezkompromisowym tonem.

Dobry Boże, nie miała pojęcia, że Grant tak poważnie traktuje kwestię ojcostwa. A może i nawet domyślała się tego, ale łatwiej jej było nie zastanawiać się nad tym. Wolała widzieć w nim pozbawionego sumienia hulakę unikającego wszelkich zobowiązań. Wolała uważać, że nigdy nie zgodziłby się przyjąć na siebie roli ojca Luciena.

Jakże się myliła.

Teraz jednak, kiedy już poznała nieco jego przeszłość, uświadamiała sobie wyraźnie, że nie jest on tym zatwardziałym kawalerem hulaką, jakim się jej do tej pory jawił. Grant z własnego doświadczenia wie, co to za koszmar być wychowywanym przez kogoś obcego. I choć przebieg jego dzieciństwa był tragiczniejszy, niż to się na ogół zdarza, niemniej to właśnie ono go ukształtowało. I dlatego tak bardzo pragnął ustrzec przed cierpieniem własne dzieci, gdyby je miał.

Tak się składa, że lubię dzieci... może nawet sprawię sobie kilkoro własnych.

Kiedy wcześniej tego dnia wygłaszał tę uwagę, sądziła, że to tylko wyraz zachcianki, nic poważnego. Potraktowała ją lekceważąco, ale okazało się, że mówił szczerze. Ujawnił przed nią coś ogromnie osobistego - a ona go wyśmiała.

Zobaczyła, że, zabrawszy świecznik, zniknął w garderobie. Zapewne poszedł przewiązać fular przed lustrem. Nasłuchując odgłosów jego cichych kroków, Sophie wsunęła stopy w pantofle. Sztywnymi, mechanicznymi ruchami upięła włosy w kok i włożyła kapelusz.

Powinna powiedzieć Grantowi o Lucieniu. Zasługuje na to. Ale jak ma to zrobić? Jakich słów użyć? Grant będzie wstrząśnięty i oburzony. Bała się, że nie

zniesie jego gniewu, słów krytyki, bólu, który się w nim pojawi, kiedy sobie uzmysłowi, że nie znał syna przez pierwsze dziewięć lat jego życia.

I z pewnością będzie nalegał, żeby się pobrali. Nie zgodzi się na nic innego.

Myśl, że mogłaby zostać jego żoną, ogromnie ją pociągała. Jakie to by było szczęście związać się z nim na zawsze... i zarazem jakie piekło, w razie gdyby Grant nadal żywił do niej urazę.

Wyłonił się z garderoby - prawdziwy dżentelmen, w szytym na miarę szarym surducie i szerokich bryczesach. Pomógł jej włożyć pelisę, a następnie z chłodną uprzejmością podał jej ramię. Ta jego nieprzystępność zabolą ją, choć domyślała się, że to wyraz gniewu o to, że postanowiła zakończyć ich romans.

Aż bała się pomyśleć, jak wyglądałoby jego zachowanie, gdyby dowiedział się, że ma syna.

- Pragnę cię uprzedzić - odezwał się oschle, kiedy opuszczali sypialnię - że zamierzam złamać jeszcze jedną zasadę, którą ustanowiłaś.

- Słucham?

Popatrzył na nią ponuro.

- Nie zrzeknę się opieki nad Lucienem. Nie będę sprzeciwiał się woli Roberta.

- Ale...

- Nie przekonuj mnie, księżno, bo szkoda twoich wysiłków. Wiem, że honor nakazuje dotrzymywać obietnic, ale ja nie porzucę Luciena. Wbrew twoim przypuszczeniom nie zawiodę go. Czy to jasne?

Jej serce zacisnęło się ze zgryzoty. Do oczu napłynęły łzy bezradności.

- Tak - mruknęła.

Schodziła po schodach ze zwieszoną głową. Och Boże, jakże błędnie oceniała Granta. Pomimo że nie wie, iż Lucien jest jego synem, i tak mu na nim zależy.

Czuła się zawstydzona, że powątpiewała w niego i że na każdym kroku umniejszała jego wartość. Żaden prawdziwy łajdak nie okazałby tyle życzliwości dziecku. Nie poświęcałby czasu na zabawy z nim i nie zabierałby na przejażdżki po parku.

Odgłos ich kroków rozchodził się głuchym i dziwnie żalonym echem po klatce schodowej. Grant ponurym wzrokiem spoglądał na hol poniżej. Widząc jego przygnębienie, Sophie pomyślała, że nie powinna zwlekać, tylko już teraz wyjawić mu całą prawdę o Lucienie. Bała się, że dłużej nie zniesie ciężaru tajemnicy, który w końcu zupełnie ją przytłoczy.

Zaczerpnęła powietrza.

- Grant, jest coś, co muszę ci... - zaczęła cicho, z przejęciem.

Nie skończyła jednak, bo zasłonił jej usta ręką. Zmusił ją też, żeby się zatrzymała. Znajdowali się w połowie schodów. Sophie, zdumiona zachowaniem towarzysza, uświadomiła sobie nagle kilka rzeczy naraz. Po pierwsze, Grant na nią nie patrzył, tylko czujnie i ze skupieniem wpatrywał się w coś poniżej.

Po drugie, na pogrążony w mroku hol z pokoju usytuowanego po lewej stronie drzwi wejściowych sączyła się strużka słabego światła.

Tym pokojem był gabinet, w którym, kiedy przed godziną przybyli do domu, z pewnością nie paliło się żadne światło. Grant pochylił się do jej ucha.

- To chyba złodziej - szepnął. - Wracaj na górę. Odsunęła jego rękę od swoich ust.

- A nie Wren albo gospodyni? - zapytała cicho.

Pokręcił głową.

- Kazałem im nie wychodzić nocą z ich pokojów w suterenie. Idź już.

Pchnął ją lekko, a ona, oglądając się za siebie, ruszyła posłusznie w górę schodów.

Grant zaś w całkowitej ciszy zaczął schodzić na dół. Ledwo go było widać w ciemności. Sophie nie miała pojęcia, że potrafi poruszać się tak cicho, niczym pantera na łowach. Przeszedł ją dreszcz przerażenia.

On naprawdę sądzi, że do domu ktoś się zakradł.

Przypomniała sobie, że podobne wydarzenie miało już miejsce tydzień temu. Grant twierdził, że wtedy włamywacz napadł na Wrena. Czy teraz złodziejem jest ten sam osobnik, co poprzednio? A jeśli tak, to dlaczego znów się pojawił?

Dotarła na podest piętra i pochwyciła się mocno gładkiej dębowej poręczy. Czowała, że ze strachu serce wali jej jak oszalałe. A jeśli włamywacz ma przy sobie broń?

Grant jest bezbronny. Może zostać postrzelony. Może zginąć.

Powinna mu pomóc.

Rozejrzała się i na stoliku pod ścianą spostrzegła mały porcelanowy wazon. Niewiele to, ale zawsze, pomyślała.

Usłyszała stłumiony okrzyk Granta, a następnie czyjąś gardłową odpowiedź. Potem z gabinetu dobiegły odgłosy walki. Nie czekała. Ściskając wazon, popędziła schodami na parter.

Gabinet wyglądał strasznie. Wszystko w nim było poprzewracane, jakby złodziej, w poszukiwaniu cennych przedmiotów, zaglądał w każdy kąt. Zawartość szuflad wyjętych z biurka wałała się na podłodze obok stosu książek zrzuconych z regałów. Nawet obrazy były przekrzywione.

Na środku dywanu Grant mocował się z potężnym mężczyzną o śniadej cerze. Włamywacz miał na sobie zniszczone, bure ubranie i - co wielce zaskoczyło Sophie - biały turban na głowie. To obcokrajowiec, przemknęło jej przez myśl. Zobaczyła, że Grant ugodził przeciwnika mocnym ciosem w szczękę, po którym mężczyzna zachwiał się i, przewracając krzesło, zwałił na ziemię. Przy upadku zgubił turban. Okazało się, że jest całkowicie łysy.

Sophie ledwie go widziała w ciemności, ale jej uwagi nie umknął ruch jego ręki, która zsunęła się do pasa i w której po sekundzie załśniła stal. Nóż.

Sapnęła na ten widok i natychmiast tego pożałowała.

Grant bowiem, kiedy usłyszał jej cichy okrzyk, zerknął w jej stronę, a wtedy przeciwnik poderwał się z ziemi. Jego ramię wystrzeliło do przodu. Mężczyzna celował w pierś Granta.

Tym razem Sophie wrzasnęła już na całe gardło, unosząc zarazem wazon, gotowa do zadania nim ciosu. Zdażyła jednak zrobić tylko kilka kroków, gdy napastnik przewrócił Granta na stół i przygniótł mu gardło ramieniem. Czubek noża umieścił pod jego okiem, naciskając na skórę, ale jej nie przecinając.

Sophie zamarła. Bała się uderzyć teraz nieznanego. Wystarczyło przecież, żeby ręką mu się omsknęła, a Grant mógł stracić oko.

Ten zaś, leżąc nieruchomo na blacie biurka, łypał groźnie na przeciwnika.

- Tracisz czas - wykrztusił. - Listu tu nie ma.

- Listu? Jakiego listu? - warknął włamywacz z wyraźnie obcym akcentem.

- Nazywam się Bihar. Jestem sługą sułtana Hadzi, którego okradłeś.

Sophie powoli opuściła rękę z wazonem.

Sułtan? Kradzież?

W trakcie kolacji u ciotki Grant opowiadał gościom o wizycie u sułtana Smyrny. Sophie odniosła wtedy wrażenie, że ukrywa coś przed słuchaczami. Pamiętała też jego zagadkową odpowiedź, którą udzielił bratu.

Coś tam robił przez tyle lat?

Oczywiście kradłem.

- Sophie. - Grant wołał do niej zduszonym głosem, nie odrywając oczu od napastnika. - Wyjdź stąd. Natychmiast.

- Nigdzie nie pójdziesz - sprzeciwił się obcokrajowiec. - Chyba że chcesz, żeby twój kochanek zginął.

Przeszył ją lodowaty dreszcz. Była tak przerażona, że nie mogła wydobyć się z siebie głosu. Wiedziała jednak, że włamywacz nie żartuje i bez wahania spełni swoją groźbę.

Chcąc ukryć strach, przywołała na twarz wyraz wyniosłości i, nie ruszając się z miejsca, powiedziała:

- Puść go. Nic z niego nie wyciągniesz, jeśli będzie martwy. Mężczyzna roześmiał się głośno.

- Odważna ta twoja Sophie. Założę się, że w łóżku jest tygrysią.

Z gardła Granta wydobyło się wściekłe warczenie. Dłonie leżące po bokach zacisnął w pięści. Poruszył się i czubek noża rozciął skórę pod jego okiem, a z rany pociekła wąska strużka krwi.

- To ze mną masz porachunki. Ją zostaw w spokoju. Bihar mocniej wbił mu ramię w szyję.

- To ja tu wydaję rozkazy, na Allaha. Oddaj „Oko Diabła” albo stracisz życie.

W tym momencie od drzwi doszedł trzask odbezpieczanej broni.

- Puść go, inaczej jeszcze tej nocy spotkasz się z tym swoim Allahem.

Sophie odwróciła się i z ulgą stwierdziła, że w zacienionym progu gabinetu stoi Wren. Niski, pomarszczony staruszek z wielkim pistoletem wycelowanym we włamywacza.

Ten zaś obejrzał się przez ramię i to był jego błąd, ponieważ Grant natychmiast to wykorzystał. Pochwycił rękę trzymającą nóż i odsunął ją od swojej twarzy. Następnie walnął przeciwnika w szczękę. On i Bahir zaczęli się szamotać.

Stojący w progu Wren przyglądał się tej scenie z wahaniem. Sophie domyślała się, że kamerdyner boi się strzelać, żeby przez przypadek nie trafić swojego pana. Rzuciła się więc przed siebie, uniosła wazon i opuściła go z całą mocą na głowę Bahira. Na podłogę posypały się kawałki porcelany.

Bihar zeszywniał, a po sekundzie osunął się na ziemię.

Grant natomiast, wcale niesprawiający wrażenia wdzięcznego, popatrzył groźnie na Sophie, po czym przyklęknął na jedno kolano przy włamywaczu. Wren w tym czasie zdjął z zasłony złoty sznur z frędzlami i podał go swemu panu, a ten związał nim skrzyżowane na plecach dłonie napastnika.

Potem wstał. Wydawało się, że on i służący porozumiewają się ze sobą bez słów. Wren został przy włamywaczu, a Grant podszedł do Sophie.

Twarz miał ponurą, wykrzywioną wściekłością. Spojrzała na niego równie gniewnie, postanawiając, że nie da się zastraszyć. Niemniej widok krwi pod okiem zupełnie wytrącił ją z równowagi. Poczula, że drżą jej kolana. Zaszczękała zębami na myśl, co mogło się wydarzyć.

- Grant - powiedziała cicho, wycierając palcem krew spod oka. - Och, Grant.

Ten, marszcząc czoło, odwrócił głowę, unikając opiekuńczego gestu. Pochwyciwszy jej ramię, skierował ją w stronę drzwi.

- Powinnaś była iść na górę, jak ci kazałem - warknął. - A teraz zawiozę cię do domu.

Cofnęła się, spoglądając kątem oka na nieprzytomnego Bahira.

- Nie! Najpierw musisz wezwać straż, żeby odstawiła tego człowieka do więzienia.

- Później się tym zajmę.

Poprowadził ją do ciemnego holu i korytarzem do wyjścia na tyłach domu. Tu już nie było tak mrocznie. Drogę oświetlało kilka świec, oblewających swym blaskiem eleganckie meble i marmurową posadzkę. Wszystko wyglądało tak normalnie, tak realnie...

Sophie czuła, że jej umysł uwalnia się wreszcie od mgły oszołomienia. Poszczególne kawałki układanki zaczynały tworzyć całość. Zagadkowe uwagi Granta. Blizna po kuli. Niechęć do opowiadania o minionych dziesięciu latach. Majątek, którego ponoć się dorobił przy stoliku karcianym.

Grant ją oszukał. I to w najbardziej nikczemny sposób z możliwych.

Kiedy już prawie byli przy drzwiach, wyrwała mu się z uścisku i stanęła twarzą w twarz. I choć doskonale знаła każdy centymetr jego oblicza, nagle wydał się on jej kimś groźnym i obcym.

- Wcale nie zamierzasz oddać Bahira w ręce policji - powiedziała wolno. - Bałbyś się, że ujawniłby, że okradłeś sułtana.

Grant przez chwilę milczał, sprawiając wrażenie, jakby coś sobie kalkulował, zastanawiał się, ile może powiedzieć.

- Ukradłem sułtanowi tylko jedną rzecz. Klejnot - sprostował. - Duży, rzadki rubin, który należał kiedyś do Kleopatry. Nazywają go „Oko Diabła”.

Słuchając tego wyjaśnienia, Sophie czuła, że coś zaciska jej gardło.

- Ty naprawdę jesteś złodziejem - wyszeptała. - Przy kolacji wcale nie żartowałeś.

- Nie żartowałem, chociaż nie zamierzałem się do tego przyznawać. Po prostu mi się wymknęło. - Grant podszedł bliżej, uniósł jej rękę i zaczął ją gładzić uspokajająco. - Ale wiedz, Sophie, że już z tym skończyłem. Nigdy więcej niczego nie ukradnę. Błagam, uwierz mi. Zresztą okradałem tylko tych, którzy dorobili się bogactwa na czyjejs krzywdzie. Sułtan na przykład obłowił się na handlu opium.

Grant się wybiela. Czyżby liczył na to, że ona potraktuje jego podle czyny jak dziecięcy psikus? Sophie była oburzona, urażona... i zraniona. Straszliwie zraniona. Dopiero przecież zaczynała dobrze o nim myśleć. A okazało się, że jej bohater to hochsztapler.

Wyrwała rękę z uścisku.

- Musisz oddać rubin - oświadczyła rozkazującym tonem.

- Nie mam go. Sprzedałem w Rzymie agentowi rosyjskiego cara.

- Więc dasz Bahirowi pieniądze, żeby mógł go odkupić.

- To niemożliwe. Sam car polecił mi go wykraść. Marzył o nim od dawna. Nie sprzeda rubinu za żadną cenę.

Ogarnęło ją przerażenie. Całym jej ciałem wstrząsnął silny dreszcz.

- Jeśli go nie zwrócisz - zaczęła, siląc się na spokój - Bahir wyłupie ci oczy. Może nawet cię zabije.

- Nie boję się go. Dam sobie z nim radę.

Grant popychał ją ku drzwiom, ale ona się opierała. Czowała, że zbiera jej się na mdłości.

- Dasz sobie radę?! Chcesz powiedzieć, że... że go zamordujesz?

- Ależ skąd. Wsadzę go po prostu na statek powrotny do Turcji. Więcej się tu nie zjawi.

Patrzył jej prosto w oczy. Nie sprawiał wrażenia, że kłamie. Sophie, wpatrzona w niego, zapragnęła paść mu w ramiona i wszystko wybaczyć. Znów mu zaufać. Ale przecież nie mogła tego uczynić.

Odsunęła się.

- Nie wierzę ci. Nie potrafię ci już uwierzyć.

Grant wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć, ale szybko zmienił zdanie i zamiast tego przeciągnął dłonią po włosach.

- Nie jestem mordercą. Znasz mnie dobrze i wiesz, że mówię prawdę.

Pokręciła głową.

- Myślałam, że cię znam.

Dobry Boże, nie może powiedzieć mu teraz o Lucieniu. Przecież nie pozwoli, żeby jej syn zadawał się ze złodziejem. Potem przyszła jej do głowy następna ponura myśl: że właśnie zyskała świetny pretekst, żeby raz na zawsze pozbyć się Granta ze swojego życia.

Musi to zrobić ze względu na Luciena.

- Nie chcę cię więcej widzieć w Mulford House - oświadczyła lodowato. - Od tej pory masz się trzymać z daleka ode mnie i od mojego syna. Inaczej dopilnuję, żeby spotkała cię zasłużona kara za przestępstwa, których się dopuściłeś.

Rozdział XXII

13 grudnia 1701

Wczorajsza noc była jedną z najwspanialszych, najcudowniejszych! Wreszcie, po tak długim czasie, spotkałam się z Williamem. I nikt nie miał o tym pojęcia. A oto wierne sprawozdanie z mojej ucieczki. Strażniczkę po obiedzie rozboleł brzuch (z pewnością z powodu wrednych myśli). Zajęła się nią Laddie i jeszcze kilka innych pokojówek, a o mnie zapomniano.

Moje rozgorączkowane serce nie zważało na nic. W mgnieniu oka włożyłam płaszcz i wymknęłam się z domu w mroźną noc. Nie myśląc o złodziejach lub innych bandytach, biegłam ciemnymi ulicami do domu, w którym mieszka mój ukochany.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Trzeba było pozwolić mi poderżnąć mu gardło - zżymał się Wren. - Ten szubrawiec tu wróci zapamięta pan moje słowa.

Szare światło poranka kłuło Granta w oczy. Po wejściu do garderoby od razu skierował się do umywalki i spryskał twarz zimną wodą. Dokuczał mu straszliwy ból głowy. Minionej nocy najpierw Odeskortował Sophie do domu, a następnie wywiózł Bahira do portu. Tam odszukał statek płynący do Konstantynopola i zapłacił kapitanowi sowitą sumę za to, żeby trzymał Turka uwieszonego pod pokładem do samego końca podróży.

Potem wrócił do siebie i upił się do nieprzytomności.

- Nie będę zabijał - odciął się ostro. Sięgnął po ręcznik, żeby obetrzeć mokrą twarz. - Jeszcze tak nisko nie upadłem.

Zupełnie inaczej myślała o nim Sophie. Nie uwierzyła, kiedy powiedział, że nie jest mordercą. I może miała rację. W trakcie bijatyki w gabinecie był tak

wściekły, że mógłby stłuc Bahira na krwawą miazgę. Ale zabić człowieka w obronie własnej to coś innego niż odebrać życie spętanemu jeńcowi.

- Ha - sarknął Wren, uderzając ręcznikiem w dłoń. - Ale przynajmniej odpłaciłem mu się za to uderzenie w głowę.

Grant czuł, że pulsowanie w skroniach się wzmacnia. Był poirytowany faktem, że błędnie określił powód włamania do jego sypialni. Sophie nie wynajęła żadnego zbira, który miał odszukać list Roberta. To Bahir chciał odzyskać „Oko Diabła”. I to on czał się w krzakach w noc włamania, a następnego dnia ukradł Grantowi konia.

Przez to wszystko zaczęło go dręczyć przekonanie, że od początku źle oceniał Sophie. Bardzo możliwe, że to nie ona otruła Roberta. Zamierzał poważnie zastanowić się nad niewinnością kochanki, ale... dopiero kiedy przestanie pękać mu głowa.

- Taki śmieć jak ten Turek nie powinien żyć - nie przestawał zrzędzić Wren.

Grant sam czuł się jak śmieć. Nawet w skrajnym zamroczeniu alkoholem nie umiał zapomnieć wyrazu zdumienia i niesmaku na twarzy Sophie, kiedy się dowiedziała, że jest złodziejem. Patrzyła na niego jak na robaka, który wypełził spod omszałego kamienia.

Nie chcę cię więcej widzieć w Mulford House. Od tej pory masz się trzymać z daleka ode mnie i od mojego syna. Inaczej dopilnuję, żeby spotkała cię zasłużona kara za przestępstwa, których się dopuściłeś.

Poczuł w gardle nienaturalnie wielką gulę. Odrzucił ręcznik i przeszedł do szafy, sięgając po pierwszą z brzegu koszulę.

- Ta jest świeżo uprana. - Wren podsunął mu inną. - Wyprasowałem ją, kiedy pan spał. Posprzątałem też w gabinecie, żeby pani Howell nie jęczała.

Grant odebrał koszulę z ponurą miną.

- Która godzina?

- Zbliża się południe.

- Dobry Boże. Dlaczego nie mówisz, że już tak późno? Wren przyglądał się swojemu panu z zastanowieniem.

- Już wiem, zrobię panu mocnej kawy i przygotuję coś do jedzenia.

Po tych słowach opuścił pokój, zanim Grant zdążył odpowiedzieć, że na myśl o jakimkolwiek jedzeniu robi mu się niedobrze.

Włożył koszulę, a następnie zabrał się do golenia. W planach miał kontynuację przesłuchań służby z Mulford House. Przede wszystkim chciał porozmawiać z tą pomywaczką, która zemdlala, kiedy zapytał ją o Elliota i jego umizgi. Jeśli dziewczyna wie o kuzynie Roberta coś, co...

Zaklął siarczyście, bo, zajęty myślami, zaciał się w podbródek. Przycisnął róg ręcznika do rany i w tym momencie przypomniał sobie, że Sophie zapowiedziała, iż nie chce go u siebie widzieć. Bez wątpienia nakazała Phelpsowi nie wpuszczać go do domu. Ale on wiedział, jak dostać się do środka w inny sposób. Poza tym zawsze mógł skorzystać z wejścia dla służby.

Tylko że Sophie z pewnością się o tym dowie, a on wolał nie denerwować jej. Miała przecież teraz nad nim przewagę. Mogła zrujnować mu opinię w oczach ciotki i brata...

Wrócił Wren.

- Księżna nie była najszcześliwsza, kiedy się okazało, że jest pan złodziejem - powiedział, jakby w ich rozmowie nie nastąpiła żadna przerwa. - Ma pana za szubrawca. Myśli pan, że zgłosi to na policję?

- To by nie miało sensu - warknął, wkładając jasną kamizelkę. - Kradłem za granicą. Miejscowe władze nie będą zawracały sobie głowy dochodzeniem w sprawie, która nie podlega jej jurysdykcji.

Niemniej, jeśli Sophie uparłaby się, mogłaby wykorzystać swój status i zmusić sędziego pokoju do osadzenia go w więzieniu, przynajmniej na jakiś czas. Wieść o tym od razu rozniosłaby się w towarzystwie. Ciotka Phoebe byłaby załamana.

- A mnie się widzi, że księżna mogłaby zwrócić się do premiera, a może nawet samego księcia Regenta. Mogłaby starać się o nakaz wygnania pana z kraju. - Po tym złowieszczym stwierdzeniu Wren na chwilę zamilkł, a później dodał:

- Z drugiej strony, pana brat to hrabia i dlatego pewnie nikt nie uwierzyłby, że jest pan złodziejem. Wystarczyłoby, żeby się pan tego wyparł.

W tym cały problem. Gdyby wezwano go na przesłuchanie, Grant przyznałby się do wykradzenia cennego rubinu, bo gdyby tego nie uczynił, Sophie wyszłaby na oszustkę.

Postawił kołnierzyk koszuli i wściekłym ruchem zawiązał fular. Nie potrafiłby zakwestionować słów damy. Taką zasadę przed laty wpoila mu jego guwernantka. Zresztą poczucie honoru nie pozwoliłoby mu też kłamać pod przysięgą, co Sophie, w danych okolicznościach, z pewnością uznałaby za śmieszne.

- No ale może się panu poszczęści - dywagował dalej służący, który stał obok z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

- Może księżna wyjawia tajemnicę tylko pana ciotce. Poszczęści? Ciotka Phoebe będzie zdruzgotana. Grant wolałby przeżyć biczowanie niż jej krytykę. Wprawdzie zawsze wstawiała się za nim, jednak tym razem popełnił prawdziwe przestępstwo i ciotka może zechcieć zerwać z nim kontakty.

Poza tym o wszystkim dowie się Randolph. Szacowny braciszek będzie wstrząśnięty. Wycofa propozycję przekazania mu powiernictwa nad majątkiem i pewnie tak jak Sophie nie będzie chciał, żeby pospolity złodziej opiekował się jego dzieckiem. Nie będzie się chciał z nim widywać. Raz na zawsze wyrzuci młodszego brata ze swojego życia.

Ta perspektywa wydała się Grantowi zadziwiająco przygnębiająca.

- Pomogę panu, zanim się pan udusi - zaproponował ze zniecierpliwieniem Wren. - Niech pan usiądzie i proszę się nie ruszać.

Jedno spojrzenie w lustro przekonało Granta, że rzeczywiście kiepsko sobie radzi z zawiązywaniem fularu.

- Tylko się pospiesz. Nie mam na to całego dnia.

- Wypił pan wczoraj wszystko, co było w karafce, prawda? Niech się więc pan teraz nie wyżywa na mnie za własne błędy.

Grant łypnął złowrogo na służącego, ale zaraz przełknął zranioną dumę i przeprosił Wrena.

- Wybacz. Zastanawiam się po prostu, co mnie podkuśliło, żeby zająć się złodziejskim fachem.

Zręcznie układając nakrochmalony kołnierzyk koszuli, kamerdyner zachichotał.

- Potrzebował pan pieniędzy. Poza tym musiał pan odciągnąć czymś myśli od księżnej.

Grant zdawał sobie sprawę, że ten drugi powód był chyba istotniejszy. Kiedy Sophie go odtrąciła, wyjechał do Rzymu. To tam którejś nocy, będąc świadkiem, jak pewien oszust oskubuje z pieniędzy przy grze w kości pijanego w sztok arystokratę, wpadł na pomysł nowej kariery. Przez następny miesiąc śledził owego oszusta. Poznał jego zwyczaje, a także dowiedział się, że utrzymuje on wymagającą kochankę. Zobaczył go kiedyś, zakupującego dla niej kosztowny naszyjnik ze szmaragdów. Tego samego dnia zakradł się nocą do mieszkania kochanki i wykradł naszyjnik. Oszust i jego nałożnica znajdowali się w tym czasie w pokoju obok, oddając się namiętnej miłości.

Podeksycytowany sukcesem, zapomniał wtedy na chwilę o Sophie. Postanowił zasadzić się na grubsze ryby - małostkowych despotów i nieuczciwych handlarzy. W przeciągu roku zyskał sobie wśród przedstawicieli europejskiego półświatka miano mistrza złodziei. A co do poczucia winy, to sam siebie przekonał, że nie musi mieć wyrzutów sumienia, bo przecież okrada ludzi złych, pozbawionych skrupułów. Poza tym upajał się podziwem innych

mężczyzn, którzy poważali go za odwagę i śmiałość, oraz admiracją uganających się za nim kobiet.

Jednak minionej nocy, kiedy twarzą w twarz spotkał się z konsekwencjami swoich poczynań, to wszystko przestało mieć znaczenie. I po raz pierwszy w jego nędznej egzystencji poczuł, że zależy mu na własnym życiu.

Zależało mu na nim, ponieważ kochał Sophie, a pewność, że tak jest, wypalała mu dziurę w sercu.

Prawda nadeszła wraz z lodowatym strachem, który go ogarnął w chwili, gdy poczuł pod okiem czubek ostrego noża. Wszystkie jego myśli powędrowały wtedy do Sophie. Był zrozpaczony, że jest ona świadkiem tej okrutnej sceny. Przeraził się, że już nigdy jej nie zobaczy. Wezbrał w nim strach, że nawet jeśli przeżyje, Sophie już zawsze będzie patrzyła na niego przez pryzmat jego paskudnych uczynków.

Wren skończył wreszcie układanie fularu.

- Może powinien pan odwiedzić księżną - podsunął. - Podlizać się jej jakoś. Kupić ładny naszyjnik albo coś w tym rodzaju.

Prezent zakupiony za skradzione pieniądze. Grant już sobie wyobrażał reakcję Sophie. Rozumiał jednak, że stary służący chce tylko pomóc.

- Masz rację - mruknął.

Sięgnął po przewieszony przez ramię kamerdynera burgundowy surdut, zarzucił go na siebie i wypadł z pokoju, zmierzając w stronę schodów. Nie wkupi się na nowo w łaski Sophie diamentowym naszyjnikiem - do tego potrzeba nie klejnotów, tylko cudu.

Przeklinał się w duchu, że przez własną głupotę utracił szansę na zdobycie jej serca. Teraz Sophie z pewnością nie zgodzi się za niego wyjść, nawet jeśli okazałoby się, że jest z nim w ciąży.

Ta myśl, niczym mocny cios w sam środek brzucha, niemal zwała go z nóg. Niczego tak nie pragnął, jak związać się z Sophie i stworzyć z nią

prawdziwą rodzinę. Począć z nią dzieci, o które oboje dbaliby z miłością i oddaniem. Mieć ją zawsze dla siebie i u swego boku.

Też sobie wybrał moment na fantazje o rodzinie, skrytykował się w duchu, przystanąwszy na szczycie schodów. I wtedy spojrzawszy w dół na hol - ze zdumieniem stwierdził, że w otwartych drzwiach wejściowych stoi pani Howell, a przed nią na ganku majaczy potężna sylwetka Hannibala Jonesa.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zniknąć policjantowi z widoku; nie miał teraz nastroju na przesłuchania. Ale może Jones nie przyszedł wcale w sprawie Roberta.

Może już się dowiedział od Sophie, że Grant jest złodziejem.

Ból z głowy przeniósł się do piersi. Tam do licha, przecież nie będzie się krył jak jakiś wystraszony uczeń! Jeśli zasłużył na karę, poniesie ją.

Zszedł więc na dół i zbliżył się do drzwi. Pulchna gospodyni ukloniła się przed nim grzecznie.

- Witam, sir. Przybył pan Jones. Czy mam go wprowadzić do gabinetu?

- Porozmawiam z panem Jonesem w jadalni - odpowiedział.

Kiedy policjant wszedł do środka, przywitał go krótkim skinieniem głowy, ciesząc się w duchu, że drzwi do gabinetu są zamknięte. Nie wiedział przecież, czy Wren faktycznie uprzątnął pokój po bójce. A wołał, żeby nie wyszło na jaw, że nocą wywoził z domu związanego i zakneblowanego Turka, którego potem siłą wsadził na statek płynący do jego ojczyzny.

- Jeszcze jedno, sir - zawołała za nim pani Howell. - Był tu dziś listonosz i przyniósł dla pana to.

Gospodyni podała mu złożoną i zapieczętowaną kartkę papieru. Pomyślał od razu, że to wiadomość od Sophie, w której księżna wszystko mu wybacza. Nie rozpoznał jednak jej charakteru pisma, wepchnął więc list do wewnętrznej kieszeni surduta. Uznał, że to pewnie jakieś zaproszenie - ciotka rozniosła już w towarzystwie wieści o jego powrocie. Boże, jeszcze nie wie, że jest spokrewniona ze zwykłym złodziejem.

Wprowadził policjanta do przyjemnego pokoju z widokiem na ogród. Do środka przez okna wpadało światło pochmurnego dnia, tworzące ponure plamy na zielonych ścianach i białym gzymsie kominka. Z rozczarowaniem i złością stwierdził, że na długim mahoniowym stole nie stoi wcale przyrzeczona przez Wrena kawa.

Gestem dłoni wskazał Jonesowi krzesło.

- Proszę usiąść, jeśli ma pan ochotę.

- Wolę stać, sir.

- Jak pan sobie życzy.

Żeby ukryć napięcie, przeszedł do okna i wyjrzał na rozmokły ogród. Kapiące z gałęzi drzew krople deszczu opadały cicho na żwirowe alejki. Grant zastanawiał się, czy są to ostatnie chwile jego wolności, zanim Jones odstawi go do więzienia.

Odwrócił się i oparł o framugę.

- Proszę mówić, z czym pan przychodzi - ponaglił konstabla. - Nie mam całego dnia na pogaduszki.

Jones uważnie przyglądał mu się. W jednej dłoni, wielkiej jak bochen chleba, trzymał zniszczony notes, w drugiej ołówek. Wyglądał tak, jakby spodziewał się, że Grant złoży mu zaraz pełne zeznania.

- Wszedłem w posiadanie pewnej interesującej informacji - zaczął. - Ma ona związek z panem, panie Chandler.

- Nie dziwię się. Jestem przecież wielce interesującym osobnikiem. Przynajmniej tak mówią o mnie kobiety. Proszę więc powiedzieć, który to z moich legendarnych wyczynów przykuł pańską uwagę?

- Nie chodzi o żadne wyczyny, sir, a o fakty. Dodam, że dość niejasne. - Konstabl zamilkł, jakby umyślnie dodając swoim słowom dramatyczności. - Według moich informacji o tym, że księżę został otruty, wiedział pan na długo wcześniej, zanim na policję dotarł ten anonimowy list.

Grant zamarł. A więc wizyta Jonesa nie miała związku z kradzieżami. Nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy smucić.

Złożywszy ręce na plecach, przeszedł do kominka.

- Domyślam się, że informację tę pozyskał pan od doktora Athertona?

- Istotnie miałem wczoraj okazję zadać mu kilka dodatkowych pytań.

Mówił, że odwiedził go pan w zeszłym tygodniu i że twierdził pan, iż księżę zmarł od zażycia arszeniku. - Jones zrobił krok w stronę gospodarza. - Bardzo mnie interesuje, skąd pan to wiedział.

Grant wzruszył ramionami.

- Po prostu miałem przeczucie.

- Przeczucie, sir? Doktor mówił, że był pan bardzo pewien swojego zdania.

Grant popatrzył prosto w podejrzliwe oczy konstabla.

- W takim razie doktor Atherton źle odczytał moje zachowanie. Jestem z natury stanowczy. Bez tego nie poradziłbym sobie ze służbą.

Jones nie wyglądał na onieśmiałonego.

- Doktor mówił też, że otrzymał pan list od umierającego księcia.

Podobno on sam podejrzewał, że ktoś próbuje go otruć.

Grant poczuł, że krew uderza mu do głowy. Zaraz jednak przypomniał sobie, że list od Roberta jest bezpieczny w skrytce bankowej. Jones nigdy go nie znajdzie.

- Okłamałem Athertona - rzucił z udawaną swobodą. - Pomyślałem, że będzie rozmowniejszy, jeśli dowie się o istnieniu takiego listu.

Spojrzenie policjanta wyrażało sceptycyzm.

- W takim razie może przychodzić panu na myśl jakieś inne, być może osobiste powody, dla których o morderstwo można by podejrzewać księżną. Zdaje się, że dobrze się znacie?

W sercu Granta walczyły ze sobą strach i wściekłość.

- Słucham?

- Mówię, że dobrze się znacie - powtórzył Jones z uśmiechem tryumfu. -
Widzi pan, panie Chandler, ja wszystko o was wiem.

Przykucnąwszy przy stojącej w bibliotece drewnianej skrzyni, Sophie przeglądała stos książek, które przed chwilą do Mulford House przywiózł Elliot. W większości były to dzieła historyczne, opisujące starożytny Rzym i Grecję. A Sophie, choć nie spodziewała się odnaleźć między nimi zaginionego pamiętnika Annabelle, metodycznie opróżniała skrzynię.

Rozpaczliwie potrzebowała jakiegoś zajęcia, żeby oderwać się od niechcianych myśli, które męczyły ją także nocą, przez co w ogóle nie spała. Sen zmorzył ją dopiero przed świtem i spała do południa. Spałaby i dłużej, gdyby nie pokojówka, która obudziła ją informacją o przybyciu Elliota. Ubrała się więc pospiesznie, zamierzając wypytać kuzyna o okoliczności śmierci męża.

Niestety, kiedy zeszła na dół, okazało się, że wraz z Heleną wyszedł na zakupy. Szwagierka zamierzała go zapewne namówić na sprawienie sobie odpowiedniego odzienia na urodzinowe przyjęcie. Sfrustrowana Sophie zajęła się więc książkami.

Wyjęła właśnie ze skrzyni jedną z nich, małą i zakurzoną, i wytarła chusteczką, żeby odczytać wyblakły tytuł wytłaczany złotem. Była to stara broszura z kazaniami. Część jej umysłu zastanawiała się, po co Elliot ją pożyczył, druga zaś część powracała do tematu, który dręczył ją nieprzerwanie od poprzedniego wieczora.

Grant okazał się złodziejem. Włamywał się do domów i wykradał kosztowności. Dorobił się majątku na przestępstwie, choć twierdził, że okradał tylko ludzi złych.

Jakby to go tłumaczyło.

Co jednak dziwne, pomimo niesmaku, Sophie była bardzo ciekawa, jak dokonywał tych kradzieży. Jak mu się udało na przykład zakraść do pałacu sułtana i uciec z „Oknem Diabła”? Może zdobył plany pałacu z zaznaczonymi na

nich sekretnymi przejściami. No ale przecież taki drogocenny klejnot sułtan z pewnością trzymał w solidnym sejfie. Jak Grant zdołał go otworzyć? Czy ta szrama na ramieniu to pamiątka po spotkaniu ze strażnikami sułtana? Czy Grant działał sam? A może miał współnika? Mógł mu pomagać Wren, chociaż wydaje się już na to za stary...

Sophie uzmysłowiła sobie, że nadal trzyma w rękach książeczkę z kazaniami i wpatruje się w nią niewidzącym wzrokiem. Naszła ją nagła złość na samą siebie. Co też ona sobie wyobraża?! Grant to podejrzany typ spod ciemnej gwiazdy. Nie powinna rozmyślać nad jego wyczynami jakby był bohaterem baśni o śmiałym rycerzu.

Swoimi występkami sprowadził na siebie zagrożenie. Sophie do końca życia nie zapomni widoku noża wbitego w skórę tuż pod okiem. To było koszmarne wspomnienie. A jeśli Bahir wróci i tym razem zabije Granta?

Ze strachu zrobiło jej się niedobrze. Wprawdzie nie pochwałała uczynków kochanka, ale nie chciała, żeby zginął. Bo w głębi serca nadal go kochała. Ale tylko dlatego... tylko dlatego, że jest ojcem Luciena.

Co się stanie, jeśli przez ich wczorajszą nieostrożność na świecie pojawi się następne dziecko? Czy tym razem powinna poinformować Granta o ciąży? Czy pozwoli mu wrócić do jej życia... w roli męża?

Zanim zdążyła udzielić sobie odpowiedzi na te wszystkie pytania, od drzwi doszedł ją donośny głos Phelpsa.

- Jaśnie pani, przyprowadziłem tę dziewczynę, o którą pani chodziło.

Kamerdyner stał w sztywnej pozie w progu, za nim zaś z nogi na nogę przestępowała dość pulchna młoda służąca.

Sophie, odłożywszy książeczkę do skrzyni, wstała i otrzepała ręce.

- Och, Alice. Wejdz, proszę.

Dziewczyna zrobiła jeden krok przed siebie i stanęła. W jej dość pospolitej, szerokiej twarzy wyraźnie wybijały się pełne strachu orzechowe oczy. Była ubrana w biały czepek i fartuch, który opinał wydatny biust.

- Rób, co księżna każe - popędził ją Phelps. - I pospiesz się, bo jesteś potrzebna w kuchni.

Alice drobnymi kroczkami weszła głębiej. Dłonie zaciskała nerwowo na szarym materiale sukienki widocznej pod fartuchem. Phelps odprowadzał ją groźnym i czujnym spojrzeniem, jakby obawiał się, że dziewczyna ukradnie jedną z książek z pobliskiej półki. Jego skrzywione usta pokazywały wyraźnie, że nie podoba mu się, iż zwykła pomywaczka znalazła się na pokojach.

Jego wyniosłe zachowanie irytowało Sophie. Kamerdyner z wiekiem robił się coraz bardziej denerwujący. Może czas porozmawiać z Heleną na temat jego wynagrodzenia.

- To wszystko, Phelps, dziękuję.

- Jeśli wolno mi zauważyć, jaśnie pani, dziewczyna potrzeba jest na dole i...

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że mamy dzisiaj przyjęcie - przerwała mu ostro. - I przy okazji proszę wykreślić z listy gości pana Chandlera. Nie będzie mógł przybyć. Wychodząc, niech pan zamknie za sobą drzwi.

Kamerdyner jeszcze raz groźnie popatrzył w stronę podkuchennej, po czym uklonił się sztywno i wyszedł.

Sophie zaś zaczerpnęła głęboko powietrza, żeby uspokoić nerwy, a potem spojrzała na Alice. Dziewczyna sprawiała wrażenie wystraszonej i onieśmiałej. Wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła zemdleć.

- Podejź tu - zachęciła ją łagodnym głosem Sophie - i usiądź. Oczywiście pomywaczki zrobiły się wielkie jak spodki.

- Mam usiąść? Ja?

- Tak. Będzie ci wygodniej. - Przywoławszy na twarz ciepły uśmiech, Sophie pokierowała służącą do fotela przy kominku. Alice, ze spuszczonego wzrokiem, przysiadła na jego brzeżku.

Sophie zajęła miejsce naprzeciwko niej.

- Martwię się o twoje zdrowie, Alice. Jak się dzisiaj czujesz?

- D... dobrze, jaśnie pani.

Dziewczyna wcale nie wyglądała dobrze. Jej piegowata twarz była blada, pod oczami widniały ciemne półkola. Biała otoczka wokół ust sugerowała, że często dokuczają jej mdłości.

Sophie uznała, że najlepiej zrobi, jeśli od razu przejdzie do meritum. Nie chciała przetrzymywać służącej w niepewności, przedłużając tym jej cierpienia.

- Który to miesiąc, moja droga? Alice podskoczyła na fotelu.

- Słu... słucham, jaśnie pani?

- Jesteś w ciąży, czyż nie? To dlatego wczoraj zemdliałaś. - Sophie wyrażała jedynie podejrzenie, ale reakcja służącej je potwierdziła.

Jej podbródek zadrżał niebezpiecznie. Czerwone, popękane dłonie zacisnęła kurczowo na materiale sukni. Z oczu trysnęły łzy, które polały się rześnistym deszczem na policzki.

- Proszę mnie nie wyrzucać, jaśnie pani. Przysięgam, że jestem w stanie pracować. Niech mnie pani nie wyrzuci na ulicę.

- Zanosząc się łkaniem, dziewczyna ukryła twarz w fartuchu.

- Nie zamierzam zrobić niczego takiego. - Zapominając o różnicach klasowych, Sophie podeszła do splakanej pomywaczki i, przysiadłszy przy niej, poklepała ją uspokajająco po szerokich plecach. - Ale muszę niestety zadać ci dość osobiste pytanie. Kim jest ojciec dziecka?

- Ja... ja nie śmiem powiedzieć. - Fartuch tłumił odpowiedź.

- Pan Elliot Ramsey, tak?

Płacz Alice wzmógł się, co stanowiło wystarczającą odpowiedź.

- Spójrz na mnie - poprosiła łagodnie Sophie. Kiedy dziewczyna podniosła na nią oczy, spytała: - Czy pan Ramsey zmuszał cię do sypania z nim?

- Zmu... zmuszał? - Z twarzą mokrą od łez Alice popatrzyła na Sophie zdumionym wzrokiem. - Nie, skąd. To przecież dżentelmen.

To ci dopiero dżentelmen. Dobrze sobie wybrał ofiarę. Gdyby był teraz w bibliotece, Sophie z rozkoszą rozbiłaby mu wazon na głowie.

- Czy mówiłaś panu Ramseyowi o swoim stanie? Alice zadrżała.

- Nie... nie mogłabym.

- Czy przez ostatnie kilka miesięcy sypiałaś z kimś jeszcze?

- Sophie czuła, że musi zadać to pytanie. - Tylko mów prawdę. Może ktoś inny jest ojcem dziecka?

- Och, nie, jaśnie pani. Mama dobrze mnie wychowała.

Sophie wierzyła służącej. Alice sprawiała wrażenie niewinnej, a także niezbyt bystrej. Przeklęty Eliot wykorzystał to biedne, bezbronne stworzenie!

Małżeństwo nie wchodziło w grę, przez co Alice zostawała sama ze swoim kłopotem. Kiedy już się wyda, że straciła dziewictwo, żadna porządna rodzina nie przyjmie jej nigdy na posadę.

Sophie bardzo jej współczuła. Okres ciąży powinien być czasem radosnego oczekiwania, a nie zgryzoty i przerażenia. Sama doskonale wiedziała, co to znaczy bać się o niepewną przyszłość, mieć świadomość, że ta mała istotka w środku może polegać tylko na matce. Teraz też być może coś takiego ją czekało. Powtórnie...

Tyle że ona jest zamożna i uprzywilejowana. Może do czasu rozwiązania ukryć się w swojej wiejskiej posiadłości. I choć ona i dziecko i tak zapewne padliby w końcu ofiarą plotek, przynajmniej nie groziłby im głód.

Zawstydzona swoim samolubstwem, powiedziała:

- Czy wiesz już, co zrobisz, kiedy ciąża stanie się widoczna? Na kiedy przypada termin porodu? Istnieje możliwość, żebyś wróciła na ten czas do domu rodziców?

- Nie, madame. Ojciec by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że dopuściłam się tak ciężkiego grzechu. - Alice opuściła ręce na brzuch. - Bałabym się o dziecko.

To wszystko wyjaśniało. Sophie postanowiła, że porozmawia z Elliotem zaraz po jego powrocie z zakupów.

- O nic się już nie martw, Alice. Dopilnuję, żebyście ty i dziecko znaleźli odpowiednią opiekę. Daję ci na to moje słowo.

W oczach dziewczyny zamigotała iskra nadziei. Opadła na kolana i zaczęła gorączkowo obcałowywać rąbek sukni Sophie.

- Och, wasza łaskawość - łkała. - Niech Bóg panią błogosławi za pani dobroć!

Sophie poczuła się skrepowana tymi wylewnymi podziękowaniami, pospiesznie więc zmusiła służącą, żeby wróciła na swoje miejsce.

- Będziesz jednak musiała zapłacić pewną cenę za moją pomoc. Liczę na twoje wsparcie w pewnej ważnej kwestii.

Alice popatrzyła na nią z pełnym oddania skupieniem.

- Ależ oczywiście, madame. Dla pani wszystko!

- Powiedz mi zatem, co pamiętasz z dnia, w którym zachorował książę.

Rozdział XXIII

13 grudnia 1701

O jakże William zdumiał się i ucieszył, kiedy mnie zobaczył. Och, jaki był piękny w brokatowym surducie. Wychodził właśnie na spotkanie z przyjacielem (tak powiedział), ale na szczęście zrezygnował ze swoich planów na wieczór. Następných kilka godzin minęło nam jak w cudownym śnie. Rozmawialiśmy o wszystkim... i o niczym. Całowaliśmy się i pieściliśmy... Więcej nie powiem, bo już na samo wspomnienie zalewam się rumieńcem wstydu.

A co najwspanialsze, William odziedziczył mały spadek, zatem stać go wreszcie na utrzymanie żony. Zaczęliśmy więc planować ucieczkę.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Już zmierzchało, kiedy Grant wrócił z bezowocnej wyprawy do Surrey.

Dogłębnie rozczarowany, wyskoczył z dwukółki i, pozostawiwszy konie parobkowi, ciemnym ogrodem na tyłach domu ruszył do drzwi wejściowych. Całą drogę do Londynu przeklinał samego siebie za własną głupotę.

Było przecież oczywiste, że nie zastanie Elliota na miejscu wykopalisk. Elliot pojechał do Londynu na to przekłętę przyjęcie, o którym Grant zupełnie zapomniał.

A zapomniał, bo myśli miał zajęte Sophie. Zbyt długo nie słuchał głosu instynktu, który podpowiadał mu, że księżna nie jest zdolna popełnić morderstwa. Dopiero rozmowa o Randolphie otworzyła mu oczy. Jak mógł kiedykolwiek podejrzewać, że Sophie jest zimną, wyrachowaną zbrodniarką? Ona nie potrafiłaby nikogo otruć. Jest na to zbyt uczciwa i dobra.

A on ją stracił. Przez głupi błąd.

W trakcie jazdy do rzymskich ruin Grant miał mnóstwo czasu na rozmyślania. Jeszcze raz przyjrzał się dostępnym mu informacjom, tym razem już nie zakładając, że to Sophie zabiła męża.

To prawda, że wyszła za Roberta ze względu na jego zamożność i status, ale Grant był teraz przekonany, że zarazem darzyła Mulforda szczerym uczuciem.

Jego ułomność mogła jej posłużyć za motyw zbrodni, ale wtedy nie traktowałyby Geoffreya Langstona z takim szacunkiem i wykorzystałyby okazję, żeby podejrzenia o morderstwo zrzucić na niego.

Według anonimowego nadawcy listu, to ona jest morderczynią. Możliwe jednak, że prawdziwy zabójca szuka kozła ofiarnego - albo chce się zemścić zarówno na Sophie, jak i na Robercie. Na myśl przychodzili mu Langston i Elliot.

Sophie wiedziała, gdzie znajdzie trutkę na szczury. Ale wiedziało o tym też tuzin innych osób, łącznie z Heleną, a może nawet Elliotem.

Sophie była w kuchni tego dnia, gdy Robert zachorował. Tak jak Helena i Elliot.

Początkowe podejrzenia Granta, że to księżna jest winna śmierci męża, brały się z tego, że Robert nie podzielił się z żoną swoimi obawami. Wygląda jednak na to, że Robert po prostu pragnął oszczędzić jej zmartwień i nie chciał też zapewne jej narażać. Bo zabójca mógł zwrócić się także przeciwko niej.

Grant dotarł wreszcie do domu. Noc była chłodna i wilgotna, a on, pomimo płaszcza, czuł, że jest przemarznięty do szpiku kości. Jedno wiedział na pewno: jest skończonym głupcem. Pozostawał ślepy na wszelkie dowody niewskazujące na Sophie, w której usilnie chciał widzieć zbrodniarkę - bo miał o niej jak najgorsze zdanie.

Nawet po dziesięciu latach nadal pragnął odkryć w niej jakieś wady, żeby ulżyć swojej zranionej dumie. Bo tak naprawdę fakt, że Sophie go odtrąciła, wciąż sprawiał mu ból.

Nie mógł jednak dłużej obwinać jej za to, że wybrała status i bezpieczeństwo, a nie jego. Nie był przecież przed laty wymarzoną partią dla żadnej kobiety. A obecnie jego wartość jeszcze się zmniejszyła.

Otworzywszy drzwi, wszedł do domu. Ciepły blask świec przypomniawszy mu trzy minione wieczory spędzone z kochanką. Nawet to, że ją uwiódł, było powodowane chęcią zemsty. Chciał, żeby Sophie pożałowała go do szaleństwa. Uzależniła się od niego. A on tymczasem miał pozbyć się tej chorej obsesji na jej punkcie.

Wspinając się na schody, starał się ignorować ból przenikający jego pierś. Postanowił, że musi zmienić nastawienie, musi uwierzyć w niewinność Sophie. Zaufać jej na wiarę, bez dowodów.

Tyle że Hannibal Jones z taką samą determinacją pragnie wykazać jej winę.

Niewiele brakowało, a Grant przyłożyłby wścibskiemu policjantowi, kiedy ten zasugerował, że wie o jego romansie z księżną. Wpadł w taką wściekłość, że gotów był udusić Jonesa za szpiegowanie. Na szczęście w samą porę zrozumiał, że konstabl mówił o romansie sprzed lat.

I podejrzewał, że Grant coś ukrywa. Że ochrania Sophie.

Dociekliwość Jonesa budziła niepokój. Grant modlił się, żeby policjant nie zebrał wystarczającej ilości dowodów potrzebnych do wydania nakazu aresztowania. Na szczęście Sophie należy do arystokracji, tak więc sędzia pokoju, w obawie przed pomyłką, będzie się domagał naprawdę solidnych faktów. Ale Jones nie zrezygnuje. I pewnie, tak jak wcześniej Grant, nie weźmie pod uwagę innych podejrzanych.

Tymczasem prawdziwy morderca pozostaje na wolności, a anonimowy list to sygnał, że on - lub ona - żywi urazę do Sophie.

I właśnie z tego powodu Grant uznał, że powinien jednak pojawić się na przyjęciu - wbrew chęciom. Otoczony gronem gości, przyjrzy się Helenie i Elliotowi. Sophie go nie wyrzuci, nie będzie chciała robić scen.

A jeśli ujawni przed wszystkimi, że jest złodziejem?

Nie zrobi tego. Maniery jej na to nie pozwolą. Zależy jej przecież na reputacji.

A jeśli jednak to uczyni?

Grant wszedł do sypialni. Tutaj też płonęły świece, tak jakby Wren oczekiwał, że i tego wieczora Sophie, udobruchana przez kochanka, pojawi się na schadzce. Zdarł z siebie wściekłym ruchem surdut i rzucił go na kanapę. Z wewnętrznej kieszonki wypadł przy tym na ziemię jasny prostokąt.

Pochylił się po niego. Był to liścik, który wcześniej przekazała mu pani Howell. Myślał wtedy, że to zaproszenie, lecz z powodu wizyty Jonesa nie zajrzał do środka.

Miał go już wyrzucić do ognia, gdy nagle jego uwagę przykuł charakter pisma. Był jakiś dziwny, wyraźny i ostry, jakby sztuczny. Podobny do tego, który widniał na liście anonima.

Grant, marszcząc czoło, złamał pieczęć i rozłożył papier. Wiadomość była krótka. On jednak musiał przeczytać ją aż dwukrotnie, że pojąć jej zatrważający sens.

Księżna Mulford oszukała ciebie i wszystkich innych. W żyłach młodego księcia nie płynie krew Ramseyów. To twój syn.

* * *

- Niczego sobie przemiana, nie sądzisz? - mruknęła Helena.

Sophie, podążając za wzrokiem szwagierki, przeniosła spojrzenie na Elliota. W salonie Mulford House znajdowało się około pięćdziesięciu gości. Między nimi przechadzali się lokaje w niebieskich liberjach, roznoszący na srebrnych tacach kieliszki z szampanem. Pod jedną ze ścian stał Elliot otoczony wianuszkami chichoczących debiutantek.

Choć raz kuzyn Roberta wyglądał porządnie, a nawet korzystnie. Jego rzedniejące ciemne włosy były przycięte i ufryzowane. Elegancki ubiór składał się z szytego na miarę ciemnozielonego surduta i opiętych pantalonów, a starannie związany pod gardłem śnieżnobiały fular ładnie podkreślał opaloną cerę. Elliot w każdym calu przypominał dżentelmena... zniechęconego i poirytowanego, ale jednak dżentelmena.

Czy jest też mordercą? Sophie nie potrafiła na to odpowiedzieć. Alice nie powiedziała nic, co rzuciłoby światło podejrzeń na niego.

- Rzeczywiście, dokonałaś cudu - stwierdziła uprzejmie.

- Jak ci się to udało w tak krótkim czasie?

Usta szwagierki ułożyły się do przebiegłego uśmiešku. Pomimo szkarłatnego znamienia na policzku, wyglądała tego wieczora przepięknie. Elegancka fryzura ułożona z blond włosów wspaniale komponowała się z jej czarną wytworną suknią.

- To było proste. Dałam mu do zrozumienia, że któreś z tych rzymskich znalezisk byłoby doskonałym prezentem ślubnym.

Bezczelność szwagierki oburzyła Sophie.

- Znaleziska z Chichester należą do Luciena. Nie wolno ci ich rozdawać.

- Na litość boską, przecież wcale nie zamierzam tego robić - obruszyła się Helena, sprawiając wrażenie lekko poirytowanej. - To tylko sposób na Elliota, żeby wreszcie pomyślał o ożenku. Sądziłam, że ty też pragniesz, żeby się ustatkował.

Sophie rzeczywiście nie miała nic przeciwko urządzeniu Elliotowi urodzinowego przyjęcia, na którym mógłby wyszukać sobie żonę. Sama przecież dodała do listy gości kilka wykształconych kobiet. Jedna z nich, wysoka i szczupła, poważna dama w źle dopasowanej brązowej sukni, rozmawiała z nim teraz.

Jednak jej milczące poparcie projektu wyswatania Elliota osłabło, kiedy dowiedziała się o Alice. Była rozczarowana i zdegustowana postępkami kuzyna i nie zamierzała więcej szukać mu żony.

Od razu, gdy tylko on i Helena powrócili z zakupów, poprosiła go na stronę i zrobiła mu wykład o jego obowiązkach wobec pomywaczki. Elliot próbował wypierać się, że to nie on jest ojcem. Narzekał i wyklócał się, w końcu jednak przyrzekł, że zaopiekuje się Alice i dzieckiem. Później chodził nadęty niczym mały chłopczyk, którego nakryto na wykradaniu słodczy.

Helena o niczym nie wiedziała, a Sophie nie zamierzała jej jeszcze nic mówić.

- Och, panna Morton siedzi zupełnie sama - zauważyła szwagierka, spoglądając w stronę dość pulchnej dziewczyny w sukni przesadnie upstrzonej różowymi falbankami. - Muszę ją przedstawić Elliotowi. - Powróciwszy na chwilę wzrokiem ku Sophie, przesunęła nim po jej nowej wiśniowej kreacji. - A przy okazji, ładnie dzisiaj wyglądasz. Szkoda tylko, że pan Chandler nie mógł zaszczycić nas swoją obecnością.

Kiedy odeszła, znikając w tłumie gości, Sophie powiedziała sobie, że powinna raczej odczuć ulgę, niż się irytować. Rozumiała, dlaczego Helena jest wobec niej taka uszczypliwa. Miała żal, że zamiast pomagać, spała do południa. Jednak uwagi o Grancie Sophie nie umiała przyjąć spokojnie. Było jasne, że szwagierka, choć nie znała prawdziwego powodu jego nieobecności, jest zadowolona, że się nie pojawił.

Cóż, jej też to odpowiadało. Nie chciała widzieć Granta. Już nigdy. A ten bolesny skurcz serca kiedyś minie.

To szczęście, że odkryła jego prawdziwą naturę, zanim powiedziała mu o Lucienie. Zanim uczyniła coś tak nierozsądnego, jak danie mu powodu, żeby się z nią ożenił. I nie przyjmowała do wiadomości, że znów może być z nim w ciąży.

Postanowiwszy nie myśleć więcej o Grancie, przyjęła kieliszek szampana od przechodzącego lokaja. Uśmiechnęła się i zmieszała z gośćmi, starając się jak najlepiej odgrywać rolę uprzejmej gospodyni. Dzięki Bogu wyglądało na to, że do nikogo z obecnych nie dotarły jeszcze plotki o dochodzeniu w sprawie morderstwa. Zgodnie ze słowami Heleny służba była lojalna wobec rodziny Mulfordów i zachowywała milczenie.

Witając się ze znajomymi i wymieniając uprzejmości, otoczona szumem głosów i uroczystą atmosferą, Sophie czuła w głębi dziwne wzruszenie. Pojęła, że bardzo jej już brakowało towarzyskich spotkań. Wieczór w miłym gronie to najlepszy sposób, żeby na chwilę zapomnieć o problemach.

I o tym, jak spędziła kilka ostatnich wieczorów. Zapomnieć o szalonych, namiętnych schadzkach z Grantem.

Ból w jej sercu stał się intensywniejszy. Powracała myślami do kochanka tylko dlatego... dlatego, że w rzeczywistości miała nadzieję, że wbrew jej zakazowi, pojawi się on jednak na przyjęciu - miał przecież przesłuchać Elliota. Liczyła, że nie zrezygnuje z poszukiwania zabójcy.

Że nie zrezygnuje tak łatwo z niej. A może zrezygnuje?

W drzwiach wejściowych salonu pojawiło się dwóch spóźnionych gości, których widok bardzo ją ucieszył. Pospieszyła więc do nich. Była to Caroline z mężem.

- Droga Sophie! - zawołała radośnie przyjaciółka, biorąc ją w objęcia. - Czy to jedna z tych nowych sukien, które razem wybierałyśmy? Ależ oczywiście, że tak. Wspaniale ci w niej.

Sophie bardzo potrzebowała tego balsamu życzliwości.

- Caro! Tak się cieszę, że wróciłaś.

- Nawet nie wiesz, jak ja się cieszę - odparła kobieta, błyskając wesoło niebieskimi oczami. - Po drodze z Wimbledon w moim powozie pękła oś. Ja i pokojówka, czekając na naprawę, spędziłyśmy na poboczu całą wieczność. A kiedy wreszcie dotarłam do domu - okropnie spóźniona - okazało się, że James

nadal jest w parlamencie. - Caroline spojrzała na męża z udawanym wyrzutem. - A ja sobie wyobrażałam, że po tygodniowej rozłące mąż będzie czekał na mnie z rozpostartymi ramionami.

Hrabia Belgrave ucałował szarmancko dłoń żony. Był to powściągliwy, dystyngowany mężczyzna, z kępą siwiejących ciemnych włosów i o surowym spojrzeniu - łagodniejącym tylko wtedy, kiedy patrzył na małżonkę.

- Mieliśmy ważne głosowanie, najdroższa. Ale nic się nie martw, wynagrodzę ci twoje rozczarowanie.

Małżonkowie obdzielili się ciepłymi uśmiechami. Była to piękna para - hrabia wysoki i wytworny w ciemnoniebieskim surducie i Caroline, o ponętnej figurze, w sukni koloru słońca.

Patrząc na nich, Sophie odczuwała lekką zazdrość. Miała przed sobą małżeństwo, które żyło ze sobą szczęśliwie już od dwudziestu pięciu lat. Jakże kiedyś marzyła, że znajdzie podobną bliskość i miłość u boku Granta...

- Trzymam cię za słowo, kochanie - zapewniła Caroline. - Ale teraz musisz zniknąć i pozwolić mi i Sophie trochę poplotkować.

- Jak sobie życzysz - zgodził się potulnie hrabia i, głęboko się ukloniwszy, odszedł do grupy rozdyktowanych dżentelmenów.

- Nie chciałabym was rozdzielać... - zaczęła Sophie, kiedy zostały same.

- Och, nie przejmuj się - przerwała jej wesoło Caroline, obejmując ją serdecznie. - James na pewno woli pogadać o polityce, niż plotkować. Zresztą tylko by nam przeszkadzał. Lepiej przejdźmy się po salonie, moja droga.

Ruszyły więc, gawędząc, choć Sophie zamiast mówić o drobnostkach, najchętniej zwierzyłaby się przyjaciółce ze swoich kłopotów. Uznała jednak, że przyjęcie to nie miejsce na rozmowę o morderstwie... ani o złamanym sercu.

- Opowiedz zatem, jak ci było u wdowy? - zapytała zamiast tego.

Caroline skrzywiła nos.

- Było cicho i nudno, oczywiście. Moja gospodyni, bidulka, miała zwyczaj przysypiać sobie podczas pogawędek, a ja czułam się co najmniej

dziwnie, kiedy okazywało się, że mówię do ściany. Ale w trakcie wizyty zdażyłam wyhaftować cały zestaw poduszek. - Przyjaciółka popatrzyła na Sophie wymownie. - No, ale mam nadzieję, że tobie tydzień minął w o wiele bardziej ekscytujący sposób.

Gdyby tylko Caro wiedziała.

- Obawiam się, że był aż nadto ekscytujący - mruknęła Sophie, pilnując, żeby nikt jej nie usłyszał. - Wpadniesz do mnie z rana? Mam ci tak wiele do opowiedzenia.

- No, no, to dopiero brzmi intrygująco. Może przynajmniej pokrótce wyjaw, o co chodzi i czy ma to związek z pewnym oszołamiąco przystojnym, ciemnowłosym dżentelmenem.

Sophie z trudem panowała nad wyrazem twarzy i tonem głosu.

- Owszem, choć nie tylko. I zaznaczę od razu, żebyś nie robiła sobie złudnych nadziei, że romans między mną a panem Chandlerem nie wchodzi w grę. Pan Chandler zupełnie mnie już nie interesuje.

- Za to ty jego z pewnością.

- Może tak było, ale okoliczności uległy zmianie.

- Doprawdy? - Z lekko zmarszczonym czołem Caroline popatrzyła najpierw na przyjaciółkę, a następnie przesunęła wzrokiem po tłumie gości. - Nie byłabym tego taka pewna, kochanie, biorąc pod uwagę sposób, w jaki ci się przygląda.

Rozmowa o Grantie sprawiała Sophie wielką przykrość i nie rozumiała, dlaczego przyjaciółka, zazwyczaj tak wyczulona na niuanse, przedłuża ten temat. Uznała, że musi przynajmniej jej naświetlić swoją obecną sytuację.

- Przyznam ci się, że rzeczywiście nieco się do siebie zbliżyliśmy... ale to już przeszłość. Nie spotkam się z Grantem nigdy więcej.

- Hm, zastanawiam się tylko, jak tego unikniesz.

- Słucham?

Caroline znów spojrzała w kierunku gości, po czym z zaciekawieniem popatrzyła na Sophie.

- Przygotuj się, kochanie, bo coś mi się wydaje, że masz niespodziewanego gościa. O ile wzrok mnie nie myli, prosto ku nam zmierza pan Chandler.

Serce Sophie na chwilę się zamarła, a kiedy znowu ożyło, biło jak szalone.

Odwróciła się i zobaczyła Granta, który szedł w jej stronę, choć co chwila się zatrzymywał i z kimś witał. Pomimo złej reputacji, towarzystwo go akceptowało. Był przecież bratem hrabiego Littona. I dobrze go pamiętano, mimo jego długiej nieobecności w kraju. Wzbudzał wyraźne zainteresowanie gości, a największe chyba u zebranych na przyjęciu dam oraz matek debiutujących panien, poruszonych pojawieniem się w ich gronie potencjalnego kandydata do ożenku.

Sophie, zawładnięta zazdrością, chciała krzyknąć na cały głos, że ten wysoki, przystojny mężczyzna jest już zajęty... że należy do niej.

Lecz nie mogła tego zrobić. To by było szaleństwo.

Niemniej, wbrew rozsądkowi, jej zmysły ożywiły się nagle, a w głowie dudniła radosna myśl: Grant tu jest. A jednak się pojawił. Po to, żeby odzyskać jej względy.

Ale ona mu nie ulegnie. Nie wolno jej tego uczynić. Choć z drugiej strony...

Grant stał w połowie salonu i przeszywał ją spojrzeniem swoich ciemnych oczu. Ukłonił się jakiejś damie, wdał się w pogawędkę z grupą dżentelmenów... i cały czas przyglądał się jej.

Twardo i przenikliwie.

Jej radość osłabła, żołądek się skurczył, pojęła bowiem, że kochanek jest wściekły. Gdzież podział się ten uwodzicielski, uroczy mężczyzna, z którym zamykała się w jego sypialni?

Czy w ogóle taki istniał? Przecież Grant od początku ją oszukiwał. Zataił przed nią, że jest złodziejem, że jego świat to świat podejrzanych łotrów. Zacerwieniona rana pod okiem, w miejscu, gdzie Bahir przycisnął czubek noża, wyraźnie jej o tym przypominała. Grant to człowiek niebezpieczny. Nie ma dla niego miejsca w jej życiu - ani w życiu Luciena. Pomimo zakazu miał czelność zjawić się w jej domu, wedrzeć się na przyjęcie...

Nadal zmierzał w jej stronę, wbijając w nią aroganckie spojrzenie - jakby to ona, a nie on, miała na sumieniu liczne przestępstwa.

Uniosła dumnie głowę i zmrużyła oczy. Też potrafi przywołać chłód i gniew w spojrzeniu. Ma pełne prawo...

- Coś mi się zdaje, że szykuje się awantura - mruknęła cicho Caroline. - No proszę, Helena też do nas idzie.

I rzeczywiście, przedarłszy się przez tłum gości, siostra Roberta stanęła przed Sophie w tym samym momencie co Grant.

- Lady Belgrave. Wasza książęca mość. Lady Heleno. To zaszczyt móc przebywać w otoczeniu tak pięknych dam - przywitał się, kłaniając się szarmancko.

- Panie Chandler. Jestem zaskoczona - odparła na to oziębłe Helena. - Sophie mówiła, że nie może pan zaszczyścić swoją obecnością naszego małego przyjęcia, a jednak się pan pojawił.

Pytany łypnął gniewnie w stronę księżnej.

- Zaszło widocznie jakieś nieporozumienie - mruknął.

- Wynikłe przez ciebie - odcięła się ostro Sophie, szybko jednak milknąc, bo uświadomiła sobie, że przyjaciółka i szwagierka są zaskoczone jej nieuprzejmym tonem.

- Przykro mi, jeśli swoim przybyciem wprowadziłem zamieszanie - odparł Grant. - Nie miałem takich intencji i przepraszam - tłumaczył się, jakby rzeczywiście odczuwał skruchę. A potem, zaskakując ją tym, objął palcami

nagie ramie Sophie. - Proponuję zatem, księżno, żebyśmy odeszli gdzieś na bok i wszystko sobie wyjaśnili.

Rozdział XXIV

15 grudnia 1701

17 dni do ceremonii zaślubin

Ku mojej wielkiej rozpaczy matka nic tylko liczy dni pozostałe do moich zaślubin z Mulfordem. Spędziłam z nią i strażniczką cały dzisiejszy dzień, ustalając miejsca dla ponad dwustu gości weselnych. Aż mnie od tego rozboleła głowa! Chciało mi się krzyknąć, że nie zostanę żadną księżną! Wyjdę za Williama i zamieszkać w przytulnym domku. I nigdy nie zaproszę do nas więcej niż dziesięciu gości naraz.

Nie odważyłam się jednak ujawnić mojego sekretnego planu.

Ucieknę z Williamem dzień po Bożym Narodzeniu. Ledwie mogę znieść to straszliwe napięcie, jakie odczuwam w związku z tym.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Sophie nie chciała znaleźć się sam na sam z Grantem. - Tu nie ma co wyjaśniać - oświadczyła. - Skoro się pojawiłeś, lokaj dostawi jeszcze jedno nakrycie.

- Nalegam jednak, żebyśmy odeszli na stronę - rzekł, ciągnąc ją za sobą. - Wybaczycie nam panie?

Sophie rzuciła ostatnie spojrzenie na Helenę, której twarz wyrażała dezaprobatę, i na zaciekawioną Caroline. Potem ruszyła za Grantem, który zdecydowanie prowadził ją w kierunku drzwi, nie zważając na to, że poszczególni goście przyglądają się im ze zdziwieniem. Kilka chwil później

podążali już eleganckim korytarzem, a odgłos ich kroków odbijał się echem od marmurowej posadzki.

Jego twarz, w świetle migoczącego blasku świec, była spięta. Wzrok miał wbity przed siebie, jakby nie mógł znieść widoku swojej towarzyszki. Sophie zadrżała z niepokoju.

To nie jest tylko gniew, myślała. Grant jest wściekły. Zdradzały to mocno zaciśnięte szczęki i kurczowy chwyt palców na jej ramieniu.

Intuicja jej podpowiadała, że nastrój kochanka nie ma nic wspólnego z dochodzeniem w sprawie morderstwa. Ani z faktem zakończenia ich romansu. Pozostawało tylko jedno...

Nie. Nie dopuści znów do siebie tych samych lęków. Ileż to razy do tej pory wpadała w panikę, żeby potem przekonać się, że nie było takiej potrzeby. Grant nie wie o Lucienie. Nie może wiedzieć.

Zaciągnąwszy ją do opustoszałego salonu, puścił jej ramię i odwrócił się, żeby zamknąć drzwi. Na stole stał kilkuramienny świecznik, a osadzone w nim świece rozjaśniały swoim światłem mahoniowe meble znajdujące się w pokoju, szkarłatną tapetę i przetykane złotą nicią zasłony. W kominku płonął ogień; na tym piętrze wszystkie pomieszczenia były przygotowane na odwiedzin gości, w razie gdyby zapragnęli w trakcie przyjęcia schronić się na chwilę w odosobnionym miejscu.

Sophie zrobiło się zimno, pomimo buzującego ognia. Pocierając ramiona, zastanawiała się, czy wolno jej usiąść. Nie, lepiej, żeby stała. Nie chciała, żeby Grant patrzył na nią z góry. Przynajmniej do chwili aż zrozumie powód jego posępnego nastroju.

Kochanek zbliżył się. Szczękę miał zaciśniętą, wyraz oczu lodowaty i trudny do odczytania. Było w nim coś przerażającego. Coś, co sprawiało, że Sophie kurczyła się w środku ze strachu i... żalu. Jeszcze wczoraj Grant był dla niej taki czuły.

Zobaczyła, że sięga do kieszeni i wyciąga z niej jakąś kartkę, którą wciska jej w rękę. Następnie, jakby nie był w stanie ustać w miejscu, zaczął krząć nerwowo po pokoju.

Opuściła wzrok na kartkę. Na jednej stronie widniało nazwisko i imię Granta napisane starannym, nieznanym jej charakterem. Cóż to za kartka? Dlaczego Grant wręczył ją bez słowa wyjaśnienia? I skąd ten okropny ucisk w żołądku, jakby spodziewała się czegoś straszego?

Rozłożyła powoli list. Papier zaszeleścił w jej drżących dłoniach. Miała ochotę przeczytać treść, a zarazem... wahała się. W końcu ciekawość wzięła górę. Zaraz potem tego pożałowała.

Litery rozpląnęły się jej przed oczyma. Panika wywołała mdłości. To niemożliwe... nie! Zapragnęła uciec z salonu, pobiec do sypialni, zakopać się pod kołdrą i obudzić się rano z przekonaniem, że ten koszmar tylko jej się przyśnił.

Niespodziewanie w ciszę wdarł się ostry głos Granta.

- I co, księżno? Nie masz mi nic do powiedzenia?

Z trudem uniosła głowę. Grant zbliżył się i stanął tuż przed nią. Widziała go jak przez mgłę, jakby patrzyła na niego przez blok lodu.

- Ja...

- No, dalej - warknął. - Wysłuchajmy twoich usprawiedliwień. Miałaś przecież aż dziesięć lat na wymyślnie przekonującej wymówki.

Czuła taki ucisk w piersiach, że ledwo mogła nabrać tchu. Gardło miała ściśnięte. Przez głowę przelatywały słowa zaprzeczenia. Ale w końcu postanowiła się poddać.

- To prawda - szepnęła. - Lucien rzeczywiście jest... twoim synem.

Oczy Granta zabłyśły groźnie. Wyglądał tak, jakby wręcz żałował, że nie zaprzeczyła. Wpatrywał się w nią z napięciem, a jego klatka piersiowa unosiła się i opadała ciężko, jakby i jemu oddychanie sprawiało trudność. Przez jedną krótką chwilę sądziła, że ją uderzy.

On jednak odwrócił się, przesunął dłonią po włosach, po czym znów zwrócił się ku niej.

- Niech cię szlag, Sophie! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Nieraz odpowiadała na to pytanie w myślach. Przekonywała samą siebie, że nie miała innego wyboru. Ale teraz w jej umyśle zapanowała pustka. Patrząc na Granta, nie umiała podać jednego sensownego powodu.

Pragnęła tylko, żeby dało się cofnąć czas. Bo za wściekłością w pociemniałych oczach kochanka czaił się ból. Cierpienie. Wyglądał na straszliwie zranionego.

- Ja... ja... tak mi przykro...

- Przykro? - Grant wolno pokręcił głową. - Sophie, przecież pytałem cię, czy nie zaszłaś w ciążę? A ty mnie okłamałaś. Odrzuciłaś moje oświadczyzny. Zareczyłaś się z Robertem, łaszcząc się na jego majątek i tytuł. Bez porozumienia ze mną pozwoliłaś, żeby obcy mężczyzna wychowywał mojego syna.

Jej uczynek, przestawiony tak jednoznacznie, wyglądał na okrucieństwo. Niewybaczalne okrucieństwo.

- Błagam, spróbuj mnie zrozumieć - szepnęła. - Byłam młoda... wystraszona. Poza tym chciałam ci powiedzieć... wczoraj na schodach.

- Wczoraj? - Z gardła Granta wydobyło się sarkastyczne chrząknięcie. - To o dziesięć lat za późno.

Zmiąwszy list, Sophie zrobiła krok w jego stronę.

- Nie... nie chciałeś się ze mną ożenić, Grant. Powiedziałeś... - Głos się jej załamał, ale zmusiła się, by mówić dalej. - Powiedziałeś, że choć musisz się ze mną ożenić, to nie stać cię na żonę. To są dokładnie twoje słowa. Czuleś się zmuszony zaproponować mi małżeństwo.

Patrzył na nią oziębłym, pełnym niedowierzania spojrzeniem.

- Racja, byłem wtedy zadłużony. Ale powinnaś była mi zaufać. Zdobyłbym pieniądze na utrzymanie ciebie i Luciena.

- Jakim sposobem? Kradnąc? - Sophie była zaszokowana, że to powiedziała. Nie miała prawa zakładać, że Grant, gdyby pozostał w Londynie, zwróciłby się ku złodziejstwu.

Jego twarz od gniewu zrobiła się szara.

- Tak, to prawda, że kradłem - przyznał gorzko. - Ale tylko biżuterię, nigdy dzieci.

Sophie nie umiała znaleźć na to odpowiedzi. Grant miał rację. Och, Boże, pewnie ją znienawidził. Zapragnęła, kryjąc twarz w dłoniach, zalać się łzami.

- Roberta pewnie też oszukałaś - odezwał się po chwili milczenia. - A kiedy się dowiedział, że Lucien nie jest jego synem, otrułaś go. Nie chciałaś, żeby syn utracił prawo do tytułu.

To niespodziewane oskarżenie było jak uderzenie obuchem. Oniemiała z przerażenia, spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- To niemożliwe, żebyś rzeczywiście myślała...

- Że pozbyłaś się męża, kiedy przestał być wygodny? Ale to ma sens. - Odszedł, po czym odwrócił się i popatrzył na nią lodowato. - Twój syn został księciem, a ty masz do dyspozycji tytuł i ogromną fortunę. Ciekawe, co powie na to Hannibal Jones.

Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Grant mówił serio. Znow nałożył na twarz tę kamienną maskę. Był groźny, jak ktoś zupełnie obcy.

- Mylisz się. Robert od początku o wszystkim wiedział. I nigdy nie skonsumowaliśmy naszego małżeństwa. Nigdy.

Grant milczał.

- A więc w tym względzie też mnie oszukałaś - odezwał się wreszcie, mierząc ją pogardliwie. - A może teraz kłamiesz?

- Grant, posłuchaj. Poszłam do Roberta, jak tylko się zorientowałam... Powiedziałam... powiedziałam mu, co się stało, a on zaproponował mi małżeństwo. Postąpił jak prawdziwy przyjaciel.

- Wielka szkoda, że nie ma go już wśród nas, żeby mógł potwierdzić twoją wersję wydarzeń.

Sophie czuła się bezradna wobec jego oskarżeń. Uważał ją za oszustkę i nie wierzył w ani jedno słowo. Mimo wszystko uniosła ręce w błagalnym geście.

- Przecież mnie znasz. Jak możesz myśleć, że byłabym zdolna do... morderstwa.

- Wyjaśnię ci to. Robert napisał do mnie przed śmiercią. Twierdził, że ktoś z jego otoczenia, ktoś bliski, podał mu truciznę. Moje podejrzenia od razu padły na ciebie.

Sophie była wstrząśnięta tym, co usłyszała. Potrzebowała czasu na zastanowienie, na uporządkowanie gąszczy informacji. Ale Grant patrzył na nią ponuro, czekając na odpowiedź.

- Dostałeś list? Od Roberta? On wiedział...?

- Tak - padło ostre, ozięble potwierdzenie. - Błagał, żebym wrócił do Londynu. Oczywiście, kiedy list do mnie dotarł, było już za późno. Ale i tak wróciłem. Z konkretnym celem, Sophie. Zamierzałem udowodnić ci winę.

Nie chciała przyjąć do siebie tego, co mówił. Niemniej pamięć sama podsuwała sceny z niedalekiej przeszłości. To, jak Grant wypytywał ją o małżeństwo. Jego zainteresowanie trutką na szczury użytą w bibliotece. Podejrzliwy sposób, w jaki cały czas ją obserwował.

Czując miękkość w kolanach, żeby nie upaść, złapała się poręczy fotela i usiadła. Grant cały czas miał ją za zabójczynię. Uwodził ją i zarazem szukał dowodów na to, że popełniła morderstwo. Sądził, że otruła męża, jeszcze zanim...

Uniosła gwałtownie głowę.

- Ty napisałeś ten anonim? Chciałeś, żeby policja pomogła ci w zbieraniu dowodów.

Grant się skrzywił.

- Ależ skąd. Nigdy nie zamierzałem mieszać do tego stróżów prawa. Wręcz odwrotnie, kiedy dowiedziałem się o liście, robiłem, co mogłem, żeby nic na ciebie nie znaleźli.

- Jak to? Dlaczego? - spytała ze zdziwieniem zmieszanym ze złością. Była oburzona, że Grant próbuje jej wmówić, że jej pomagał. Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem. - Przecież to by było po twojej myśli, gdybym trafiła do więzienia.

- Istnieją inne formy kary.

Zawołana groźba wywołała w niej dreszcz niepokoju. Niespodziewanie spłynęła na nią fala silnego pożądania. Jej piersi nagle nabrzmiały, a skóra stała się gorąca. Była zbulwersowana reakcją własnego ciała. Co Grant miał na myśli? Czyżby to, że podstępem zmusił ją, żeby została jego kochanką? Ale przecież została nią dobrowolnie.

- W takim razie istnieje ktoś jeszcze, kto równie silnie jak ty pragnie mnie zdyskredytować - zauważyła, odchodząc świadomie od niebezpiecznego tematu intymnych związków. - Ciekawe, kto napisał list na policję, a także ten. - Wyciągnęła dłoń ze zmiętą kartką.

- Nie mam pojęcia. - Grant odebrał od niej list, złożył go i schował do wewnętrznej kieszeni surduta. - Ale zamierzam dowiedzieć się tego.

Sophie zaczęła się zastanawiać, kto mógł domyślać się prawdy o pochodzeniu Luciena. Helena? Elliot? Czyżby, kiedy zobaczyli Luciena i Granta razem, dostrzegli podobieństwo między nimi? A może to Geoffrey Langston?

O Boże... a jeśli ta osoba zamierza zdyskredytować nie ją, a Luciena?

Próbując zapanować nad uczuciem paniki, wstała.

- Możesz mnie sprawdzać, ile chcesz. Nie mam nic do ukrycia. Niemniej nie zmienię mojego wczorajszego żądania. Masz nie zbliżać się ani do mnie, ani do Luciena.

Twarz Granta skurczyła się gniewnie.

- To mój syn, Sophie. Przez ciebie nie mogłem go wychowywać. Niech mnie szlag trafi, jeśli dam się teraz od niego odsunąć.

- A jeśli wróci Bahir? Albo inny szubrawiec z twojej przeszłości? - Na samą myśl o tym zrobiło jej się słabo. - Kontaktując się z Lucieniem, narażasz go na niebezpieczeństwo. Nie pozwolę na to. Nie mogę na to pozwolić.

- Nie mam pojęcia, jakim cudem Bahir mnie wyśledził, ale wierz mi, więcej takich jak on nie będzie. Pracowałem zawsze w całkowitej dyskrecji.

- Wygląda na to, że nie byłeś aż tak dyskretny, jak ci się wydaje - odcięła się. Walczyła z pragnieniem, żeby ustąpić przed żądaniem kochanka, ale rozumiała, że nie może narażać na ryzyko syna. - A jeśli znów zabraknie ci pieniędzy? Wrócisz do dawnego fachu? Ilu jeszcze łotrów będzie groziło ci wykipieniem oczu?

Grant machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

- Na litość boską, przecież mówiłem ci, że z tym koniec.

Sophie powtarzała sobie w duchu, że musi być twarda, że nie wolno jej ulec. A gdyby przy wczorajszej straszliwej scenie był obecny Lucien?

- Przykro mi, Grant. Nie mam wyboru. Muszę chronić syna. Utkwił w niej lodowate spojrzenie.

- Słusznie, że ci przykro - oświadczył podejrzenie spokojnym tonem. - Miałaś Luciena dla siebie przez dziewięć minionych lat. Teraz moja kolej.

Ogarnęły ją mieszane emocje. Poczucie winy, że ukrywała przed kochankiem jego własne dziecko. Niechęć do samej siebie, bo zdawała sobie sprawę, że Grant pokochał Luciena. Ale przede wszystkim zawładnął nią strach.

- Nie odbierzesz mi Luciena. Sąd nie będzie chciał nawet wysłuchać cię w tej sprawie.

- Wcale nie zamierzam udawać się z tym do sądu. W przeciwieństwie do ciebie uważam, że dziecku potrzebni są obydwój rodzice. - Grant podszedł bliżej, zatrzymując się niecały metr od niej. - Pogódź się z tym, księżno. Ty i ja zostaniemy małżeństwem.

W trakcie kolacji Grant nie potrafił ani na chwilę zapomnieć o Sophie. Ona zaś siedziała u szczytu stołu i, jak gdyby nigdy nic, gawędziła uprzejmie z sąsiadami. Tak jakby nie zrujnował właśnie jej życia. I ani razu na niego nie spojrzała.

Nie słyszał, o czym rozmawiała, bowiem jego miejsce znajdowało się gdzieś w połowie ogromnie długiego, odświetnie udekorowanego stołu. On też w końcu wdał się w pogawędkę o koniach z dżentelmenem po prawej. A raczej to ten dżentelmen, którego nazwiska nie dosłyszał, nie przestawał o nich rozprawiać, a Grant od czasu do czasu kiwał głową, udając, że zna się na temacie. I po kryjomu nadal obserwował Sophie.

W świetle świec jej cera wydawała się półprzezroczysta, jakby perłowa. Barwa miedzianych, zaczesanych do góry włosów podkreślała piękno jej delikatnych rysów twarzy i długiej szyi. Nisko wycięty dekolt przyciągał wzrok do krągłych piersi.

Sophie należy do niego. Wyłącznie do niego. Nie dotknął jej nigdy żaden mężczyzna poza nim. Pomimo furii, Grantem owładnęło uczucie zaborczości. Zapragnął zabrać Sophie do sypialni.

Nie. Jedyne, czego pragnie, to wymierzyć jej karę. Przecież zrobiła z niego durnia. Ze wszystkich grzechów, jakie jej przypisywał, rozdzielenie go z synem było najgorsze. A ona mimo to siedzi sobie spokojnie i, słuchając obwieszanej klejnotami matrony, uśmiecha się do niej uprzejmie. Opanowanie, które pokazywała na zewnątrz, zapewne nijak się ma do wzburzenia w jej sercu.

Była oszołomiona, kiedy się okazało, że jej sekret ujrzał światło dzienne. Grant zupełnie ją zaskoczył. Naprawdę była zdumiona... jednak nie tak, jak on.

Lucien jest jego synem. Jego synem.

Miał trudności z przyswojeniem tej informacji. Lucien, ten czarujący szkrab, jest jego dzieckiem. Na myśl o tym pierś wypełniała się mu słodko-gorzkim uniesieniem. Próbował wyobrazić sobie syna w niemowlęctwie, jego drobne piąstki i małe oczęta lśniące ufnością. Myślał o pierwszych krokach

Luciena, o urodzinowych prezentach, które otwierał co roku z podekscytowaniem.

Nie umiał jednak żadnej z tych rzeczy sobie przedstawić. W jego pamięci takie wspomnienia nie istniały. Sophie mu je wykradła. I to tylko dlatego, że uraził ją sposób, w jaki jej się oświadczył.

Dobrze pamiętał tamtą chwilę. Leżeli w łóżku, zmęczeni namiętym zbliżeniem, a jemu zebrało się na mdłości, uświadomił sobie bowiem, że odebrał Sophie dziewictwo. Pomimo złej reputacji nie miał zwyczaju wykorzystywać niewinnych, młodych dam. Nie miał... ale rozum odjęło mu wtedy szaleńcze pożądanie. Nigdy nie czuł podobnego w stosunku do innej kobiety.

A więc to bardzo prawdopodobne, że jego słowa brzmiały wtedy ostro. Może na moment zapomniał, że kobiety lubią czułość i romantyczne gesty. Jednak jego przytłoczyła świadomość tego, co uczynił. Martwił się, że nie będzie w stanie utrzymać żony. Sophie powinna była to zrozumieć.

- Pan mnie ignoruje, panie Chandler - usłyszał z boku dźwięczny głos lady Belgrave. - Gdzie pańskie maniery?

Sprowadzony tą uwagą do rzeczywistości, odwrócił się do swojej sąsiadki z lewej strony. Przyjaciółki Sophie, Caroline. Była to kobieta w średnim wieku, z błyszczącymi niebieskimi oczyma, którym chyba nigdy nic nie umykało. Wymowny uśmiezek na jej dość pospolitej twarzy mówił, że kobieta doskonale wie, iż Grant obserwuje Sophie.

Dałby sobie rękę odciąć, że lady Belgrave umyślnie zajęła miejsce obok niego. Wyraźnie interesowała się jego znajomością z księżną. Od początku posiłku zasypywała go zawołowanymi pytaniami, między innymi o jego plany na przyszłość. Jej życzliwe spojrzenie, połączone ze stanowczością w zachowaniu, kojarzyły mu się z ciotką Phoebe.

- Proszę wybaczyć - odrzekł ze swadą - ale właśnie dyskutowałem o aukcji koni u Tattersalla z lordem...

- Carringtonem - podpowiedziała z rozbawieniem Caroline. - Ależ pan dzisiaj rozkojarzony. Zupełnie jak Sophie. Była jakaś blada, kiedy wróciliście na przyjęcie.

Grant sięgnął po kieliszek z winem. Cały czas zręcznie unikał odpowiedzi na komentarze i pytania sąsiadki. Ale co tam, może to błędne podejście. Może lepiej, żeby wieści się rozniosły.

- Rzeczywiście, była nieco blada - zgodził się, zniżając głos do poufnego.
- Ale kobiety często tak reagują na oświadczyzny.

Lady Belgrave raczyła się właśnie kremem czekoladowym, podanym w zgrabnej małej kokilce. Jednak, kiedy usłyszała słowa Granta, łyżeczka wypadła jej z dłoni. Jej twarz rozpromieniła się.

- Doprawdy? - spytała i zerknęła w stronę Sophie. Wtedy jej uśmiech nieco przygasł. - Och, Boże, chyba pana nie odrzuciła?

- Ależ skąd. Niemniej, na razie, wolimy zatrzymać tę radosną wiadomość w tajemnicy.

- Może pan zaufać mojej dyskrecji. Domyślam się, że z ogłoszeniem zaręczyn chcecie poczekać do końca żałoby.

Szum rozmów i pobrzękiwanie naczyń były na tyle głośne, że zagłuszały rozmowę, której raczej nikt nie mógł podsłuchać. Mimo to Grant jeszcze bardziej zniżył głos.

- Tak naprawdę to zamierzamy pobrać się już wkrótce, za specjalnym pozwoleniem. Pragnę mieć Sophie przy sobie. Już raz ją straciłem i drugi raz nie dopuszczę do tego, rozumie pani?

Lady Belgrave uśmiechała się wprawdzie, ale nie sprawiała wrażenia przekonanej romantyczną deklaracją. Była na tyle sprytna, że wyczuwała, iż coś jeszcze kryje się za nią.

- Ma pan szczęście, panie Chandler. Sophie to miła, kochająca, cudowna osoba. Wierzę, że będzie pan oddanym mężem.

Z pewnością wykorzysta zalety narzeczonej, ale czy będzie jej oddany? W sercu nadal odczuwał ból na myśl, że Sophie pozbawiła go udziału w dzieciństwie Luciena. Te stracone lata są nie do odrobienia.

Posłał lady Belgrave swój najbardziej przekonujący uśmiech.

- Proszę się o nic nie martwić. Zamierzam bardzo dbać o Sophie.

- I o Luciena - przypomniała lady Belgrave, przypatrując się mu z uwagą.

- Proszę wybaczyć, że mówię tak otwarcie, ale to ważne. Niektórzy mężczyźni nie chcieliby wychowywać dziecka innego mężczyzny.

Palce Granta, obejmujące kieliszek, zamarły. Boże, gdyby tylko ta kobieta wiedziała, jak bardzo miła, kochająca, cudowna Sophie go oszukała...

- Ja już uważam Luciana za swojego syna - odpowiedział bez cienia wahania. - Proszę pamiętać, że Robert przekazał mi prawną opiekę nad nim.

Lady Belgrave przyglądała mu się przez chwilę, po czym z satysfakcją skinęła głową. Z oczyma, które znów radośnie zabłyśły, uniosła kieliszek z winem i powiedziała:

- No tak, wypadło mi to z głowy. Życzę zatem waszej trójce szczęścia na nowej drodze.

Szczęście. Nie umiał już go sobie wyobrazić. Zdusiwszy nieodparte pragnienie zerknięcia w stronę Sophie, zręcznie przeszedł z tematem rozmowy na bliskich lady Belgrave. Kobieta zaczęła z entuzjazmem opowiadać o swoich trzech synach, z których dwóch starszych miało już rodziny, a najmłodszy jeszcze się uczył. Opowieści Caroline były ciekawe i Grant z przyjemnością przysłuchiwał się im, mimo to część jego myśli nadal krążyło wokół kochanki.

Teraz już zrozumiał, dlaczego Robert wyznaczył go na opiekuna Luciena. Robert znał prawdę, a Sophie nie kłamała. Grant tylko dlatego zarzucił jej kłamstwo w tej sprawie, bo był na nią wściekły. Chciał ją zranić tak, jak ona zraniła jego. A ponadto chciał ją zmusić do małżeństwa.

Jak możesz sądzić, że byłabym zdolna do morderstwa?

Wcale tak nie sądził. Pomimo że go oszukała, wierzył, że jest niewinna. To morderca napisał te dwa listy, jeden oskarżający księżną o otrucie męża, drugi ujawniający prawdę o Lucienie. Czy zrobił to Geoffrey Langston? A może ktoś inny? Ktoś z Mulford House, kto dobrze zna Sophie. Lady Helena... Elliot?

Oboje siedzieli zbyt daleko, żeby Grant mógł z nimi porozmawiać. Zresztą miał już dosyć biesiadowania. Kolacja, jego zdaniem, przeciągała się. Wreszcie jednak dobiegła końca, a panowie i panie, zamiast zgodnie z tradycją rozdzielić się, wrócili z powrotem całą grupą do salonu. Tam kilka młodych dam na zmianę popisywało się umiejętnościami gry na fortepianie.

Grant także przeszedł do salonu i stał z boku, czekając na sposobność przyłapania Elliota na osobności. Niestety otaczał go nieustannie wianuszek rozchichotanych debiutantek, podsyłanych mu zręcznie przez czujną Helenę. Musiały go straszliwie nudzić, sądząc po tym, jak przestępował z nogi na nogę i jak tłumił ziewnięcia. W końcu zrobiło się późno i goście zaczęli się rozchodzić. Grant skorzystał więc z okazji że przy kuzynie Roberta zrobiło się pusto, i szybko do niego podszedł.

W tym samym momencie w drzwiach salonu pojawił się lokaj, który zwrócił się z czymś do księżnej. Ta zaś, wysłuchawszy go, z zafrasowaniem i chyba przestraszeniem zerknęła na Granta. Potem przekazała coś szeptem Helenie i wybiegła na korytarz.

Wyraz lęku na jej twarzy zaniepokoił Granta. Porzuciwszy Elliota, wybiegł z salonu i dopadł Sophie przy schodach. Kiedy na niego spojrzała, znów owładnęło nim poczucie zaborczości. Sophie zostanie jego żoną. Nareszcie.

- Dokąd się wybierasz? - spytał.
- Lucien się rozchorował. Panna Olivier mnie wzywa.
- W takim razie idę z tobą - zdecydował z przejęciem.
- To tylko jakaś niestrawność. Nie rób sobie kłopotu.

Wezbrał w nim gniew. Czy Sophie próbuje nie dopuścić go do syna?

- To żaden kłopot, księżno. Chodźmy.

Sophie popatrzyła na niego nieufnie, ale skinęła głową. Poszli razem na górę do dziecięcych pokoi.

- Tędy - powiedziała Sophie, prowadząc go korytarzem do dużego ciemnego pokoju. Światło dawały tylko jedna świeczka stojąca obok łóżka na nocnym stoliku i ogień w kominku. W półmroku Grant dostrzegł zarys konia na biegunach, ciężkich brył mebli i półek z książkami. Lucien, sprawiający wrażenie bardzo drobnego w szerokim łożu z baldachimem, chyba spał.

Z prostego krzesła koło łóżka poderwała się panna Olivier. Była w nocnej koszuli, a na jej głowie sterczał biały czepeczek. Wyraźnie zaniepokojona, podbiegła do Sophie.

- Wasza książęca mość - zaczęła zniżonym głosem. - Przykro mi, że wyciągnęłam panią z przyjęcia, ale pomyślałam, że może chciałaby pani tu być.

Sophie poklepała dłoń guwernantki.

- Postąpiła pani słusznie, wzywając mnie. - Zerknąwszy w stronę łóżka, zapytała szeptem: - Jak on się czuje?

- Dopiero zasnął. Biedaczyna obudził się przed pół godziną, jęcząc i popłakując. Niestety kilka razy zwymiotował. Zdaje się, że już jest lepiej, więc nie wiem, czy zechce pani posłać po doktora Athertona.

- Zobaczymy.

Sophie stanęła z jednej strony łóżka, Grant z drugiej. Lucien leżał na boku, twarzą do niego. Policzek miał wciśnięty w poduszkę, oczy zamknięte. Choć był nakryty kołderką, widać było, że zwinął się w kłębek z podkurczonymi nogami. Typowa poza przy bólu brzucha. Grant sam poczuł skurcz w żołądku... i ogarnęła go bezradność. Potrafił zszyć ranę i nastawić wywichnięty bark, ale nie miał najmniejszego pojęcia, co robić z chorym dzieckiem. Sophie delikatnie przyłożyła dłoń do czoła chłopca.

- Nie ma gorączki - szepnęła przez ramię do panny Olivier.

- To dobrze.

Grant patrzył na drobną postać syna, jakby widział go po raz pierwszy. Miękkie, dziecięce rysy twarzy. Kępka brunatnych włosów. Mała rączka zaciśnięta na kołdrze. Ogarnęło go wzruszenie wraz z silnym zatroskaniem. Czy wszyscy rodzice tak się przejmują chorobą swoich pociech?

Sophie trzymała Luciena za nadgarstek.

- Ma przyspieszony puls - mruknęła.

- Co to oznacza? - spytał natychmiast, usiłując zapanować nad niepokojem w głosie.

Sophie popatrzyła na niego posepnie. Sprawiała wrażenie, jakby zupełnie zapomniała o jego obecności.

- Chyba nic szczególnego. Pewnie zjadł coś ciężkostrawnego. - Znów skupiła uwagę na guwernantce. - Co jadł na kolację?

- Nic niezwykłego - zapewniła panna Olivier. - Właściwie to było jego ulubione danie. Zapiekaną ser ze szklanką mleka.

Grant spostrzegł kryształową szklankę stojącą na stoliku nocnym. Z powodu półmroku nie zwrócił wcześniej na nią uwagi. Podniósł szklankę. Okazało się, że jest do połowy pełna.

- To z tej szklanki pił? - zapytał.

Panna Olivier przekrzywiła głowę. Na jej twarzy widniało zdumienie.

- Ależ nie. Pił jak zwykle ze swojego ulubionego cynowego kubka.

- Nie widziała pani przedtem tej szklanki? - dociekał Grant.

- Jest pani przekonana?

- Oczywiście, sir - odparła kobieta stanowczo. - Mały książę jada posiłki w sali do nauki albo w kuchni. Nie wolno mu przynosić naczyń do sypialni.

Grant spojrzął nad łóżkiem na Sophie. Wpatrywała się w niego jak zauroczona. Wydawało się, że rozumieją się bez słów. Rosnące przerażenie, widoczne w oczach kochanki, udzieliło się też jemu. W głowie zaświtało mu wstrząsające podejrzenie.

Trucizna.

To niemożliwe.

Na pewno nie.

W jednej sekundzie jego ciało pokryło się potem. Przez moment nie mógł ani się poruszyć, ani wydobyć z siebie głosu. Szklanka w jego dłoni stała się nagle zimna jak lód. Jeśli pozostał w nim choćby cień podejrzenia w stosunku do Sophie, widok jej wykrzywionej łękiem twarzy rozstrzygał sprawę raz na zawsze. Sophie nie skrzywdziłaby ich dziecka. Nigdy.

A jednak ktoś chce jego śmierci.

Grant mimowolnie uniósł szklankę do twarzy i pociągnął nosem. Ciecz w środku miała zapach... mleka. Zwykłego mleka. On jednak wiedział, że arszenik jest bezwonny. A jego smak rozpuścił się w mleku.

Z trudem panując nad paniką, odstawił szklankę i przeniósł wzrok na guwernantkę, która przyglądała mu się ze zdumieniem i strachem.

- Kto tu wchodził?

- Tylko ja, sir. - Panna Olivier przyłożyła rękę do serca. - Lokaje i pokojówki byli zajęci obsługą przyjęcia. Poza tym nie przypominam sobie, żeby ta szklanka tu stała, kiedy kładłam panicza spać.

- Panna Olivier mówi prawdę - potwierdziła słowa guwernantki drżącym głosem Sophie. - Nie stała tam, kiedy całowałam Luciena na dobranoc. To szklanka z naszego najlepszego kryształowego kompletu. Na pewno zwróciłabym na nią uwagę.

- Czy była pani w tym pokoju przez cały wieczór? - dociekał dalej Grant, znów zwracając się do panny Olivier.

- Tak. Trochę czytałam, aż zasnęłam. Chyba koło dziesiątej.

Było już dobrze po północy. Morderca miał mnóstwo czasu na zostawienie szklanki. Dzięki Bogu, że Lucien nie wypił całej jej zawartości.

Grant z gorączkowo zaczął przypominać sobie, co się działo na przyjęciu. Elliot odchodził od stołu tylko raz, zapewne przymuszony naturalną potrzebą.

Helena także na krótko zniknęła z jadalni. A szklanka należała do kompletu, który stał na stole...

- Przysięgam, że nic nie słyszałam - zapewniała guwernantka, patrząc z przestraczem na śpiącego Luciena. - Jeśli popełniłam jakiś błąd, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Grant pomyślał, że to on nigdy sobie tego nie wybaczy.

- Niech pani wyśle lokaja po doktora Atherton. I jeśli lady Belgrave nadal jest na dole, proszę ją tu przysłać. Gdyby się okazało, że już wyszła, niech ktoś pojedzie po nią do jej domu.

- Oczywiście, sir. Już idę.

Guwernantka wybiegła z pokoju, Sophie zaś popatrzyła ze zdumieniem na Granta.

- Caroline?

Grant zaczął krążyć po mrocznym pokoju.

- Lucien nie może zostać w tym domu ani chwili dłużej - oświadczył półgłosem. - Będzie bezpieczniejszy u twojej przyjaciółki. Panna Olivier pojedzie tam z nim.

- Dobry Boże... - Sophie, zrozpaczona, opadła na brzeg łóżka. - Kto mógł to zrobić? Kto?

Grant pomyślał, że istnieją dwie ewentualności. Helena, mająca obsesję na punkcie przyzwoitości, która domyśliła się, że Lucien nie był synem Roberta, tylko Granta. Albo Elliot, skłonny zrobić wszystko, żeby przejąć na własność znaleziska z Chichester.

Miał ochotę pobiec i zamordować ich oboje. Ledwie świadomy, co robi, podszedł szybkim krokiem do Sophie. Ich spojrzenia się spotkały, a on znów odniósł wrażenie, że rozumieją się bez słów, jakby mieli jeden umysł.

Nie wiedział, kto pierwszy do kogo się przysunął, ale nagle Sophie znalazła się w jego objęciach, przywierając do niego tak mocno, jak on do niej. Ukryła twarz na jego piersi i rozplakała się.

- To nie ja, Grant, przysięgam.

Przypomniawszy sobie własne oskarżenia.

- Wiem. Wierzę ci. - O Boże, jak dobrze było tulić ją do siebie.

Obejmując miękkie ciało kochanki, wciągnął głęboko zapach jej włosów. -

Lucienowi nic nie będzie. Wypił za mało, żeby stała mu się krzywda.

- Och, obyś miał rację - powiedziała zrozpaczonym głosem Sophie. - Mam nadzieję...

Zamilkła, bo doszło ich ciche jęknięcie. Oboje natychmiast oderwali się od siebie i rzucili do łóżka.

Lucien zamrugał powiekami i otworzył oczy. Na twarz wypłynął mu senny uśmiech.

- Pan Chandler. Tak czekałem na pańskie odwiedziny.

Gratowi ścisnęło się serce. Kocham cię, synu. Dopilnuję, żebyś był bezpieczny, miał ochotę wykrzyczeć.

- Byłem na dole na przyjęciu. Z twoją matką. Pochyliwszy się, Sophie odgarnęła z czoła Luciena kosmyk ciemnych włosów.

- Jak się czujesz, najdroższy?

- Bolał mnie brzuch, ale już mi lepiej.

Matka wzięła go w ramiona i mocno przytuliła. W jej oczach błyszczały łzy.

- Tak się cieszę. Grant przysiadł na łóżku.

- Muszę cię o coś zapytać, kolego. Czy wiesz, kto zostawił tu tę szklankę z mlekiem?

Lucien spojrzał na stolik nocny.

- Nie wiem... ale śniło mi się, że... że ktoś poklepał mnie po ramieniu. I wtedy się obudziłem i zobaczyłem, że ta szklanka tam stoi.

Grant i Sophie wymienili spojrzenia. Wyraz jej oczu odzwierciedlał to, co sam odczuwał. Wzburzenie i przerażenie. Zabójca z rozmysłem obudził Luciena.

Sophie uśmiechnęła się do syna.

- Chciałbyś przeżyć małą przygodę? Co powiesz o nocy spędzonej w domu lady Belgrave? Wiem, że bardzo ci się podoba pokój Philipa.

Lucien miał niepewną minę.

- Czy... czy pan Chandler pójdzie tam ze mną?

- Och, kochanie, to może być nie...

- Sam cię tam zaniosę na rękach - wtrącił się Grant. - Potem będę musiał się czymś zająć, ale wrócę, jeśli chcesz. Będę spał z tobą w jednym pokoju. Co ty na to?

Lucien ucieszył się, jakby ktoś podarował mu gwiazdkę z nieba.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Grant pogładził chłopca po rozwichrzonych włosach, po czym, pamiętając, że Sophie patrzy, dodał szorstko: - Nie opuszczę cię. Nigdy.

Rozdział XXV

20 grudnia 1701

13 dni do wielkiego ślubu

Mulford podarował mi dzisiaj wczesny prezent gwiazdkowy. Malutkiego żółtego ptaszka z dalekich Wysp Kanaryjskich w złotej klatce. Byłam tak zauroczona jego śpiewem, że kiedy Mulford mnie pocałował, nie opierałam się - a nawet mi się to podobało! Och, jestem z pewnością najbardziej rozwiązłą kobietą na świecie. Jak mogę dawać nadzieję dwóm mężczyznom naraz? Jak mogę zdradzać Mulforda - i Williama?

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

To absurd - oświadczyła stanowczo Helena. - Przecież dzieci od czasu do czasu chorują.

Sophie, która siedziała ze szwagierką w mrocznej bibliotece, przyglądała się Helenie uważnie, wyszukując na jej twarzy oznak winy, ale widziała tylko zniecierpliwienie i sceptycyzm. Goście już wyszli, Lucien spał bezpiecznie w domu Caroline, Grant zaś, nie zważając na ich sprzeciwy, ściągnął Helenę i Elliota do biblioteki.

Stał teraz przy kominku, oparty o gzyms. Kuzynostwo siedziało obok siebie na kanapie, Sophie naprzeciw, na krześle. Helena nadal miała na sobie elegancką wieczorową suknię, ale Elliot zdążył się już przebrać w znoszony zielony szlafrok. Duży palec u nogi wystawał mu z dziury w brązowej skarpecie.

- Ja też uważam, że to nonsens - przyznał rację Helenie zrzędlwym głosem. - Poza tym jestem zmęczony, a z samego rana wyruszam do Surrey i...

- Nigdzie nie pojedziesz - przerwał mu Grant. - Zostaniesz w Mulford House, dopóki nie ustalę, kto postawił przy łóżku Luciena szklanekę z zatrutym mlekiem.

W słabym blasku wygasającego ognia wyglądał groźnie i złowieszczo. Sophie dziękowała losowi, że jest jej sojusznikiem. Była nadal roztrzęsiona po ostatnich wydarzeniach, nadal bała się o Luciena. Gdyby wypił całe mleko, umarłby, tak jak Robert...

- Nie możesz mnie zmusić, żebym został - warknął Elliot.

- Muszę wracać do wykopalisk, dopilnować prac. I tak straciłem już jeden dzień przez to idiotyczne przyjęcie.

- No, no - wtrąciła się uspokajającym głosem Helena.

- Miałeś wielkie powodzenie wśród dam. Jeśli zostaniesz w mieście jeszcze kilka dni, zaproszę na herbatę te, które najbardziej przypadły ci do gustu. Która ci się spodobała? Lady Kamilla? A może panna Poole?

Elliot patrzył na kuzynkę, jakby nagle wyrosła jej druga głowa.

- Możesz je wszystkie wysłać do diabła, ot co. Te wystrojone idiotki nie potrafiłyby odróżnić łopaty od kilofa.

- Mój drogi kuzynie, weź tylko pod uwagę, że odpowiednia kobieta mogłaby wzbogacić twoje życie. Byłaby ci towarzyszką po dniu pracy. Skończyłaś czterdzieści lat i czas najwyższy rozejrzeć się za żoną.

Elliot łypnął wściekle na kuzynkę, po czym poderwał się gwałtownie na nogi.

- W takim razie ożenię się z Alice!

Wytracona okrzykiem z przygnębiających myśli, Sophie zamrugła ze zdumienia. Znała tylko jedną Alice. Najwyraźniej Helena też, bo wyglądała na oszołomioną. Poruszała bezgłośnie ustami i mocno zaciskała palce na materiale sukni.

- Masz na myśli Alice z... z kuchni? - spytała Sophie.

- Jak najbardziej - potwierdził szorstko Elliot. - Dziewczyna jest przyzwyczajona do prostego życia. Nie papie bez ustanku o wstążkach i koronkach i innych bzdurach. I nie będzie jej przeszkadzało, że zamieszka w chacie przy wykopaliskach.

Grant ze zniecierpliwieniem szurnał stopami.

- Nie interesują nas teraz twoje małżeńskie plany. Chcę wiedzieć, które z was było dzisiaj w sypialni Luciena...

- Pomywaczka z kuchni?! - rozległ się spóźniony okrzyk Heleny.

Elliot odwrócił się do niej. Na jego jaszczurzej twarzy widniał wyraz satysfakcji. Zdawał się tryumfować, że zdołał wyprowadzić kuzynkę z równowagi.

- A i owszem. Świetnie do siebie pasujemy. Nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem. Alice nie zanudza mnie gadaniem. Nie zależy jej na luksusach. Zresztą będzie miała, co robić, kiedy dziecko się urodzi...

- Dziecko? - zdziwił się Grant.

- Dziecko?! - wykrzyknęła Helena.

- Elliot przed końcem roku zostanie ojcem - wyjaśniła Sophie. - To dlatego Alice zemdląca w trakcie przesłuchania.

- Ostatnie słowa skierowała do Granta, po czym znów skupiła się na kuzynie. Próbowwała wyobrazić go sobie siedzącego przy kominku w towarzystwie prostej, spokojnej Alice, dziergającej na drutach dziecięcy sweterek. Był to dziwny obraz, niemniej...

- Elliot, jesteś pewien, że Alice zechce cię przyjąć?

Pytanie wyraźnie zmieszało mężczyznę. Widać było, że poczuł się niepewnie.

- Ja, ee...

- Czy zechce go przyjąć? - powtórzyła Helena z oburzeniem. - Ta prostytutka pewnie rzuci się na taką okazję. Założę się, że to ona podsunęła Elliotowi ten skandaliczny pomysł!

- Uważaj - ostrzegł Elliot. - Mówisz o mojej przyszłej żonie. I twojej przyszłej kuzynce.

Helena pobladła, przez co czerwone znamię na jej twarzy stało się jeszcze wyraźniejsze. Poderwała się na nogi i przeszła kuzyna wyniosłym spojrzeniem.

- Nie możesz ożenić się z tą dziewczyną. Takim mariażem zniszczysz tę rodzinę. Wystawisz nas na pośmiewisko.

- Nic na to nie poradzisz - odparował Elliot. - Pewnie już jutro zejdem na dół i uklękne na kolana tam, w kuchni...

- Och! - krzyknęła Helena. - Nie będę dłużej tego słuchała. Idę na górę. Ty też powinienes, Elliocie. Może sen wyleczy cię z tych bzdur!

Matrona wyminęła kuzyna i ruszyła stanowczym krokiem ku drzwiom.

- Zaczekaj! - zatrzymał ją ostro Grant. - Jeszcze nie skończyliśmy.

Nie zwalniając kroku, Helena rzuciła przez ramię:

- Ja skończyłam, panie Chandler. Z wami wszystkimi! - I zniknęła w korytarzu.

- Krzyżyk na drogę - burknął Elliot, zacierając ręce. - To powinno przytrzeć nosa tej heterze. Nie potrzebuję jej pomocy w znalezieniu żony.

Widząc, że tylko ona siedzi, Sophie wstała.

- Nie wolno ci ożenić się z Alice tylko po to, żeby zrobić na złość Helenie. Nie pozwolę ci ranić więcej tej dziewczyny.

- Przecież oddaję jej przysługę - obruszył się Elliot. - Uniknie miana latawicy. Czegóż więcej może oczekiwać zwykła pomywaczka?

Odpowiedź brzmiała rozsądnie, ale Sophie nie była usatysfakcjonowana.

- Nie wolno ci zrobić z niej niewolnicy. Chcę, żebyś mi przyrzekł, że będziesz ją traktował z szacunkiem, jak na to zasługuje żona dżentelmena.

Elliot nerwowo szarpał fularem.

- Przecież się z nią żenię, prawda?

- Przyrzeknij - powtórzyła stanowczo Sophie.

- Och już dobrze, do diabła. Zresztą, co twoim zdaniem mam zamiar robić tej dziewczynie? Myślisz, że zakulbym ją w łańcuchy albo codziennie chłostał?

- Mógłbyś próbować ją otruć - wtrącił się Grant. - Tak jak otruleś Roberta i próbowałeś Luciena.

Usta Elliota skrzywiły się w szyderczym uśmiechu.

- Po raz ostatni powtarzam, że nikogo nie otrujęm. Mam dosyć wysłuchiwania przez całą noc tych melodramatycznych oskarżeń.

Grant przeszedł kilka kroków, żeby zagrozić mówiącemu drogę.

- W takim razie znajdę dowód, że to twoje dzieło. A tymczasem radzę ci nie opuszczać tego domu, bo inaczej pożałujesz.

Mamrocząc coś pod nosem, Elliot wyminął Granta i wyszedł z biblioteki. Grant i Sophie pozostali sami.

- Niech to wszyscy diabli! - Grant przeszedł do drzwi i zamknął je z hukiem. - Widziałas, jak się spieszył, żeby stąd wyjść. Elliot łyże. To pewne.

Sophie nie wiedziała już, co myśleć. Zależało jej oczywiście na wykryciu zabójcy, ale rozumiała wzburzenie kuzyna. Jej też ciężko było słuchać, kiedy Grant oskarżał ją o zabicie męża.

- Może ktoś widział, jak on, albo Helena, wchodzili do sypialni Luciena. Albo jak wlewali mleko do szklanki w spiżarni. Rano zapytamy o to służbę.

- Alice - rzucił Grant. - To ją musimy przesłuchać. Elliot mógł ją przekonać, żeby zaniósła mleko na górę. Czy pracowała już u was, kiedy Robert zachorował?

Pytanie zaniepokoiło Sophie.

- Tak, ale... ona wygląda na uczciwą. Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie.

- Mamy ich coraz mniej. - Grant krążył po mrocznym pokoju, wokół stołu i pomiędzy krzesłami. - Chyba jeszcze raz porozmawiam z Geoffreyem Langstonem.

- Po co? - zdziwiła się Sophie. - Przecież nie było go tu dzisiaj, a to znaczy, że nie mógł podać Lucienowi zatrutego mleka. Poza tym, dlaczego miałby chcieć skrzywdzić Luciena?

- Bo Lucien jest następcą Roberta.

- Ale... przecież Langston na pewno wiedział, że... że Robert nie był jego ojcem.

Grant odwrócił się do Sophie i popatrzył na nią posepnie.

- Lucien przejął po Robertcie jego tytuł. Jest teraz księciem Mulford, jak niegdyś Robert.

Sophie przeszedł dreszcz przerażenia, w chwili gdy zrozumiała, co kochanek ma na myśli. Langston był zły na Roberta za zerwanie związku. Być może jego niechęć przeniosła się na Luciena.

Uniosła drżącą dłoń do ust. Serce zacisnął jej skurcz strachu i wyrzutów sumienia. Mimo że rozsądek podpowiadał co innego, czuła się odpowiedzialna za to, co się wydarzyło.

- Zatem chcesz powiedzieć, że... że gdybym nie wyszła za Roberta, Lucien nie znalazłaby się w niebezpieczeństwie.

- Nie wkładaj mi takich słów do ust - obruszył się Grant.

- Doskonale wiem, że nigdy nie skrzywdziłabyś swojego syna.

Naszego syna. Te niewypowiedziane słowa zawisły w ciszy panującej w bibliotece.

Sophie czuła, że jest bliska łez. Jakże Grant musi ją nienawidzić za to, że zatrzymała Luciena dla siebie. Zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe, ale i tak całym sercem pragnęła, żeby jej wybaczył. Gdyby tylko mogli znaleźć pocieszenie jedno w drugim, jak to miało miejsce przez krótką chwilę, kiedy byli na górze. Niestety wydawało się, że przepaść między nimi staje się coraz większa.

Przypomniała sobie, że Grant jest złodziejem, że pojawił się w Londynie w jednym tylko celu - żeby udowodnić, iż to ona jest morderczynią. Tyle że jego występki bladły w porównaniu z jej występkiem. *Kradłem biżuterię, nigdy dzieci.*

Grant, jakby nie mógł dłużej znieść jej widoku, odwrócił się i wyjął jakąś książkę ze skrzyni, którą z rana przywiózł do Mulford House Elliot.

- Nie ma sensu dalej spekulować - rzucił przez ramię.

- Lepiej idź się już położyć.

Ale ty pójdiesz ze mną. Nie mogła o to poprosić. I to nie tylko dlatego, że Grant miał zobowiązania wobec jej syna.

- A ty idziesz do Caroline, tak?

- Tak. Wrócimy do tej rozmowy rano.

W tym momencie z książki, której strony w roztargnieniu przeglądał, wypadła na podłogę kartka. Sophie, niewiele myśląc, schyliła się po nią. Podobnie uczynił Grant.

Ich dłonie otarły się o siebie, a Sophie pod wpływem dotyku przeszył dziwny dreszcz. Pochyleni nad kartką, popatrzyli sobie w oczy. Zimna

obojętność malująca się we wzroku kochanka wzmogła tylko dręczące ją uczucie niechęci do samej siebie. Wiedziała, że za chwilę nie powstrzyma łez dławiących jej w gardle i rozpłacze się.

Nie chciała tego. Nie chciała, żeby Grant pomyślał, że próbuje go udobruchać, wywołując w nim współczucie.

Odsunął rękę, pozwalając, żeby to ona podniosła złożony papier. Nie mogąc dłużej znieść jego spojrzenia, opuściła oczy na kartkę. Była szorstka i pożółkła od starości, a na górze widniał wyblakły napis.

Annabelle.

Sophie zamrugła. A potem jeszcze raz. Czyżby to był...

Nie. To niemożliwe.

Rosnące podekscytowanie kazało jej na chwilę zapomnieć o troskach. Rozłożyła ostrożnie kartkę i w nozdrza uderzyła ją woń stęchlizny. W bibliotece było zbyt ciemno, żeby mogła odczytać drobne, niewyraźne pismo.

- Lepiej już chodźmy - ponaglił ją Grant. Wyprostował się i wyciągnął do niej rękę.

Przyjęła ją ochoczo i też poderwała się na nogi, ale zamiast do drzwi, przeszła szybko do stołu, żeby przyjrzeć się tajemniczej kartce w blasku świec. Była zapisana drobnym maczkiem, jakby ktoś starał się zmieścić na niej tyle słów, ile tylko się dało. Atrament wyblakł ze starości, więc treść była prawie nieczytelna. Jednak charakter pisma wskazywał na mężczyznę. A na spodzie widniał podpis...

- Zostajesz tu? - spytał Grant.

Z mocno bijącym sercem Sophie podniosła na niego oczy.

- Ten list... to list od Williama do Annabelle.

- Do kogo?

- Do Annabelle. Była trzecią księżną Mulford i prowadziła pamiętnik.

Mówiłam ci o niej. Znalazłeś jej pamiętnik w moim sekretarzyku, zaraz po twoim powrocie do Londynu. - W tym momencie Sophie uzmysłowiła sobie, że

Grant szukał wtedy dowodów jej winy. Ale teraz nie miało to znaczenia, skoro trzyma w rękach list od kochanka Annabelle. - Księżna, zanim wyszła za mąż, miała kochanka. Napisała w pamiętniku, że list od niego ukryła w książeczce z kazaniami. To ona. - Sophie wskazała z przejęciem na zakurzony tomik w rękach Granta.

Grant zmarszczywszy czoło, spojrział na tomik, po czym odłożył go na stół.

- Tak, to bardzo interesujące.

Wcale nie wydawał się zainteresowany, ale Sophie nie zwracała na niego uwagi, cała drżąca z podekscytowania.

- Ani razu nie natknęłam się w pamiętniku na nazwisko kochanka, a zawsze byłam bardzo ciekawa... - Opuściła wzrok na wyblakły podpis i ze zdumienia aż zamarła.

Myśli się jej rozpierzchły, ale tylko na chwilę. Potem umysł zaczął składać w całość poszczególne informacje.

- Och... dobry Boże...

- Co się stało?

Sophie wolno podniosła głowę. Jej sercem targało niedowierzanie. Niemniej to musiała być prawda.

- Ja... och, Grant... chyba wiem, kto próbował otruć Luciena.

Rozdział XXVI

25 grudnia 1701

8 dni do wielkiego ślubu

Rodzice podarowali mi dzisiaj wyjątkowy prezent. Ubranko do chrztu dla dziecka, na którym matka własnymi rękoma wyhaftowała inicjały moje i Mulforda. To dla mojego pierworodnego syna, ich wnuka, który kiedyś zostanie księciem.

Rodzice byli tacy dumni i radośni, że zbierało mi się na płacz. Zapragnęłam wyznać im, że już następnego dnia ucieknę z Williamem. Prezent sprawił, że zobaczyłam, jaka jestem samolubna. Nie mogę dłużej myśleć tylko o własnym szczęściu. Nie wolno mi więcej zachowywać się tak dziecinnie. Muszę pamiętać o rodzinie. Tak więc postanowiłam, że jednak wyjdę za Mulforda.

- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.

Grantowi, który siedł mrocznym korytarzem obok Sophie, przyszła do głowy dziwna myśl: że na świecie zostali tylko oni. W pokojach po obu stronach korytarza panowała ciemność. Ciszę przerywał tylko odgłos ich kroków i gong zegara wybijającego drugą w nocy.

Świeca w jego ręku rozsiewała wokół migotliwy blask. Opływał on twarz Sophie, zaskakująco spokojną i niewyobrażalnie piękną. Gniew na nią, który wcześniej rozrywał Grantowi serce, zamienił się teraz w ćmiący ból. W tej chwili jego myśli koncentrowały się na czymś pilniejszym.

Musiał dopaść mordercę.

Wprawdzie Sophie wyłuszczyła mu jasno swoje domysły, ale jego nadal dręczyły wątpliwości. Może dlatego, że rozwiązanie zagadki dosłownie samo wpadło im w ręce. A może dlatego, że nie mógł uwierzyć jak dalece ich wcześniejsze przypuszczenia odbiegały od prawdy.

- Lepiej, żeby ta twoja teoria okazała się słuszna - mruknął. - Szczerze mówiąc, trudno uwierzyć w morderstwo popełnione z powodu wydarzeń sprzed stu lat.

- To sprawa więzów krwi - odparła szeptem Sophie. - Zresztą jestem przekonana, że mam rację. Czuję to.

On też coś odczuwał, ale był to głównie niepokój, że zezwala, aby Sophie wplątała się w potencjalnie niebezpieczną sytuację.

- Lepiej by było, gdybym sam się tym zajął. Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Ktoś zamordował mego męża i próbował otruć syna, więc przestań mnie powstrzymywać. Nie wycofam się, chyba że mnie zwiążesz.

Pomysł ten przypadł mu do gustu. Z chęcią przywiązałby ukochaną do łóżka i resztę nocy spędził z nią na namiętnych rozkoszach.

Tyle że jego też trawiło pragnienie wymierzenia sprawiedliwości.

Kiedy więc pokonywali kręcone schody, skupił myśli na czekającym ich zadaniu. Ze względu na Sophie lepiej będzie, jeśli zaskoczą ich ofiarę we śnie. Będzie zbyt nieprzytomna, żeby od razu rzucić się do walki.

Kiedy wreszcie znaleźli się w korytarzu sutereny, owiał ich chłód. Panująca tu głucha cisza przywodziła na myśl grobowiec. Grant pociągnął swoją towarzyszkę w stronę ciemnej kuchni.

- Zajrzyjmy tam.

- Po co?

- Poszukam czegoś do obrony.

Po tych słowach wkroczył do kuchni, podszedł do komody i zaczął wysuwać szuflady. W końcu w jednej z nich natknął się na całą kolekcję noży różnej wielkości. Pomiął te największe i wybrał krótszy, o dość wąskim ostrzu, który z łatwością krył się w dłoni.

Sophie obserwowała jego poczynania z dezaprobatą.

- Naprawdę uważasz, że będzie ci potrzebny? - spytała szeptem.

- Wolę być przygotowany.
- Widać, że znasz się na nożach.

Sądząc po zmarszczce na jej czole, Sophie przypomniała sobie o jego niechlubnym fachu, którym zajmował się w przeszłości. Grant nie zamierzał jednak wpadać w poczucie winy. Sophie miała na sumieniu gorsze wykroczenie niż on, które, jeśli jej teoria się potwierdzi, wpłynęło znacząco na rozwój wypadków w Mulford House.

- Które drzwi? - spytał szeptem, gdy ponownie wyszli na korytarz.
- Ostatnie po prawej.
- Domyślam się, że nie namówię cię, żebyś tu została?
- Nie namówisz.

Pomimo że spodziewał się tej odpowiedzi i tak był nią poirytowany.

- To przynajmniej trzymaj się za mną.
- Tylko jeśli pozwolisz, żebym to ja prowadziła rozmowę.

Żądała kompromisu. Jej bezpieczeństwo w zamian za prawo do prowadzenia przesłuchania. Nie podobało mu się to, ale...

- Zgoda, księżno.

Ruszyli dalej korytarzem. Grant był spięty i wcale nie miał przekonania, że nóż w jego ręku to wystarczające zabezpieczenie przed ewentualnym zagrożeniem. Instynkt, któremu już dawno nauczył się ufać, podpowiadał mu, że powinien być szczególnie czujny.

A może ten niepokój wzbudzała w nim obecność Sophie? Zawsze pracował w pojedynkę i nigdy nie musiał przy tym martwić się o współnika.

Kiedy dotarli do właściwych drzwi, nacisnął lekko na klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz i otworzyły się szeroko bez najmniejszego odgłosu.

Grant uniósł świecę i wszedł do środka. Słaby płomień omiótł ciemne wnętrza, ujawniając niewielki przedpokój, wypełniony zaskakująco luksusowymi meblami. Eleganckie biurko do pisania, obitą złotymi

wykończeniami kanapę, kominek w dębie, w którym wypalały się ostatnie polana.

Po puszystym dywanie, który wygłuszał ich kroki, ruszyli do następnego pokoju. To pomieszczenie było nieco większe od poprzedniego. Jego środek zajmowało wielkie łóże z baldachimem. Do wewnątrz nie przedostawało się żadne światło, bo okna zasłaniały grube kotary. Grant, nadal wyczulony na obecność stojącej za nim kobiety, przeszedł do łóżka.

Było puste. Śnieżnobiałą pościel zakrywała narzuta.

Co do diabła...

Poczuł mrowienie na karku i odniósł niemiłe wrażenie, że jest obserwowany. Odwrócił się więc szybko i dostrzegł w mroku czyjąś postać.

Sophie głośno nabrała powietrza. Ona też spostrzegła kamerdynera.

Phelps siedział w rogu sypialni na fotelu przypominającym tron. Mrugał, jakby właśnie się obudził. W czarnym stroju, wykrochmalonym kołnierzyku i wypolerowanych na glans pantoflach, wyglądał jak groźny stary król.

Przez chwilę wpatrywał się w przybyszów pustym wzrokiem. Potem, przy wtórze skrzypienia fotela, zrobił ruch, jakby chciał wstać.

- Nie ruszaj się - zatrzymał go Grant. - Zostań tam, gdzie jesteś.

Phelps zacisnął usta.

- Nie wypada siedzieć w obecności księżnej.

- Rozkazuję ci zostać na miejscu - nakazała ostro Sophie. - Nie wolno ci się poruszyć bez pozwolenia.

Phelps powoli oparł się o fotel.

- Po co państwo tu przyszli?

- Myślę, że wiesz - odparła szorstko Sophie. - Najpierw jednak porozmawiamy o twojej przeszłości. Twoja rodzina służy u Mulfordów od ponad stu lat. Pierwszy był William Phelps.

Kamerdyner uniósł dumnie głowę.

- To mój prapradziadek.

- A także osobnik bez grosza przy duszy, który zalecał się do Annabelle, zanim wyszła za mąż.

Szponiaste palce kamerdynera zacisnęły się konwulsyjnie na poręczach fotela.

- Skąd pani... Jego nazwisko nie było wymienione w pamiętniku.

- A ty skąd o tym wiesz? Grzebałeś w sekretarzyku księżnej? - warknął Grant.

Phelps obrzucił go gniewanym spojrzeniem.

- Wręcz przeciwnie. To ja podrzuciłem pamiętnik na poddasze, żeby księżna go znalazła.

- Och - zakrzyknęła Sophie, jakby nagle wszystko stało się jasne. - A więc Annabelle oddała pamiętnik Williamowi, żeby go dla niej przetrzymał w bezpiecznym miejscu.

- Ten pamiętnik przechodził z ojca na syna - oświadczył dumnie Phelps. - Skoro zainteresowała się pani historią rodziny Ramsey, uznałem, że powinna pani, księżno, dowiedzieć się też, jak ważną rolę odegrała w niej moja rodzina.

- Ale... - Wyraźnie zbita z tropu, Sophie przekrzywiła głowę. - Przecież sam powiedziałeś, że nazwisko Williama nie jest wymienione w pamiętniku.

- To nieistotne. Wystarczy, że jego osoba została zauważona i zapamiętana. To sprawa honoru.

- Jakiego tam honoru - znów warknął Grant. - Nie masz prawa...

Nakazując machnięciem dłoni, żeby zamilkł, Sophie zrobiła krok w stronę kamerdynera.

- Czy masz drugi pamiętnik? - spytała - Ten, którego szukam od kilku miesięcy. Czy znajduje się w nim dowód, że pierwszy syn Annabelle był tak naprawdę synem jej i Williama?

Klatka piersiowa kamerdynera unosiła się i opadała ciężko, jakby mężczyzna walczył z silnymi emocjami. Przesuwał przy tym wzrokiem od Sophie do Granta i z powrotem. Potem wyniośle skinął głową.

- Tak właśnie było. Ponad sto lat temu krew Mulfordów zmieszała się z krwią Phelpsów.

Zdumiewająca informacja oszołomiła Granta. Mimowolnie zacisnął dłoń na trzonku noża. Dobry Boże, nic dziwnego, że Phelps próbował zabić Luciena.

Lucien nie należał do rodu ani Mulfordów, ani Phelpsów. Gdyby to on przejął książęcy tytuł, te dwie rodziny na zawsze utraciłyby szlachectwo.

Sophie wciągnęła z drzeniem powietrze. Ona też była wstrząśnięta.

- A więc przez te wszystkie lata mężczyźni z twojej rodziny służyli u Mulfordów i strzegli książąt, bo to byli ich... kuzynowie. A mimo to otruleś Roberta...

W oczach Phelpsa zabłysła niechęć.

- Przynosił wstyd rodzinie, zadając się z tym Langstonem. Zawsze, kiedy się kłócili, przychodził do mnie. Zamykał się w piwniczce, upijał się winem i płakał jak dziecko.

Ktoś bliski z mojego otoczenia...

Grantowi po plecach przebiegł lodowaty dreszcz. Mógł się domyślić, że Robert desperacko potrzebował kogoś, komu mógł się zwierzać. Niósł na barkach niewyobrażalny ciężar, którym nie mógł się podzielić ani z Sophie, ani z Heleną.

- Robert ci ufał - powiedziała z wyrzutem Sophie. Głos jej drżał, dłonie spuszczone po bokach zaciskała w pięści. - Byłeś przy nim, kiedy dorastał. Pokładał w tobie wiarę, a ty odpłaciłeś się mu morderstwem. Odebrałeś mu życie.

- Nie był w stanie spłodzić dziecka. - Kamerdyner skrzywił się, jakby miał w ustach coś kwaśnego. - Przez lata robił ze mnie durnia. Sądziłem, że jeśli spłodzi jedno dziecko, bez problemu spłodzi następne. Ale latem zeszłego roku Robert upił się i wyznał, że Lucien nie jest jego synem.

Sophie słuchała kamerdynera z pobladłą twarzą.

- Zatem wiesz o tym już od dawna. Dlaczego czekałeś... aż do wczoraj?

Phelps przeniósł nienawistny wzrok na Granta.

- Prawdę musiał najpierw poznać pan Chandler. Żeby on także cierpiał, kiedy dosięgnie panią kara za oszustwo.

Grantem targnęła wściekłość, która przejęła prym nad zdumieniem. Phelps nastawał na życie małego, niewinnego dziecka. I to on napisał list do sędziego pokoju. Sprowadził policję na głowę Sophie. Chciał, żeby trafiła do więzienia - a może nawet została skazana na śmierć - za zbrodnię, której nie popełniła.

Znów zacisnął palce na trzonku noża. Niczego bardziej nie pragnął, niż wbić ostrze w serce obrzydliwego starca - jeśli Phelps je w ogóle posiadał.

- Ty szubrawcze! - warknął. - To ty postawiłeś przy łóżku Luciena szklanę z zatrutym mlekiem. To dlatego jesteś jeszcze ubrany. Chciałeś, kiedy wszyscy pójdą spać, zabrać szklanę, żeby się jej pozbyć.

Phelps obrzucił go pełnym odrazy, aroganckim spojrzeniem. Niczym księżę.

- Nie ma pan na to żadnego dowodu. Chłopiec dostał tylko lekkich bólów brzucha.

Kamerdyner naprawdę wierzył, że mu się uda. Zaślepiała go duma albo był szalony.

- A co ze śmiercią Roberta? - zapytał ze wściekłością Grant. - Jak zamierzasz wyłgać się z tego morderstwa?

- Zeznam, że widziałem, jak księżna wsypywała truciznę do posiłku męża.

- Wcześniej trafisz do piekła.

Już nad sobą nie panując, Grant rzucił się w stronę starca, ale Sophie przytrzymała go za ramię.

- Zaczekaj. Najpierw chcę się dowiedzieć, gdzie jest drugi tomik pamiętnika. Gdzie on jest, Phelps?

Kamerdyner zacisnął wąskie usta, ale jego wzrok na chwilę powędrował do szafy pod ścianą.

- Tam - rzucił Grant do Sophie, wskazując ruchem głowy na szafę.

Phelps zeszywniał, jakby ktoś ukłuł go szpilką.

- Pamiętnik należy do mnie. Nie wolno go nikomu pokazywać.

Przysięgłem mojemu ojca, tak jak on przysiągł swojemu, że będę strzegł rodzinnego sekretu.

- Skoro tak, musisz do wszystkiego się przyznać - oświadczyła lodowatym głosem Sophie. - Jeśli powiesz na policji, że zamordowałeś Roberta, nikomu nie zdradzę tajemnicy Annabelle i Williama. Ja też nie chcę szargać nazwiska Mulfordów.

Po tych słowach przeszła do stolika nocnego koło łóżka, podniosła stojącą tam świecę i podpaliła ją od świecy, którą trzymał Grant. Potem otworzyła drzwiczki szafy i zajrzała do środka.

Grant podziwiał jej spryt, z jakim podeszła Phelps, grożąc, że zniszczy jedyną rzecz, która była mu droga - dobre imię jego rodziny. Stary kamerdyner, kierując się pokrętnym rozumowaniem, wolał zabić Roberta i Luciena, niż dopuścić do zakwestionowania praw Mulfordów do sukcesji.

Jego pomarszczoną twarz wykrzywiała teraz panika, a ręce kurczowo ścisnęły kolana.

- To panicz Elliot musi zostać następnym księciem. Powinien dobrze się ożenić i spłodzić syna, który przedłuży linię rodu.

Sophie odwróciła gwałtownie głowę w stronę starca.

- Helena też bardzo zabiega o to, żeby Elliot się ożenił. Jesteście współnikami?

- Lady Helena nic nie wie o pani wstrętnej tajemnicy. I to ja podsunąłem jej, że urodzinowe przyjęcie to doskonała okazja na znalezienie paniczowi odpowiedniej narzeczonej.

- Twój plan się powiódł - poinformował kpiąco Grant. - Tyle że Elliot wybrał sobie na żonę Alice, pomywaczkę z kuchni.

Phelps wyglądał tak, jakby dostał cios prosto w serce. Otworzył szeroko usta i oczy, jego twarz przybrała kolor kredy.

- To niemożliwe. Nie wierzę.

- Grant nie kłamie - zapewniła Sophie. - Alice jest w ciąży, a Elliot postanowił nie zostawiać jej z tym samej.

Wychudzone oblicze kamerdynera wyrażało przerażenie i furię. Nozdrza mu zadrgały, co upodobniło go do bestii dopadającej ofiarę. Zaskakująco zwinnie, jak na osobę w jego wieku, poderwał się z fotel.

- Dziwka! - W jego ręku coś zabłyśło. Pistolet.

W tym momencie wszystko zaczęło się toczyć jakby w zwolnionym tempie. Grant rzucił się do Sophie, żeby ją osłonić, ale wydawało mu się, że nie jest dość szybki. Klął na siebie w duchu, że nie zauważył wcześniej broni w ręku starca. Jeśli zrani on Sophie... albo ją zabije...

Dopadł do niej wreszcie i pchnął za siebie.

- Ukryj się - syknął.

Choć raz go posłuchała. Usłyszał, że wycofuje się w mroczny kąt pokoju. Zarazem ani na moment nie spuszczał wzroku z Phelps'a. Ale ten nie ruszył wcale na Sophie, tylko rzucił się do drzwi.

Alice. Phelps biegnie do Alice.

Grant popędził za kamerdynerem i dopadł go w drugim pokoju. Skoczył na niego, powalając na dywan. Pochwycił jego kościstą rękę i przyszpilił do podłogi. Potem przyłożył nóż do chudej szyi starca.

- Nie ruszaj się!

Phelps go nie słuchał. Szaleństwo dodawało chyba mocy jego zwiędłym mięśniom, bo zaczął rzucać się po podłodze, wijąc się pod Grantem i kopiąc na wszystkie strony. Udało mu się nawet przeczołgać bliżej drzwi. Grant miał wrażenie, że walczy z żywym trupem.

Nacisnął mocniej na chudy nadgarstek i krogulcze palce ściskające pistolet rozwarły się. Broń wypadła na podłogę, a Grant natychmiast odepchnął ją na bok.

Znów przyłożył kamerdynerowi ostrze noża do gardła. Wyobraził sobie, jak silnym strumieniem tryska z niego krew. Życie za życie.

Nie mógł jednak zdobyć się na morderstwo. Nie był w stanie zabić oszalałego starego kamerdynera.

Ten zaś wyraźnie opadał z sił. Jego opór był coraz słabszy.

Oddech miał ciężki i płytki. Jednak Grant nadal mocno przyciskał go do podłogi.

- Znajdź coś, czym mógłbym go związać - zawołał przez ramię do Sophie.

- Nie musisz krzyczeć.

Sophie stała już nad nim ze sznurem od baldachimu w ręku. Pomogła skrepować ręce i nogi Phelpsowi.

A on, choć już zupełnie nie miał sił na walkę, nadal kipiał wściekłością.

- Jeśli wydadacie mnie policji - charczał - wyjawię im prawdę o młodym księciu.

- Twoje słowo przeciwko mojemu - odrzekła na to Sophie.

Jej głos brzmiał spokojnie, ale kiedy spojrzała na Granta, jej oczy wyrażały strach i niepewność.

Ten widok poruszył go do głębi. Sophie równie dobrze jak on wiedziała, że wszystko zależy także od jego słowa. Jeśli Phelps wyjawia prawdę, Grant może zeznać pod przysięgą, że nie jest ojcem Luciena.

Albo odwrotnie, może zeznać, że nim jest. Może oznajmić światu, że ma syna.

Wspinając się w mroku po schodach, Sophie w jednej ręce ściskała świeczkę, w drugiej pamiętnik Annabelle. Postanowiła, że wkrótce go przeczyta, lecz jeszcze nie tej nocy. Była na to zbyt zmęczona i... otepiała, choć

powinna raczej odczuwać radość, że zabójca Roberta został schwytany. W jej umyśle wciąż przewijały się sceny z burzliwych wydarzeń wieczora.

Phelps. Któż mógł się spodziewać, że stary kamerdyner ukrywa taką rewelację. Nie zdawała sobie sprawy, że Robert obdarzał służącego aż tak dużym zaufaniem. Że zwierzał mu się prawie ze wszystkiego. Ale to miało sens. W końcu Phelps był z rodziną przez całe życie Roberta. I tylko on ze wszystkich domowników wiedział o Geoffreyu Langstonie.

Teraz siedzi związany w piwniczce z winami, strzeżony przez dwóch postawnych lokajów, stojących na straży przy zamkniętych na głucho drzwiach. Z rana Sophie i Grant odwiozą go na Bow Street i, jeśli kamerdyner odmówi zeznań, Sophie wykorzysta drugi pamiętnik, którego treść ujawnia motyw zabójstwa.

A wtedy Phelps dopnie swego. Dokona zemsty. Świat dowie się prawdy o Lucienie.

Czy Grant potwierdzi jej zeznania?

Sophie zadrzała. Wiedziała, że Grant kocha Luciena i dlatego liczyła, że nie będzie chciał sprowadzać na niego plotek i pomówień.

Co do pozycji i statusu syna, nie martwiła się o to. Prawo wyraźnie stanowiło, że o ile mąż nie wyrzeknie się pierworodnego syna, dziecko, nieważne, czy splodzone przez ojca, czy przez innego mężczyznę, zachowuje na zawsze prawo do dziedziczenia.

Obawiała się tylko jednego - że ludzie zaczną się dziwić, dlaczego Robert sam nie postarał się o potomka. Mogą nawet odkryć jego sekret. A potem zaczną obmawiać Sophie. Będą mówić, że oszukała męża. A wszystkim tym przejmowała się wyłącznie dlatego, że pewnego dnia plotki z pewnością dotarłyby do uszu Luciena.

Czy Annabelle dręczyły te same obawy co ją, związane z jej synem?

Przyciskając drogocenny pamiętnik do serca, Sophie weszła do sypialni. Było w niej ciemno, nie licząc słabego światła lampki oliwnej stojącej na

nocnym stoliku. Gdyby oczy się jej nie kleiły ze zmęczenia, zwinęłyby się pod kołdrą w kłębek i przeczytała pamiętnik. Poznałaby nadzieje i marzenia Anabelle...

Stała nagle w miejscu, choć nie umiała jasno określić, co jej kazało to uczynić. Niemniej w ustach czuła suchość, a mięśnie jej ciała napięły się.

Odwróciła się powoli, ale nikt nie czaił się w mroku.

Zmusiła się do rozluźnienia. Jej nerwowość to pewnie efekt bójki na dole, wspomnienie Phelps'a obserwującego ją i Granta z rogu pokoju. No ale przecież nie zaczęła się przez ten incydent bać ciemności.

Przemierzyła szybko sypialnię i położyła pamiętnik na stoliku. Potem weszła ze świecą do garderoby. Tutaj też wszystko wyglądało normalnie. Komoda na bieliznę, wysoka mahoniowa szafa wypełniona sukniami. Toaletka z lustrem, przed którym układała włosy.

Mimo to pożałowała, że odesłała pokojówkę do łóżka - choćby dlatego, że teraz sama musi rozpinąć wszystkie te haftki i guziki przy sukni i gorsecie.

I wtedy się zaczęło. Kiedy stawiała świecę na blacie toaletki, w lustrze dostrzegła czyjeś niewyraźne odbicie. Poruszający się cień. Za jej plecami.

Strach zacisnął jej gardło, z którego po chwili wyrywał się okrzyk przerażenia. Uniosła instynktownie ręce do głowy, chroniąc ją przed uderzeniem.

Za późno.

Jej czaszkę przeszył nagły ból, nogi się pod nią ugięły. Zachwiała się i, żeby nie upaść, chwyciła za skraj toaletki. Ale w palcach nie miała już czucia. Nie mogąc temu zapobiec, powoli osunęła się w ciemność.

Rozdział XXVII

2 stycznia 1702

Drugi dzień w roli księżnej

Niniejszym zawiadamiam, że rozpoczynam nowy pamiętnik i nowe życie. Nowe życie zakwitło też we mnie. Nikt o tym nie wie, a ja jestem przepelniona wstydem i... radością. Urodzę Williamowi dziecko. Niczego się nie domyślałam aż do dnia ślubu, a wtedy było już za późno na odwołanie uroczystości. Nie mogłam przecież okryć niesławą moich drogich rodziców!

O ja nieszczęsna, Mulforda też oszukałam. Po pierwszej spędzonej z nim nocy poplamiałam prześcieradła, żeby wyglądały jak zanieczyszczone krwią. To okropny grzech tak oszukiwać męża, wiem. Ale ja sprzedałabym duszę diabłu, żeby chronić moje dziecko, dziecko Williama. Postanowiliśmy, że prawda o jego poczęciu pozostanie naszą tajemnicą... na wieki.

*- pamiętniki Annabelle Chatham Ramsey,
trzeciej księżnej Mulford.*

Grant pędził swoją dwukółką po zatłoczonych ulicach miasta jak szalencie. Przechodnie uskakiwali mu z drogi, inne pojazdy umykały szybko na boki. Mało brakowało, a rozjechałby wózek sprzedawcy pasztecików. Goniły go wściekłe okrzyki i przekleństwa.

On jednak nie zważał na nic. Gnało go przerażenie. Serce dudniło mu w piersiach jak młot. Spocone dłonie ślizgały się na wozach. Rozpalony do czerwoności blokującym mu drogę ruchem, mocniej pochwycił wodze. Czy dotrze do Sophie na czas?

A może jest już za późno?

Uzmysłowił sobie, że przecież dopiero niedawno odwoził Luciena do domu. Chłopiec zadziwiająco szybko wrócił do formy. W drodze wesoło sobie gawędzili i Grant był szczęśliwy jak nigdy. Oczywiście pamiętał, że musi

dopilnować, żeby Phelps trafił za kratki, że trzeba złożyć zeznania, oczyścić z zarzutów Sophie, ale on miał w już głowie tylko jedno: myślał o tym, że ożeni się z Sophie, że będzie ojcem Luciena. Pozwolił sobie na nadzieję, że on i Sophie wybaczą sobie wszystkie kłamstwa i zdrady.

A potem zszedł do sutereny, żeby sprawdzić, co z Phelpsem, i odkrył...

Cholera! Skreślił ostro w prawo, bo na drogę wypadł kot ścigany przez wyliniałego psa. Kot gnał ulicą jak strzała, zupełnie jak wyobraźnia Granta, która nie przestawała napełniać jego umysłu koszmarnymi wizjami.

Pobiegł na górę, żeby przekazać ponure wieści Sophie, ale jej nie znalazł. Pokojówka przekazała mu list z wiadomością.

I wtedy jego świat rozpadł się na kawałki.

Sophie została porwana, a porywacz żądał okupu.

Porywaczem zaś był nie kto inny, tylko ten szczur, Bahir.

Jakimś cudem sługusowi sułtana udało się zbiec ze statku. Musiał zakraść się do Mulford House w trakcie przyjęcia. I zaczął się na Sophie w jej sypialni.

Grant poczuł, że przeszywa go lodowaty strach. Zacisnął zęby, żeby zapanować nad atakiem paniki. Jeśli Sophie stanie się coś złego, to będzie jego wina.

Tylko jego, niczyja więcej.

Skreślił dwukółką w boczną uliczkę. Czuć tu już było portem - gryzącym w gardło, rybim odorem. Dzięki niemu wiedział przynajmniej, że zmierza we właściwym kierunku. Gdzieś tutaj, w jakiejś dziurze, w którymś z gnijących budynków Bahir więzi Sophie. Zażądał za nią sumy, którą Grant otrzymał za sprzedanie „Oka Diabła”.

Chętnie oddałby wszystko, co posiada, żeby zapewnić ukochanej bezpieczeństwo, ale w banku się nie zatrzymał. Nie chciał marnować czasu. Wybranie takiej ilości złota zajęłoby wieki, a jemu instynkt podpowiadał, że powinien się spieszyć. Żeby tylko znalazł wreszcie ten przeklęty adres...

Ktoś wyłonił się z drzwi budynku, który mijiał, wchodząc mu prawie pod koła. Zatrzymał ostro powóz, cudem unikając przejechania kobiety wyglądającej na prostytutkę.

- Gdzie się tak spieszysz, Złociutki - wrzasnęła, podparłszy biodra rękoma.

Sięgnął do kieszeni po gwineę.

- Tawerna „Czarna Sowa” - gdzie to?

Wypełnione chciwością niebieskie oczy zalśniły mocno w pokrytej brudem twarzy, która od dawna nie widziała wody i mydła. Kobieta zrezygnowała z zadziornej postawy i wskazała przed siebie.

- Trzeba skrócić w prawo przy sklepiku Harry'ego i to będzie następna ulica.

Grant rzucił informatorce monetę. Złapała ją w powietrzu i cofnęła się. On zaś strzelił lejcami i odjechał z taką samą prędkością co wcześniej. Na skrzyżowaniu minął w pędzie wózek załadowany beczkami z piwem. Pchający go krzepki mężczyzna sklął go za szybką jazdę.

Nie zwrócił na to uwagi. Jechał dalej do miejsca, które wskazała prostytutka, na szczęście właściwie. Zobaczył wyblakły szyld ze schodzącą farbą z napisem „Czarna Sowa”.

W liście, który dostał od pokojówki, napisane było, że ma zostawić pieniądze w pojemniku na śmieci stojącym na tyłach tawerny. A potem miał wejść do środka i czekać na Sophie.

Akurat.

Pozostawiwszy dwukółkę kilka metrów dalej pod opieką jakiegoś ulicznego urwisa, którego sownie opłacił za usługę, przyjrzał się uważnie okolicznym, rozsypującym się budynkom. Wątpił, żeby Bahir ukrył Sophie w jednym z pokoi w tawernie. To by było za proste.

Ale musiał być gdzieś blisko.

Znów się rozejrzył i jego wzrok padł na wielką, walącą się budowlę wyrastającą zza tyłów tawerny, coś, co wyglądało na spalone magazyny. Nie miały dachu, ale pozostały osmolone ściany i okna.

Z ponurą miną ruszył za tawernę z zamiarem znalezienia wejścia do magazynów.

Sophie siedziała na rozsypującym się krześle w opuszczonych magazynach i przyglądała się, jak Bahir poźółkłymi zębami rozgryza orzech. Bolała ją głowa, szczypały oczy i miała gęsią skórę od chłodu i strachu. Ale przynajmniej nie była już związana - jak świąteczna gęś - nie licząc skrepowanych rąk.

Nie ulegało wątpliwości, że Bahir gardził kobietami. Uważał je za słabe i głupie stworzenia. Zdawał się zapomnieć, że nie dalej jak przed dwoma dniami w gabinecie Granta dostał od Sophie wazonem po głowie. A może uznał, że jej wyczyn to tylko wyjątek od reguły.

Nie próbowała wpływać na jego zdanie i wyprowadzać go z błędu. W tej chwili fakt, że porywacz miał ją za idiotkę, był jej jedynym atutem, jedyną bronią.

A Bahir miał przy sobie prawdziwą. Nóż z groźnie, lśniącym ostrzem. A także pistolet, zatknięty za pas przy spodniach.

Wielki Turek stał kilka metrów dalej oparty o ścianę. Czubkiem noża wyluskiwał miąższ z orzecha. U jego stóp wały się łupiny. Wsadził sobie miąższ do ust i zaczął go głośno przeżuwać. Zarazem nie przestawał uważnie obserwować otoczenia.

Bahir wybrał sobie dobre miejsce na kryjówkę. Wnęka, w której się znajdowali, pozbawiona teraz drzwi i dachu, służyła kiedyś za biuro. Rozpadająca się wewnętrzna ścianka odgradzała ich od reszty rozległego pomieszczenia, dzięki czemu, sam niewidoczny, Bahir mógł lustrować okolicę.

Ze swojego miejsca przez osmolone sadzą okno widział zaplecze tawerny. Czekał na pojawienie się Granta.

Sophie, owiewana zimnymi podmuchami wiatru, była przemarznięta do szpiku kości. Jednak jej drzenie wywoływało nie zimno, tylko strach. Głęboko w sercu przeczuwała, że Grant nie zostawi ot tak pieniędzy i odjedzie.

Będzie jej szukał. Zaryzykuje życie...

Musi być przygotowana. Musi przekonać Turka, że powinien rozwiązać jej ręce.

Tak więc przymilnym, uległym głosem powiedziała:

- Niech mi pan wybaczy, sir, ale... ale pańskie wysiłki z pewnością na nic się zdadzą.

Bahir popatrzył w jej stronę. Jego szeroką, płaską twarz wykrzywił szyderczy uśmiech.

- Milcz, kobieto.

- Ale... ale pan Chandler to łajdak. Nie zjawi się tu z pieniędzmi.

Bahir wyciągnął następnego orzecha z torebki leżącej obok na małym stoliku.

- Jesteś jego kobietą. Zjawi się.

- My... my się okropnie pokłóciliśmy. - Sophie bez trudu przywoływała drzenie w głosie. Wystarczyło, że przypomniała sobie wyraz furii na twarzy Granta, kiedy poznał prawdę o Lucienie. - Jemu... jemu na mnie nie zależy.

- Nie łzyj. Podglądałem was. Widziałem, jak cię całował.

Sophie drgnęła. Miała ochotę rzucić się na Turka i paznokciami zdrapać mu z twarzy ten podły uśmiech. Musiała jednak odgrywać rolę słabej kobietki.

- On mnie po... porzucił. Może nawet nie widział listu albo, jeśli pomyślał, że... że to ja go napisałam... pewnie wrzucił go do ognia.

Bahir przymrużył sceptycznie ciemne oczy. Przechyliwszy osłoniętą turbanem głowę, znowu zgryzł w zębach skorupę orzecha.

Pogryzając orzech, uwagę skupiał na swojej ofercie i na widoku za oknem.

- Zaczekamy na niego.

- To... to nie ma sensu. Jestem od niego znacznie bogatsza. Może napiszę wiadomość do... do mojego bankiera...

- Nie! - Twarz Turka wykrzywiła lodowata furia. - To Chandler ukradł „Oko Diabła”. On zapłaci.

Niespodziewany atak gniewu porywacza wystraszył Sophie. Mimo to powiedziała:

- Proszę... proszę dać mi skończyć. Dam panu dwa razy tyle co Grant. Część odda pan sułtanowi, a resztę zostawi sobie.

Mężczyzna roześmiał się ochryple.

- Sułtan nic ode mnie nie dostanie.

Sophie, niczego nie pojmując, zmarszczyła czoło.

- Ale... ale przecież to sułtan przysłał pana do Anglii, czyż nie?

- Sułtan nie chce złota, tylko mojej głowy. - Bahir wymownym gestem przeciągnął ręką po szyi. - Byłem dowódcą straży, ale już nie jestem. Na Allaha, Chandler zapłaci mi za to! Zabiję go i to jego głowę odeślę sułtanowi.

Po tych słowach, które wywołały w Sophie przerażenie, Turek szybkim ruchem uniósł nóż i rzucił go we framugę nieistniejących już drzwi. Tuż nad głową swojego jeńca.

Skuliwszy się, Sophie czuła, że strach ściska ją za gardło. Kilka centymetrów niżej i... och Boże, nie chciała wyobrazić sobie, co by się stało.

Bahir znów wybuchnął śmiechem, wyraźnie rozbawiony jej przerażeniem. Ogarnął ją gniew. Ten przebrzydły bandyta wcale nie spudłował. Celował dokładnie w miejsce, w które wbił się nóż. Nie zamierzał jej zabić, tylko nastraszyć. Nie zrobi jej krzywdy, bo inaczej straci kartę przetargową.

Chce zwabić do siebie Granta. Żeby go zamordować.

Zobaczyła, że idzie do niej, zapewne po nóż. Nie może dłużej czekać. Musi skorzystać z okazji.

Zbierając wszystkie siły, oparła się mocniej nogami o podłogę. Bahir nie był wysoki, choć budowę miał potężną. Wątpiła, żeby udało jej się przejąć nóż. Zanim wyrwałaby go z framugi, Bahir już by przy niej był. Ale może zdoła go jakoś zaskoczyć i złapać za pistolet...

Ale to ona została zaskoczona. Poruszeniem za plecami Turka. Zobaczyła, że ktoś wspina się po cichu na rozsypującą się ściankę działową.

Grant.

Owładnęły nią w równym stopniu radość i strach. Serce zabiło jak oszalałe. Spuściła wzrok, żeby Bahir niczego się nie domyślił.

Niemniej kątem oka mogła nadal obserwować poczynania ukochanego. Był bez butów i miał na sobie tylko koszulę i spodnie, a w zębach trzymał nóż. Wyglądał dziko i straszliwie groźnie... a zarazem jak ktoś bardzo, bardzo jej drogi.

Jego widok rozgrzał jej serce. Ale... och litościwy Boże. Jeśli Bahir go spostrzeże...

Grant był bardziej przerażony niż kiedykolwiek w całej swojej złodziejskiej karierze. Tkwiący we framudze nóż nadal jeszcze lekko drżał, a Bahir zmierzał w stronę Sophie. Grant bez cienia wątpliwości wiedział, że Turek, jeśli zajdzie taka potrzeba, nie zawaha się i użyje Sophie jako tarczy. Lub poderżnie jej gardło.

Miał tylko sekundy na obmyślenie planu działania. Nie śmiał sięgać po nóż, bo Bahir zdążyłby złapać pistolet i strzelić. Nie mógł też zbyt wcześnie się na niego rzucić, bo ten drań dorwałby Sophie.

Zobaczył, że znowu uniosła głowę. Przesłał jej więc milczące polecenie: uciekaj, sam się tym zajmę.

Ale ona patrzyła na Bahira i po chwili słabym, dziewczęcym głosem zaszczebiotała:

- Och sir, sir... jakże wspaniale posługuje się pan nożem. Cóż za celne oko! Domyślałam się, że ćwiczenia zajęły panu lata, ale pewnie teraz nie ma pan sobie równych!

Ta paplanina była wybawieniem dla Granta, zagłuszyła bowiem jego ruchy. Pomyślał że Sophie jest bardzo odważna, choć w środku umiera pewnie z przerażenia. I nic dziwnego, bo Bahir, zatrzymawszy się tuż przed nią, uniósł groźnie wielkie łapsko.

- Milcz, kobieto! - wrzasnął i zamachnął się. Nie zdążył jednak wymierzyć Sophie policzka, bo ta runęła na niego całym ciałem, przez co Turek, chwając się, odsunął się na kilka kroków, a ona... ta szalona wariatka... wyrwała mu pistolet zza pasa.

Grant skoczył. Sophie usunęła się na bok, kiedy on i Bahir padli na ziemię. Grant, nie mając czasu na wybranie celu, wbił nóż tam, gdzie popadło, w miękkie ciało na boku przeciwnika. Niestety, ostrze odbiło się od kości biodra.

Turek zawył i wymierzył cios. Trafił w podbródek. Grantowi zadzwoniły zęby, a potem w ustach poczuł metaliczny smak krwi. Bahir nie czekał, tylko jak rozjuszony byk rzucił się na niego, powalając na plecy. Przygwoździł mu szyję ramieniem.

Grant zaczął się dusić. Przed oczami zawirowały mu ciemne kropki. Coraz bardziej tracił siły. Bahir zaś, nie zmniejszając nacisku na gardło, sięgnął po nóż, który nadal tkwił w jego boku.

Ale Grant dosięgnął go pierwszy. Strząsnął z siebie przeciwnika, wyrwał nóż z jego ciała i poderwał się na nogi. Głęboko wciągając powietrze w płuca, kątem oka dostrzegł Sophie.

- Uciekaj! - krzyknął. - Uciekaj stąd!

Nie wiedział, czy go posłuchała, bo Turek, podskoczywszy na nogi, jak rozwścieczony niedźwiedź, walnął go głową w plecy. Grant usłyszał trzask łamanego żebra i poczuł w piersiach przeraźliwy ból. Nie zważając jednak na niego, zamachnął się i wbił nóż Bahirowi w brzuch.

Ten znieruchomiał na szeroko rozstawionych nogach. W oczach miał skrajne zdumienie. Na białym habicie pojawiła się rozlewająca się plama krwi. Turek trzymał się za brzuch z takim wyrazem twarzy, jakby nie wierzył, że został śmiertelnie raniony.

Zatoczył się w bok, potknął o skorupę orzecha, a potem osunął ciężko po framudze drzwi. Grant rzucił się do Sophie, myśląc tylko o tym, że musi oddzielić ją od przerażającego widoku. Stwierdził, że stoi tuż za nim z pistoletem wycelowanym w Bahira. Jakby tylko czekała na okazję, żeby do niego strzelić.

Ta szalona dziewczyna nie uciekła z miejsca walki. Została, żeby mu pomóc.

Nagle usłyszał nieludzki okrzyk Bahira, a zaraz po nim głośny wystrzał, który padł tak szybko, że Grant nie zdążył się zorientować, że popełnił błąd, zostawiając Turka samego, bo ten wyrwawszy nóż z framugi, rzucił się na niego od tyłu.

Z pistoletu w rękach Sophie wydobywała się smużka dymu, a Bahir przyciskał dłonie do piersi. Przez palce przeciekała mu krew. Po chwili, niczym wielki, stary dąb, padł z hukiem na ziemię i znieruchomiał.

Sophie, której piękną twarz rozświetlał blask tryumfu, także się nie ruszała.

W Grancie wezbrało nagle uczucie miłości... a zaraz potem furii. Podszedł do niej, wyrwał pistolet z jej zaciśniętych palców i odrzucił go w kąt. Był wściekły na siebie, że naraził Sophie na takie niebezpieczeństwo.

- Coś ty sobie, do diabła, wyobrażała? Dlaczego tu zostałaś? Bahir mógł cię zabić.

Sophie zamrugała powiekami, po czym zaciekleść zniknęła z jej oczu zastąpiona wyrazem zatroskania. Czującym gestem przeciągnęła palcem po ustach Granta.

- Och, najdroższy, ty krwawisz. Jak bardzo jesteś ranny?

- To nieistotne. - Grant, chcąc uniknąć dotyku, odchylił głowę. - Powinnaś była uciekać. Przecież ci kazałem.

Sophie zacisnęła usta i wyprostowała się.

- Miałam cię zostawić, żebyś zginął? Nigdy.

- I na dodatek rzuciłaś się na niego - grzmiał dalej, nie potrafiąc pozbyć się wyobrażenia, że to Sophie mogła leżeć na ziemi zamiast Bahira. - Wyrwałaś mu pistolet!

- I dobrze zrobiłam! - odcięła się. - Gdyby nie to, już byś nie żył.

Pochwycił mocniej jej ramiona.

- To ty byłabyś już martwa, gdyby Bahir zacisnął swoje wielkie łapska na twojej pięknej szyi.

- Wybacz - rzuciła z goryczą. - Wolałbyś pewnie, żebym zachowała się jak wystraszone dziewczątko.

- Tak! Nie, do diabła! Kocham cię taką, jaka jesteś! - Grant zamilkł zdumiony tym, co właśnie wymknęło mu się z ust. Zdumiony wyznaniem, którego nigdy nikomu do tej pory nie uczynił. Zalała go fala całkiem niemęskich emocji, niwelujących gniew.

Twarz Sophie złagodniała.

- Kochasz mnie?

- Tak - potwierdził bez wahania. - Szaleję za tobą, Sophie. Kocham cię. - Choć zebra bolały go jak diabli, a wargi piekły, objął ukochaną za szczupłą talię i wyprowadził z wnęki z dala od zwłok. Po drodze bosą stopą nastąpił na skorupę od orzecha, ale zignorował to. Za narażanie Sophie zasłużył sobie na o wiele większą karę.

Zaprowadził ją do miejsca, w którym przez dziurę w dachu do magazynu wpływał strumień światła. Niczym zwiastun nadziei słońce przedarło się przez szare chmury i rozbłysło w wypełnionych ciepłym zielonym oczach Sophie. Powinien wypuścić ją z objęć, ale on trzymał ją w nich nadal, nie zważając na bolesne potłuczenia. Głosem przepełnionym wzruszeniem powiedział:

- Powinnaś była pozwolić mi cię ochronić. Mogłaś mi zaufać, choć raz.

- Och, Grant, ale ja ci ufam. - Sophie pogładziła jego twarz. - Zostałam, bo ja też ciebie kocham. Nie chciałam, żeby Bahir cię zabił.

Ja też ciebie kocham. Jakże długo czekał na te słowa. Były jak promień słońca rozświetlający jego pogrążoną w mrokach duszę.

- Jestem... byłem złodziejem. To przeze mnie wpadłaś w łapska tego bydlaka. Powinnaś mną gardzić.

- Oboje popełnialiśmy błędy. Ja nie powiedziałam ci o Lucienie. Ale byłam młoda, głupia i zdesperowana. - Sophie odwróciła oczy, które przepełniał głęboki smutek. - I gdyby nie ja, Phelps nie zamordowałby Roberta.

Grant drgnął, przypomniawszy sobie nagle o czymś. Położył dłonie na jej ramionach i delikatnie je pogładził.

- Sophie, muszę ci o czymś powiedzieć. Phelps nie żyje. Jej oczy zrobiły się okrągłe.

- Słucham?

- Kiedy rano zszedłem do piwniczki z winami, znalazłem go martwego. Odebrał sobie życie. - Nie powiedział nic więcej. Uważał, że Sophie nie potrzebuje znać wszystkich przygnębiających szczegółów. Oboje mieli już dosyć krwawych scen.

- Dobry Boże - rzuciła słabym głosem.

Oparła mu głowę na ramieniu, a on przytulił ją do siebie mocno, dając jej czas na przyswojenie ponurych wieści. Z oddali dochodziły ich odgłosy portu: ludzkie wołania, gwizd statku. Och Boże, jakże mu było dobrze, że trzyma

Sophie w objęciach. Musnął ją ustami po jedwabistych włosach, czując, że musi szybko wyrazić jakoś buzujące w nim emocje.

W pewnej chwili, niewiadomo jak, ich usta spotkały się w gorącym, namiętym pocałunku, który nie tylko oznaczał pożądanie, ale także chęć przebaczenia jedno drugiemu. Błądzili dłońmi po swoich ciałach, ciesząc się, że są żywi, że są razem, że przepaść między nimi wreszcie zniknęła.

Po jakimś czasie Grant uniósł głowę.

- Oboje zrobiliśmy z siebie głupców, kochanie. A przede wszystkim ja, bo bałem się przyznać, że mi na tobie zależy. Gdybym przed dziesięciu laty odważył się wyznać, że cię kocham, wszystko ułożyłoby się inaczej.

Sophie odsunęła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

- To... to ty już wtedy mnie kochałeś?

- Tak i będę cię kochał aż do śmierci. - Pomimo bólu żeber znów wziął ukochaną w objęcia. - Co, dzięki tobie, nie nastąpiło dzisiaj.

- Och, Grant. - Sophie rąbkami fularu otarła mu krew z policzka, a potem, pochwywszy za rękę, pociągnęła w stronę wyjścia z magazynów. - Musimy szybko wracać do domu. Gdzie zostawiłeś buty i płaszcz? W powozie?

- Zaczekaj. - Zmusiwszy ją, żeby się zatrzymała, przyklęknął przed nią na brudnej posadzce. - Sophie, czy uczynisz mi ten zaszczyt i wyjdiesz za mnie?

Na jej czole pojawiła się lekka zmarszczka. Przygryzła zębami dolną wargę.

- Sądziłam, że już ustaliliśmy, że się pobierzemy. Dla dobra Luciena. - Zamilkła, ale zaraz znów się odezwała, a w jej głosie brzmiał niepokój. - Tylko nie wiem, czy zamierzasz wyjawić, że jesteś jego ojcem.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział natychmiast, chwytając ją za rękę. - Nie zależy mi, żeby świat się o tym dowiedział. To będzie nasza tajemnica na wieki.

Sophie odetchnęła z ulgą.

- Zupełnie jak tajemnica Annabelle i Williama.

Teraz on się zaniepokoił. Patrząc na ukochaną, myślał o tym, że już dwukrotnie wszystko popsuł. Że już dwa razy impertynencko oświadczył, że on i Sophie muszą się pobrać. A jeśli ona, zniechęcona jego arogancją, znowu go odtrąci?

- Tak, tylko że oni się nie pobrali - powiedział niemal szeptem. - Chcę być ojcem dla Luciena, Sophie, i mężem dla ciebie. Ale to twój wybór, kochanie. Twoja decyzja. Czy uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi i zostaniesz moją żoną?

Zobaczył, że jej usta unoszą się w górę w promiennym uśmiechu. Twarz jej pojaśniała. Ona też opadła na kolana i popatrzyła na niego wyzywająco, tym spojrzeniem, które tak uwielbiał. Tym, które usuwało z jego serca cały ból, a w zamian budziło dzikie pożądanie.

- Tak, zostanę twoją żoną - odparła cicho - ale pod jednym warunkiem.

- Mam ci podarować księżyc w prezencie ślubnym? Już jest twój.

- Och nie, ja pragnę czegoś o wiele bardziej ekscytującego. - Z oczyma roziskrzonymi obietnicą płomiennej namiętności przesunęła kusząco palcem po jego piersi. - Pragnę ciebie, Grant, w moim łóżku każdej nocy do końca naszych dni.